

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER



LUIS MIGUEL ROCHA

# OSTATNI PAPIEŻ



**LUIS MIGUEL ROCHA**

**OSTATNI  
PAPIEŻ**

TLUMACZENIE  
MARIA FILIPOWICZ-RUDEK

Książka dedykowana  
Janowi Pawłowi I - Albino Lucianiemu  
17 X 1912-29 IX 1978

*„A jeśli chodzi o was, patriarcho, korona Chrystusa i dni Chrystusa”.*

Siostra Lucja do Albino Lucianiego,  
Coimbra, 11 VII 19 77

*„Niech wam Bóg wybaczy, coście mi uczynili”.*

Albino Luciani do kardynałów, którzy wybrali go na papieża 26 VIII 1978

## ROZDZIAŁ 1

Dlaczego człowiek tak biegnie? Jaka pcha go siła? W praktyce wygląda to tak, że jedna noga oddala się od drugiej, prawa podąża za lewą. Ludźmi kierują różne pobudki. Jednych zmusza do ruchu pragnienie chwały, innych chęć zgubienia paru zbędnych kilogramów. To bez znaczenia, wszelkie powody można sprowadzić do jednego - wszyscy będą po życie, nic innego się nie liczy.

Nic też innego nie kieruje mężczyzną, który w samym środku nocy zbiega w pośpiechu po obszernych schodach Tajnych Archiwów Watykanu. Czarna sutanna rozplywa się w skąpym oświetleniu miejsca, którego istnienie wcale nie jest okryte tajemnicą. Swoją nazwę zawdzięcza ono temu, że przechowuje się tu poufne dokumenty. Dostęp do nich ma w zasadzie tylko głowa Kościoła katolickiego lub osoba przez nią upoważniona. W trzech ogromnych salach paulińskich i przyległych budynkach na tyłach Pałacu Apostolskiego przechowuje się dokumenty o istotnym znaczeniu dla historii tego małego państewka i całego świata. Urzędnicy watykańscy zwykli mawiać, że każdy badacz może się z nimi zapoznać - z tym tylko zastrzeżeniem, że chodzi o dokumenty sporządzone do roku 1939 lub związane z II Soborem Watykańskim - ale tak w Rzymie, jak i wszędzie na świecie wiadomo, że nie wszystkim się wpuszcza do archiwów, a ci, którzy się do nich dostaną, nie wszystko mogą zobaczyć. Osiemdziesiąt pięć kilometrów watykańskich regałów skrywa wiele tajemnych zakrętów.

Duchowny przemierza sekretną drogę. W dłoni trzyma poźółkle ze starości kartki papieru. Prawdopodobnie to one są przyczyną pośpiechu księdza. Jest wyraźnie zaniepokojony dźwiękiem towarzyszącym odgłosom jego kroków. Skąd dobiega? Pytania przelatują mu przez głowę. Zatrzymuje się, rozgląda, nadstawia uszu, ale słyszy tylko przyspieszony rytm swego oddechu. Po czole spływa mu pot. Biegnie do swojego mieszkania w mieście, czy raczej w państwie, bo tym Watykan w rzeczywistości jest, z wszystkimi swoimi zasadami, prawami, ze swoim *credo* i własnym systemem politycznym.

Mężczyzna ów to *monsignore* Firenzi. Przy słabym świetle stojącej na biurku lampy kreśli swoje nazwisko - kilka niechlujnych kresek na wielkiej kopercie, do której przed nalepieniem znaczka wkłada trzymane przed chwilą w dłoni kartki. Nazwisko adresata trudno odczytać, gdyż oświetlenie jest mi zerne, a duchowny nachyla się nad papierem, zasłaniając go. Pot napływający do oczu utrudnia mu rozpoznanie własnego pisma. Po wykonaniu zadania Firenzi opuszcza pokój.

Dokąd *monsignore* udaje się w takim pośpiechu o tak późnej porze? Dzwon Bazyliki Świętego Piotra wybija właśnie pierwszą. Kiedy już wybrzmiewa, cisza na powrót przejmuje panowanie nad nocą. Jest zimno, ale sługa boży zdaje się tego nie zauważać. Nie przestaje biec i szybko wydostaje się na zewnątrz, na korytarze prowadzące na plac Świętego Piotra, eliptyczny cud Berniniego, pełen chrześcijańskiej i pogańskiej symboliki. Jakiś dźwięk ponownie uderza w uszy *monsignore*. Duchowny przystaje. Zimny pot spływa mu po plecach, kiedy ciężko dysząc, z trudem próbuje złapać oddech. Nie ma wątpliwości, to odgłos kroków. Może gwardzista

szwajcarski odbywa nocny obchód. W każdym razie *monsignore* Firenzi przyspiesza. Dokąd zmierza - nie wiadomo. Jego dłoń mocno zaciska się na kopercie. Gdyby ta noc była zwyczajna, spałby teraz we własnym łóżku. O tym, że jest inaczej, świadczy niepokój malujący się na jego twarzy. Firenzi chroni kopertę, przyciskając ją mocno do siebie. Kiedy dociera na środek placu, spogląda do tyłu. W oddali dostrzega cień; to nie gwardzista, przynajmniej nie w swym charakterystycznym stroju, chyba że jest po służbie. Obcy nie przyspiesza, w odróżnieniu od *monsignore* Firenziego, który teraz już prawie biegnie. Postać kroczy naprzód równo i rytmicznie. Duchowny zaczyna pędzić przed siebie i znów się ogląda. Gdyby ktoś mógł go teraz zobaczyć, pomyślałby, że coś z nim nie w porządku, ale nikt nie spaceruje tutaj o tak późnej porze - tylko on i ten cień. Jeden kroczy, drugi biegnie. Wydaje się, że nie istnieje między

nimi żaden związek, lecz czy można mieć co do tego pewność?

Jego Eminencja opuszcza plac i kieruje się w stronę Via delia Conciliazione. Rzym śpi snem sprawiedliwych i niesprawiedliwych, prawych i złoczyńców, biednych i bogatych, grzeszników i świętych. Monsignore zwalnia nieco, idzie teraz szybkim krokiem; ciemna sylwetka podąża w ślad za nim i zdaje się, że jest coraz bliżej. W jej dłoni nagle rozbłyśka światło. Firenzi dostrzega je i ponownie zaczyna biec tak szybko, jak tylko pozwala mu wiek i stan zdrowia. Biegnij, Eminencjo, po życie, od tego zależy, czy je zachowasz, czy umrzesz. W uszach Firenziego rozbrzmiewa stłumiony huk. Duchowny traci równowagę i opiera się o pierwszą rzecz, którą napotyka na swej drodze. Wszystko trwa ułamek sekundy, głuchy dźwięk cichnie, potem już nic nie słyhać. Cień jest jeszcze w pewnej odległości, lecz ona z każdą chwilą maleje. Firenziego przeszywa dotkliwy, promieniujący ku zębom ból. Monsignore sięga ręką do ramienia. Krew. Krew nowego i wiecznego przymierza między życiem i śmiercią. Znowu słyhać kroki, cień jest tuż-tuż, ból staje się coraz bardziej dotkliwy.

- Monsignore Firenzi, per favore.

- Czego ode mnie chcecie?

- Ciebie. - Tajemniczy prześladowca wyjmuje telefon komórkowy i mówi w obcym języku, przypominającym któryś ze wschodnioeuropejskich. Monsignore Firenzi zauważa na jego nadgarstku tatuaż przedstawiający węża. Kilka sekund później obok dwóch mężczyzn zatrzymuje się czarny samochód; przyciemniane szyby nie pozwalają dostrzec, czy w środku jest jeszcze ktoś poza kierowcą. Napastnik wciąga osłabłego kapłana do samochodu, delikatnie i bez widocznego wysiłku. - Niech się ksiądz nie martwi. Nie umrze ksiądz.

Przed wejściem do samochodu mężczyzna wyciera skrzynkę pocztową, o którą oparł się Firenzi, po tym jak strzał dosięgnął jego ramienia. Monsignore nie spuszcza z niego wzroku. Ból przeszywa jego ciało. „A więc to się czuje, gdy się dostanie kulę” - myśli. Mężczyzna ciągle jeszcze zaciera ślady tego, co zdarzyło się tu parę sekund wcześniej. „Cóż za ironia losu, zmywać ślady, cóż za ironia!”. Ból przenika go na wskroś. I w tej właśnie chwili Firenzi myśli o domu, a na usta cisną mu się portugalskie słowa:

- Niech mi Bóg wybaczy.

Mężczyzna szybko wsiada do auta. Ruszają, ani za wolno, ani za szybko, tak by nie wzbudzać podejrzeń. To profesjonaliści. Na ulicy znowu panuje spokój, wszystko jest w największym porządku. Na skrzynce, o którą wsparł się Monsignore Firenzi i do której w cudowny sposób udało mu się wrzucić kopertę, nim prześladowca zdążył się zorientować, nie pozostał najmniejszy ślad.

## ROZDZIAŁ 2

Albino

29 września 1978 roku

Nikt zaś z nas nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla siebie\*.

Rz 14, 7

Dla jednych rutyna jest jak żarna, które niszczą i ścierają życie w proch. Ludzie ci utyskują na niekończącą się powtarzalność tych samych epizodów i czynności. W pogardzie mają powielany przez wszystkie sekundy, minuty, dni i tygodnie scenariusz, przez który przetoczą się po raz kolejny niczym przez te niszczycielskie żarna.

Dla innych natomiast poddanie się rutynie jest koniecznością, unikają oni sytuacji, w których mogłoby dojść do zaniechania codziennych czynności. Nieprzewidziane i nowe wydarzenia nie powinny zakłócać ani zmieniać scenerii, wśród której chcą wieść spokojną egzystencję.

Zarówno jednym, jak i drugim życie czasem daje w kość. Raz jest zmienne jak w teatrze, ku radości jednych, kiedy indziej trzyma się zasad i ustanawia reguły, po to by nie gorszyć innych.

\* Wszystkie cytaty biblijne za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych, oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tyńskich, wyd. 5 na nowo opracowane i poprawione, Poznań 2000. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

Siostra Vincenza należy do tych, którzy nie narzekają na swój jednostajny tryb życia. Od prawie dwudziestu lat szacowna staruszka służy Jego Eminencji Albino Lucianiemu. Takie były Boże zamiary, kto ośmieliłby się przeciwstawić życiu, które wybrał dla niego Pan? Widocznie jednak Najwyższy zechciał teraz, by po wielu latach Albino Luciani i siostra Vincenza zmienili miejsce zamieszkania. Ich dawną wenecką siedzibę dzieli od aktualnej sześćset kilometrów. Ale nawet tak radykalna zmiana nie wywołała niezadowolenia u pracowitej zakonnicy.

Siostra Vincenza była już na nogach. Słońce jeszcze nie obudziło przestronnego placu, nadal pograżała go senna ciemność, rozjaśniana jedynie żółtawym blaskiem latarni. O tej wczesnej godzinie, dokładnie o czwartej dwadzieścia pięć, siostra Vincenza sumiennie celebrowała swój codzienny rytuał. Na szczęście zaczęła się już przyzwyczajać do nowego miejsca zamieszkania.

Zakonnica niosła w rękach srebrną tacę, na której stał dzbanek kawy i filiżanka na spodku. Zamierzała położyć ją na stoliku, tuż obok drzwi do apartamentów Albino Lucianiego.

Nowo wybrany papież parę lat wcześniej poddał się operacji zatok. Jej ubocznym skutkiem było to, że po przebudzeniu odczuwał w ustach gorzki, metaliczny smak. Próbował go łagodzić kawą, którą każdego ranka przynosiła mu siostra Vincenza.

Kiedy zakonnica zmierzała ku prywatnym apartamentom papieskim, zdała sobie sprawę z pewnego szczegółu, który niemal umknął jej uwadze - już od ponad miesiąca wykonywała swe codzienne obowiązki w nowym miejscu, jednak ciągle jeszcze nie oswoiła się z długimi i ciemnymi korytarzami. W nocy rozjaśniały je tylko blade żarówki, dzięki którym mogła dojrzeć majaczące pośród cieni przedmioty. „To bardzo uciążliwe, kiedy się nie widzi, co się niesie w rękach, *monsignore*” - poskarżyła się pewnego razu.

Wszystkie przedmioty w korytarzach nosiły piętno minionych wieków. Każdy kamień, posąg, obrazy w bogato zdobionych ramach i tkaniny zawieszane na potężnych ścianach. Te skrywające się w półcieniu skarby przerażały siostrę Vincenzę. Omal nie krzyknęła, mijając niespokojnego cherubina, którego pomyliła z przyczajonym łobuziakiem, pragnącym splatać jakiegoś figla. „Wariatka - pomyślała zakonnica - żadne dziecko nigdy nie postawiło tu swojej stopy”. Wielkość i splendor Pałacu Apostolskiego potrafią poruszyć wrażliwsze dusze, ale siostra Vincenza czuła zakłopotanie w obliczu mocy i bliskości Boga. „Gdyby nie don Albino...” - myślała. Gdyby nie don Albino ona sama nigdy nie miałaby okazji stąpać tymi korytarzami. Spróbowała się uspokoić. Przebywanie w tym miejscu o tej porze wywoływało u niej lęk i niepokój, ale dzień zaraz się zacznie, wnętrza ożyją, wypełnione pośpiesznymi krokami sekretarzy, asystentów, księży i kardynałów.

Janowi Pawłowi I nie brakowało w nowej siedzibie osób służących pomocą w kwestiach protokołu, polityki, a nawet teologii. Siostra Vincenza za to zajmowała się samym *monsignore* Lucianim, jego posiłkami, zdrowiem i drobnymi problemami codziennej egzystencji. Albino Luciani skarżył się na opuchnięte nogi albo inne mniejsze dolegliwości tylko dwóm zaufanym osobom. Jakkolwiek *monsignore* Luciani wiedział, że w Watykanie czuwają doskonali lekarze, zdolni do wyleczenia każdej niedyspozycji, wolał pożalić się siostrze Vincenzie, a nade wszystko - swemu ulubionemu lekarzowi, doktorowi Giuseppe de Rósowi. Co dwa tygodnie doktor Giuseppe pokonywał sześćset kilometrów dzielących Rzym od Wenecji, aby zobaczyć swojego pacjenta.

- Nie pojmuję, jak się to Jego Eminencji udaje - zwykły ma wiać lekarz. - Czy jest Eminencja pewien, że lata mu lecą? Za każdym razem znajduję Eminencję w lepszym zdrowiu i w pełni sił.

- Doktorze Giuseppe, zaczynam wątpić w pańskie umiejętności. Pan jako jedyny nie znajduje u mnie żadnych przypadłości.

Vincenza wypełniała wszystkie swoje obowiązki z pełną pokorą i przyjemnością. Uważała Albino

Lucianiego za dobrego człowieka, który zawsze traktował ją z uczuciem i wrodzoną delikatnością, mając raczej za przyjaciółkę niż służącą. Dlatego wziął ją ze sobą, kiedy musiał się przenieść do nowej rezydencji, znacznie obszerniejszej niż poprzednia i oczywiście znacznie znamienitszej. Ten luksus i przepych były dla Lucianiego nader kłopotliwe. Nie należał do osób, którym sprawia przyjemność bogactwo, mnóstwo bezużytecznych przedmiotów, mogących jedynie wywołać w ludziach smutek. Wszystko, co go interesowało, należało do sfery ducha. Jednak niekiedy ludzie muszą zająć się pewnymi przyziemnymi sprawami, choćby tymi, które służą umileniu i usprawnieniu życia najbliższego otoczenia. „Z czasem - myślał monsignore Albino - trzeba będzie jakoś uporządkować dom... wedle własnych upodobań albo za radą innych”.

Atak serca, którego Vincenza doznała niecały rok wcześniej, przykuł ją na jakiś czas do szpitalnego łóżka. Wbrew zaleceniom lekarzy, by nie wracała już do pracy i ograniczyła się do nadzorowania młodszych - i to najlepiej w pozycji siedzącej - nie zrezygnowała z osobistego usługiwania monsignore Lucianiemu.

Mimo dobrotliwej natury siostra Vincenza zmarszczyła gniewnie czoło, kiedy zasugerowano jej odstąpienie od dających jej tyle satysfakcji codziennych obowiązków, jak choćby to niesienie tacy z kawą mrocznym korytarzem o tak wczesnej godzinie. Oczywiście, by dalej móc zajmować się tym, co robiła dotąd, i być blisko monsignore Lucianiego, musiała wstąpić do zgromadzenia siostr Marii Bambiny, które troszczą się o papieską siedzibę. Matka przełożona Elena oraz siostry Margherita, Assunta Gabriella i Clorinda były dla niej bardzo miłe, lecz żadna nie potrafiłaby opiekować się Jego Eminencją Lucianim z taką wprawą i taktem, jak siostra Vincenza.

Kiedy zakonnica dotarła do drzwi prywatnych apartamentów Jego Świątobliwości, postawiła tacę na specjalnie do tego przeznaczonym stoliku, tuż obok wejścia, i dwa razy lekko zastukała.

- Dzień dobry, don Albino - powiedziała prawie szeptem.

Chwilę odczekała... Dosyć często podobne pozdrowienie dobiegało zza drzwi, bo zazwyczaj monsignore Albino wstawał w dobrym humorze. Czasami wychylał głowę i obdarzał siostrę Vincenzę swoim pierwszym tego dnia uśmiechem. Kiedy indziej, gdy sprawy Watykanu trapiły jego serce, Luciani bąkał tylko „dzień dobry” i zamiast ponarzekać na dyplomatów, skarbników i polityków, skarżył się na swoje ponad miarę opuchnięte kostki.

Ale tego ranka... Tego ranka Luciani milczał. Siostra Vincenza nie lubiła, kiedy codzienna rutyna nie wypełniała się co do joty. Przyłożyła głowę do drzwi, starając się wyłowić jakiś dźwięk po ich drugiej stronie. Ale niczego nie usłyszała. Przez moment rozważała, czy nie zapukać ponownie, ale w końcu zdecydowała, że tego nie zrobi. „Pierwszy raz zdarza się, że don Albino jeszcze śpi o tej porze - pomyślała, odwracając się - w końcu to nie tragedia, że odpocznie parę minut dłużej...”

Siostra Vincenza oddała się w ciszy do swego pokoju, by odmówić poranną modlitwę.

Mijało właśnie pół do piątej.

Warto przyrzeć się pewnemu człowiekowi, który przewraca się z boku na bok w swoim łóżku i burczy coś pod nosem, nie mogąc zasnąć. To nic szczególnego. Coś takiego zdarzyło się kiedyś każdemu z nas, męczyliśmy się, daremnie próbując znaleźć wygodną pozycję. Ten zaś mężczyzna, w odróżnieniu od całej reszty zwykłych śmiertelników, potrafi zasnąć o każdej porze dnia i nocy, niezależnie od okoliczności. Sierżant Hans Roggan jest systematyczny, uporządkowany, spokojny i zrównoważony. Dziś w Rzymie odwiedziła go matka. Zjedli razem kolację i teraz sierżant usiłuje sobie wytłumaczyć, że winę za jego bezsenność ponosi najprawdopodobniej kawa wypita do deseru. Chciałby, aby tak było, ale prawda jest inna: dzień, który się właśnie skończył, należał do szczególnie męczących. Przed jego oczami nadal zdaje się przepływać niekończący się potok duchownych krążących tego wieczoru wokół papieskich apartamentów.

Postanawia wstać. „Jeśli sen nie raczy nadejść, nic nie poradzę. Nie będę tu tkwił na próżno” - mówi do siebie. Otwiera szafę i wkłada mundur, zaprojektowany w 1914 roku przez komendanta Julesa Reponda. Kto wie, co pomyślałby ten ostatni, gdyby wiedział, że parędziesiąt lat później autorstwo pro-

jektu tego stroju zostanie przypisane Michałowi Aniołowi. Poczytałby to za honor, czy raczej poczulby gorycz, że tak łatwo o nim zapomniano? Choć wiele osób chciałoby w to wierzyć, pewne jest, że to nie Michał Anioł stworzył mundur Gwardii Szwajcarskiej, w której szeregach służy wspomniany sierżant.

Żywe kolory uniformu, owszem, inspirowane freskami Michała Anioła, kontrastują z humorem sierżanta. Odczuwa on głęboki niepokój, nieokreśloną obawę niejasnego pochodzenia, jakby właśnie spotkało go coś złego.

Sierżant Hans Roggan ma pracę, o jakiej zawsze marzył. Od najmłodszych lat pragnął zostać szwajcarskim gwardzistą i służyć papieżowi. By to osiągnąć, musiał się poddać różnym ciężkim próbom, w szczególności zaś prowadzić życie surowe, zgodne z nauką Pana. Nie wypada jednak pominąć podstawowych warunków, dzięki którym jego marzenie mogło się spełnić: jest Szwajcarem, kawalerem, który żyje zgodnie z zasadami moralnymi i etycznymi, ponadto ma więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu i -

co najważniejsze - jest katolikiem.

Nie jest jednym z tych, którzy mogliby splamić wizerunek walecznych żołnierzy Ojca Świętego Juliusza II. W razie potrzeby byłby gotów poświęcić swe życie w obronie papieża - na wzór sześciuset osiemdziesięciu dziewięciu Helwetów, członków Gwardii Szwajcarskiej, którzy obronili Klemensa VII przed atakiem tysiąca hiszpańskich i niemieckich żołdaków w czasie oblężenia Rzymu, 6 maja 1527 roku. Uratowało się tylko czterdziestu dwóch, ale pod rozkazami Göldiego udało się im ocalić życie papieża w Zamku Świętego Anioła. Skorzystali wtedy z *passetto* - sekretnego przejścia wybudowanego w czasach Aleksandra VI, które łączyło Watykan ze wspomnianą twierdzą. Pozostali gwardziści polegli bohatercko, lecz zanim się to stało, odebrali życie blisko ośmiuset napastnikom. Razem z mundurem takie właśnie dumne dziedzictwo Hans każdego dnia dźwiga na swoich barkach. Dzisiaj jednak czuje niepokój, tym większy że nie zna jego przyczyny.

Na Hansie spoczywa odpowiedzialność za bezpieczeństwo Wiecznego Miasta. System ochrony ogranicza się tu do paru patroli wewnątrz murów i kilku strażnic ustawionych w najbardziej strategicznych i zatłoczonych miejscach. Jan XXIII zniósł praktykę całonocnej dwuosobowej straży przed drzwiami apartamentów papieskich. Niejeden ekspert - a wielu specjalistów z różnych dziedzin przewija się tutaj - stwierdziłby, że osoba o złych intencjach z łatwością mogłaby się dostać do Watykanu. Trudno się z tym nie zgodzić.

Hans wchodzi do swego gabinetu i siada przy biurku. Otwiera teczkę z dokumentami i przegląda je. Są tam informacje o niezłatwionych sprawach, które musi rano przekazać przełożonemu. Po krótkiej chwili zamyka teczkę. To na nic. Nie potrafi się skupić.

- Niech to szlag - mruczy. - Lepiej pójde się przewietrzyć.

Wychodzi z gabinetu, nie fatygując się nawet, by zamknąć za sobą drzwi. Opuszcza siedzibę Gwardii Szwajcarskiej i po krótkim spacerze w pobliskim wewnętrznym ogrodzie kieruje swoje kroki ku placowi. Mija dwóch gwardzistów, którzy przysiedli na schodach. Obaj drzemią.

„Zdaje się, że tylko ja nie mogę dzisiaj zasnąć” - myśli. Klepięcie w ramię i podniesiony głos przełożonego sprawiają, że przerażeni strażnicy podrywają się na nogi.

- Przepraszamy, sierżancie.

- Żeby mi to było ostatni raz - odpowiada Hans tonem budzącym respekt. Wie, że jego chłopcy mają za sobą okres bardzo intensywnej pracy. Nieco ponad miesiąc wcześniej, 6 sierpnia 1978 roku, w letniej rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo odszedł Giovanni Battista Montini - Paweł VI. Obrzędy żałobne ciągnęły się przez wiele dni, a Gwardia Szwajcarska nie opuszczała zmarłego papieża nawet na chwilę. Czterech ludzi, stojąc na baczność, dzień i noc strzegło czterech krańców katafalku, przed którym przetaczały się tłumy ważnych osobistości, prezydentów i premierów, pragnących oddać ostatni hołd Jego Świątobliwości.

Gdy tylko skończył się pogrzeb, zaczęły się przygotowania do konklawe, zawsze odbywa się ono z zachowaniem największej tajemnicy. Anuluje się wtedy wszystkie przepustki i pracy jest dwa razy więcej. Konklawe rozpoczęło się 25 sierpnia, dokładnie dziewiętnaście dni po śmierci papieża, nieomal na granicy przewidzianego w prawie okresu, wynoszącego dwadzieścia jeden dni. Było krótkie i zakończyło



się następnego dnia, od razu rozpoczął się zwyczajowy rozgardiasz wokół nowego papieża. Zaledwie przed kilkoma dniami wszystko wróciło do normy.

Hans rusza dalej, zostawia za sobą dwóch sennych strażników, myśląc: „Dziś tylko ja cierpię na bezsenność”.

Czuje się związany z tym wszystkim, co go otacza. W głębi, prawie na środku placu Świętego Piotra wznosi się obelisk z cyrku

Kaliguli. Jak ironiczna bywa czasem historia ludzkości. Dzieło psychopaty w samym centrum miejsca dla katolików najświętszego. Hans spokojnie idzie przed siebie, czując na twarzy delikatny podmuch bryzy. Nagle coś przykuwa jego uwagę. Po lewej stronie wznosi się Pałac Apostolski. Na trzecim piętrze budynku, w oknach papieskich apartamentów pali się światło. Hans patrzy na zegarek - jest za dwadzieścia piąta. „Dość wcześnie wstaje nasz papież” - myśli. Kiedy poprzedniej nocy, gdzieś około jedenastej, Hans wracał z kolacji z matką, światła jeszcze się paliły. Czujny jak każdy szanujący się gwardzista szwajcarski, postanawia wrócić tam, gdzie zostawił drzemiących strażników. Teraz zastaje ich na rozmowie, wypłoszył sen raz na zawsze.

- Panie sierżancie - salutują obaj.

- Interesuje mnie pewna rzecz: czy tej nocy Ojciec Święty zgasił światła w swoich pokojach?

Gdy jeden ze strażników się namyśla, drugi stwierdza kategorycznie:

- W czasie mojej warty światło nie zgasło ani na chwilę.

Mimo że przyłapał ich na drzemce, Hans wie, że nie mogli przysnąć na dłużej niż kilka minut.

- To dziwne - mruczy.

- Jego Świątobliwość zwykle zapala światło mniej więcej o tej godzinie. Ale tej nocy nie zgasił go w ogóle - ciągnie strażnik. - Pewnie pracuje nad tymi zmianami, o których się tyle mówi.

- To nas nie obchodzi - odpowiada Hans i zmienia temat: -Wszystko w porządku?

- Tak, panie sierżancie.

- Dobrze. Do zobaczenia. Miejcie oczy szeroko otwarte.

Kiedy wraca do budynku Gwardii Szwajcarskiej, w końcu czuje, że powieki zaczynają mu ciążyć. Może jeszcze pospać kilka godzin. Odwraca głowę w kierunku świateł w oknach papieskich.

„Pewne zmiany nastąpią na pewno” - myśli i lekki uśmiech rysuje się na jego wargach. Teraz może już spać spokojnie.

Upłynęło piętnaście minut od chwili, kiedy siostra Vincenza położyła tacę z kawą na stoliku obok wejścia do prywatnych apartamentów Albino Lucianiego. Już najwyższy czas, trzeba budzić Jego Świątobliwość i podać mu lekarstwa.

Kiedy zakonnica powtórnie przebiegała mroczny korytarz, poczuła na plecach zimny dreszcz. Wobec Lucianiego przyjmowała zawsze postawę zdecydowaną, choć rozsądną, nie opuszczała pokoju, dopóki poruczony jej opiece człowiek nie połknął lekarstwa regulującego zbyt niskie, zdaniem doktora de Rosa, ciśnienie tętnicze. Kuracja ograniczała się do podania choremu kilku białych, mdłych w smaku tabletek, na widok których Ojciec Święty czynił gest wyrażający ironiczne zaskoczenie. Vincenza musiała nad tym zapanować. Czasem tuż po posiłku aplikowała mu także witaminy, a wieczorem, przed snem, zastrzyk stymulujący pracę gruczołów nadnerczy.

Monsignore Albino żartował sobie niekiedy z siostry Vincenzy i wyrzucał jej dobrodusznie, że stawia się pobożnie u niego dzień po dniu, między czwartą trzydzieści a za piętnaście piątą rano, po to tylko by podać mu parę pastylek.

Po wypiciu kawy Albino Luciani brał kąpiel, a potem, między piątą a wpół do szóstej, utrwalając rytuał, który skutecznie opierał się zmianom, doskonalił swój angielski, korzystając z kursu korespondencyjnego na kasetach. Następnie Ojciec Święty modlił się w swojej prywatnej kaplicy do około siódmej rano. Te proste przyzwyczajenia przypominały mu tryb życia w poprzedniej rezydencji i nieco łagodziły ogromny ciężar, jaki na jego barki złożyli kardynałowie.

Kiedy siostra Vincenza po raz wtóry dotarła do apartamentów papieskich, jej zdumienie nie miało

granic. Tego ranka cały

wypracowany przez lata system przyzwyczajęń legł w gruzach. Srebrna taca z dzbankiem kawy oraz filiżanka na spodku leżały w tym samym miejscu, w którym zostawiła je kilkanaście minut wcześniej. Uniosła pokrywkę dzbanka, by sprawdzić, czy jest pełny. Był. Przez prawie dwadzieścia lat nic podobnego nigdy się nie zdarzyło. Na jej powitanie don Albino odpowiadał zawsze „dzień dobry, Vincenzo”.

W rzeczywistości sprawy miały się nieco inaczej - parę szczegółów musiało się zmienić. Nim zamieszkali w nowej rezydencji, siostra Vincenza puknęła do drzwi, wchodziła z kawą i osobiście podawała ją monsignore. Zwyczaj ten został stanowczo zakwestionowany tuż po tym, jak odkryli go nowi papiescy asystenci. Według nich, był on oczywistym pogwałceniem protokołu. By wilk był syty i owca cała, siostra Vincenza zdecydowała, że tacę z kawą będzie zostawiać przy drzwiach apartamentu Jego Świątobliwości.

Siostra Vincenza ponownie przyłożyła głowę do papieskich drzwi i wstrzymała oddech, by usłyszeć jakiś odgłos z pomieszczenia. Nie wyłapała jednak najmniejszego dźwięku ani ruchu. „Nie wiem, czy zapukać, czy nie...” - zastanawiała się. W końcu cichutko zastukała.

- Dzień dobry, monsignore Albino - wyszeptęła z niepokojem.

Odeszła od drzwi i przyględała się im uważnie, zastanawiając się, co też mogło się stać. „W Wenecji wchodziłam i nie musiałam robić zbędnych ceregieli” - wymamrotała pod nosem.

Szpara pod drzwiami przepuszczała cieką smużkę światła. „Aha, więc don Albino już wstał...” - dedukowała. Zakonnica zastukała do drzwi, tym razem już bardziej zdecydowanie.

- Monsignore Albino?

Nikt jednak nie odpowiadał. Zapukała stanowczo raz jeszcze. Nie pozostawało jej już nic innego, jak wejść do środka, przekraczając nakazy protokołu. Położyła dłoń na złotej klamce i nacisnęła ją.

„Jeśli będę się przejmować tym, co powie ten czy inny sekretarz, nigdy się nie dowiem, czy monsignore Albino już wstał, czy jeszcze śpi...”

Weszła na palcach. Ojciec Święty siedział w łóżku, oparty o poduszki, z okularami na nosie i z plikiem papierów w ręce, głowa opadała mu na prawą stronę. Wesół wyraz twarzy i miły uśmiech, urzekające wszystkich, którzy go spotykali, zmieniły się w agonálny grymas. Vincenza podbiegła do łóżka z przerażonym i ściśniętym sercem, zapominając o tym, że jest słabe. Z wilgotnymi od łez, czerwonymi oczami chwyciła nadgarstek papieża, żeby zbadać mu puls. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć sekund...

Siostra Vincenza zamknęła oczy i łzy spłynęły obficie po jej twarzy.

„O mój Boże!”

Pocięgnęła gwałtownie za sznur wiszący u wezglowia łóżka Jego Świątobliwości, dźwięk dzwonka rozległ się w sąsiednich pokojach i apartamentach.

„Muszę obudzić siostry - pomyślała roztrzęsiona. - Nie... Najpierw zapukam do księdza Magee. Nie, za daleko... Lepiej do księdza Lorenziego”.

Dzwonek umilkł, ale nikt się nie zjawił na wezwanie siostry Vincenzy. Wtedy wybiegła na korytarz i niewiele myśląc, wbrew wszelkim niewzruszonym zasadom protokołu, otworzyła drzwi do pokoju księdza Lorenziego, który sypiał w pomieszczeniu obok. Drugi sekretarz, ksiądz Juan Magee, zajmował mieszkanie na innym piętrze, w oczekiwaniu na zakończenie remontu jego sypialni.

- Księżę Lorenzi! Księżę Lorenzi! Na miłość boską! - krzyczała siostra Vincenza.

Duchowny zerwał się oszołomiony, wytrącony ze snu, zaskoczony tak gwałtowną wizytą.

- Co się dzieje, siostrze? Co się stało?

Sama prawie nie pojmując, co się stało, zakonnica podbiegła do Lorenziego i złapała go za pizamę, szlochając rozpaczliwie.

- Ale co? Co? Siostrze, co się stało?

- Księżę Lorenzi... Monsignore Albino! Jego Świątobliwość, księżę Lorenzi! Jego Świątobliwość umarł! Papież umarł!

Nie ma nic pewniejszego niż rutyna gwiazd. Tamtego dnia, 29 września 1978 roku, słońce

niezawodnie stawilo się na swoj codzienn słubę i zalało złotym światłem ogromny plac Świętego Piotra w Rzymie. Dzień był przepiękny...

### ROZDZIAŁ 3

W budynku przy Via Veneto ruch na schodach, spocznikach i w bramie nie słabnie. Lokatorzy, ich krewni i przyjaciele, posłańcy i listonosze wbiegają i zbiegają po schodach niezliczon ilość razy. W pomieszczeniach na trzecim pięttrze panuje jednak grobowe milczenie. O świcie weszli tu trzej mężczyźni. Dwóch z nich zostało na dziesięć minut, nikt nie widział, kiedy weszli i kiedy wyszli.

Trzeci osobnik nie zdradza oznak życia. W zajmowanym przez niego pomieszczeniu nie słyhać kroków, odkręcania i zakręcania kurków, otwierania szuflad czy szaf. Wydaje się najcichszym z sąsiadów, pożądanym przez wszystkich ideałem. Może poprzedniej nocy za duo wypił i koledzy przywieźli go do domu, by odespał libację. Może pracuje noc, a sypia w dzień. Wyjaśnienia mog być rżne, ale jedno jest pewne - przebywa w mieszkaniu, lecz wcale go nie słyhać.

Po schodach z wyraźnym wysiłkiem, podpierając się lask, wchodzi mężczyzna w podeszłym wieku. Towarzyszy mu młodszy człowiek, ubrany w garnitur od Armaniego. Kiedy docierają do zamkniętych drzwi na trzecim pięttrze, zza których nie dobiega aden dźwięk, nawet brzęczenie muchy, asystent starszego pana wkłada klucz do zamka.

- Zaczekaj. - Staruszek oddycha z trudem. - Pozwól mi złapać oddech.

Asystent posłusznie wykonuje polecenie. Upływa trochę czasu, zanim stary odzyskuje oddech, ale gdy tylko mu się to udaje, natychmiast prostuje się dumnie. Laska nie jest ju oparciem, lecz ozdob. Wystarczy tylko gest, by asystent mógł otworzyć drzwi. Ten dwukrotnie przekręca klucz w zamku i lekkim pchnięciem toruje przejście do przedpokoju. Wchodzą bez zbędnych ceremonii. Starszy pierwszy, młody za nim, bezgłośnie zamykając drzwi.

- Gdzie on jest? - pyta niecierpliwie starzec.

- Mówili, że zostawili go w pokoju.

Kierują się więc do pokoju, gdzie znajdują przywiązanego do łzka mężczyznę. Prześcieradło, na którym ley, jest poplamione krwi ze zranionego barku. Pot zrasza czoło i ciało skrępowanego. Ma on na sobie tylko podkoszulek i slipki. Unosi głowę, eby spojrzeć na nowo przybyłych. Mimo upokarzającej sytuacji, nie sprawia wrażenia zastraszonego. To monsignore Valdemar Firenzi.

- Monsignore - stary wita duchownego z cynicznym uśmieszkiem na ustach.

Firenzi, rozpoznawszy go, wyglda na zaskoczonego.

- To pan? - mamrocze.

- We własnej osobie. - Okrża łzko i siada na krzesle obok. - Myślał ksidz, że uda mu się uciec?

- Uciec od czego? - Wyraz zdumienia nie znika z twarzy kardynała.

- Przyjacielu, proszę nie udawać Greka. Ma ksidz co, co naley do mnie. Przychodzę tylko po to, co moje.

Firenzi rzuca okiem na asystenta, który w tym momencie ściga płaszcz i kładzie go na oparciu krzesła.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Silny cios rozcina Firenzemu wargę, z której zaczyna płynąć struka krwi. Kiedy odzyskuje przytomność, asystent starca stoi tu przy nim z lodowatym wyrazem twarzy.

- Kochany purpuracie, muszę odzyskać swoj własność, a nie chciałbym stosować wobec ksidza nieprzyjemnych metod. Jednak bardzo mnie ksidz rozczarowuje. Nie wiem, czy uda mi się kiedyś tę niechęć przełamać. W końcu ukradł mi ksidz co, co naley do mnie - ciągnie Maestre, nachylając się nad Firenzim. - Niech ksidz zrozumie powagę sytuacji. Ksidz zabrał co, co nie jest jego. Jeśli nie mogę zaufać człowiekowi Kościoła, komu mam zaufać? - Stary wstaje i przechadza się w zamyśleniu po

pokoju. - Rozumie ksiądz, przed jak straszliwym dylematem zostałem w ten sposób postawiony? Nawet Kościołowi nie mogę zawierzyć mej nadziei, mojej miłości. Pan posłał nam Swojego syna, by uwolnić nas od kłamstwa. Pytam raz jeszcze, drogi kardynale, co teraz pocznijemy?

- Pan doskonale wie, co pan uczynił - odrzekł Firenzi.

- Co uczyniłem? No, co ja uczyniłem? Tym właśnie żywi się świat. Działaniem. Czynieniem rzeczy. Każdy z nas coś robi.

- To pan udaje Greka - przerywa mu Valdemar Firenzi, po czym niezwłocznie otrzymuje kolejny cios, w to samo miejsce, co poprzednio. By stało się dla niego jasne, że do starego tym tonem nie wolno mówić.

- Nie mam czasu. Chcę mieć dokumenty jak najszybciej, więc niech ksiądz mówi, gdzie są.

Monsignore otrzymuje następny cios, bez wyraźnej przyczyny, bo tym razem nie wypowiedział ani słowa. Twarz zaczyna mu puchnąć, krew z ust spływa na koszulę.

- Pan nam daje krzyż, ale i siłę, żeby go dźwigać - odpowiada purpurat.

- Zgoda. Przekonajmy się, ile siły dał księdzu - oświadcza stary i kiwa ręką na swego asystenta.

Sygnal telefonu komórkowego przerywa przesłuchanie, które jak dotąd, mimo brutalnego przebiegu, nie przyniosło oczekiwanych skutków - z ofiary wydobyto zaledwie adres jednej parafii w Buenos Aires i jedno nazwisko. Asystent niespiesznie szuka telefonu w kieszeni płaszcza.

W czasie gdy młodszy mężczyzna odbiera telefon, stary znów podchodzi do Firenziego. Teraz wydaje się trochę zmęczony, takie sytuacje - to już nie na jego lata.

- No, dobrze, Firenzi, powie mi ksiądz, gdzie są te dokumenty, i natychmiast z tym kończymy. Gwarantuję księdzu. Nie ma potrzeby tak się katować.

Torturowany patrzy prześladowcy prosto w oczy. Wydaje się, że siły czerpie wprost ze swojej wiary. Krew spływa mu po ustach, brodzie, piersi. Jego głos, choć pełen bólu, ma zadziwiającą moc.

- Bóg wybaczył. I jeśli on to uczynił, ja też wybaczę.

Opierający się na lasce starzec potrzebuje dwóch sekund, żeby pojąć to zdanie. Zaraz potem reaguje gwałtownym gestem, pełnym nienawiści. Zrozumiał, że od księdza nie wyciągnie już niczego.

- Niech się dzieje Jego wola.

Asystent wyłącza telefon i szepcze szefowi na ucho kilka słów.

- Znalezli jakiś adres w jego watykańskim mieszkaniu.

- Jaki adres?

- Jakiejś portugalskiej dziennikarki, mieszkającej w Londynie.

- Dziwne.

- Sprawdzili ją. To córka byłego członka organizacji.

Stary zastanawia się chwilę przed podjęciem decyzji.

- Zadzwoń do naszego człowieka. Niech odwiedzi księdza w Buenos Aires, może się czegoś dowie, a potem niech czeka na nowe rozkazy w Gdańsku. Za jakiś czas pojedziesz tam osobiście.

- Jasne, szefie - odpowiada asystent służalczym tonem.

- A co robimy z monsignore?

- Daj mu ostatnie namaszczenie - mówi bez wahania. - Czekam na ciebie w samochodzie.

Stary wychodzi, klepnąwszy asystenta przyjacielsko w ramię. Firenzi nie zasłużył nawet na jego ostatnie spojrzenie. Głuchy cios, którego stary już nie słyszy, kończy cierpienia duchownego. Maestre schodzi wolno po schodach, opierając się na lasce, z telefonem komórkowym przy uchu. Już nie musi udawać. Postura zgrzybiałego starca lepiej wyraża prawdę o nim. Ktoś odbiera telefon.

- Geoffrey Barnes? Mamy problem.

## ROZDZIAŁ 4

Dla Sarah Monteiro żadne miasto nie może się równać z Londynem, nad którym właśnie przelatuje i w którym mieszka od kilku lat. Samolot leci z Lizbony i już prawie pół godziny krąży nad lotniskiem w oczekiwaniu na wolny pas. Sarah upaja się swobodą odzyskaną po ponad dwóch tygodniach monotonicznych wakacji w domu rodziców - kapitana wojsk portugalskich i nauczycielki angielskiego pochodzenia. Stąd to anglosaskie „h” w jej imieniu i miłość do wszystkiego, co brytyjskie. Nie chodzi o to, że nie lubi Portugalii, przeciwnie, uważa, że to piękny kraj - tam się urodziła - ale mimo jego długiej historii, zbyt wiele nastąpiło w nim rewolucji, a zbyt mało reform. W każdym razie Portugalia jest dla Sarah nieodzownym celem podróży dwa lub trzy razy do roku. Uwielbia spędzać Boże Narodzenie na farmie w okolicach Beja, w Alentejo, dokąd rodzice przeprowadzili się po przejściu na emeryturę. Wiejski klimat, tak różny od blichtru brytyjskiej stolicy, wydaje się czasem bezcenny.

Można rzec, że lądowanie przebiega normalnie, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że nawet najłagodniejszemu towarzyszy zwykle pewna ilość wstrząsów i drgań. Mimo że do połączenia samolotu z rękawem jest jeszcze co najmniej dwadzieścia minut, większość pasażerów przepycha się i potraça, by jak najszybciej dostać się do swoich bagaży i opuścić pokład maszyny.

„Właśnie lądujemy na lotnisku Heathrow. W Londynie temperatura wynosi dwadzieścia jeden stopni Celsjusza. Proszę pozostać na swoich miejscach i nie odpinać pasów bezpieczeństwa do momentu zatrzymania samolotu. Dziękujemy za wspólny lot” - powtarza mechanicznie stewardesa, ale prawie nikt jej nie słucha, zaledwie dwie lub trzy osoby. Nie należy do nich Sarah, przyzwyczajona do częstych lotów. Jako korespondentka jednej z dużych międzynarodowych agencji informacyjnych podróżuje nie tylko do Portugalii, ale do wielu miejsc na ziemi, do innych stolic i miast. Ma jeszcze dwa dni urlopu, zanim wróci do redakcji, do tego hałaśliwego kłębowiska wiadomości i nieustannego poszukiwania sensacji.

Samolot już się zatrzymał i pasażerowie pośpiesznie udają się do wyjścia. Sarah bierze torebkę, laptop i wychodzi. Pokonując długi rękaw lotniczy, dzwoni do rodziców, zawiadamiając, że szczęśliwie wylądowała i kiedy tylko znajdzie się w domu, odezwie się przez Internet.

Przemierza długie korytarze wyłożone zieloną i czarną wykładziną, w końcu ustawia się w kolejce do odprawy paszportowej. Obywatele Unii Europejskiej, Szwajcarii i Stanów Zjednoczonych po jednej stronie, obywatele innych państw po drugiej. Każdy z paszportem lub innym odpowiednim dokumentem w dłoni. Sarah jest następną w kolejce. Grzecznie czeka za żółtą linią, żeby nie wkroczyć na terytorium pana w okularach, który jest właśnie odprawiany, i nie drażnić funkcjonariusza za ladą.

- [Next please](#). - Celnik nie ma przyjacielskiej miny. Mogła wybrać inne okienko, bo urzędniczka obok wydaje się znacznie przyjemniejsza. Ale co się stało, to się nie odstanie. Podaje mu otwarty paszport, posyła najlepszy ze swoich uśmiechów.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Jaka pogoda? - pyta, pragnąc jedynie uprzyjemnić nieco nudne formalności.

- Stąd nie widać - odpowiada cierpko funkcjonariusz. Pewnie wstał lewą nogą albo pokłócił się z żoną, jeśli ją ma. - W pani paszporcie jest jakaś nieprawidłowość.

- Co pan mówi? Jaka nieprawidłowość? Mogę pokazać dowód osobisty. Nigdy dotąd nie miałam problemów z tym paszportem. Co jest nie w porządku?

- Może to błąd systemu.

Rozlega się dzwonek stojącego na ladzie telefonu i nabzdyczony urzędnik odbiera go. Horacy - to jego imię umieszczone na identyfikatorze przypiętym do klapy marynarki - słucha rozmówcy. „Tak, ale paszport nie jest w porządku”. Znowu milknie, a potem odkłada słuchawkę.

- Okazuje się, że wszystko jest jednak w porządku. Może pani przejść.

- Dziękuję bardzo.

Rozdrażnienie urzędnika zdenerwowało Sarah. By jej powrót został uwieńczony pełnym sukcesem, brakuje tylko taksówkarza w równie „szampańskim” nastroju. Najpierw musi odebrać swoją walizkę, w domu ma szansę znaleźć się dopiero za jakąś godzinę. O ile jej bagaż nie zaginął.

Kiedy Sarah dyskutuje z urzędnikiem odprawy paszportowej, gdzieś na lotnisku, w sali kontroli bezpieczeństwa, w komputerze pika sygnał alarmowy. Funkcjonariusz, dwudziestoparolatek, sprawdza, co się dzieje. To jego chleb powszedni, takie rzeczy zdarzają się tu na okrągło. Młody mężczyzna ma na sobie białą koszulę i czarne spodnie, dystynkcje na ramionach świadczą o tym, że jest oficerem sił porządkowych. Stara się wykryć przyczynę alarmu, którego wskaźnik ciągle jeszcze miga. Aktywował go paszport, prawdopodobnie sfałszowany, zniszczony lub nieważny. Mężczyzna uważnie obserwuje obraz z monitoringu. Ładna, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta stoi przy stanowisku numer jedenaście. Obsługuje je Horacy, wdowiec o pospolitej urodzie i inteligencji, lecz za to niepospolitej skrupulatności. Nie przepuści niczego, co nie jest całkowicie w porządku. Lepiej zawiadomić przełożonego.

- Szefie.

Szpakowaty mężczyzna, dobrze po pięćdziesiątce, podchodzi i nachyla się nad ekranem komputera.

- Pokaż - przygląda się komunikatowi na monitorze, wystukuje coś i za moment pojawia się więcej informacji: nazwisko Sarah Monteiro i inne dane, które wyskakują w szybkim tempie. - Nie przejmuj się, John. Ja się tym zajmę. - Podchodzi do telefonu, podnosi słuchawkę. - Cześć Horacy, tu Steve. Puść ją. Tak, ale puść ją. Wszystko jest pod kontrolą. - Przesuwa palcem po klawiaturze i rozłącza się. Nie odkładając słuchawki, wykręca kolejny numer. - Przyleciała - mówi.

Nie było tak źle. Nie minęło pół godziny i już siedzi w taksówce, w drodze do domu.

- Belgrave Road, please - rzuca kierowcy. Za jakieś trzydzieści, no, może czterdzieści minut, to zależy od korków, zanurzy się w wannie wypełnionej po brzegi pianą. Marzy o tym już od jakiegoś czasu. Sole balsamiczne, by poprawić sobie nastrój, truskawkowa i waniliowa, a do tego mieszanka musująca, która odpręża mięśnie i uspokaja.

Taksówka okrąży zawsze pełną ludzi Victoria Station i wjeżdża w Belgrave Road. To ulica tanich hoteli i zatłoczonych chodników. Typowa londyńska ulica. Prawie wszystkie domy mają tu niewysokie, podparte kolumnami portyki, niektóre bogato rzeźbione, inne zupełnie proste, według gustu architekta lub właściciela. To stare budynki, jeszcze wiktoriańskie, mimo to ich stan jest doskonały. Wszystkie, z wyjątkiem tych, których fasady wykonano z cegły klinkierowej, pomalowano całkiem niedawno.

Taksówka zajeżdża niemal na koniec ulicy. Przed samym domem Sarah taksówkarz musi gwałtownie hamować. Nagle wyprzedziła ich czarna limuzyna o przyciemnionych szybach i tuż przed nimi gwałtownie zahamowała. Sarah o mały włos nie uderza głową o szklaną przegrodę, oddzielającą kierowcę od pasażerów. Doprowadzony do furii taksówkarz wciska klakson.

- Move on! - krzyczy. - Get the fuck out of the way!

Kierowca czarnej limuzyny otwiera okno, wychyla się i krzyczy do taksówkarza:

- Sorry, mate! - Po czym rusza.

Kilka sekund później czarny austin zatrzymuje się przed drzwiami domu Sarah i taksówkarz jest tak miły, że pomaga jej wyjąć walizkę. Za drzwiami Sarah natyka się na stertę korespondencji, ścielącej się na całej podłodze. Kartki od kolegów, nieuniknione rachunki, wszelkiego rodzaju i przeróżnych rozmiarów reklamówki oraz sto innych papierów, którym nie ma ochoty teraz się przyglądać. Wciąga walizkę aż do sypialni na pierwszym piętrze, odkręca kurki z wodą przy wannie i zdejmuje podróżne ubranie. Nareszcie w domu.

Dwie minuty później leży w wannie pełnej piany, rozkoszując się solami o aromacie miodu zamiast wanilii, bo okazało się, że te już się skończyły. Efekt jest ten sam - relaksujący, tonizujący, uspokajający. I już nawet zapomniała o nabzdyczonym urzędniku na lotnisku i o przygodzie w taksówce.

Na dole, w holu, ze stosu rozmaitej poczty wystaje rąbek koperty, na którym widnieje nazwisko nadawcy - Valdemar Firenzi.

## ROZDZIAŁ 5

Wiele można powiedzieć o obrazie, który właśnie kontempluje ten mężczyzna. W samym centrum płótna stoi jasnowłosa infantka Małgorzata, po jej bokach doña Isabel Velasco i doña Agustina Sarmiento. Dwoje karłów, Maria Bárbola i Nicolas Pertusato, przystanęło po prawej stronie widza. Nicolas opiera stopę na leżącym brytanie. W tle, w półcieniu, doña Marcella de Ulloa w towarzystwie niezidentyfikowanego mężczyzny. Dziwna rzecz, malarze tej epoki nie mieli zwyczaju umieszczać na swoich płótnach postaci anonimowych. Wszystko ma znaczenie i jeśli nie wiadomo, kim jest portretowany, takie musiało być zamierzenie artysty, którego autoportret widzimy po lewej stronie obrazu. Właśnie tu wykonuje on w nieskończoność swą profesję, malując łaskawie mu panujących monarchów Filipa IV i donę Mariannę, których postacie odbijają się w lustrze w głębi obrazu. Tylko dzięki temu możemy podziwiać owoc jego wysiłków, płótno jest bowiem odwrócone tyłem do widza. No i wreszcie, ochmistrz królowej, don Jose Nieto Velazquez, stojący w drzwiach. Ten genialny obraz zajmuje jedną ze ścian w sali numer trzy muzeum Prado w Madrycie. Nieubłaganie zbliża się godzina zamknięcia muzeum, lecz podziwiający płótno staruszek nie jest tego świadomy i nie przestaje się w nie wpatrywać, jakby był w transie. Panny dworskie Velazqueza to jedna z perełek madryckiej kolekcji.

- Proszę pana, zamykamy. Proszę już udać się do wyjścia -mówi młody strażnik. Jest bardzo skrupulatny, jeśli chodzi o obowiązki zawodowe, i nie spocznie, póki nie będzie pewien się, że jego nakaz, wyrażony jednak w formie prośby, zostanie spełniony. Zna tego człowieka z widzenia, z muzeum, dokładnie z tej sali, widuje go każdego dnia. Zawsze ogląda on ten sam obraz. Potrafi tak patrzeć całymi godzinami, mimo przesuwających się obok niego potoków turystów. Stoi nieruchomo, jakby oglądał inny obraz niż oni.

- Przyjrzał się pan kiedyś uważnie temu płótnu? - pyta mężczyzna.

Strażnik rozgląda się wokół. Oprócz nich dwóch nie ma tu nikogo, z czego wnosi, że pytanie skierowane jest do niego.

- Do mnie pan mówi? - upewnia się.

Starszy pan nie przestaje wpatrywać się w obraz.

- Przyjrzał się pan kiedyś uważnie temu płótnu? - powtarza.

- Oczywiście. Ten obraz jest dla naszego muzeum jak Gioconda dla Luwru.

- Bzdury. Niech pan powie, co pan widzi.

Strażnik jest nieco przestraszony. Każdego dnia przechodzi koło obrazu, zna jego wartość, ale nie potrafi uzasadnić, dlaczego to taki cenny eksponat. Krąży wokół niego, nie zwracając na nic uwagi, jakby chodził po własnej ulicy. Tak czy siak, czas zamknięcia muzeum właśnie nadszedł i teraz trzeba wykurzyć stąd tego dziadka, obejść salę jeszcze raz i zwijać się do domu. Ma przed sobą jakieś pół godziny drogi.

- Nie może pan tu zostać, zamykamy - mówi z większym naciskiem, lecz z tą samą uprzejmością.

Mężczyzna wydaje się niemal zahipnotyzowany obrazem Velazqueza.

Strażnik przygląda się starcowi uważniej. Dostrzega drżenie jego lewej ręki i łzę spływającą po prawym policzku. Może jednak lepiej jakoś mu odpowiedzieć. - To bardzo piękny obraz. Las Meninas Velazqueza.

- Wie pan, co znaczy meninas?

- To te dziewczynki, które są na obrazie.

- Meninas to te dwie kobiety, panny dworskie, te które stoją po obu stronach infantki Małgorzaty. Jedna z nich to Isabel Velasco, a druga to Agustina Sarmiento. Menina to słowo portugalskie, którym rodzina królewska nazywała piastunki infantki.

- Zawsze można się dowiedzieć czegoś nowego.

- Malarz to sam autor obrazu, który czeka, aż piastunki namówią infantkę, by zechciała pozować. Jak pan zapewne widzi w odbiciu w lustrze, część z wizerunkiem króla Filipa IV i królowej Marianny jest już ukończona. Przywołano karła, karlicę i psa, żeby pomogli skłonić małą do pozowania, ale ona nie chciała ustąpić i obraz nigdy nie został ukończony.

- Proszę wybaczyć, ale obraz jest tu, przed naszymi oczami.

- Miałem na myśli obraz odbity w lustrze.

- Może ma pan rację, ale tak naprawdę ten obraz jest realny i ukończony.
- Chodzi mi o to, że obraz wewnątrz obrazu nigdy nie został namalowany do końca.
- No tak, w tym wypadku ma pan rację.
- Niech pan zwróci uwagę, jak zwykły dziecinny kaprys potrafi zmienić bieg historii, uniemożliwiając stworzenie rodzinnego portretu.
- Dzięki temu został jednak namalowany inny obraz, prawdopodobnie o wiele lepszy niż ten, którego nigdy nie ukończono.
- Prawdopodobnie. Problem w tym, że jedna decyzja, podjęta w konkretnym momencie, może zaważyć na jakimś dziele albo na całym życiu, albo na całym...

Starzec zaczyna kaszleć i o mało nie upada na podłogę, jednak dzięki refleksowi strażnika wspiera się na jego ramieniu. Ponieważ nie ma tu foteli, strażnik pomaga mu usiąść na podłodze.

- Zaszło mi w ustach - wyjaśnia starszy pan ochryplym głosem.
- Pójdę po wodę. Zaraz wracam.

Strażnik wybiega z sali numer trzy muzeum Prado. Stary, wciąż oparty o ścianę, wyciąga z kieszeni marynarki kawałek papieru. To zmięty list, napisany przez niego lub inną osobę - tego nie wiadomo, wiadomo jednak, że nie zamierza go czytać. Kładzie list na podłodze obok siebie, nieopodal wizerunek Benedykta XVI.

Woda jest daleko i strażnikowi nie udaje się wrócić tak szybko, jak by sobie tego życzył. W końcu bardzo ostrożnie niesie pełną szklankę. Po drodze prosi jeszcze kolegę z sąsiedniej sali, by w razie czego poszedł za nim. Jednak kiedy dociera na miejsce, nie widzi nikogo oprócz chorego, siedzącego w tej samej pozycji, w której go zostawił. Nachyla się nad nim i szybko zdaje sobie sprawę, że coś się jednak zmieniło. Staruszek siedzi bez ruchu, z szeroko otwartymi, martwymi oczami. Nie żyje. Strażnik podrywa się błyskawicznie i wzywa przez radio pomoc. Chwilę później zbiera się na odwagę, by jeszcze raz spojrzeć na mężczyznę. Jego oczy są nieruchomo utkwione w obrazie, który oglądały przez tyle godzin. Na podłodze obok ciała leży zmięty list i podobizna Benedykta XVI. Strażnik nie może się powstrzymać i bierze do ręki list.

Po przeczytaniu go podnosi wzrok, teraz jego twarz sprawia wrażenie, jakby właśnie stanął wobec czegoś niepokojącego i niepojętego.

## ROZDZIAŁ 6

Plaza de Mayo w Buenos Aires to świadek najwcześniejszej historii narodu argentyńskiego. To tu znajduje się Casa Rosada - siedziba rządu Republiki, oraz Katedra Metropolitalna. Między kolumnami tej świątyni na złamanie karku biegnie pewien młodzieniec i zaledwie chwilę później mokry od potu wpada z impetem w jej boczną nawę, z trudem łapiąc oddech. Katedra jest zamknięta dla zwiedzających, tylko proboszcz klęczy tuż przy schodach ołtarzowych, pogrążony w pobożnej modlitwie.

Chłopak kiwa na niego nerwowo. W innej sytuacji powstrzymałby się i zaczął do końca modlitwy, ale teraz nie ma czasu do stracenia.

Ksiądz wstaje i pyta młodego, który ciągle jeszcze ciężko dyszy:

- Co się stało, synu? Szukasz mnie?
- Tak, proszę księdza. Jakiś facet... Był u księdza w domu... Pytał o księdza.

Ksiądz Pablo zauważa spoconą i czerwona z wysiłku twarz chłopca.

- Manuelu, jesteś całkiem mokry. Nie ma dziś upału. Biegłeś całą drogę?
- Tak, proszę księdza.

Stary kapłan kładzie dłoń na ramieniu chłopaka.

- Usiądź ze mną. Uspokój się i opowiedz mi, co to za człowiek. Cóż on takiego zrobił, że biegłeś tu na złamanie karku.



- Nie znam go, ale wydaje się, że jest z Europy Wschodniej.

Ksiądz błędnie, jakby nagle coś sobie przypomniał, czuje, jak zalewa go zimny pot.

- Czego ode mnie chciał?

- Zobaczyć księdza jeszcze dziś. Powiedziałem, że to niemożliwe. A on na to, że wszystko jest możliwe w oczach Pana. Ale najgorsze jest to...

- Co jest najgorsze? Zrobił ci jakąś krzywdę?

- Nie, proszę księdza, ale dał do zrozumienia, że nie ma najlepszych zamiarów. - Ścisząc głos, dodał: - Miał broń.

Pablo wyciąga chusteczkę, żeby otrzeć czoło. Widać po nim zdenerwowanie. Zamyka oczy i kilka minut trwa w milczeniu. Kiedy je otwiera z wyraźnym wysiłkiem woli, już się nie poci i jego oddech powraca do normy.

- Co mu powiedziałeś?

- Że ksiądz proboszcz poszedł odwiedzić przyjaciela w szpitalu.

- Skłamałeś, Manuelu?

- Przepraszam, niech się ksiądz nie gniewa, ale nie wiedziałem, co robić. Ten facet wyglądał na straszego bandziora, miał tatuaż na lewej ręce.

- Tatuaż? Co przedstawiał?

- Chyba węża.

- Chciał wejść do domu?

Chłopiec zwleka z odpowiedzią. Jest zdenerwowany. Nie co dzień widzi się pistolet, i to u nieznajomego, który czegoś od nas chce.

- Nie - odpowiada w końcu.

- W porządku, Manuelu. Wracaj spokojnie do swoich zajęć.

Młodzieniec wstaje, nieco uspokojony, całuje dłoń kapłana i odchodzi w kierunku nawy głównej. Żegna się.

- Manuelu...

- Tak, proszę księdza?

- Czy widziałeś tego człowieka jeszcze raz, kiedy tu biegłeś?

- Nie, nie. Tak się przestraszyłem, że jak tylko odszedł, przybiegłem księdza ostrzec. Niczego nie widziałem, ale też i nie rozglądałem się, bo leciałem jak wariat.

- W porządku, Manuelu. Możesz iść. Z Bogiem, i zawsze miej ufność w Panu.

Gdy chłopiec opuszcza kościół, ksiądz Pablo przykłęka do modlitwy w tym samym miejscu, co poprzednio, spokojny i skupiony.

Kroki, których odgłos rozlega się teraz, nie należą do chłopca, lecz do kogoś, kto porusza się w sposób pewny i zdecydowany. Pablo czuje czyjś dotyk na ramieniu, ale tym razem to nie dłoń, tylko zimna lufa.

- Czekałem na ciebie - mówi ksiądz.

- Nic dziwnego. Niektórzy miewają nieomylnie przeczucia. Na coś jeszcze czekałeś? - pyta nowo przybyły z wyraźnym słowiańskim akcentem.

Pablo żegna się i podnosi z klęczek, patrząc mężczyźnie twardo w oczy.

- Moja przyszłość jest w rękach Pana, podobnie jak twoja i każdego człowieka. To, co należy do mnie, jest pilnie strzeżone, nie martw się. Nie przyszedłeś tu, by dać mi coś, co by mi się nie należało według prawa.

- Może przyszedłem, żeby zabrać.

- To zależy od punktu widzenia.

- Gdzie one są?

- Buenos Aires, Nowy Jork, Paryż, Madryt, Warszawa, Genewa. Jest tyle miejsc na świecie.

Słychać głuchy odgłos i ksiądz upada na ławki, odsuwając jedne i przewracając drugie. Mężczyzna zbliża się do kapłana, starającego się ręką zatamować krwawienie z rany w brzuchu.

- Bóg jest tutaj nie po to, by cię wybawić, kochany. Będzie lepiej, jeśli mi powiesz, gdzie one są.

- Bóg już mnie wybawił. Nigdy ich nie znajdziesz.

Mężczyzna nachyla się nad kapłanem i zaczyna coś mu szeptać do ucha, jakby w zaufaniu:

- Przecież ksiądz wie, że pomocnicy są właśnie po to. Po to by nas wspierać w wypełnianiu obowiązków, na przykład w znajdowaniu rzeczy. Najcenniejsi są ci najbardziej nerwowi i niedoświadczeni. Nie ma ksiądz pojęcia, ile oni gromadzą informacji. Nie znalazłem tego, czego szukam, i wiem, że ksiądz nie powie mi, gdzie to jest. Ale zawsze się znajdzie jakiś ślad, tu list, tam zapisek, jakiś e-mail, zdjęcie...

Ksiądz Pablo zwija się z bólu, poruszony słowami napastnika. Kości zostały rzucone w jakiejś nowej grze, w której jednak on nie weźmie już udziału. Właśnie opuszcza wszelkie gry. Pozostaje mu nadzieja, że mężczyzna z wytatuowanym na nadgarstku wężem wie niewiele i tylko blefuje...

- Jestem pewien, że on będzie lepszym współpracownikiem. Pozdrowię go od księdza - kończy mężczyzna, pokazując kapłanowi fotografię.

Strzela po raz drugi, tym razem w głowę. Potem spokojnie odchodzi ku nawie głównej, żegna się i wychodzi bocznym wyjściem.

## ROZDZIAŁ 7

Powrót w rodzinne strony zawsze jest powodem do radości. Przyjemnie jest, choćby przez parę dni, znowu poczuć zapach wiatru znad Bałtyku smagającego miasto, gdzie się urodził. Wyjazd w świat w jego wypadku był powodowany przecuciem, był to nieomylny sygnał wielkiej misji, która miała mu przypaść w udziale.

Jakże bliskie są mu ulice Gdańska. Od bardzo dawna wiedział, że czeka go w życiu ważne zadanie, i się nie mylił. Dokładnie sześć lat wcześniej w jego mieszkaniu przy ulicy Chmielnej o północy zadzwonił telefon. Teraz, przechodząc obok niewysokiego budynku, w którym spędził dzieciństwo i pierwsze dorosłe lata, przypomina sobie matkę i ojca, którzy umarli, kiedy był jeszcze mały. Widać taka była wola Boga. Telefon nie zadzwonił wtedy przypadkowo. Nic się nie dzieje ot tak, lecz z woli opatrności. W Gdańsku jest po raz pierwszy od sześciu lat, tyle czasu nie widział Motławy. Maestre kazał mu czekać na drugą fazę planu właśnie tu, a Maestre zawsze doskonale wie, co robi. Jest iluminatem, świętym, który na ziemi stoi na straży najważniejszych spraw Trójcy Świętej. Zbliża się południe. Mężczyzna idzie ulicą Mieszcząską

w kierunku Chlebnickiej, skręca w prawo, potem w lewo w Długie Pobrzeże. Zje w „Gdańskiej”. Nigdy przedtem nie był w tej restauracji, ale wydaje mu się, że zna ją od zawsze. Przepych wystroju przywodzi na myśl raczej pałacową salę jadalną niż restaurację.

- Serdecznie witamy - pozdrawia go nienagannie ubrany kelner.
- Dzień dobry - odpowiada grzecznie. Już dawno nie witał nikogo w ojczystym języku.
- Dwa razy specjalność zakładu i butelka czerwonego wina - zamawia.
- Służę uprzejmie - przyjmuje zamówienie kelner.

Na stole pojawiają się dwa talerze, butelka wina i karafka z wodą. Wszystko idzie bardzo szybko i sprawnie. Kelner oddala się, życząc smacznego.

- Jak się masz? - słyszy za swoimi plecami.

- Doskonale - odpowiada, natychmiast zrywając się z krzesła. Gdyby ktoś widział go kilka sekund wcześniej, mógłby rzec, że to nie ten sam człowiek. Jego pewność siebie ustępuje miejsca respektowi wobec osoby, która właśnie weszła i siada teraz naprzeciwko, przy drugim nakryciu. Przybysz ma na sobie satynowy garnitur od Armaniego: bezpretensjonalny, czarny, taki sam jak mężczyzna siedzący po drugiej stronie stołu. Jednak jego spojrzenie nie pozostawia wątpliwości, kto jest szefem.

- Wykonałeś kawał dobrej roboty - chwali podwładnego.
- Dziękuję. To dla mnie zaszczyt, że mogę być pożyteczny.

Rozmawiają po włosku.

- Wielki Maestre wynagrodzi cię, jak zawsze. Wkrótce zostaniesz wezwany na audiencję.

- Jestem bardzo wdzięczny za ten przywilej.

- I słusznie. Nie każdy może liczyć na taki zaszczyt. Niewielu z tych, którzy go widzieli, jeszcze żyje.

Tylko najbliżsi przyjaciele i ci, którzy mu godnie służą, tak jak ty.

Polak spuszcza głowę w odruchu wdzięczności, wyjmując z kieszeni marynarki kopertę i kładzie ją na stole.

- To znalazłem w Buenos Aires. Portret, o którym wspominałem. To banalny trik. Wystarczy poddać papier działaniu promieni ultrafioletowych i pojawia się ukryty obraz. Niech pan spojrzy...

Szef przygląda się wyciągniętemu z koperty zdjęciu.

- Coś podobnego! Czego to oni nie wymyślą - mówi, nie spuszczać wzroku z Polaka. - Zaraz go zidentyfikujemy.

Teraz kolej na szefa. Nie dbając o zachowanie dyskrecji, wręcza Polakowi nad stołem kopertę.

- Masz rozkaz działać dalej. Wszystko, czego potrzebujesz, jest w środku. - Zwraca mu zdjęcie. - Weź to ze sobą. Rozpoczęła się już realizacja planu. Bądź czujny wobec zdrajców. Jest ich wielu. Nie budź podejrzeń i nie popełniaj błędów. Do zobaczenia.

Wychodzi bez słowa, nie tknąwszy nawet dania. Polak bierze kopertę i chowa ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Zabiera się do specjalności zakładu i nasyciwszy głód, płaci, zostawiając duży napiwek. Taki dzień jak dziś trzeba uczcić. Kto dobrze służy, otrzymuje hojną zapłatę.

- Dziękuję uprzejmie - mówi usłużnie kelner, przyjmując napiwek, jest zadowolony z zielonego amerykańskiego banknotu, który dobrze ubrany klient zostawia w srebrnej obrączce z rachunkiem. - Do jutra - dodaje po chwili.

Mężczyzna w czerni rzuca „do widzenia” i wychodzi na ulicę.

Nad Motławą otwiera kopertę i ogląda jej zawartość. Dowód osobisty z jego zdjęciem, bilet na lot z Frankfurtu, jakieś papiery i fotografia, którą przywiózł z Buenos Aires i którą sam włożył do koperty.

- Teraz twoja kolej - mówi, myśląc o czekającym go zadaniu. Wykona je wzorowo, jak zawsze zresztą. Postanawia przejść się po Jarmarku Dominikańskim, może po to aby zasmakować miasta po raz ostatni, bo czy tu jeszcze wróci, tego nie wiadomo.

Zdejmuje marynarkę i na jego lewej ręce, poniżej krótkiego rękawa koszuli, widać wyraźnie tatuaż - węża, który wiję się ku nadgarstkowi. Chowa papiery do koperty i jeszcze raz rzuca okiem na zdjęcie przywiezione z Buenos Aires. Widać na nim plebanię księdza Pabla, od kilku dni przebywającego już na stałe w innej, podziemnej plebanii. Zwykły obserwator ujrzy na zdjęciu jedynie podobiznę Benedykta XVI.

## ROZDZIAŁ 8

Konklawe,

26 sierpnia 1978 roku

Zachowajcie spokój, zachowajcie spokój, bowiem nie uczyniłem nic, aby się tu znaleźć.

Albino Luciani do swojej rodziny po wyborze na papieża

„Annuntio vobis gaudium magnum: habemus papom”, ogłosił kardynał Pericle Felici z balkonu Bazyliki Świętego Piotra dnia 26 sierpnia 1978 roku.

Zanim jednak doszło do wskazania przez Ducha Świętego nowego Pasterza Kościoła, stu jedenastu kardynałów musiało odbyć liczne spotkania udające podwieczorki i zawrzeć tajne układy udające

przyjacielskie pogawędki. Żadne z tych zgromadzeń nie próbowało jednak nawet dotknąć istoty transcendencji. Nikt w Watykanie nie pozwoliłby na to, aby po śmierci Pawła VI rozszalała się agresywna kampania wyborcza. Agitacyjne gesty musiano zatem przyoblec w skromność i pozory obojętności.

Niektórzy purpuraci z uśmiechem wspominali wieczór, kiedy kardynał Pignedoli, otoczony stronnikami z Kolegium Kardynalskiego, oświadczył, że nie czułby się na siłach unieść ciężar stanowiska, na które się go proponuje. Szczerze radził natomiast głosować na kardynała Gantina, czarnoskórego purpurata z Beninu. W taki oto sposób ujawniały się pragnienia. Jednak nie można było wyłonić konkretnej kandydatury. Intencje mówców bowiem przeczyły słowom - deklarując pokorę i posłuszeństwo, przewrotnie przypominali innym, że to właśnie oni są najlepszymi kandydatami.

Jednak nie wszyscy kardynałowie wklęli się w te wyborcze rozgrywki, pełne znamienych gestów i deklaracji żarliwości wiary. Albino Luciani na przykład nie angażował się zanadto, chcąc wykorzystać pobyt w Rzymie na powierzenie komuś naprawy lancierii 2000, która w podróży nieustannie przysparzała mu problemów. Swemu asystentowi, Diego Lorenziemu, polecił, by samochód był gotowy na 29 sierpnia. Tego dnia powinno być już po konklawe i można byłoby wcześniej rano wyruszyć z powrotem do Wenecji.

Kierując się intuicją można było przewidzieć wolę kardynałów, jednak nikt nie mógł być pewien decyzji Ducha Świętego. Duch Święty zaś, we współpracy z kardynałami, zapragnął, aby sprawy ruszyły w innym kierunku. Po raz kolejny niezbadane wyroki Boskie potwierdziły, że przewidywalność rozwoju zdarzeń jest ograniczona.

Po zakończeniu porannego głosowania Albino Luciani modlił się, klęcząc w celi numer siedemdziesiąt. Rezultat tego głosowania nie przyniósł co prawda ostatecznego rozwiązania, ale pojawiły się pewne niespodzianki - między innymi owe trzydzieści głosów, które otrzymał Luciani w drugiej turze. W czasie modlitwy poczuł ucisk w żołądku i zamiast prosić o opatrność bożą o przenikliwość i odwagę w wyborze najlepszego kardynała na papieża, błagał Najwyższego, by oddalił od niego to niewyobrażalne brzemię. Błagał, by kardynałowie nie upierali się przy wyborze jego osoby i aby Duch Święty skłonił purpuratów do wykaligrafowania na karteczkach nazwiska kardynała Siriego. W ostatnim głosowaniu właśnie ten duchowny prowadził różnicą pięciu głosów. Trzecim na gorzkiej liście kandydatów był kardynał Pignedoli, z piętnastoma zaledwie głosami, a za nim Brazylijczyk, Lorscheider.

Włoscy kardynałowie, Bertoli i Felici, podzielili się dziewiętnastoma głosami, pojedyncze przypadły Polakowi, Karolowi Wojtyłce, Argentynczykowi Pironio, Jego Eminencji Cordeiro - purpuratowi z Pakistanu, i Austriakowi Franzowi Koenigowi.

Wcale niepożądana bitwa miała się rozegrać między Sirim a Lucianim. Kardynał Siri pragnął triumfować, a arcybiskup Wenecji, Albino Luciani, chciał uciec i być może uczyniłby to, gdyby wrota Kaplicy Sykstyńskiej nie zostały zamknięte i gdyby jego kardynalska odpowiedzialność mu tego nie zakazywała.

Jeszcze zanim Luciani wyjechał na konklawe, oświadczył swym asystentom, rodzinie i przyjaciołom, że gdyby go wybrano - a zarówno on, jak i inni byli przekonani, że szanse na to są nikłe - natychmiast wypowie formułę: „Proszę o wybaczenie, odmawiam”. Jednak to Lucianiemu papież Paweł VI podarował stulę, wkładając mu ją osobiście na ramiona. Taki publiczny gest, wykonany w trakcie papieskiej wizyty w Wenecji na oczach licznie zgromadzonych, nie należał do zwyczajów Jego Świątobliwości. W ten sposób Paweł VI chciał zapewne wyrazić swoje uznanie dla weneckiego patriarchy za lojalność i obronę - jakkolwiek raczej z obowiązku niż przekonania - encykliki *Humanae vitae*, jednej z najbardziej niefortunnych w historii. Paweł VI ogłosił ten absolutnie radykalny w kwestii kontroli urodzin dokument w lipcu 1968 roku, potępiając w nim aborcję, antykoncepcję, sterylizację i przerwanie ciąży, nawet w wypadku zagrożenia życia matki. W myśl encykliki *Humanae vitae* wszystko winno się zawierzyć działaniu Bożego porządku, nieokreślonej odpowiedzialności małżeńskiej i czystości jako nieodzownej w pewnych sytuacjach. Jak deklarował papież, Boski plan nie może podlegać uwarunkowaniom społecznym, politycznym czy psychologicznym.

Byłoby to mało istotne wspomnienie z przeszłości, gdyby nie fakt, że właśnie Paweł VI był jednym z głównych powodów dzisiejszej żarliwej modlitwy Albino Lucianiego. „Niech głosują na Siriego - prosił Stwórcę Luciani. - Mam jeszcze tyle do zrobienia w Wenecji!”

Paweł VI, świadomie lub nie, wpędził Lucianiego w tę ślepią uliczkę - to on uczynił go kardynałem, to on publicznie okazywał mu swoją sympatię i kierował ku niemu gesty i słowa uznania. Nie można było jednak zrzucić nań całej odpowiedzialności. Gdyby Jan XXIII nie wyświęcił go na biskupa i gdyby matka, Bemola, 17 października 1912 roku nie wydała go na świat w Canale d'Agordo, nie miałby szans znaleźć się w tej pułapce. Takie myśli należało raczej od siebie oddalić. To Bóg podejmuje decyzję, tylko On. Jakaś przeznaczona mu z góry droga musiała się chyba rysować przed nim już dawniej. A wydaje się przecież, że było całkiem odwrotnie - proboszcz z wioski Lucianiego, Filippo Carli, bynajmniej nie popierał jego decyzji o wstąpieniu do seminarium w Feltre.

Kiedy zakończyło się pierwsze głosowanie, kardynał Luciani zrozumiał, że znalazł się w oku cyklonu i tak trudnej sytuacji nie da się już ignorować.

W całej swojej prostocie starał się nie rzucać w oczy - udawało mu się to przy najróżniejszych okazjach. Jednak w tym wypadku właściwe mu rezerwa i nieśmiałość nie zdały się na nic. Wszystko, co się teraz działo, było dla niego zupełnie niezrozumiałe. Jak bowiem wytłumaczyć fakt, że już na samym początku otrzymał dwadzieścia trzy głosy? O dwa mniej niż Siri i o pięć więcej niż Pignedoli... Na końcu zebrano kartki z obydwu głosowań i wrzucono je w ogień, jak tego wymagała procedura.

Paweł VI przewidział każdy szczegół konklawe. Nic mu nie umknęło. To poprzedzający papież dyktuje reguły wyboru następcy, a Paweł VI jako pierwszy wykluczył z konklawe kardynałów powyżej osiemdziesiątki. W konstytucji apostolskiej *Romano Pontifici eligendo* papież ten zadekretował powyższe ograniczenie z powodów czysto samarytańskich, aby ciężar związany z funkcją pasterza Kościoła Powszechnego nie zwiększał ciężaru dolegliwości podeszłego wieku. Zarządzanie Kościołem Chrystusowym nie mogło trafić w przypadkowe ręce. Liczni dyletanci zarzucali papieżom, że zajmują się takimi technicznymi detalami, a nie oddają się na wyłączność sprawom duchowym. Kościół jednak nie żyje tylko zdrowaśkami, jak oświadczył pewien amerykański kardynał.

Po modlitwie kardynał Luciani podniósł się z klęczek i wyszedł z celi. Joseph Malula, purpurat z Zairu, pozdrowił go i wylewnie mu pogratulował, ale Luciani spuścił tylko głowę ze smutkiem i skierował swe kroki do Kaplicy Sykstyńskiej na trzecie głosowanie.

- Żałuję, że jestem w samym środku tego wielkiego wiru - wyszeptał.

W trzecim głosowaniu Albino Luciani otrzymał siedemdziesiąt osiem głosów, a Siri tylko piętnaście. Od rozpoczęcia pontyfikatu dzieliło Lucianiego zaledwie osiem głosów.

- Nie, błagam, nie... - wyrwało mu się ciche westchnienie.

Niektórzy siedzący obok kardynałowie usłyszeli cichą prośbę przyjaciela. Monsignore Willebrands próbował go uspokoić pełnym wiary pocieszeniem:

- Odwagi, monsignore Luciani. Pan daje nam krzyż, ale i siłę, by go dźwigać.

Felici zbliżył się do zdenerwowanego Lucianiego i podał mu kopertę.

- Wiadomość dla nowego papieża - powiedział.

Lucianiemu te słowa wydały się zaskakujące w ustach kogoś, kto głosował na Siriego.

Wiadomość zawierała słowa *Via Crucis* - Droga Krzyżowa, symbol i wspomnienie Męki Chrystusowej. Wszyscy byli poruszeni i niespokojni. Otoczeni przez imponujące freski Michała Anioła purpuraci mieli świadomość, że uczestniczą w rytuale przekraczającym granice ludzkiej egzystencji, zarówno w wymiarze historii Kościoła, jak i świata.

Wszystko się wypełniło. Duch Święty zstąpił na uczestników konklawe i spoczął na jednym z nich, tak przynajmniej myślała większość.

Luciani stał się faworytem ze swoimi dziewięćdziesięcioma głosami, Siri otrzymał jedenaście, a Lorscheider jeden. (Luciani zawsze głosował na tego ostatniego). Wypełniło się przeznaczenie, a kardynałowie przyjęli to gorącym aplauzem. Został im jeszcze tylko jeden dzień na wybór tego jedyne go spośród stu jedenastu i dzisiejszy sukces należało przypisać Bożej inspiracji. Wszystko

zakończyło się pięć po szóstej wieczorem, tuż przed kolacją.

Drzwi Kaplicy Sykstyńskiej otworzyły się i w ślad za kardynałem kamerlingiem Jean-Marie Villotem, sekretarzem stanu Watykanu za czasów poprzedniego papieża i strażnikiem kluczy świętego Piotra do czasu zakończenia konklawe, wkroczyli mistrzowie ceremonii. Wszyscy purpuraci zgodnie z tradycją udali się do miejsca, gdzie siedział Albino Luciani.

- Czy przyjmujesz wybór twojej osoby przez Kolegium Kardynalskie na następcę świętego Piotra? - pytał francuski kardynał.

Oczy wszystkich purpuratów skierowane były na skromnego człowieka. W takiej chwili postacie Michała Anioła groźnie patrzyły z góry - nie było w tym radości, lecz odpowiedzialność i trudna do zniesienia troska. Kardynałowie Ribeiro i Willebrands spoglądali krzepiąco na weneckiego elekta, a Villot ponowił swoje zapytanie.

- Niech wam Bóg wybaczy, coście mi uczynili – odparł w końcu Luciani. - Przyjmuję.

Wszystko odbyło się zgodnie z rytuałem ustalonym przed wiekami. Sztywny i podniosły protokół wypełniał się bez innowacji i z męczącą precyzją.

- Jakie imię przyjmujesz?

Luciani zawahał się i po kilku sekundach wymówił, po raz pierwszy się uśmiechając, imię, które wybrał, by zapisać się na kartach historii:

- Ioannes Paulus Primus.

W Watykanie uważa się, że imię wybrane przez nowego papieża wskazuje w jakimś stopniu religijny i polityczny kierunek przyszłego pontyfikatu. Najbardziej uczeni watykańscy rozumieci, że Albino Luciani zaczyna w sposób oryginalny i że jego pontyfikat będzie wyjątkowy. „Nic już nie będzie takie samo” - mówili. Wielu specjalistów wyraziło zadowolenie na wieść o nieoczekiwanych gestach kardynała elekta - pontyfikat zaczyna się od przełomu. Żaden inny papież w ciągu dwóch tysięcy lat nie posługiwał się podwójnym imieniem. Luciani był pierwszym, który ośmielił się sprzeciwić tradycji. W ten sposób oddał hold temu, który wyświęcił go na biskupa, i temu, który go uczynił kardynałem.

- Serdeczne gratulacje, Ojciec Święty - powiedział kardynał Karol Wojtyła.

W Kaplicy Sykstyńskiej zapanował nieopisany hałas. Wszystko było przygotowane od wielu dni, ale zawsze jest jeszcze coś, o co trzeba zadbać. Poprawić frędzle albo odbyć jakąś nieplanowaną wcześniej wizytę. Kardynałowie rozdzielili między siebie obowiązki i rozeszli się ze świadomością tego, że oto na ich oczach tworzy się historia.

Lucianiego zaprowadzono do zakrystii, by zgodnie z tradycją zakończyć przewidziane rytuały i odmówić modlitwę. Inni purpuraci palili kartki z głosami i celebrowali fumatę, dodając do pieca bielące dym odczynniki chemiczne. Ale tysiące wiernych oczekujących na placu Świętego Piotra zauważyło, że po kilku białych kłębach dym zaczyna czernieć, pewnie z powodu brudu zalegającego w kominie. Może jeszcze nie wybrano nowego papieża...

Bracia Gammarelli, watykańscy krawcy, dyskutowali o wyborze odpowiedniej na tę okazję białej sutanny. Od dziesiątek lat

najsłynniejszy w Rzymie zakład krawiecki przed każdym konklawe miał przygotowane trzy sutanny: małą, średnią i dużą. Tym razem bracia dodali kolejną, jeszcze większą niż ta największa. W Rzymie krążyły plotki, że papieżem może zostać ktoś bardzo korpulentny... Jednak kardynał elekt był bardzo szczupły w ramionach, a przy tym nie pojawiał się na żadnej z list papabili ogłaszanych w gazetach i telewizji. Po wielu próbach, po zmierzeniu po raz tysięczny szczupłej figury Lucianiego krawcy osiągnęli konsensus w kwestii papieskiej garderoby. Luciani pojawił się więc w oknie obleczony w białe szaty, które objawiały światu nowego Pasterza wszystkich katolików.

Kardynał Suenens podszedł do Lucianiego i pogratulował mu.

- Dziękujemy za przyjęcie godności, Ojciec Święty.

Luciani uśmiechnął się.

- Może lepiej było odmówić?

Dlaczego tego nie uczynił? Czyż sumienie nie przypominało mu, że chciał to uczynić, czy brakło mu silnej woli? W rzeczywistości onieśmiała go szybkość rozwoju zdarzeń, jednomyślność zgromadzonych kardynałów, własna pokora. Zdecydowało jednak mocne poczucie, że jest w stanie podołać niełatwemu przecież zadaniu. W przeciwnym razie nie podjąłby się go.

Kardynałowie zaintonowali *Te Deum*.

Grupy wiernych na placu Świętego Piotra rozchodziły się. Kardynałowie nie doszli do porozumienia albo, innymi słowy, nie osiągnęła ich inspiracja Ducha Świętego. Nowy papież jeszcze nie został wybrany. Fumata ewidentnie wznosiła się ku górze czarnym słupem, oznaczającym niezdecydowanie zebranych na konklawe.

Komentatorzy Radia Watykańskiego mówili, że dym jest raz czarny, raz biały... że nie są pewni.

Komendant Gwardii Szwajcarskiej, zobowiązany na znak lojalności powitać nowego Piotra salutem honorowym w imieniu

wszystkich swych podwładnych, nie przygotował nawet eskorty, która powinna towarzyszyć Ojcu Świętemu w drodze na balkon wychodzący na plac Świętego Piotra.

Bracia Gammarelli klócili się w zakrystii, wypominając sobie wzajemnie brak intuicji w kwestii odzieży.

W samym środku tego zamieszania otworzyły się ogromne drzwi balkonu Bazyliki Świętego Piotra i głos kardynała zagrział przez głośniki.

- *Attenzione*.

Wierni, którzy już kierowali się do swych domów lub hoteli, zawrócili biegiem na plac i zaraz potem zapadła kompletna cisza.

- *Annuntio vobis gaudium magnum: habemus papam!*

Diego Lorenzi, sekretarz Lucianiego, przez ostatnie dwa lata zawsze towarzyszył swemu przełożonemu podczas podróży do Rzymu. Tamtego dnia był jednym z tysięcy wiernych czekających na placu Świętego Piotra na rezultat głosowania. Widział, że dym, który unosi się z komina od za pięć wpół do siódmej nie był ani biały, ani czarny... Miał odcień popiołu i ta właśnie barwa utrzymywała się przez godzinę. Przez ten czas nikt nie potrafił z pewnością stwierdzić, czy ów brudny dym jest tak oczekiwaną przez wszystkich białą fumatą. Tuż obok niego małżeństwo z dwoma dziewczynkami także czekało na wynik konklawe, komentując budzący wątpliwości kolor unoszącego się z komina dymu. Młodsza z dziewczynek, porwana wypełniającym plac religijnym nastrojem, zapytała Diega, czy odprawia mszę w tym wielkim kościele, który widać na końcu.

Lorenzi zaprzeczył z serdecznym uśmiechem. Jest w Rzymie tylko „przy okazji”. Mieszka w Wenecji. Rozmawiał także z rodzicami dziewczynek i wszyscy wspólnie doszli do przekonania, że konklawe, choć z zewnątrz można to sobie tylko wyobrazić, jest doświadczeniem niezwykle poruszającym. Chodzi przecież o wybór Pasterza, małżonkowie nie mieli najmniejszej wątpliwości, że głosujący kardynałowie obdarzeni są szczególną bożą łaską.

Dla Diega Lorenziego to doświadczenie wkrótce się skończy. Nazajutrz, wcześniej rano, zasiądzie za kierownicą lancii *monsignore* Lucianiego. Wspólnie pokonają sześćset kilometrów dzielące Wenecję od stolicy, dystans pomiędzy dwoma miastami i dwoma światami. W tym momencie zabrzmiał głos kardynała Pericle Feliciego i wszyscy odwrócili głowy w kierunku balkonu Bazyliki Świętego Piotra.

- *Annuntio vobis gaudium magnum: habemus papam! Cardinalium Albinum Luciani.*

Usłyszawszy nazwisko, Lorenzi rozplakał się z radości. Wielkie emocje poruszyły jego duszę, nie mógł pojąć, jak to się stało, że kardynałowie wzięli pod uwagę Lucianiego. On jest zawsze taki skromny i stara się nie rzucać w oczy.

Dziewczynka i jej rodzice patrzyli na Lorenziego z sympatią. Podobał im się ten ksiądz, jak oni wzruszony historyczną chwilą. Lorenzi pochylił się i ze łzami w oczach skierował się ku swojej małej znajomej.

- Jestem sekretarzem nowego papieża – powiedział wreszcie.

Wraz z tysiącem zebranych na placu wiernych Lorenzi ujrzał Albino Lucianiego na balkonie Bazyliki,

odzianego w białe szaty i uśmiechniętego. Jego uśmiech przenikał do serc wiernych i budził ducha, tak że na placu rozległa się gorąca owacja. Uśmiech ów oznaczał zapal pełen pokory, dobrej woli i pokoju. Po Giovannim Battistie Montinim, chmurnym Pawle VI, na balkonie pojawił się człowiek promienny, sprawiający wrażenie kogoś, kto z pasją i śpiewem na ustach przystępuje do swojej pracy. Tuż po zaintonowaniu błogosławieństwa *Urbi et orbi* słońce zniknęło za horyzontem, zabierając ze sobą ostatnie blaski tego rzymskiego wieczoru.

## ROZDZIAŁ 9

Nie wiadomo, dlaczego większość szefów licznych służb specjalnych działających na całym świecie odczuwa strach i okazuje posłuszeństwo wobec każdego rozkazu sformułowanego przez pewnego starca o pomarszczonej twarzy, poruszającego się z pomocą laski zakończonych złotymi łbami lwami.

Można snuć rozmaite spekulacje, chociaż żadna z nich najprawdopodobniej nie zbliża się do prawdy nawet o milimetr. Faktem jest, że CIA wspiera i pozwala zachować w tajemnicy wszystkie decyzje tego kruchego staruszka o zaciętym wyrazie twarzy, a niekiedy nawet oddaje mu do dyspozycji swych ludzi czy całe jednostki. To zamknięte koło. Jeśli bowiem wszechwładna i w gruncie rzeczy prestiżowa Central Intelligence Agency wyświadcza przysługi takiemu człowiekowi, dokładając wszelkich starań, by mu być pomocną, oraz używając własnych agentów, nie ma miejsca na jakiegokolwiek pytania dotyczące jego osoby.

Starcowi zawsze towarzyszy młody mężczyzna o nieznanym tożsamości, nienagannie odziany w czarny garnitur od Armaniego. Są prawie nierozłączni, oprócz tych rzadkich chwil, gdy asystent musi osobiście załatwić jakąś sprawę.

Starszego mężczyznę często można zobaczyć, jak spaceruje po ogrodach w rodzinnej miejscowości albo w pobliskim mieście. Był taki czas, że musiał przebywać z dala od ojczyzny dłużej, niżby sobie tego życzył. Teraz jednak może sobie pozwolić na luksus zaniechania podróży. Umożliwiają to nowe środki komunikacji. Jednak ciągle jeszcze nie może się obejść bez zaufanego podwładnego tam, gdzie prowadzi ważne interesy. Nic jednak nie zastąpi klimatu jego gniazda, jego ukochanej Italii, a w szczególności jego miasta i niewielkiej miejscowości, skąd pochodzi.

Tego dnia starzec odpoczywa na tarasie swojej willi, zatapiając wzrok to w „Corriere della Sera”, to w odległym horyzoncie. Stamtąd może kontemplować ocean zieleni, rozciągający się daleko poza granice jego posiadłości i ginący za wzgórzem, za którym chowa się słońce. Pejzaż zabarwił pomarańczowy wieczór, który w nierównej walce z mrokiem z każdą sekundą traci coraz więcej przestrzeni.

Fotokomórki zamontowane w różnych miejscach posiadłości i zaprogramowane tak, by uruchamiać oświetlenie powoli, w harmonii ze zmierzchem, zaczynają zapalać lampy w ogrodzie. Słońce zstępuje za wzgórze i latarnie coraz bardziej rozgrzewają swoje żarniki, aż osiągną maksymalne natężenie, w chwili kiedy nie będzie już ani promienia światła dziennego. Nieważne, że zapadła noc. Gazetę można czytać z równą łatwością jak przedtem. Tylko morze zieleni znikło w głębokim mroku, ozdobionym gdzieniegdzie małymi świetlikami, które tkwią nieruchomo albo migoczą.

„Żadne światło nie ma takiej mocy, by oświetlić świat - myśli stary - być może tylko światło wiary”. Uśmiecha się do tej refleksji. Ostatnio coraz częściej jego przemyślenia krążą wokół duchowości. Wychodzi od rzeczy najzupełniej materialnej, która jednak, bardziej lub mniej dokładnie rozważona, w końcu zawsze dotyka problemu duszy. Taki wiek. Przyszedł czas, by prosić o łaskę za popełnione w całym życiu grzechy.

Lecz on nie żyje po to, aby prosić o litość. Nie jest także litościwy wobec innych. Bóg chciał, że dożył sędziwego wieku i pokonał wiele niebezpieczeństw, wątpliwości i frustracji. Z Jego woli doświadczył w swym życiu wielu cierpień. Różnica między kiedyś a teraz polega na tym, że teraz na chłodno potrafi rozważyć wyzwania, których On nigdy mu nie szczędził. Nieistotne, czy był to ledwo dostrzegalny znak,



czy też wielkie objawienie. Dzisiaj potrafi zrozumieć ich głęboki sens.

W odróżnieniu od zwykłych śmiertelników nie boi się Stwórcy. Wiele istnień pożegnało się z tym światem za sprawą tego niepozornego starca chodzącego o lasce, który udaje, że wspiera się na niej tylko z kokieterii, choć tak naprawdę nie może zrobić bez niej ani kroku. Czas jest nieubłagany dla wszystkich, bez wyjątku.

Asystent gdzieś się oddalił. Pewnie załatwia jakieś interesy za granicą. To ktoś w rodzaju osobistego sekretarza. Wszyscy dostojnicy tego świata, nawet papież, mają osobistych sekretarzy.

Kilka lat temu starzec mógł sobie pozwolić przy czytaniu gazety na luksus zapalenia papierosa i delektowania się nim aż do końca. Wypuszczał przy tym w powietrze długie smugi dymu. Dziś musi się zadowolić lekturą dziennika, ponieważ płuca nie godzą się już na przyjemności palacza. Nagły chrypliwy kaszel rozrywa wieczorną ciszę. Przecież starzec potrafi oprzeć się pokusom ciała i umysłu. Martwi go wiele innych spraw, ale nie jest człowiekiem, który obraża się o błahostki. Niezmiennie trzyma się dewizy: wszystko ma swoje rozwiązanie.

Zatopiony w wirze rozmyślań nie zauważa dyskretnego pojawienia się służącej, która przyniosła telefon.

- Proszę pana!

Brak odpowiedzi, kobieta woła więc jeszcze raz i teraz następuje reakcja.

- Tak, Francesco - odpowiada starzec, jakby budząc się ze snu.

- Telefon do pana.

Służąca oddaje aparat gospodarzowi i odchodzi w pośpiechu. Niech sobie załatwia swoje interesy, obojętne, czego dotyczy, ona nie śmie się mieszać w jego sprawy.

- Pronto - odzywa się stary mocnym głosem objawiającym zdecydowanie osoby nawykłej do rządzenia.

Poznaje spokojny głos swego asystenta, który relacjonuje mu szczegóły zleconej misji.

W odróżnieniu od tonu szefa jego głos brzmi monotonicznie. Tak jakby czytał litanię. Zdaje raport, profesjonalnie przedstawia syntezę zdarzeń. Łatwość dochodzenia do sedna, do tego co najistotniejsze, jest cnotą nabytą przez lata pracy u starca, który często go słucha. Wie, że szefowi podobają się tylko jasne i krótkie wyjaśnienia.

- Bardzo dobrze. Możesz wracać. Dopilnujemy wszystkiego już stąd. - Kilka sekund ciszy przerywanej piszczeniem w słuchawce. - Dobra robota. Nie będzie mu trudno namierzyć Mariusa Ferrisa, pod warunkiem że działa, jak mu kazałem, na tyłach... Czekam na ciebie.

Weiska guzik i kończy międzynarodową rozmowę. Kładzie aparat na stoliku, ale po chwili znów bierze go do ręki. Od jakiegoś czasu zdarza mu się zapominać, co ma za moment zrobić. Przez kilka sekund umysł wydaje się białą kartką papieru, traci zdolność do jasnej i zimnej kalkulacji, do której tak przywykł. Do tej pory ten dziwny stan nie przysparzał mu kłopotu. Daje o sobie znać tylko podczas odpoczynku, i to dość rzadko. Zdaje sobie jednak sprawę, że to tylko kwestia czasu, że krok po kroku biała zasłona będzie się rozszerzać, przejmując władzę nad wszystkimi jego ludzkimi sprawnościami. Kiedy? Nie umie tego powiedzieć. Miesiące, lata, wielka niewiadoma. To zemsta, którą wymierza mu życie.

Wykręca nowy numer. Nie czeka na odzew po drugiej stronie, wie przecież dobrze, kto odbiera.

- Geoffrey Barnes, może pan rozpocząć neutralizację celu. Czekam na potwierdzenie.

I rozłącza się, nie dodając już ani słowa. Teraz odkłada aparat na dobre i wraca do czekającej nań gazety. Towarzyszy mu myśl: „Ta dziewczyna, ta jakaś Monteiro, no cóż, wybiła jej godzina”.

## ROZDZIAŁ 10

„Dlaczego nikt nie odbiera? - pyta samą siebie Sarah. Dziwne”. Odkłada słuchawkę i dzwoni jeszcze raz. Czekąca kilka sekund. Kobiety głos informuje, że poszukiwana osoba jest w tej chwili nieosiągalna, ale

jeśli chce, może zostawić wiadomość po sygnale.

- Tato, tu Sarah... - Stuka się ręką w czoło. Ale głupia! Jeśli mówi „tato”, to może być tylko ona. Znowu zaczyna mówić: - Dzwoniłam do domu, ale nikt nie odbiera... Kiedy tylko dasz radę, zadzwoń do mnie. Muszę z tobą bardzo pilnie porozmawiać... No... To na razie.

Wraca do komputera. Komunikator jest włączony. Ikonka przy słowie „tata” jest czerwona, offline. „Tu też cię nie ma - myśli. - Gdzież ty się podziewasz?”

Dziewczyna bierze do ręki jedną z pożółkłych kartek, które nadeszły pocztą od niejakiego Valdemara Firenziego i które znalazła w stosie korespondencji. W kopercie znajdowały się trzy kartki, z których dwie zawierają tylko listę nazwisk napisaną na maszynie. Każde nazwisko jest poprzedzone numerem i inicjałami, których nie rozumie. Dwie kolumny zapełniają pierwszą kartkę całkowicie i drugą do połowy.

Na marginesie widnieją jakieś notatki, zapisane wprawnym i dość ścisłym pismem. Niektóre nazwiska są podkreślone tą samą pewną linią co boczne zapiski. Bez śladu drżenia ręki czy kleksa. Każde z podkreśleń zakończono strzałką, nad którą wykaligrafowano kilka słów po włosku. Dlaczego po włosku? Na początku chce wrzucić te papiery do śmieci. Nie ma adresu nadawcy, a więc nie ma możliwości odesłania. Gdy przekłada kopertę, wypada z niej mały kluczyk. Może do zamka w walizce albo teczce, na pewno nie do drzwi. Długa lista nazwisk kończących się na -ov i -enkos oraz niewiele krótsza nazwisk włoskich, anglosaskich czy hiszpańskich z początku niewiele jej mówi. Ale jej wzrok nagle przykuwa jedno z nich, pozbawione podkreślenia i komentarza na marginesie, ale za to bez wątpienia otoczone znacznie świeższą linią tuszu. Raúl Brandao Monteiro.

„Co tu robi nazwisko mojego ojca?” - zastanawia się Sarah.

Studiuje drugą kartkę. Jakieś gryzmoły, najwyraźniej napisane w pośpiechu, który dobrze zna. Ten sam pośpiech towarzyszy jej dziennikarskiej pracy. Wysłał jej to jakiś kolega po fachu? Może tak, a może nie. Nadawca - Valdemar Firenzi - nie wydaje jej się całkiem nieznanym, chociaż nie przypomina sobie niczego konkretnego. To chyba włoskie nazwisko. Nie, chyba wydaje się jej znajome z innej przyczyny. Bez rozmowy z ojcem nie ruszy dalej.

18, 15-34, H, 2, 23, V, 11

Dio bisogno e IO fare lo. Suo augurio Y mio comando  
GCT Q5)-9, 30-31, 15, 16, 2, 21, 6-14, 11, 18, 18, 2, 20

Patrzy jeszcze raz i jeszcze raz. Niczego nie rozumie. Nagle dzwoni telefon.

„Nareszcie” - wzdycha z ulgą. To na pewno ojciec oddzwania.

- Tato? - Milczenie po drugiej stronie, choć nie jest to budząca niepokój grobowa cisza. W tle słychać odgłosy ulicy, miasta, przejeżdżające samochody, kroki, niespójne głosy, fragmenty rozmów. Ktoś dzwoni z budki telefonicznej albo z komórki. - Tato? - Nic. Może ktoś się pomylił albo źle wykręcił. Albo komórka włączyła się komuś w teczce i wybiła przypadkowy numer. A może to jakiś adorator? Nie. Żaden z jej „eks”, żaden byłby chłopak ani znajomy nie był typem szantażysty czy maniaka. Jedyną zdolną do takiego żartu osobą jest Greg, kolega z redakcji, zawsze skory do wygłupów. Jednak pośród korespondencji była pocztówka od niego wysłana z Konga. Opisywał na niej barwnie, jakimże niezwykłym wyczynem jest wysłanie zwykłej pocztówki, tej właśnie, ze zdjęciem rzeki Lulua. Jakim cudem mógłby zadzwonić? - Greg? To ty? To jeden z twoich żarcików? - pyta na wszelki wypadek.

Słyszysz tylko hałas miejski.

„Spokojnie - mówi do siebie Sarah. - Nie wpadaj w paranoję”. Nie brakuje jej jednak do tego powodów. Koperta z Włoch od nieznanego nadawcy z najwyraźniej nienową listą nazwisk, w samym środku której figuruje nazwisko jej ojca, kwestionujący jej paszport urzędnik z odprawy na lotnisku... Wszystko budzi niepokój, ale najbardziej ten list.

Połączenie telefoniczne nadal trwa, lecz niczego nie słychać, żadnego „cześć”, „dzień dobry”, nic. Nie słychać również oddechu potencjalnego rozmówcy, tylko odgłos policyjnego koguta, tak zwyczajny we wszystkich miastach wszystkich krajów Pierwszego Świata. Wyteżywszy słuch, Sarah zdaje sobie sprawę,

że obok miejsca, skąd zadzwoniono, przejeżdża policja na sygnale. Ważna informacja. Połączenie zostaje nagle przerwane. Żadnego „na razie” ani „do widzenia”. Tylko nagły trzask. Ostry policyjny sygnał nie przestaje rozbrzmiewać, teraz w świecie rzeczywistym, na zewnątrz, na Belgrave Road. Niebieskie światło przenika przez czerwone, zasunięte zasłony i hol na parterze domu Sarah wypełnia się psychodelicznymi czerwonymi odbłaskami.

Ciekawy zbieg okoliczności. Policyjny samochód na sygnale w tym samym czasie w dwóch różnych miejscach, tam skąd dzwoniono i tam dokąd dzwoniono. Naprawdę, to bardzo dziwne. A może...? To za bardzo dziwne.

Sarah gasi wszystkie światła i dom pogrąża się w mroku. Odsuwa sofę, która stoi jej na drodze, i podchodzi do okna. Bierze głęboki oddech, zanim uchyli nieznacznie zasłonę, tylko o milimetr, żeby widzieć, sama nie będąc widzianą. Na ulicy trwa zwykły na Belgrave Road nocny ruch. Dziesiątki osób wędrujących tam i z powrotem, każda zaabsorbowana własną egzystencją i nieświadoma losu Sarah Monteiro. Ruch jest spory.

Samochody wszelkich typów i marek, taksówki. Autobus linii 24 w kierunku Pimlico/Grosvenor Road stoi na przystanku po przeciwnej stronie ulicy, cierpliwie czekając, aż jedni pasażerowie wysiądą, a inni wsiądą.

Żadnego podejrzanego ruchu albo człowieka. Trudno rozpoznać zagrożenie w takim chaosie, chyba że byłoby oczywiste. Jeśli ktoś ją szpieguje, to jasne, że nie będzie ubrany na czarno, nie będzie miał kapelusza i płaszcza z podniesionym kołnierzem, nie będzie także udawał, że czyta gazetę. Tak to się robiło w starych filmach. Teraz każdy może być szpiegiem. Nawet śmieciarz, który właśnie zbiera z ulicy worki ze śmieciami. Albo kobieta rozmawiająca przez komórkę na drugim piętrze hotelu Holiday Express, dokładnie naprzeciwko jej domu. Może są tylko tym, kim się wydają, a może nie.

„Zaczynasz mieć obsesję - mówi do siebie i ten pomysł łagodzi natychmiast napięcie, które ogarnęło ją w ostatnich minutach. - Głupota! Kto niby miałby cię śledzić i dlaczego?”

Kiedy stara się uspokoić, coś przyciąga jej uwagę - autobus linii 24 odjeżdża, odsłaniając samochód o przyciemnionych szybach. Może to ktoś z hotelu? Długo tu stoi? Czarny samochód o przymglonych szybach wcale nie wydaje jej się niewinny, wręcz przeciwnie. Jest coś, co budzi jej obawę. „Już gdzieś widziałam ten samochód” - mówi nagle do siebie na głos. Sarah przypomina sobie teraz to ciemne auto, ale potrzebuje bodźca, żeby skojarzyć je z miejscem. Szczęśliwie ma fotograficzną pamięć. Ten sam samochód nagle zahamował tuż przed jej taksówką. Potem kierowca opuścił szybę, rzucił taksówkarzowi „Sorry, mate” i odjechał. Niewątpliwie to ten sam samochód. Czyli może tu stać od ponad trzech godzin. Zatem to może nie znaczyć nic albo może znaczyć wszystko, zwiastować rychle niebezpieczeństwo albo tylko projektowany w jej głowie film szpiegowski. I ta druga hipoteza zdaje jej się trafniejsza.

Dzwonek komórki wybija ją ze stanu względnego spokoju.

- Tak?
- Cześć, Sarah.
- Tata. Nareszcie! Gdzie byłeś?

Wreszcie ojciec daje znak życia. Ulga, która spływa na nią z dźwiękiem spokojnego, niskiego głosu kapitana Raúla Brandao Monteiro, stawia ją na nogi. Już po wszystkim, nawet po strachu, który utrudniał jej oddychanie, wszystko się rozproszyło.

- Zawiozłem twoją matkę...
- Gdzie? Gdzie zawiozłeś mamę?
- Sarah...

Głos ojca nie brzmi całkiem spokojnie. Prawdę mówiąc, nigdy nie słyszała go tak zdenerwowanego. Nagle ulga, jaką czuła jeszcze parę sekund temu, ustępuje nowym wątpliwościom i zdenerwowaniu, potęgowanemu przez ów nagle więdnący w gardle głos ojca, zawsze tak ciepły i troskliwy.

- Dostałam pocztą przesyłkę od niejakiego...
- Nie wymawiaj nazwisk, Sarah. Pamiętaj, od tej chwili nie wymawiaj nazwisk. Nie przyznawaj się, gdzie jesteś. Nikomu,

rozumiesz? Chyba że będziesz rozmawiać z kimś, kogo ci wskażę, kto jest w stu procentach zaufany.

- Tato, przerażasz mnie! Wiesz o liście?

Cisza jest pierwszą odpowiedzią.

- Tato, nie ukrywaj przede mną niczego, proszę. Twoje nazwisko jest na liście...

- Na miłość boską, Sarah. Ani słowa na ten temat. Wiem, co dostałaś. - Ton wypowiedzi ojca jest tylko pozornie opanowany, właściwy komuś, kto zupełnie stracił kontrolę nad czymś, nad czym do tej pory w mniejszym lub większym stopniu panował. - Wiem, co dostałaś - podkreśla, z wysiłkiem uspokajając głos.

- Oni tego nie wiedzą, ale nie mam złudzeń, podsłuchują.

- Kto to są „oni”, tato? - Nuty strachu drżą teraz w jej słowach.

- To nie czas na rozmowę, tylko na działanie, córeczko. Pamiętasz jeszcze dom babci?

- A co? Jaki to ma związek?

- Pamiętasz czy nie?

- Dom? Pewnie, że tak. Takich rzeczy się nie zapomina.

- Doskonale.

Nagle dostrzega twarz. Dreszcz przebiega jej po kręgosłupie.

- Sarah! - woła ojciec po drugiej stronie linii telefonicznej. Powtarza imię kilka razy, nie słysząc odpowiedzi. Sarah stoi jak sparaliżowana, patrząc w okno, za którym właśnie przed chwilą ujrzała śledzące ją oczy. - Sarah - nalega zaniepokojony ojciec.

Do uszu Sarah dobiega teraz pewny, ciężki, niespieszny odgłos zbliżających się do drzwi kroków. Ich rytm działa na dziewczynę hipnotyzujące

- Sarah! - Głos ojca wyrywa ją wreszcie z tego odrętwienia.

- Tak. Słucham cię.

Ding-dong.

- Ktoś dzwoni do drzwi. Muszę otworzyć...

- Ani mi się waź! - mówi zdenerwowany ojciec.

- Tato, jestem twoją córką, a nie jednym z twoich żołnierzy.

- Zawsze trzymaj przy sobie te papiery, zawsze przy sobie. I pamiętaj, co mówiła babcia, kiedy bałaś się wychodzić z domu drzwiami od obory.

- Babcia?

Sarah rozmyśla nad słowami ojca. Gdy była małą dziewczynką, bała się krów w Escariz, gdzie każdego roku spędzali sporą część wakacji. Przypomina sobie, jak straszliwie nienawidziła przechodzić obok tych ogromnych zwierząt. Babcia musiała odganiać krowy, żeby mogła przejść. Kiedy trochę podrosła, babcia przestała to dla niej robić.

„Sama je rozgoń - mówiła. - Już czas, żebyś przestała się ich bać”.

Na wszystko zawsze znajdzie się rada. Tak jak mówiła babcia.

Chowa papiery przysłane przez Valdemara Firenziego. Z leżącej obok komputera torebki wyjmując portmonetkę i karty kredytowe. Podchodzi do schodów, oglądając się niespokojnie w kierunku drzwi. Intruz, który za nimi stoi, przed chwilą walił pięścią, a teraz gwałtownie szarpie za klamkę. Serce zaczyna jej łomotać. Na szczęście ma na sobie lekkie ubranie, koszulę i spodnie. Z pantoflami w ręce wchodzi po schodach, drewniane stopnie skrzypią, zdradzając ją.

Kiedy dociera na piętro, słyszy zgrzytnięcie drzwi wejściowych, czyżby już sforsowanych? Przechodzi do pokoju, a wszystkie jej zmysły są postawione w stan najwyższej gotowości. Paniczny strach ściska jej serce.

Intruz przemieszcza się na parterze, spokojnie, lecz nie kryjąc swojej obecności. Ogarnia ją niemoc, strach staje się nie do zniesienia. Czerwona zasłona, podobna do tej, która wisi na parterze, filtruje dochodzące z zewnątrz światło, sprawiając, że atmosfera w pokoju ma w sobie coś nierealnego. Sarah bezgłośnie przebiega pomieszczenie. Czarny samochód dalej stoi na dole, w tym samym miejscu, gdzie widziała go za pierwszym razem. Spokój złowieszczonego samochodu kontrastuje z obecnym stanem jej nerwów. „Nie daj się strachowi - mówi do siebie. - No, dalej, wysił szare komórki”.

Co robić? Na wszystko zawsze znajdzie się rada. „Jeśli nie możesz wyjść przez jedne drzwi, znajdź

inne” - mówiła babcia. „Znajdź inne...” W domu babci można było wyjść przez okno na piętrze, bo był wybudowany na skarpie i okno na piętrze było nisko nad ziemią. Lecz jej dom, w tej całkowicie płaskiej angielskiej metropolii, nie jest podobny do tamtego. Skok byłby niebezpieczny. Ale zawsze jest jakaś rada. „Pomyśl o typowej angielskiej przezorności! Każdy lokal ma wyjście pożarowe, również domy prywatne. Tak jest od czasu wielkiego pożaru, który zdarzył się w 1666 roku, kiedy jeszcze wszystko budowano z drewna. Nawet ten dom ma takie wyjście. Ale gdzie ono jest? Na tym piętrze nie ma drzwi. Okna zaledwie się uchylają i są za wysokie. Chyba że... w łazience. No tak! Okno w łazience otwiera się w całości i z boku, przy murze zamontowano metalowe schody. To jest to wyjście”.

- Dzięki, babciu - szepcze.

Sarah Monteiro oddycha głęboko. Łazienka jest naprzeciwko. Trzeba się tam tylko znaleźć. Od ratunku dzieli ją jedna sekunda.

„Raz, dwa, trzy” - liczy w myślach. Napastnik wbiega już na schody. Dziewczyna rzuca się do łazienki i usiłuje utorować sobie drogę przez okno. Ponieważ jednak rzadko bywa otwierane, nie chce nawet drgnąć. Przynajmniej tak się jej wydaje, kiedy zrozpaczona, nadludzką siłą stara się skłonić okienny zamek do posłuszeństwa. Kroki się zbliżają. Teraz mężczyzna w czarnym płaszczu stąpa powoli przez korytarz. Słysząc, jak nakręca tłumik na lufę pistoletu. Sarah przywiera do ściany w łazience. Może jeszcze ma

czas, żeby coś zrobić. Gdyby udało jej się rozbić szybę... Kolejny krok i jeszcze jeden, i następny. .. Podłoga skrzypi, zęby Sarah dzwonią. Strach ją paraliżuje. Wydaje jej się, że słyszy oddech mordercy. Dla niego to chleb powszedni, jasna sprawa. „To profesjonalista - myśli przerażona dziewczyna. - Pamiętaj, co mówiła babcia?” Zawsze na wszystko jest rada. Na wszystko - oprócz śmierci.

Oczy Sarah przyzwyczyły się już do panującego w łazience mroku. Poderwana intuicją szuka czegoś. Suszarka? Nie. Spray? To na nic. Ręczniki, perfumy, kremy... Nie, nie, nie.

Opiera się o ścianę obok umywalki, bezsilna. Z boku, na wysokości jej głowy, wisi gaśnica. To będzie dobre. „Jeśli myślisz, że poddam się bez walki, to się grubo mylisz” - mówi do siebie.

Mężczyzna jest już chyba o jakieś trzy metry od niej... krok... dwa metry... znów krok... metr...

Sarah zniecka wypuszcza z gaśnicy chmurę piany. Napastnik nie reaguje przez parę sekund, czekając pewnie, aż opadnie gęsta mgła, ale Sarah znów naciska dźwignię gaśnicy. Czeką, aż intruz pozwoli się zobaczyć, pozwoli się usłyszeć.

- Gdzie jesteś?! - ryczy niskim głosem.

Poprzez niknące opary dziewczyna dostrzega pistolet w dłoni w skórzanej rękawiczce. Podnosi gaśnicę, chcąc uderzyć napastnika w głowę, lecz ten się uchyła.

Słysząc dwa strzały. Dziewczynie wyrывa się głuchy krzyk. To takie uczucie, jak się dostanie dwie kule? Nic? Odgłos upadającego ciężko, twarzą do ziemi ciała wytrąca ją z tych rozmyślań. To prawdziwy cud. Sarah zaczyna rozumieć, co się stało, dopiero chwilę później, kiedy dostrzega dwie małe dziurki w szybie okna ewakuacyjnego. Jakiś anioł stróż przyszedł jej z pomocą. Ale kto to taki? „Panie Raúl, jest mi pan winien niejedno wyjaśnienie”.

Teraz trzeba się stąd szybko zmywać.

## ROZDZIAŁ 11

Times Square to chyba najważniejsze centrum miejskie bogatego świata. Rywalizują z nim Trafalgar Square, Pola Elizejskie czy Alexanderplatz. Tutaj noc nie różni się niczym od dnia. Błyszczące neony i ogromny ruch uliczny uwodzą turystów, zafascynowanych szaleństwem, z jakim żyje się w geometrycznym labiryncie ulic, alei, tuneli i mostów Manhattanu.

Dziesiątki tysięcy ludzi krążą po całej dzielnicy otaczającej Times Square, aż do 43 Ulicy. Wśród nich pewnym i zdecydowanym krokiem idzie właśnie mężczyzna w rozpiętym płaszczu, którego poły niczym

flagi powiewają od tempa, jakie sobie narzucił. Nieważne skąd idzie, ważny jest cel, plan wymyślony przez umysł bystrzejszy niż jego. Podchodzi do gigantycznych okienek TKTS, słynnego nowojorskiego punktu przedsprzedaży biletów na 47 Ulicy, dokładnie między Broadwayem a 7 Aleją, staje w kolejce i natęży słuch.

- Jeden na Chitty Chitty Bang Bang, proszę. Na spektakl o siódmej - mówi starszy już mężczyzna, stojący przed okienkiem dwie osoby przed nim.

Chitty Chitty Bang Bang. Facet w płaszczu uśmiecha się. „Pasuje idealnie” - myśli.

Kiedy przychodzi jego kolej, kupuje bilet na ten sam spektakl o tej samej porze.

Chwilę chodzi po sklepach, potem wstępuje na kawę do „Charley Co's”. Sprawia wrażenie, jakby chciał zabić czas, który pozostał mu do spektaklu. Uważniejszy obserwator zorientuje się jednak, że nie podąża za własnymi zachciankami. Podąża za to krok w krok za starszym mężczyzną, który wcześniej kupił bilet w okienku TKTS.

Teraz już obaj idą na południe, 7 Aleją. Człowiek w płaszczu w przyzwoitej odległości, zawsze jak cień za starszym mężczyzną. Zna się na tym, więc nie rozprasza go ani hałas, ani ruch, wydaje się, że nic nie zdołałoby zakłócić procesu śledzenia. W gruncie rzeczy nie musi śledzić starszego pana, przecież doskonale zna cel jego spaceru.

Telefon komórkowy przesładowcy wibruje. Ktoś chce się z nim porozumieć.

- Słucham - mówi pewnym i zdecydowanym głosem, przekraczając w tym samym czasie przejście dla pieszych na rogu 7 Alei i 42 Ulicy. - Wszystko dobrze? - pyta niecierpliwie. - Co takiego? Musicie zatrzeć ślady.

Skręca w prawo w 43 Ulicę wyraźnie zirytowany.

- Jeśli sprawy nie pójdą zgodnie z planem, nie muszę chyba przypominać, co was może spotkać. Macie zlikwidować tę kobietę natychmiast. Czekam na telefon z potwierdzeniem wykonania zadania.

Rozłącza się gwałtownie i zaraz wybiera jakiś numer, nie spuszczaając oka z człowieka, którego śledzi. Mimo że ten wygląda na więcej niż siedemdziesiąt lat, kroczy dość żwawo, niczym nastolatek zdążający na obiecującą prywatkę. To pewne, że nie podejrzewa, iż jest śledzony.

- Szefie? Idziemy do teatru... Tu jest dość spokojnie...

Czeka kilka sekund, nabiera powietrza i zamyka oczy.

- Niestety nasze sprawy w Londynie nie mają się dobrze... Cel uciekł i mamy jedną stratę... Tak, wiem... to nie ma znaczenia. .. już kazałem im posprzątać po sobie...

Słucha uważnie rozkazów, które ktoś wydaje mu przez komórkę.

- Nie wiem, czy oni potrafią doprowadzić tę misję do końca... Maestre, może lepiej będzie uruchomić gwardię...?

Zatrzymuje się przed Hilton Theatre, znanym wcześniej jako Ford Center for the Performing Arts. Budynek ten, z wejściem z 42 i równocześnie z 43 Ulicy, aż do 1997 roku był siedzibą dwóch teatrów - Liryc i Apollo. Połączono je, przekształcając w jedno z największych centrów tego typu na Broadwayu. Hilton zachowuje jednocześnie cały urok swojej stuletniej historii.

Mężczyzna w płaszczu, z ciągle jeszcze przyklejonym do ucha telefonem komórkowym, wchodzi do holu, podając wejściówkę bileterowi, który pokazuje mu jego miejsce na parterze.

- Jeśli pan sobie życzy, może pan zostawić płaszcz w szatni.

- Dziękuję bardzo. Gdzie znajdę toaletę?

- Pierwsze drzwi na lewo.

Mężczyzna kieruje się do łazienki, nie odrywając telefonu od ucha.

- Kiedy gwardia zneutralizuje cel w Londynie, proszę, żeby pan mi to potwierdził... wiem, że mogę przyjąć, że cel już jest zneutralizowany, ale... Zgoda, szefie... A jeśli chodzi o tamtego, na razie bez zmian. Dobrze. Do widzenia.

Po wyjściu z toalety kieruje się schodami na pierwsze piętro. Sala jest wypełniona po brzegi, ale po uważnym przyjrzeniu się dostrzega jeden pusty fotel w pierwszym rzędzie, po prawej. Wspaniałe miejsce. Spektakl nie jest szczytem jego marzeń, to dziecinny musical wyreżyserowany przez Adriana Noble'a,

oparty

na powieści słynnego Iana Fleminga, twórcy jeszcze bardziej słynnego Jamesa Bonda. Mężczyzna uśmiecha się na myśl, jaka to ironia losu. Tajni agenci, konspiracyjne zadania - takie jak te jego - Ian Fleming, James Bond... Chociaż w Chitty Chitty Bang Bang nie znajdzie się ani spisku, ani tajemnicy.

Przed nim dwie i pół godziny dobrej rozrywki muzycznej i humorystycznej. Jednak nie przyszedł tutaj dla relaksu, jest w pracy.

Światło powoli ciemnieje, aż gaśnie zupełnie. Orkiestra usadowiona w fosie tuż przed widownią zaczyna grać, przygotowując publiczność na to, co będzie się niebawem działo. Mężczyzna wyciąga z kieszeni małą lornetkę, żeby lepiej obserwować, co rozgrywa się na scenie i na parterze. Przyrząd, na pierwszy rzut oka niepozorny, w rzeczywistości jest wyposażony w noktowizor, dzięki któremu lustruje fotele na parterze. Minutę zabiera mu odnalezienie osoby, której poszukiwał. Starszy mężczyzna siedzi dokładnie pośrodku widowni.

Na ustach obserwatora pojawia się uśmiech, a ciało rozpiera się wygodnie w fotelu. Mężczyzna wyciąga dwa palce, układając dłoń na kształt pistoletu, i celuje w kierunku starszka na parterze.

„Bang, bang” - wypala w myśli.

## ROZDZIAŁ 12

„Teraz trzeba się jak najszybciej zmywać z Belgrave Road” - z tą myślą w głowie Sarah Monteiro skręca nieświadomie w lewo, w kierunku Charlwood Street. Ma wrażenie, że nie jest całkiem sama. Z bólem wypisanym na twarzy rozgląda się wokół. Za każdym rogiem, w przecznicy, bramie, oknie może się czaić prześladowca. Ma wrażenie, że ludzie się jej przyglądają, jakby mówili: „już po tobie” albo „masz ich za plecami”.

Próbuje nad tym zapanować. „Jeśli ktoś cię śledzi, nie pozwoli ci się zobaczyć, nie ujawni się”.

Znowu skręca w lewo, w Tachbrook Street. Chce znaleźć budkę telefoniczną i zadzwonić do ojca. Woli miejsca, gdzie są ludzie, dużo ludzi. I jedyne, co w tej chwili przychodzi jej do głowy, to Victoria Station. Belgrave Road doszłaby szybciej, ale zrobi kółko, pójdzie bocznymi uliczkami. Znowu skręca w Warwick Way, a potem w prawo w Wilton Road. Przecina Neathouse Place, Bridge Place i w końcu znajduje się na Victoria Station. Dotarłszy bez przygód na miejsce, uspokaja się trochę. Mimo że wielki zegar na frontonie głównego budynku pokazuje północ, ruch zdaje się tam nie słabnąć. Setki ludzi przemierzają się po ogromnym dworcu, pełnym rozmaitych sklepów. Kiedy mija McDonalda, żołądek przypomina jej, że od wielu godzin nie miała nic w ustach. Podwójny hamburger i coca-cola stawiają ją na nogi. Wypatrując budki telefonicznej, obją się o ludzi, którzy tłoczą się pod ogromną tablicą z rozkładem jazdy pociągów. Głos z megafonu przypomina podróżnym, by uważali na swój bagaż.

Specjalna kasa obsługuje tu podróżnych Orient Expressu, zatrzymującego się w Stambule, Bukareszcie, Budapeszcie, Pradze, Wiedniu, Innsbrucku, Wenecji, Weronie, Florencji, Rzymie, Paryżu - miastach pełnych sekretów, intryg i spisków. Ale przed Sarah Monteiro stoją teraz ważniejsze tajemnice.

- Sarah, to ty? - pyta ojciec, odbierając telefon.

- Tak. Ale niewiele brakowało, a zadzwoniliby do ciebie z kostnicy - odpowiada zdenerwowana. - Co się, do cholery, dzieje? Jakiś typ wchodzi do mojego domu, mierzy do mnie z pistoletu i nie zabija mnie tylko dlatego, że ktoś zdążył go odstrzelić moment wcześniej...

- Tak było? - Głos ojca brzmi jeszcze dziwniej niż przy pierwszej rozmowie.

- Coś w tym stylu. Co to za ludzie?

- Córeczko, nic ci nie mogę powiedzieć przez telefon. Jestem pewny, że podsłuchują i każde słowo może zdradzić mnie albo ciebie. Nie wiesz, jak bardzo mi przykro, że wplątałem cię w tę historię.

- Co ty w ogóle do mnie mówisz? Cholera! No i co ja mam zrobić w tej sytuacji? Nie mogę wrócić do

domu, nie mogę mówić, nic nie mogę robić. Kurwa, co za pieprzony sukinsyn!

- Uspokój się, dziewczyno!

- To nie było do ciebie. To było do tego, co podsłuchuje cudze rozmowy. Przepraszam. - Bierze głęboki wdech. - Dranie. O kim mówimy? O MI6? O CIA? O FBI? O Mossadzie? O kim?

- Mogę ci tylko powiedzieć, że tamci to aniołki w porównaniu z tym, który naprawdę za tym stoi.

- Mówisz poważnie?

- Niestety tak.

- W co ty się wpakowałaś, tato?

- Dowiesz się, córeczko, w swoim czasie. To nic nowego. Błędy z przeszłości, których żałuję każdego dnia mojego życia, tego możesz być pewna.

- To co ja mam teraz robić?

- Przede wszystkim nie dzwoń do mnie, pod żadnym pozorem. Nie szukaj mnie w domu. Nie ma tam nikogo. Nie martw się o mnie ani o mamę. Będziemy bezpieczni.

- Mama też jest w to wplątana?

- Nie. Ona o niczym nie wiedziała. Wprost przeciwnie, to był dla niej ogromny szok, nie było łatwo ją uspokoić. Jest tak samo przerażona jak ty. Proszę, żebyście mi zaufały. To jest teraz najważniejsze. Najpierw sam muszę rozwiązać problem, potem zobaczymy, jak wszystko się uda.

- Jeżeli im się wcześniej ze mną nie uda.

Po sarkastycznym komentarzu dziewczyny na moment zapada cisza.

- Nie ma innej możliwości, musi się udać także tobie. Od tego zależy życie wielu osób.

- Dobrze wiedzieć! Już jestem spokojniejsza - ironizuje Sarah.

- Teraz trzeba myśleć o tym, co nas czeka - mówi ojciec. - Słuchasz mnie?

- Tak - odpowiada z zamkniętymi oczami.

- Jest ktoś, kto wie, że ma ci pomóc - kontynuuje ojciec. - Możesz mieć do niego całkowite zaufanie.

Czeka na ciebie na placu Króla Wilhelma IV.

- Ach tak. Zawsze to coś. A jak go rozpoznam?

- Tym się nie martw, on cię rozpozna. Jeszcze jedno...

- Jak on się nazywa?

- Rafael. Nazywa się Rafael. Jeszcze jedno, nie używaj nazwiska, nigdy nikomu nie mów, gdzie jesteś... A, i płac za wszystko gotówką.

- Co?

- Nie używaj żadnej karty.

- Właśnie zapłaciłam kartą kredytową w McDonalddie, przypadkowo tą samą, którą właśnie płacę za telefon do ciebie. - Iskierka strachu błyska w jej oczach. Teraz już nie czuje się pewnie. Zaczyna się nerwowo rozglądać wokół.

- Odłóż zaraz słuchawkę i idź tam, gdzie ci powiedziałem.

- Nie mówiłeś przypadkiem, że twój telefon jest na podsłuchu? To jak możesz mi kazać iść na ten plac?

- Jestem pewien, że o placu Króla Wilhelma IV nie słyszałaś nigdy w życiu.

I odkłada słuchawkę.

## ROZDZIAŁ 13

Staughton jest analitykiem poufnych danych. Oznacza to, że zawodowo zajmuje się zbieraniem niejawnych informacji, istotnych dla zadania, i ich późniejszym udostępnianiem agentom rozpracowującym tę czy inną sprawę. Tak naprawdę jego stanowisko nazywa się „analityk w czasie rzeczywistym”, co oznacza, że dane, które gromadzi, dotyczą wydarzeń rozgrywających się w obecnej



chwili, na przykład rozmów telefonicznych, operacji bankowych lub - jeśli zajdzie taka potrzeba - obrazów z jednego lub wielu satelitów. Od rodzaju misji zależy, jak bardzo poufne są jego działania, istnieją cztery poziomy tajności. Poziom czwarty jest najwyższy i do tych informacji ma dostęp tylko prezydent Stanów Zjednoczonych. Staughton pracuje dla Central Intelligence Agency, znanej powszechnie jako CIA.

Pomieszczenie, które zajmuje, wyposażono w skomplikowane urządzenia. Miejsce to przypomina raczej kabinę samolotu niż biuro. Mężczyzna stuka w klawisze i ze spokojem eksperta czeka na wynik swoich działań.

„Gdzie się podziewasz, złotko - myśli. - No, daj jakiś znak, malutki sygnałik”.

- No i co? Nic? - W pomieszczeniu rozbrzmiewa nagle pod niesiony męski głos.

Nowicjusz osłupiałby z wrażenia wobec tak nieoczekiwanego pojawienia się szefa londyńskiego oddziału CIA. Staughton jednak pozostaje niewzruszony. Takie niespodzianki są typowe dla Geoffreya Barnes, człowieka słusznej postury, który mimo swego monstrualnego wyglądu potrafi poruszać się bezszelestnie i niczym grom z jasnego nieba ryknąć komuś nad uchem tym swoim budzącym przerażenie głosem. Teraz nachyla się nad Staughtonem.

- Nic a nic?

- To kwestia czasu. Miejmy nadzieję, że krótkiego.

Geoffrey Barnes kieruje się do swojego gabinetu znajdującego się na tym samym piętrze. Ściana ze szkła i aluminium - symbol podziału władzy, jasna wskazówka, kto tutaj rządzi, a kto ma słuchać - dzieli go od reszty personelu. Sam Geoffrey Barnes także ma nad sobą zwierzchników. Należą do nich na przykład dyrektor generalny CIA, z siedzibą w Langley w Stanach Zjednoczonych. Albo sam prezydent USA, który wbrew temu, co się przedstawia w mediach, bardzo niewiele wie o większości działań operacyjnych podejmowanych przez agencję. Na przykład o tym zadaniu nie ma zielonego pojęcia i gdyby to zależało od Barnes, nigdy by się o niczym nie dowiedział.

Na mahoniowym biurku, które wydaje się zupełnie nie na miejscu w tym futurystycznym wnętrzu, dzwoni telefon. Z trzech stojących na blacie aparatów telefonicznych jeden jest czerwony. To ten najważniejszy. Jest bezpośrednio połączony z Gabinetem Ovalnym w Białym Domu i z samolotem Air Force One, którym lata prezydent. Telefon dzwoniący w tej chwili jest drugi w hierarchii ważności. Geoffrey jest trochę niespokojny.

- Cholera - mówi, patrząc na aparat, który nie przestaje dzwonić. - Już, już. Abonent czasowo niedostępny. Już go szukam.

Najgorsze, co może się zdarzyć wszelkim służbom wywiadowczym na świecie, to brak informacji w momencie, kiedy jest ona pożądana. Bo po cóż one właściwie istnieją, jeśli nie po to by tych informacji dostarczać? Poprzednik Barnes miał zwyczaj mówić: „Kiedy dzwoni telefon, lepiej, żebyś mógł przekazać wszystko, co chcą wiedzieć, w przeciwnym razie musisz mieć bujną wyobraźnię”.

W tym konkretnym przypadku wyobraźnia na niewiele się zda. Nie można tak sobie wymyślić, że cel został zlikwidowany, jeśli się to rzeczywiście nie zdarzyło. Śmierci się nie wymyśla, ona albo następuje, albo nie. Nieważne, że o mało nie nastąpiła.

- Już odbieram! - krzyczy na aparat, podnosząc słuchawkę. Wita się po włosku, bo rozmówca używa tylko mowy Dantego i paru martwych języków, które jednak dla Barnes się nie liczą.

Prowadzi rozmowę w dość dużym napięciu. Stara się usprawiedliwić brak informacji czynnikami zewnętrznymi, które spowodowały straty w agencji dokładnie wtedy, gdy tajny agent miał wypełnić swoją misję. Fakt ten wywołał chwilowe zamieszanie, co ułatwiło celowi ucieczkę. Na twarzy Barnes maluje się złość.

- Mamy jedną operację - melduje Staughton przez drzwi gabinetu.

„W samą porę” - myśli tłusciach.

- Co to jest?

- Karta kredytowa na Victoria Station, w McDonalddie.

- Zawiadomiłeś patrole?
  - Już są w terenie.
  - W porządku - odpowiada i informuje rozmówcę po drugiej stronie linii telefonicznej o tym, co się zdarzyło. Niedługo potem odkłada słuchawkę. Jest wyraźnie zdenerwowany. - Staughton, powiedz naszym, żeby wstrzymali akcję. Oni sami będą działać, swoimi ludźmi.
  - Co takiego? - pyta Staughton, zbity z tropu. - Jest pan pewien?
- Piorunujące spojrzenie Barnesesa jest więcej niż wyczerpującą odpowiedzią.
- Natychmiast wydam rozkaz, szefie.
  - Aha, Staughton, niech mi po drodze przyniosą hamburgera.

## ROZDZIAŁ 14

Starzec odkłada słuchawkę, wyraźnie zirytowany. „Przekłęci Amerykanie. Co za niedołęgi” - mówi w duchu, podnosi się z sofy, wspierając się na lasce, i sunie wolno w kierunku niewielkiej szafy pełnej butelek i kieliszków. Wrzuca do szklanki dwie kostki lodu i zalewa je złotym płynem. Śmierć amerykańskiego agenta w trakcie wykonywania zadania zmusza do postawienia wielu różnych pytań, nie mówiąc już o problemach natury logistycznej. Kto może posiadać wiedzę o procedurach planowanych tajnie i z wyprzedzeniem? W jaki sposób ten ktoś uzyskuje informacje pozwalające mu przybyć na czas i uratować ofiarę? Intruz niespodziewanie wtargnął do gry. Od tej chwili sprawa się skomplikowała. Kto miałby powód, żeby wtrącać się w jego interesy? Jest tylko jedna odpowiedź na wszystkie pytania. Przeciek. Zdraycy trzeba szukać w szeregach CIA, w łonie odpowiedzialnej za to konkretne zadanie agencji w starym Albionie.

Nie ma wątpliwości. Jedyne rozwiązanie kryzysu to wezwanie gwardii. Gwardia jest grupą podległą organizacji starca, z zasłużoną reputacją niezawodnej. W tych okolicznościach roztropnie będzie włączyć do działań tę elitarną grupę i kazać Barnesowi trzymać jego ludzi w odwodzie do momentu, aż dostanie nowe rozkazy z włoskiej willi, sztabu generalnego operacji.

Starzec zawsze był człowiekiem czynu, potrafiącym podejmować szybkie decyzje, ale od jakiegoś czasu lubi w krytycznych momentach porozmawiać ze swoim asystentem. Przez całe życie dobrze dobierał sobie współpracowników, ale ten, to było prawdziwe objawienie. Pilny, kompetentny, uparty i gotowy służyć mu dwadzieścia cztery godziny na dobę przez wszystkie dni w roku. Dla kogoś takiego jak on, kto nie ma żadnej rodziny, wierność młodego asystenta to wielka pociecha. Kiedy opuści już ten ziemski padół, zostanie ktoś, kto będzie dbał o interesy organizacji. To naturalny sukcesor, więc podziela jego wizję ewolucji firmy w najbliższych latach.

Prywatny samolot z asystentem na pokładzie przecina właśnie włoskie niebo. Została jeszcze godzina podróży. Obaj, asystent i starzec, mają do dyspozycji telefon satelitarny, żeby móc kontaktować się w każdej chwili i bez przeszkód, nawet w powietrzu. W tym wypadku jednak starszy mężczyzna nie widzi potrzeby, by się z nim konsultować. Asystent na pewno zgodzi się z jego decyzją. Poza tym mógłby wziąć jego telefon za objaw słabości, prośbę o radę. Gdyby obaj znajdowali się w tym samym miejscu, byłoby inaczej. Zaczęłyby zwykłą rozmowę i w ten sposób dowiedziałyby się, co podwładny sądzi o tej sytuacji.

„Wiek to jednak jest ciężar” - rozmyśla. Przez wiele lat sam podejmował ważne decyzje, ale teraz dopada go niepewność w kwestii tak prostej, jak zlikwidowanie jednej kobiety. Trzeba przyznać, że w zwykłej sytuacji już by jej nie było na tym świecie. Ale wtyczka to bardzo poważny problem. Gwardii powinna wystarczyć godzina na załatwienie sprawy. Zaraz po zlikwidowaniu celu, będzie musiał porozmawiać z Barnesem o tym przecieku.

Starzec już prawie opróżnił szklankę. Stawia ją na stole i bierze do ręki telefon. Najwyższy czas ruszyć pionki na szachownicy.

- Jack, Jankesi zawalili. Musimy sami to załatwić. - Bierze szklanekę z whisky i unosi ją do ust, by je zwilżyć. - Zlikwidujcie ją.

## ROZDZIAŁ 15

Na Victoria Station przecinają się trzy linie metra. Dwie z nich, Circular i District Line, jadą tą samą trasą od Tower Hill - dzielnicy słynnej wieży, mostu Tower Bridge i finansowego serca Londynu - aż do Edgware Road, gdzie się rozdzielają i każda zdąża do swego odległego miejsca przeznaczenia. Trzecia to Victoria Line, łącząca Brixton i Walthamstow Central. Dla kogoś, kto pragnie uciec, linia District i Victoria są najodpowiedniejsze, ponieważ linia Circular, jak sama nazwa wskazuje, zawsze wraca w to miejsce, z którego rozpoczęła podróż.

Jednak wzburzony umysł Sarah Monteiro ma trudności z logicznym rozumowaniem. Najlepszym środkiem ucieczki jest pierwszy, jaki się nawinie, choćby celem podróży były wrota samego piekła. Wszystko jest lepsze, niż dać się złapać nieznannej organizacji.

Kupuje w automacie bilet dzienny. Pozwoli jej on przemierzać wszystkie dwieście siedemdziesiąt cztery stacje czterystukilometrowego metra przez cały dzień. Ktoś, kto będzie chciał ją śledzić, musi się poruszać wieloma środkami transportu i mieć na dodatek kupę szczęścia. Ale nawet ta świadomość nie uspokaja Sarah.

W końcu zawsze znajdą miejsce rozpoczęcia podróży. I w odpowiedniej chwili zlokalizują też miejsce jej zakończenia. Ojciec przeraził ją swą charakterystyką organizacji, która depta jej po piętach. Koloryzował? Ile czasu potrzebują, żeby ją namierzyć i dopaść?

Rozmyślając nad tym, jakie to niebezpieczne dokumenty trafiły w jej ręce, decyduje się stawić czoła przygodzie. Czy ma inne wyjście?

Wkłada bilet do czytnika. Bariierka otwiera się i zaraz za nią zamyka. Nie ma odwrotu. Wybrała linie Circular i District i niech się dzieje wola Boska. Schodzi po schodach na peron. Skład w kierunku Tower Hill wjedzie na stację za dwie minuty. Następny, w kierunku Upminster, pojawi się za trzy. To linia District, najbardziej ruchliwa i najstarsza w mieście, otwarta dla pasażerów w drugiej połowie dziewiętnastego wieku.

Na tym odcinku obie te linie jadą obok siebie, tak że z jednego peronu widać drugi po przeciwnej stronie. Właśnie w tej chwili wjeżdża skład do Wimbledonu.

Na peronie, na którym czeka Sarah, jest niewielu ludzi. Starszy pan czyta „Timesa”, a dwie młode dziewczyny rozmawiają hałaśliwie, co chwilę wchodząc sobie nawzajem w słowo. Skład z naprzeciwka rusza. Sarah obserwuje czerwone światła ostatniego wagonu oddalające się w mrocznym tunelu.

Rzuca okiem na tablicę informacyjną. Za minutę pociąg zbawca otworzy drzwi. Zimne powietrze, które nie wiadomo skąd się tu wzięło, przenika ją do szpiku kości. Dociera do niej, że sytuacja staje się uciążliwa. Jest zmęczona i chce jej się spać, ale strach odsuwa te odczucia na drugi plan. Podejrzewa, że szaleńcza przygoda musi słono kosztować osobę nawykłą do ośmiu godzin snu na dobę. Sarah brak snu zwykle wyprowadza z równowagi, wiedzą o tym dobrze koledzy z pracy. Jednak teraz może myśleć tylko o ucieczce. Nie wie, że ci, którzy kroczą w ślad za nią, mają do dyspozycji centrum dowodzenia z najnowocześniejszym sprzętem, który nieustannie ją namierza, alarmując za każdym razem, kiedy zidentyfikuje jakkolwiek jej ruch, jak na przykład uregulowanie rachunku za hamburgera, rozmowa telefoniczna z budki czy zakup biletu w automacie.

Świsł pociągu wyrwa ją z zamyślenia. W głębi tunelu, w tym samym miejscu, w którym znikły czerwone światła poprzedniego składu, dostrzega inne, żółte, które z każdą sekundą stają się coraz wyraźniejsze. Jedzie.

Drzwi otwierają się, żeby wpuścić pasażerów. W wagonie jest prawie pusto. Jakiś chłopak drzemie,

rozkraczony na siedzeniu.

Dwaj mężczyźni, właśnie wchodzący na przeciwległy peron, z którego jedzie się do Wimbledonu, na pierwszy rzut oka wyglądają jak urzędnicy. Ale w ich zachowaniu jest coś, co nie pasuje do typowego londyńskiego gryziopórka. To niepokój, z jakim obaj rozglądają się we wszystkich kierunkach. Sarah obserwuje ich ze swojego wagonu, który ciągle jeszcze ma otwarte drzwi, i wbija się w siedzenie. Urzędnicy oglądają kartkę papieru, może fotografię kogoś, kogo poszukują. Na szczęście są po przeciwnej stronie i nie dostrzegają jej.

„Zamknij te cholerne drzwi” - cedzi Sarah przez zęby, siłą woli kierując to życzenie do maszynisty.

Dzwonki anonsują zamknięcie się drzwi. Kilka sekund później skład oddala się w kierunku Tower Hill. Sarah wrywa się westchnieniem ulgi i gdy tylko wagoniki zanurzają się całkowicie w tunelu, wyłącza się jej świadomość. Nigdy nie myślała, że tak bardzo polubi monotony stukot kół pociągu.

Przez szyby drzwi między wagonami Sarah obserwuje ludzi jadących tym samym pociągiem. Z tyłu dostrzega dwóch mężczyzn i kobietę. Chłopak ogląda film na przenośnym DVD.

I wtedy go zauważa. Jest ubrany w czarny garnitur, podobny do tych, jakie mieli na sobie dwaj faceci na Victoria Station. Stoi i porównuje twarz Sarah z trzymanym w ręce zdjęciem... Bez wątpienia rozpoznał ją.

Mężczyzna podnosi palec wskazujący do ust, dając jej do zrozumienia, żeby była cicho, i zbliża się do niej. Sarah zrywa się do ucieczki w przeciwnym kierunku. Biegnie do przednich drzwi składu. Kiedy dobiega do końca, otwiera drzwi jednym mocnym pchnięciem. Pozostali pasażerowie przez chwilę obserwują to dziwne trzaskanie drzwiami, ale szybko tracą zainteresowanie.

Pociąg zaczyna hamować na stacji Saint James's Park. Prześladowca uważnie śledzi każdy znak, który może zdradzić zamiary jego celu, ukrywającego się z przodu pociągu. Wszystko dzieje się tak szybko. To jest jak wybuch, jak brutalne doładowanie adrenaliny, wywołane strachem. W takiej chwili człowiek dostaje potrójny zastrzyk siły i instynkt wiedzie go do ocalenia. Sarah kuca na podłodze, oparta o jedno z siedzeń tuż koło drzwi. Ułamek sekundy później wyskakuje z pociągu na peron i rzuca się do morderczego biegu.

Mężczyzna pośpiesznie wysiada z wagonu i widzi Sarah oddalającą się wzdłuż składu, jakieś trzy wagony dalej. Nie ma sensu męczyć się i biec za nią. Wyjmuje pistolet i celuje z biegłością zawodowca. Uśmiech wypływa na jego usta. Cóż to za banalny cel.

Naciska spust. W tej samej sekundzie Sarah wskakuje do jednego z wagonów. Wystrzał ginie w mroku tunelu.

Trzeba wsiąść jak najszybciej, ale drzwi są już zamknięte i metro rusza. Kiedy skład definitywnie zostawia za sobą stację Saint James's Park, mężczyzna krzywi się. Chwilę później podnosi rękę do ust i coś mruczy do ukrytego mikrofonu. Rozmawia z centralą.

Po twarzy Sarah płyną łzy, jeszcze nie otrząsnęła się z szoku. Nie ma odwagi spojrzeć na twarze innych pasażerów. Pociąg znów się zatrzymuje. Sarah wypada z niego jak pocisk.

## ROZDZIAŁ 16

Lucja

11 lipca 1977 roku

Za zieloną drewnianą bramą osadzoną w rzeźbionym portalu królowały tajemnica i pobożność.

Zaprojektowany przez brata Pedra de Encarnación klasztor karmelitański świętej Teresy w Coimbrze otworzył swe podwoje dla wiernych 23 lipca 1744 roku. Możliwe, że był to tak samo upalny dzień jak ten 11 lipca 1977 roku, kiedy dwóch mężczyzn oczekiwało cierpliwie, aż ktoś otworzy im ową zieloną bramę.

Kiedy skrzypnęły zawiasy, oczom oczekujących ukazała się teresinha - tak właśnie Portugalczycy nazywają siostry karmelitanki. Zakonnica przywitała ich wylewnie. To niezwykle miłe, że tacy goście w końcu zdecydowali się odwiedzić zgromadzenie. Białe habity i ciemny welon skrywający włosy nadawały zakonnicy łagodny i macierzyński wygląd, właściwy świętym kobietom oddanym od najmłodszych lat sprawom bożym.

- Czcigodny patriarcho, gościć cię to dla nas wielka radość!
- Dziękuję, dziękuję, siostrze. To ja się cieszę... Mój asystent, ksiądz Diego Lorenzi.
- Witam księdza serdecznie. Proszę, wejdźcie. No, dalej, bardzo proszę, nie zostawcie przecież na zewnątrz...

Patriarcha Wenecji przybył, by odprawić mszę w kościele Karmelitanek - zgodnie z obietnicami i życzeniami wyrażanymi przez obie strony przy wielu okazjach. Tym razem nadarzyła się sposobność, gdyż wenecki kardynał właśnie przebywał w Portugalii.

Przemiała matka przełożona wyszła im na spotkanie.

- Wasza Eminencja nawet sobie nie wyobraża, jaki to dla nas honor - powiedziała karmelitanka, której wolne i ciężkie kroki pozwalały przypuszczać, że nigdy nie zdoła uściskać dłoni gościa. - Siostra Łucja oczekuje na Waszą Eminencję. Zwierzyła mi się, że bardzo się cieszy na rozmowę z księdzem kardynałem i chce prosić o błogosławieństwo po zakończeniu mszy.

- Oczywiście. To dla mnie wielki zaszczyt, siostrze.

Wszystko potoczyło się zgodnie z programem wizyty. Po zakończeniu mszy Albino Luciani i Diego Lorenzi udali się za klauzurę (w towarzystwie tej samej siostry, która otwierała im bramę), zostawiając za sobą ogromną, dzielącą dwa światy kratę - odgradzała ona siostry karmelitanki od rodzin i przyjaciół podczas wizyt. Jednak patriarcha Wenecji i jego asystent mogli liczyć na wyjątkowe spotkanie z siostrą Łucją. Arcybiskup Luciani będzie rozmawiał z zakonnice bez krat, które prawie nie pozwalają widzieć twarzy rozmówcy i sprawiają, że spotkanie chrześcijan, miast aktem pobożności, staje się gorzkim i budzącym uczucie litości doświadczeniem. Albino Luciani i Diego Lorenzi wkroczyli więc do cichego klasztoru karmelitańskiego, pod którego sklepieniami słała lipcowa kanikuła.

- Barok, monsignore Albino - skostatował Lorenzi, próbując przełamać przygnębiającą ciszę klauzurowych korytarzy.

- Tak - potwierdził Luciani z uśmiechem. - Do budowy tego przybytku nie musiano sprowadzać architektów z zagranicy. Jeden

z ojców, karmelita bosy, ujrzał go w swojej wyobraźni ponad dwa wieki temu.

- Tak właśnie było - potwierdziła siostra. - Miło mi, że Wasza Eminencja zaszczyca nas swoją wiedzą o naszym skromnym klasztorze.

- Niechże siostra nie przesadza, bardzo proszę...

- Drogi patriarcho... Wiemy tu o wyjątkowej skromności Waszej Eminencji - odparła siostra z gestem świadczącym o miłym i szczerym usposobieniu.

- Niech mnie siostra nie zawstydza.

- Jestem od tego jak najdalsza, Eminencjo. Klasztor ma ponad dwieście lat, ale niestety historia nie obchodziła się z nim łaskawie. Dopiero teraz działa aktywnie i można myśleć o jego przyszłości.

- Republika - wyjaśnił asystentowi Luciani.

- Jak to? - zapytał Lorenzi, zauważając, że zgubił wątek rozmowy.

- Ksiądz arcybiskup nawiązuje do proklamacji Republiki Portugalskiej w 1910 roku. 10 października tego roku wtargnięto do klasztoru i przemocą wyrzucono mieszkające tu siostry - wyjaśniła zakonnica.

- Nie do uwierzenia...! - wykrzyknął Lorenzi.

- W rzeczywistości republikanie nie zrobili nic nowego, kontynuowali tylko haniebną tradycję. Rozwiązywanie zgromadzeń zakonnych zapoczątkowano jeszcze w czasach monarchii, kiedy triumfowała

polityka liberalna. Klasztor działał dzięki specjalnemu pozwoleniu przyznanemu przez królową Marię II, jednak licencja ta straciła ważność w 1910 roku. Nie chcę wkraczać na tematy polityczne, ale tak właśnie to widzę.

- Po tych zajściach siostry schroniły się u rodzin i przyjaciół, a później wstępowały do hiszpańskich klasztorów karmelitańskich. W roku 1933 w Portugalii zapanował jednak względny spokój, a co najważniejsze, niechęć do kleru nieco osłabła. Wtedy też trzy z wyrzuconych sióstr wróciły do Coimbrzy z zamiarem odnowienia

tam wspólnoty karmelitańskiej. Klasztor był w tym okresie okupowany przez wojsko, a więc siostry musiały wynająć dom i stawić czoła niezliczonym przeciwnościom. W 1940 roku zaczęto mówić o tym, że wojsko chce opuścić klasztor, i zakonnice dołożyły wszelkich starań, żeby go odzyskać. Udało im się do tego doprowadzić dopiero w 1947 roku. Żyły wtedy jeszcze tylko dwie siostry z tych, które mieszkały tu przed wyrzuceniem wspólnoty z klasztoru. Jedną z nich była przeorysza, na której ręce przekazano wtedy klucze.

- To bardzo wzruszająca historia, siostrze - podsumował Luciani.

- Wasza Eminencja z pewnością ją znał...

- Owszem, znałem ją. Ale po raz pierwszy słyszałem ją z ust karmelitanki z Coimbrzy. Ma to dla mnie wielkie znaczenie, siostrze.

Już za klauzurą wędrowali spokojnie pod osłoną klasztornych murów, które utrzymywały cienisty chłód kontrastujący z nieubłaganym żarem na zewnątrz.

Weszli do niewielkiego pokoju, urządzonego z pobożną surowością. Jedyne jego wyposażenie stanowiły: prosty dębowy stół, biblioteczka z książkami, kilka starych krzeseł i inne meble, nadgryzione już zębem czasu i zapewne pamiętające początki działalności wspólnoty. Goście zatrzymali się przed krzyżem, zajmującym niemal całą ścianę i nadającym pomieszczeniu klimat mistyczny. Były to dwa surowe, skrzyżowane drewniane ramiona bez postaci Ukrzyżowanego.

- Siostra Łucja zaraz się pojawi. Może mogę zaproponować coś do picia? Kawę albo coś orzeźwiającego...

- Z przyjemnością napiłbym się kawy, jeśli siostra byłaby tak miła... - odrzekł Luciani.

Ksiądz Lorenzi dołączył się do tej prośby i obaj usiedli w oczekiwaniu na przybycie siostry Łucji.

- To niesamowite, don Albino. Zobaczymy się z siostrą Łucją! Tyle o niej słyszałem... - zwierzył się asystent tonem wyrażającym coś pomiędzy admiracją i obawą.

- Ja również, Lorenzi, ja również słyszałem wiele wspaniałych rzeczy o tej kobiecie. To postać niezwyklej wagi dla Kościoła. Fatima jest dla Kościoła miejscem niezwyklej wagi. Trudno z całą pewnością powiedzieć, co się tam stało i dlaczego... ale wizje siostry Łucji odzwierciedlają kluczowe wydarzenia w historii. Ta zakonnica zna jeszcze jedną tajemnicę.

- Trzecią.

- Tak. Trzecią.

- Ona jest najważniejsza?

- Tamte też były bardzo ważne. Ostatnia z pewnością jest nie mniej istotna. W rzeczywistości, księżu Lorenzi, jest tylko jedna tajemnica, siostra Łucja podzieliła ją na trzy części. W swoim czasie wyjawiała dwie pierwsze. Część jeszcze nieznaną nazywamy trzecią tajemnicą.

Dwie pierwsze części fatimskiego objawienia, według tego, co sama Łucja oświadczyła w 1941 roku, dotyczyły pierwszej wojny światowej - widzianej jako pandemonium - i zawierzenia Rosji Najświętszemu Sercu Maryi. Czego dotyczy trzecia, Łucja nie chciała wyjawić nikomu.

Naturalnie byli tego ciekawi. Któż nie chciałby poznać trzeciej tajemnicy fatimskiej? Mówiło się, że dotyczy ona jakichś strasznych kataklizmów, być może końca świata lub wyniszczenia rodzaju ludzkiego. Takie tam bajki fantastów lubujących się w religijnych sekretach - Kościół musi działać roztropnie i nie wzbudzać niepotrzebnego zamętu.

- Siostra Łucja żyje w tym zgromadzeniu od trzydziestu lat - wyjaśnił wenecki patriarcha.

- Życie oddane na własność Chrystusowi.

- Jak nasze. Jak wiele innych. Myślenie, że zasługujemy na coś więcej, bo oddaliśmy się Panu, to

odruch ludzkiej próżności. Aby

to pojąć, wystarczy sobie uprzytomnić, że nieważne jest zło, którego doświadczamy lub które nam wyrządzają inni, ważne jest tylko dobro, które możemy czynić bliźnim.

- Mądre słowa, Eminencjo - usłyszeli kobiecy głos.

Staruszka Łucja, której nikt nie zapowiedział, odziana w habit teresinhas weszła bezgłośnie do pokoju.

- Najdroższa siostró...! Jak zdrowie?

- Dzięki Bogu, nieźle, Eminencjo.

Łucja przyklękła, by ucałować dłoń arcybiskupa.

- Bardzo proszę, siostró... To my powinniśmy uklęknąć przed siostrą - zareagował Luciani nienagannie po portugalsku.

Siostra Łucja była w bardzo dobrej jak na swój wiek formie. Miała w nadmiarze zdrowia, którego zabrakło pozostałym dwojgu dzieciom. Im Najświętsza Paniienka zapowiedziała krótkie życie. Franciszek i Hiacynta zmarli w dzieciństwie. Byli ofiarami epidemii grypy - jedno odeszło w 1919, a drugie w 1920 roku. Łucja przeżyła.

Minęło sporo czasu od dnia, kiedy troje pastuszków - takim przydomkiem ochrzciła ich prasa - wyszło, jak co dzień, paść swoje stado na łąkę zwaną Cova da Iria. Dziś w tym odległym miejscu Portugalii wznosi się Bazylika Fatimska i Kaplica Objawień. Tam właśnie 13 maja 1917 roku troje dzieci ujrzało Najświętszą Panienkę, matkę Jezusa Chrystusa. Z nich tylko Łucja rozmawiała z Matką Boską. Hiacynta mogła ją widzieć i słyszeć, a Franciszek tylko ją widział. Matka Najświętsza poprosiła, by wracali w to samo miejsce każdego trzynastego dnia miesiąca i by się dużo modlili. I dzieci przychodziły. Wydarzenia te poruszyły okolicę i rozpętały burzę wokół trojga dzieci, które zapewniały, że widziały Maryję. W sierpniu objawienie zdarzyło się w innym miejscu i innego dnia, dziewiętnastego, ponieważ trzynastego dnia tego miesiąca pastuszkowie zostali zatrzymani przez nastawionego sceptycznie alkada miasteczka Vila Nova de Ourem. We wrześniu

Maryja zapowiedziała cud, który przekona wszystkich - nawet nieufny Kościół - o autentyczności dziecięcych objawień. Miesiąc później, 13 października, kiedy to doszło do ostatniego objawienia, Maryja ukazała się jako Matka Boża Różańcowa i poprosiła, by wzniesiono w tym miejscu kaplicę ku Jej czci. Powiedziała także, że wojna, która właśnie trwa - była to pierwsza wojna światowa - wkrótce się skończy. Zgodnie z obietnicą, tysiące przejętych wiernych, którzy przybyli na comiesięczne spotkanie, mogło podziwiać cud. Słońce zaczęło wirować wokół swej osi i falować w sposób niepojęty. Ci, którzy to obserwowali, mówili, że wydawało się, iż gwiazda chce runąć na ziemię. Siedemdziesiąt tysięcy kobiet i mężczyzn zgromadzonych na miejscu skamieniało na widok cudu, pozbywając się najmniejszych wątpliwości co do autentyczności objawień. To wydarzenie, godne swojego miejsca w Biblii, zostało nazwane Cudem Słońca, stając się dla wszystkich chrześcijan niezaprzeczalnym dowodem Bożej mocy.

Niedługo po tym wydarzeniu wojna rzeczywiście się skończyła, tak jak powiedziała Łucja, mała wizjonerka z Fatimy.

W miarę jak objawienia fatimskie stawały się znane na świecie, Łucja od Jezusa stawała się coraz bardziej ostrożna. Po wstąpieniu do Kolegium Sióstr Świętej Doroty w Porto wyjechała najpierw do klasztoru w Tui, a potem w Pontevedrze w hiszpańskiej Galicji, gdzie żyła kilka lat, doskonaląc się w swoim powołaniu zakonnym. W 1946 roku przystąpiła do karmelitanek, by trzy lata później osiąść na stałe w klasztorze świętej Teresy w Coimbrze.

Spotkanie z arcybiskupem Lucianim miało być miłą kilkuminutową rozmową, przedłużyło się jednak do prawie dwóch godzin. Nie padło ani jedno słowo odnoszące się do objawień, wizji, czy też trzeciej części przesłania. Wobec cichej obecności księdza Lorenziego, kardynał i siostra Łucja woleli poruszać rozmaite tematy, niekoniecznie dotykające istoty transcendencji. Łucja

narzekała - wywołując tym na ustach arcybiskupa łagodny uśmiech - na charakteryzujący młode pokolenia brak wiary, który wcale nie martwi starszych. Patriarcha Wenecji przyznał, że świat kroczy teraz bardzo skomplikowaną drogą, lecz nie byłby skłonny obwiniać młodzieży o nieczułość i obojętność.

W trakcie tej miłej pogawędki wypili kawę, a minuty w otoczeniu pełnym niezmaconego spokoju uciekały szybko... Nagle nastąpiła cisza, po czym rozległ się niski głos, od którego jakby ściany

pomieszczenia zdrząły. Nadprzyrodzony blask zamigotał przez ułamek sekundy na wszystkich przedmiotach, kiedy padły słowa:

- A jeśli chodzi o was, patriarcho, korona Chrystusa i dni Chrystusa.

Ksiądz Lorenzi, osłupiały z przerażenia, spojrział na siostrę Łucję. Przysięgłby, że te słowa wyszły z jej ust.

Albino Luciani przypatrzył się spokojnie swemu sekretarzowi, a potem spojrział na niemłodą już zakonnice. Zdawał sobie sprawę, że owo enigmatyczne przesłanie skierowane jest do niego, lecz jego pogodne i spokojne usposobienie nie zostało ani odrobinę zmałone. Przeciwnie, zamknął powoli oczy, aby uzmysłowić sobie w pełni to, co się właśnie stało...

- Monsignore Albino... - zwrócił się do swego przełożonego Lorenzi, starając się odzyskać równowagę.

Ale patriarcha podniósł rękę, dając mu do zrozumienia, by zachował ciszę i nie zakłócał transu wizjonerki. Luciani nie był pewien, co się właściwie zdarzyło. Czy była to przepowiednia? Ostrzeżenie? A może chodziło o zwykły ciąg słów wyartykułowanych przez kogoś uwrażliwionego na obce energie?

Gdyby ktoś w tamtej chwili zobaczył siostrę Łucję, pomyślałby, że zasnęła, siedząc na krześle, z jedną ręką opartą o blat stołu. Oni jednak nie mieli najmniejszej wątpliwości, że to nie jest sen. Przed nimi siedziała siostra Łucja i przemawiała przez nią Nadprzyrodzone.

Lorenzi nigdy dotąd nie widział nikogo w transie, ale monsignore zdawał się obeznany z takimi zjawiskami i nie zdradzał żadnych oznak emocji. Wciąż trzymał podniesioną dłoń na znak ciszy.

- Istnieje niewyjawiony sekret, który dotyczy waszej śmierci - ciągnął wychodzący z ust Lucji dziwny głos, o tonie całkowicie odmiennym od jej własnego. - Bóg przebaczy, Pan przebaczy.

Lorenzi siedział z otwartymi ze zdziwienia ustami, zawieszony między łękiem a religijnym uniesieniem.

Chwilę potem siostra Łucja otworzyła oczy i odzyskała łagodny wyraz twarzy, z jakim przybyła na spotkanie.

- Może jeszcze trochę kawy, Eminencjo? - zapytała.

- Z przyjemnością - odpowiedział Luciani, patrząc jej w oczy bez najmniejszych oznak niepokoju z powodu tego, co właśnie usłyszał. - Siostra wie, że uwielbiam kawę.

Kiedy szli do samochodu, który miał ich zawieźć z powrotem do Fatimy, Lorenzi obserwował kardynała z podziwem, ale i ze zdumieniem. W końcu zebrał się na odwagę, nie mogąc powstrzymać ciekawości, i zagadnął przełożonego:

- Monsignore Albino... nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

Patriarcha przystanął i położył dłoń na ramieniu księdza. Przez kilka chwil patrzył na niego z właściwym sobie spokojem, do którego przyzwyczajał Lorenziego już prawie od roku, to znaczy od kiedy został on jego asystentem.

- Księżę Lorenzi, proszę się uspokoić. Przyznam, że siostra Łucja to bardzo interesująca osoba. Nie uważa ksiądz? - I ruszył dalej, chowając dyskretnie w kieszeni karteczkę, którą wręczyła mu Łucja.

Nigdy potem nie wrócili już do tego tematu.

## ROZDZIAŁ 17

Londyńskie powietrze nie przypomina bynajmniej powietrza amazońskiej puszczy, ale Sarah ma takie właśnie wrażenie, kiedy stawia stopę na Bridge Street. Naprzeciw niej Big Ben, słynny zegar oznajmia, że jest prawie północ. Dziewczyna skręca w lewo, w kierunku Westminster Bridge, i zaczyna biec. Na moście jest parę osób, niewiele. Czuje się trochę spokojniejsza. Londyn to miasto z największą ilością kamer telewizyjnych na metr kwadratowy na świecie. Opiera się pokusie wzięcia taksówki. Najpierw musi załatwić inną sprawę. Gigantyczny diabelski młyn London Eye wznosi się w tle niby drugi plan na



pocztówce.

„No, dobra - myśli - skoncentruj się na tym, co masz zrobić”. Opuszcza most i idzie kilka metrów dalej Westminster Bridge Road, aż do Belvedere Road, tam skręca.

Ma zamiar wejść do pierwszej napotkanej budki telefonicznej. Jest skłonna sporo się nachodzić, żeby ją znaleźć. Ostatecznie znajduje ją w centrum handlowym w pobliżu mostu Waterloo. Podnosi słuchawkę, tym razem nie użyje karty kredytowej.

- Dobry wieczór, chciałabym zamówić rozmowę na koszt abonenta. Moja godność? Eee... Greg Saundres – odpowiada tonem raczej pytającym niż twierdzącym, ale telefonistka nie zwraca najmniejszej uwagi na fakt, że żeński głos przypisuje sobie męskie imię, i prosi ją, żeby zaczekała.

Po chwili słychać sygnał łączenia i głos po drugiej stronie linii.

- Greg?

- Natalie, to nie Greg. To ja, Sarah. Przepraszam, że skłamałam, ale nie miałam wyjścia.

- Sarah? - upewnia się rozmówczyni z niedowierzaniem. Przez wszystkie te lata, kiedy Natalie była jej szefową, nie miała okazji słyszeć Sarah tak zdenerwowanej.

- Tak, to ja. Muszę cię prosić o wielką przysługę.

Sarah pośpiesznie, lecz jasno i konkretnie opowiada swej przyjaciółce i szefowej jednocześnie, co wydarzyło się od jej powrotu do Londynu. Jest w końcu profesjonalną dziennikarką.

- Powinnaś pójść na policję - radzi jej Natalie, niezdolna do objęcia całej złożoności historii, którą właśnie usłyszała.

- Nie, Natalie, nie mogę tego zrobić. Nie ufam nikomu. Proszę cię tylko o jedną przysługę. Nie musisz nawet wychodzić z domu. Błagam cię, Natalie, tylko ty możesz mi pomóc.

Zapada niezręczna cisza, w czasie której Natalie rozważa prośbę przyjaciółki. To prawda, że zawsze sobie nawzajem pomagały. Mimo porannych napadów złego humoru, jakie czasem nawiedzają Sarah, to jest jej przyjaciółka i jedna z najlepszych dziennikarek prestiżowej agencji prasowej, której szefuje.

- Zgoda. Co mam zrobić?

- Dzięki, Natalie.

- Nie dziękuj. Lepiej powiedz, czego będę żałować.

- Muszę się tylko dowiedzieć, gdzie jest plac Króla Wilhelma IV.

- Tylko tyle?

- Tak.

- Już ci mówię. Mam zadzwonić za chwilę czy poczekaś przy telefonie?

- Ty płacisz za rozmowę, więc jak wolisz.

- Dobra, to nie odkładaj. - Sarah słyszy odgłos przesuwanego krzesła. Natalie siada przed komputerem. - Plac Króla Wilhelma IV - powtarza, zwracając się raczej do klawiatury niż do Sarah.

- Tak.

- Czekaj, czekaj... - Mija jedna, dwie, trzy, cztery sekundy. .. - Naprawdę nie wiesz, dlaczego cię ścigają?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Dobra, przygotuj się. - Zmienia ton charakterystyczny dla dziennikarskiej ciekawości na inny, właściwy urzędniczej informacji telefonicznej. - O, jest. To znaczy nie ma. Pod nazwą „Król Wilhelm IV” jest tylko park w okolicach Crystal Palace. Czekaj jeszcze... Aha. Jest jeszcze ulica o tej nazwie... Między ulicą Strand i Charing Cross. To musi być to. Nie ma placu Króla Wilhelma IV.

- Jesteś pewna?

- Tak. Musiałaś się pomylić.

- Nie, na pewno nie. Ten, kto podał mi tę nazwę, ostrzegął, że na pewno nigdy wcześniej nie słyszałam o takim placu. Sądziłam, że istnieje, ale jest gdzieś na peryferiach.

- Jednak nie istnieje. Poczekaś, poszukam jeszcze raz.

- Trudno.

- No cóż, jeśli chcesz, możesz zapytać flicka.

- Dobry kawał, Natalie.
- Zobaczymy. Wilhelm IV. Urodził się w 1765 roku. Król Wielkiej Brytanii i Hanoweru w latach 1830-1837. Syn Jerzego III. Po jego śmierci rozpadła się brytyjsko-hanowerska unia personalna. Nazywano go królem żeglarzy. Zreformował system wyborczy, zniósł niewolnictwo i ograniczył przymusową pracę dzieci w imperium. Ten facet zaczyna mi się podobać.
- Do sedna. Nie chcę lekcji historii. Jest coś jeszcze?
- Nie. Na tronie zastąpiła go królowa Wiktorja. Czekał jeszcze, wrzucę go w Google... - Słuchać szybki stukot klawiatury komputera. - Jeszcze moment...
- Masz coś?
- Ciekawe.
- No, co?
- Plac Króla Wilhelma IV. Jest.
- Mów, szybko - naciska Sarah, nie mogąc opanować ciekawości.
- To dawna nazwa Trafalgar Square.
- Poważnie?
- Tak, tak tu piszą. Trafalgar Square nazywał się kiedyś placem Króla Wilhelma IV.
- Natalie, bardzo ci dziękuję. Być może w tej chwili ratujesz mi życie.
- Albo i nie.
- Do zobaczenia.
- Słuchaj... Sarah... - mówi Natalie, zanim odłoży słuchawkę.
- Tak?
- Jak będziesz miała jakąś superrewelację, nie zapomnij o mnie.

Koniec rozmowy.

## ROZDZIAŁ 18

Trafalgar Square to najczęściej odwiedzany plac Londynu. Miejsce spotkań, jedności, wspomnień i narodowej dumy. Nie na darmo nosi nazwę upamiętniającą jedną z najważniejszych bitew morskich w historii, rozegrała się ona właśnie niedaleko przylądka Trafalgar, u wybrzeży Kadyksu, 21 października 1805 roku. Anglicy rozgromili wówczas połączone siły francusko-hiszpańskie i stali się niekwestionowanymi panami mórz.

Wielka przestrzeń placu z charakterystycznymi fontannami i wysoką na pięćdziesiąt sześć metrów granitową koryncką kolumną, zwieńczoną statua admirała Nelsona, to miejsce wyjątkowe, kochane przez londyńczyków i podziwiane przez przybywających tu licznie turystów. Cztery wielkie lwy z brązu, wykonane, jak mówią, z przetopionych armat nieszczęsnej floty francuskiej, z czterech stron wspierają kolumnę bohaterskiego admirała, który w bitwie postradał życie. Trudno oprzeć się wrażeniu jego siły i władzy absolutnej. Cztery rogi placu zdobią postumenty. Na północnym wschodzie góruje pomnik króla Jerzego IV, a na południowym wschodzie statua sir Charlesa Jamesa Napiera, zdobywcy Pakistanu.

Na południowym zachodzie króluje generał Henry Havelock, czwarty zaś postument gości czasowo rzeźby współczesne, gdyż nie udało się podjąć decyzji, kogo należałoby tym miejscem uhonorować. Pierwotnie postument przeznaczono na pomnik króla Wilhelma IV, ale niedostatek środków publicznych zniweczył te plany, w wyniku czego monarcha, którego imię miał nosić plac, został całkowicie wyłączony z projektu, chociaż sam był jego inicjatorem.

O tej późnej porze przez plac ciągle jeszcze przewija się mnóstwo ludzi. Przede wszystkim grupy turystów i kilka obejmujących się par. Nie widać nikogo podejrzanego, a może wszyscy są podejrzeni. Ruch nie ustaje. Samochody, limuzyny, taksówki, karetki, autobusy, motocykle i rowery krążą bez wytchnienia wokół placu. W głębi Łuk Admiralicji, wzniesiony na cześć królowej Wiktorji, otwiera

wielką aleję prowadzącą do pałacu Buckingham. Na wschodzie kościół Saint Martin in the Fields, Dom Południowoafrykański i ulica Strand łącząca dzielnicę Westminster i City.

Na rogu Charing Cross i Great Newport Street zatrzymuje się taksówka. Wysiada z niej Sarah Monteiro. Po rozmowie telefonicznej udała się na dworzec Waterloo i jeszcze raz zaryzykowała użycie karty kredytowej, wypłacając z bankomatu trzysta funtów na dalsze wydatki. Jak dotąd wszystko idzie dobrze. Rusza teraz piechotą na błogosławiony - albo przeklęty - plac Króla Wilhelma IV. Woląla nie pchać się lwu w paszczę tak od razu i poprosiła taksówkarza, by wysadził ją jakiś kilometr od miejsca przeznaczenia.

Sarah okrąża plac od południa i dostaje się nań od strony Domu Kanadyjskiego, zwalniając roztropnie kroku. Od czasu do czasu rozgląda się dla niepoznaki to tu, to tam. Przechodzi na drugą stronę naprzeciwko National Gallery i kieruje się ku głównym schodom prowadzącym bezpośrednio na plac. Przystaje na chwilę, żeby objąć wzrokiem całą jego przestrzeń, fontanny, kolumnę Nelsona i przede wszystkim ludzi.

Najważniejsi są ludzie. Pośród nich kryje się niebezpieczeństwo. Sarah obserwuje fasady odległych budynków w poszukiwaniu złowrogiej pary oczu. Potencjalny morderca ze swoją niemal bezgłośną bronią, gotów odebrać jej życie, może się czaić wszędzie.

Wreszcie go znajduje. Śmieciarz, jedna z wielu osób sprzątających plac, wyróżniających się połyskującymi, żółtozielonymi odbłaskowymi kamizelkami. Zapamiętała jego twarz, widziała ją z okna swego domu kilka godzin wcześniej. Chyba nie ma powodu do strachu. Nie podnosi on ręki do ust, żeby się porozumieć przez ukryty mikrofon, jak agenci w metrze, ale ma zwykle walkie-talkie. Śmieciarz nie potrzebuje radio-nadajnika, żeby wykonywać swoją pracę. Raczej nie. A może to Rafael, o którym wspominał ojciec? Albo... lepiej nie myśleć.

Sarah rusza przed siebie, próbując wmieszać się w tłum. Przelotnym spojrzeniem stara się zlokalizować śmieciarza. Przygląda się badawczo pozostałym członkom ekipy sprzątającej. Żaden z nich nie sprawia wrażenia, jakby tylko symulował pracę, i prawdę powiedziawszy, żaden z nich nie jest zainteresowany ani Sarah Monteiro, ani którymkolwiek innym przechodniem. Poprzestają na beznamietnym zamiataniu wyznaczonego każdemu obszaru.

Który z nich to Rafael?

Boi się, że w każdym momencie może zostać wciągnięta do jakiegoś samochodu. Albo że najzwyczajniejszy w świecie celny strzał położy kres jej chaotycznej ucieczce. Tyle filmów, tyle scen, tyle hipotez przelatuje przez jej wyobraźnię niczym trąba powietrzna. Zaczyna jej się kręcić w głowie i już niewiele dzieli ją od utraty przytomności. Ludzie, ludzie i jeszcze raz ludzie, wszędzie ludzie.

- Sarah Monteiro? - Słyszysz tuż obok. To śmieciarz. - Chodź ze mną. Zaufaj mi.

Nie czekając, aż wyrazi zgodę, śmieciarz bierze ją pod ramię i ciągnie poza obręb placu.

- Dokąd idziemy? - Bez odpowiedzi. - To ty jesteś Rafael? - upiera się Sarah, nie mogąc wrócić do siebie z oszołomienia, w które popadła przed chwilą.

Słyszysz ostry dźwięk, dochodzący z jednej z kieszeni odbłaskowej kamizelki mężczyzny, i widzi, jak tamten wyjmuje radiotelefon i mówi do niego po włosku:

- La porto alla centrale... Sì, l'obiettivo è con me... Negativo. Non posso rifinirla qui... Benissimo.

Nie rozumie dobrze, co powiedział. Głos dochodzący z telefonu jest mocny i chrypliwy. To na pewno szef. Czy ten facet to Rafael, czy też jeden z tych, którzy chcą ją zabić?

Tak, ojciec mówił o Rafaelu, o jednej osobie. Próbuje się wyrwać, ale śmieciarz przytrzymuje ją mocno.

- Nie rób głupstw. Nie ma potrzeby przyspieszać tego, co i tak musi nadejść, ale jeśli będzie trzeba... chyba rozumiesz?

Uczyniła wszystko, co w jej mocy, żeby jej nie złapali, ale co tak naprawdę mogła zrobić? Ojciec wybrał niedobre miejsce. To straszne umierać, nie wiedząc nawet za co. Niech się dzieje, co chce. Znów

czuje się bezsilna, kapituluje.

Ale jej los jeszcze nie został przypieczętowany. Z ulicy przylegającej do placu rusza czarny samochód i hamuje z piskiem opon między pomnikiem generała Havelocka i kolumną Nelsona.

- Ja się nią zajmę - oznajmia wysiadający z samochodu mężczyzna.

Sarah doświadcza alarmującego déjà vu. Instynkt samozachowawczy podpowiada jej: uważaj. Nagle przypomina sobie - to ten, który ją śledził i strzelał do niej w metrze.

- Va bene - odpowiada śmieciarz.

Bez dodatkowych komentarzy agent otwiera tylne drzwi samochodu i wpycha Sarah na siedzenie. Sam siada z przodu obok kierowcy. Samochód rusza na pełnym gazie, błyskawicznie zostawiając za sobą Trafalgar Square.

W czasie kiedy auto podąża w kierunku Parliament Street, Sarah Monteiro obserwuje mężczyznę, który przejął nad nią opiekę. Jest w średnim wieku i wydaje się dość spokojny. W głowie dziewczyny rozpętuje się prawdziwa burza emocji, wątpliwości i obaw.

- Kim jesteście? - pyta. Cisza. Nawet na nią nie spojrzeli. - Kim jesteście?

Bez odzewu.

Jakieś pół godziny później, według niepewnych obliczeń Sarah, kierowca zatrzymuje samochód i obaj mężczyźni wysiadają, znikając jej z oczu. Do samochodu wraca tylko jeden. Ten, który odebrał ją z rąk śmieciarza. Teraz zajmuje miejsce kierowcy. Po dwudziestu minutach wjeżdżają do eleganckiej dzielnicy willowej i samochód zwalnia. Serce Sarah przyspiesza ze strachu. Nadeszła jej godzina. Automatyczna brama garażowa otwiera się, samochód wjeżdża i parkuje obok nowiutkiego, błyszczącego jaguara.

Oboje wysiadają.

- Chodź ze mną - rozkazuje mężczyzna lodowatym tonem. Otwiera tylne drzwi jaguara i nie musi dawać więcej wskazówek. Sarah wsiada do samochodu bez szemrania.

- Dokąd jedziemy? - Nie odpowiada. - Mam dość. Nie zniosę tego dłużej. Co pan ze mną zrobi?

- Niech się pani nie boi. Nie skończę z panią, zanim się nie przekonam, jakie skarby pani ukrywa. Przrzekam. - Głos mężczyzny już nie jest zimny, lecz przeciwnie, łagodny i ciepły. - A tak na marginesie, jakiej pomocy spodziewała się pani od ojca, hm?

- Kim pan jest? Boże, nic nie rozumiem.

- Mam na imię Rafael. Dzisiejszej nocy jest pani moim gościem.

## ROZDZIAŁ 19

Pecorelli

20 marca 1979 roku

Była już późna noc, ale Carmine „Mino” Pecorelli ciągle jeszcze siedział w biurze przy Via Orazio, podejmując ostateczne decyzje redakcyjne dotyczące najświeższego numeru „Osservatorio Politico”. Pecorelli zdawał sobie sprawę, że jego tygodnik odstręczał poważnych czytelników i aż nazbyt często zarzucano mu, że goni za sensacją, przedstawia wstydlive intrygi podkolorowane kłamstwem i domysłami. Pecorellego prawie wcale to jednak nie martwiło. Był szczerze oddany swoim wiernym czytelnikom, którzy co tydzień upajali się zjadliwym pamfletem jego autorstwa. Szpalty „Osservatorio Politico” opowiadały bez pardonu o znamienitych osobistościach zamieszanych w działalność sekretnych organizacji, o wielkich wyciekach publicznych pieniędzy w nielegalnych interesach i wielu innych śliskich sprawach.

Dobiwszy do pięćdziesiątki, Pecorelli szczyił się tym, że ma wyłączny dostęp do newsów i sensacji, których żaden inny dziennikarz nie byłby w stanie pozyskać. Sukcesy zawdzięczał rzekomym kontaktom

z elitami. Mówiono, że bywał we wpływowych kręgach, gdzie zdobywał informacje, starając się wejść w układy z możliwymi tego świata. Jego „Osservatorio Politico” był finansowany przez jedną z takich person, wpływowego polityka, który kontrolował większość publicznych przedsięwzięć we Włoszech.

Tamtego dnia adwokat i publicysta w jednym siedział w swoim gabinecie, z nogami skrzyżowanymi na stole, rozparty w wygodnym biurowym fotelu. Trzymając słuchawkę telefonu między ramieniem a uchem, prowadził rozmowę w pozornie dość oficjalnym tonie, pełną nieokreślonych sugestii i słodko-uszczypliwych półsłówek. Na jego ustach rysował się delikatny uśmiezek, a wyraz twarzy świadczył o tym, że jest wyraźnie rozluźniony lub usatysfakcjonowany, albo jedno i drugie naraz...

Ta rozmowa nie miała jednak bezpośredniego związku z jego tygodnikiem. Chodziło o sprawę prywatną. Pecorelli próbował pomnożyć swoje dochody, przypierając do muru, czy też szantażując kogoś, kto znajdował się po drugiej stronie linii. Wykorzystywał w tym celu poufne informacje, które po upublicznieniu mogłyby narobić kłopotów jego rozmówcy. Człowiek, z którym Mino Pecorelli tak przyjaźnie konwersował, był nie byle kim. To sam Wielki Maestre loży masonskiej Propaganda Due, zwanej potocznie P2 - niejaki Licio Gelli. Pecorelli był członkiem tej samej loży.

- Najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy o tym w cztery oczy - zasugerował Gelli.
- Zgadza się.
- To gdzie chcesz jutro zjeść kolację, w Rzymie?
- Doskonały pomysł - odparł Pecorelli. - Nie zapomnij przynieść gotówki.
- Jaką mam gwarancję, Mino, że nie wykorzystasz tej listy przeciwko mnie jeszcze raz? Nie wątpię, że chętnie zająłbyś się skandalami, jakie by wywołała. Chyba nie zaprzeczysz.
- To jest dziennikarstwo, Licio. Czyste dziennikarstwo.
- Wiem, co dla ciebie znaczy „dziennikarstwo”. Kto mi zagwarantuje, że nie będziesz próbował takiego „dziennikarstwa” w przyszłości?
- Piętnaście milionów to chyba więcej niż wystarczająca gwarancja.
- Piętnaście milionów!? - powtórzył liczbę Gelli, prawie krzycząc. Zapadła chwila ciszy, bycie szantażowanym nie jest sytuacją sprzyjającą targom. - Nie uzgodniliśmy takiej kwoty, Mino.
- Wiem. Ale doszedłem do wniosku, że ta sensacja jest sporo warta.
- Lista nie jest warta piętnaście milionów.
- To oczywiście, że lista członków P2 nie jest warta tyle pieniędzy. Ale dobrze wiesz, że ci, których nazwiska z notatkami i kompromitującymi komentarzami figurują na supertajnej liście, którą sam nazywasz P1, mogliby brać pod uwagę taką kwotę. Obaj doskonale wiemy, że światek, który cię wspiera, miałby tu i tam kłopoty, gdybym ją upublicznił - tłumaczył Pecorelli tonem pogroźki. - A zamordowanie Jana Pawła I? A zachęta, jaką dostał od ciebie Mario, żeby pozbyć się Moro? To dopiero można wycenić!
- Zawsze lojalnie wspieraliśmy twój tygodnik, Mino. Co się stało, że nagle zmieniłeś front? Chcesz podnieść stawkę?
- Piętnaście milionów wystarczy mi w zupełności. Opublikuję listę P2... W końcu wielu i tak ją zna. Kiedy zobaczysz ją w gazecie, będziesz wiedział, że do opublikowania następnej już tylko jeden mały krok. Pomyśl o tym. W końcu to dla ciebie istotne, zresztą nie tylko dla ciebie.

Gelli zastanawiał się przez chwilę i jego milczenie po drugiej stronie linii znaczyło, że ocenia nieustępliwość Pecorellego.

- Jutro przy kolacji porozmawiamy o wszystkim spokojnie. Musisz spuścić cenę.

- Nie zamierzam tego uczynić. Przynieś pieniądze, a nic się nie stanie.

Cena to piętnaście milionów, ale Pecorelli brał pod uwagę możliwość podwyższenia jej w każdej chwili. Zwłaszcza gdyby Gelli zbyt długo zwlekał z zapłatą.

- Tak. Nie wątpię. Nic się nie stanie. Do jutra – pożegnał się Gelli. - Zobaczymy się o ósmej tam gdzie zwykle - powiedział i odłożył słuchawkę.

Mino Pecorelli z uśmiechem na twarzy pogasił światła w biurze, zamknął drzwi i wyszedł na ulicę.

Wszystko szło w dobrym kierunku i tak, jak przewidywał. Nie przeszło mu nawet przez myśl, że dokładnie w tym samym momencie Gelli telefonuje do wpływowego członka włoskiego rządu, informując go o wyniku rozmowy.

- Nie sposób go przekonać. Mino jest niereformowalny. Albo zapłacimy, albo opublikuje wszystko - zdał relację Gelli.

- Nie rozumiem, co go ugryzło... Co mu się ubzdurało? - zastanawiał się rozmówca.

- Jeśli teraz mu zapłacimy, upomni się znowu. I tak nie możemy mu już ufać. Za dużo wie.

- Nie martw się, Licio. Wszystko już załatwione. Nie będzie nas dłużej dręczył. Miał możliwość wyboru... i nie chciał nas posłuchać. W końcu sam zdecydował.

- Ciao, Giulio.

- Ciao, Licio.

Radość Pecorellego była tak wielka, że idąc całkiem pustą Via Orazio i próbując uzmysłowić sobie, gdzie zaparkował samochód, poczuł przemożną chęć zagwizdania.

Takie ma życie i taki zawód, po prostu nadarzyła się okazja łatwego zarobku. Tylko głupcy ulegają wyrzutom sumienia. Po co się niepotrzebnie zatruwać, zwłaszcza że nie wydziera pieniędzy takim, którzy by ich nie mieli. Może i jest człowiekiem bez skrupułów,

ale zostały mu jakieś resztki poczucia sprawiedliwości. Nigdy nie wykorzystywał nikogo, kogo nie było na to stać. Taki zimny i zdolny do wszystkiego drań jak Gelli, który macza palce w najbardziej podejrzanych interesach, kradnie jednym, żeby opłacić się innym i przy okazji samemu zarobić, nie zasługuje na szacunek.

W głębi ulicy, prawie na rogu, dojrzał wreszcie swój samochód. Otworzył drzwi i usiadł wygodnie na siedzeniu. Jakaś ręka nie pozwoliła mu jednak ich zamknąć. W tej samej chwili zobaczył dwóch mężczyzn stojących obok auta. Jeden z nich, ten, który blokował drzwi, złapał go za włosy i popchnął do tyłu. Szybkim ruchem wyjął rewolwer, wsadził lufę do ust Pecorellego i wystrzelił dwa razy.

Problem Gellego został rozwiązany.

## ROZDZIAŁ 20

Mężczyzna, który twierdzi, że nazywa się Rafael, prowadzi z rozsądną prędkością, tak by nie wzbudzać podejrzeń. Wydaje się, że wie, co robi. Bierze do ręki leżący na siedzeniu obok kierowcy pakunek i podaje siedzącej z tyłu Sarah.

- Co to jest? - pyta dziewczyna.

- Coś do zjedzenia.

- Nie jestem głodna.

- Na pani miejscu zjadłbym coś. Hamburger i coca-cola na całą noc to nie za wiele.

- Skąd pan wie, że...? - przerywa w połowie zdania, bo znajduje odpowiedź na swoje pytanie. - Nieważne.

Niepewność dręczy Sarah. To ten sam człowiek, który gonił ją w metrze i który do niej strzelał, bez dwóch zdań. Teraz okazuje się, że to Rafael, ten, któremu ojciec kazał zaufać. Coś tu jest nie tak. Wygląda na to, że gra na dwa fronty. Pewnie czeka na przełożonego. Przesłuchają ją brutalnie i w końcu zabijają, bez względu na to, co powie. Listę, o której na pewno wiedzą więcej niż ona, ma przy sobie.

- Wyobrażam sobie, że musi pani mieć do mnie mnóstwo pytań. - Rafael ciepłym tonem stara się nawiązać rozmowę.

- Słucham? - Sarah nie bardzo rozumie, na czym polega zmiana zachowania porywacza.

Zapada cisza, ale zdaje się ona w ogóle nie krępować kierowcy. Samochód mknie przed siebie

spokojnie i bez zakłóceń. Z przedniego siedzenia emanuje pewien rodzaj zadowolenia, tak jakby towarzysza Sarah bawiło jej zakłopotanie, a może po prostu taki już jest. Wyobraźnia dziewczyny pracuje na pełnych obrotach.

- Jestem do pani dyspozycji - powtarza Rafael, wydaje się, że w ten sposób chce ją uspokoić. Intonacja zdania wypowiedzianego w nienagannej angielszczyźnie przypomina jednak raczej rozkaz.

- Pierwsze pytanie, które przychodzi mi do głowy, jest proste: dlaczego w metrze chciał mnie pan zastrzelić?

- Chciałem panią zastrzelić?

- Tak. Wie pan doskonale, o co mi chodzi.

- Hm...

- No, chyba pan nie zaprzeczy?

- Powiem pani, żeby nie było w tej kwestii dalszych nieporozumień, że gdybym naprawdę strzelał z zamiarem pozbawienia pani życia, nie rozmawialibyśmy tu teraz.

- A co do diabła zdarzyło się u mnie w domu? Może mi pan wyjaśnić, co to wszystko znaczy?

- Móc, mogę. Problem w tym, czy jest pani przygotowana, by się tego dowiedzieć.

- Przygotowana czy nie, muszę poznać prawdę. Trudno.

- Oczywiście - zgadza się Rafael, siląc się na nieco wymuszony uśmiech. Potem patrzy na nią z zadumą. - Czy słyszała pani kiedyś o Albino Lucianim?

- Oczywiście. - Sarah denerwuje protekcyjny ton Rafaela, jakby myślał, że jest idiotką. - Albino Luciani to Jan Paweł I, zwany uśmiechniętym papieżem. - Sarah czytała o pontyfikacie Jana Pawła I. Chociaż nigdy szczególnie nie interesowały jej sprawy religijne, wie, że ten papież sprawował swój urząd bardzo krótko.

- Był papieżem tylko przez kilka miesięcy... - dodaje.

- Nie - poprawia ją Rafael. - Albino Luciani zasiadał na Stolicy Piotrowej tylko trzydzieści trzy dni, od sierpnia do września 1978 roku.

- Tylko trzydzieści trzy dni?

- Zbyt krótko dla jednych i zbyt długo dla innych. Okoliczności śmierci Jana Pawła I okrywa wielka tajemnica. Oficjalne zdanie Watykanu jest takie, że był to zwykły atak serca, ale są tacy, którzy uważają, że Jan Paweł I został zamordowany.

- Wiadomo, zawsze znajdują się zwolennicy spiskowej teorii dziejów...

- Niech pani to powie prokuratorowi Pietro Saviottiemu z rzymskiej prokuratury. Jest jednym z tych „oszołomów”, którzy uważają, że w całej tej historii jest jeszcze wiele niejasności.

- Ale kto miałby go zabić?

- Najbardziej interesujące nie jest pytanie o to kto, ale dlaczego miałby go zabić. Motywacja zbrodni jest ważniejsza niż tożsamość zabójcy...

- No dobrze, dlaczego zatem?

- Mogę odpowiedzieć tylko kolejnym pytaniem. Słyszała pani kiedyś o P2?

- Niewiele, to chyba jest jakaś tajna organizacja albo coś w tym rodzaju...

- Coś w tym rodzaju... P2 to skrót nazwy Propaganda Due, loży masonskiej, której celem jest przejęcie władzy politycznej, wojskowej, religijnej i finansowej we wszystkich środowiskach, do których wnika. - Rafael w skrócie opowiada Sarah historię organizacji, którą w 1877 roku powołały do życia, jako organizm podległy Wielkiemu Wschodowi Włoch, osoby pozbawione możliwości założenia własnych łóż. W 1960 roku skupiała ona zaledwie czterestu członków, tak przy najmniej mówiono. Kiedy Wielkim Mistrzem

P2 został niejaki Licio Gelli, ich liczba zwiększyła się aż do tysiąca w ciągu zaledwie roku. Później, w momencie apogeum swego rozwoju, skupiała dwa tysiące czterestu członków, w tym wielu generałów, polityków, sędziów, producentów telewizyjnych, bankierów, profesorów, księży, biskupów, kardynałów i wiele innych osobistości rozmaitych profesji i o różnym zasięgu władzy. W 1976 roku Wielki Wschód Włoch definitywnie zerwał swe związki z Licio Gellim i P2. W ten sposób organizacja przekształciła się w odrębną lożę, całkowicie niezależną od masonerii włoskiej. - Jednakże - kontynuuje swój miniwykład

Rafael - Gelli nie porzucił swych celów i zaczął tworzyć sieć nowych powiązań, zmierzając skrycie do przejęcia kontroli nad włoskim rządem. W tym celu powołał „Plan demokratycznego odrodzenia łoży P2”. Znając wcześniejsze poczynania Gellego, uwikłanego w europejski faszyzm, łatwo zgadnąć, że jego projekt miał raczej charakter totalitarny niż demokratyczny. Pod koniec lat siedemdziesiątych był o krok od osiągnięcia swoich celów, tak przynajmniej donosiła większość mediów. Metody Gellego niczym nie różniły się od tych, którymi posługuje się większość organizacji mafijnych na świecie. Jeśli ktoś wszedł mu w drogę, narażał się na niebezpieczeństwo, że odwiedzi Najwyższego nieco przed czasem. Wiele zbrodni, zamachów i katastrof w tamtym okresie nosiło piętno łoży P2.

- Podsumowując - dedukowała Sarah - jeśli dobrze rozumiem, sugeruje pan, że to właśnie tej organizacji zależało na śmierci Jana Pawła I. W porządku. Ale co to ma wspólnego ze mną? Czy to ludzie P2 mnie ścigają? Dlaczego?

- Ponieważ Bóg chciał, że to właśnie pani przypadł w udziale zaszczyt posiadania bardzo cennej listy z nazwiskami członków organizacji. Lista jest już dość stara, ma nieco ponad ćwierć wieku i do tej pory nie oglądała światła dziennego. Wielu z tych, których nazwiska na niej figurują, już nie żyje, ale inni jeszcze chodzą po tym

świecie i gdyby pewnego dnia ta lista została upubliczniona, wiele osób byłoby bardzo niezadowolonych. Warto więc zamordować, kogo trzeba, by nie dopuścić do jej publikacji.

W tej chwili Sarah się wyłączyła. Sprawy, o których opowiada Rafael, powodują, że jej myśli są jak wzburzony ocean. Lista. Lista, którą ma przy sobie, zawiera nazwiska członków P2, Propaganda Due, już zmarłych i tych jeszcze żyjących. Wśród nich widnieje jedno, które przyprawia ją o skurcz żołądka - nazwisko jej ojca, Raúla Brandao Monteiro. Jak to możliwe?

Rafael zdaje się czytać jej myśli, ale się nie odzywa. Tę drogę dziewczyna musi przebyć sama.

- Czy pan należy do P2?

Rafael namyśla się kilka sekund, po czym odpowiada:

- Należę do jednostki wyższej. Realizuję pewien plan i P2 przez przypadek się z nim łączy.

- Nie rozumiem. - Wzdycha dziewczyna. Ma świadomość, że wpadła w sieć bardzo skomplikowanych układów. Najlepiej będzie dojść do prawdy prostą drogą, bez owijania w bawełnę.

- Ma pani P2 na karku - dodaje Rafael. - A jeśli chodzi o moje powiązania z tą organizacją, śpieszę wyjaśnić, że zostały zerwane, całkiem niedawno, w chwili kiedy pani wsiadła do tego samochodu. Tak naprawdę byłem wtyczką.

- Wtyczką?

- Jeśli nie radzisz sobie z wrogiem, wstąp w jego szeregi i zniszcz go od środka. Oczywiście od tej chwili jestem spalony. Teraz P2 tropi już nie tylko panią, mnie również. I niech mi pani wierzy, prędzej czy później nas znajda...

- W takim razie po co ta rozmowa? Skoro i tak umrzemy...

- Wszystko zależy od kart, jakimi wtedy zagramy - mówi Rafael z nieznacznym uśmiechem. - Ma pani listę przy sobie?

Sarah wyjmuje papiery z kieszeni marynarki, pośród nich są dwie kartki - lista, i oddaje je Rafaelowi. Ten ogląda dokumenty w ciszy, nie zdejmując nogi z gazu. Po dłuższej chwili zwraca je Sarah.

- Zna pani jakąś inną osobę z listy oprócz ojca?

- Po tym, co mi pan powiedział, nie mam wątpliwości, że po wpisaniu tych nazwisk w Google okaże się, że większość z nich to grube ryby.

- Zapewne. Ale niech pani przypatrzy im się uważniej.

Sarah przebiega wzrokiem kolumnę na pierwszej kartce, linijka po linijce, z najwyższą uwagą. Teraz, kiedy już wie znacznie więcej, nie dziwi jej przewaga włoskich nazwisk. Zdaje sobie sprawę, że numery pojawiające się przy każdym nazwisku są przypadkowe i nie układają się w żaden rozpoznawalny system. Po każdym numerze następuje litera, niekiedy dwie lub trzy.

- Numery nie są ułożone w kolejności. Litery też nie podlegają żadnej logice.

- To są numery z rejestru każdej osoby w organizacji, litery natomiast wskazują na miejsce pochodzenia. Na przykład - jeszcze raz bierze do ręki listę - weźmy tego, wspominaliśmy już o nim,



Wielki Maestre: „440ARZ Licio Gelli”. Jego numer w rejestrze to 440, a pochodzi z Arezzo. Rozumie pani?

- Tak - odpowiada Sarah, a jej oczy biegną szybko ku tej pozycji na liście, która najbardziej ją interesuje: „843PRT Raúl Brandao Monteiro”. - PRT. Portugalia.

- Pani wtedy jeszcze nawet nie było na świecie.

- Pana też.

Ten komentarz wywołuje uśmiech na twarzy Rafaela.

- Miałem może pięć, sześć lat.

Dziewczyna z napięciem wpatruje się w listę, aż odnajduje inne znane sobie nazwisko.

- To nazwisko, „MIL”, czyli jest z...?

- Mediolanu. Ale tym niech się pani nie przejmuje. Wtedy jeszcze nie był politykiem. A teraz już nie jest członkiem P2.

- Tak, ale był. Premier Włoch też? Zasięg tego... to znaczy... nie wiem, co o tym myśleć.

- Niech pani nic nie myśli.

Sarah ponownie zagłębia się w listę. Przeraza ją to, co dotąd usłyszała. A do tego jeszcze jej ojciec. Jak daleko zaszedł w tym wszystkim kapitan Raúl Brandao Monteiro?

- A te gryzmoły dopisane ręcznie? - pyta, starając się oddalić najboleśniej myśli.

- To jest właśnie to, co czyni tę listę bezcenną. Własnoręczne notatki Jana Pawła I.

- Naprawdę?

- Tak.

- I o czym one mówią?

- To jest klasyfikacja. Podkreślił nazwiska i zajęcia tych, których znał. Niech pani przeczyta na przykład to: „Jean-Marie Willot - kardynał sekretarz Stanu”. Czyli kardynał sekretarz państwa Watykan.

- Też był członkiem P2?

- Owszem.

- Zapiski na tej drugiej kartce też są dziełem papieża? A ten klucz?

Sarah podsuwa mu arkusz z nabazgranym w pośpiechu tekstem. Rafael uważnie czyta.

18, 15-34, H, 2, 23, V, 11

Dio bisogno e lo fare lo. Suo augurio Y mio comando

GCT (15)-9, 30-31, 15, 16, 2, 21, 6-14, 11, 18, 18, 2, 20

- No i co tu jest napisane?

- „Bóg o to prosi i ja to czynię. Jego pragnienie jest moim rozkazem”. Niezbyt poprawnie po włosku. Kilka sekund później Rafael bierze ostry zakręt.

- Co się stało?

- Zobaczymy się z kimś.

- Z kim?

- Z kimś, kto wie.

- Kto wie co?

Rafael jedzie wąską uliczką z bardzo dużą prędkością. Nie sprawia wrażenia, jakby miał ochotę odpowiedzieć na jej pytanie.

- Kto wie co? - Nie daje za wygraną Sarah. - Znalazł pan tu coś nowego?

Samochód wydostaje się na szerszą ulicę i skręca na wschód. Rafael przyspiesza, nie martwiąc się tym, że policja może go namierzyć, choć właśnie przed chwilą przemknęli obok radiowozu.

- Tak - mówi w końcu, nie wdając się w szczegóły, jakby to jedno słowo starczyło za odpowiedź. Chwilę potem sięga po telefon komórkowy.

- Co pan znalazł? - nalega zaniepokojona Sarah.

- Kod.

## ROZDZIAŁ 21

Bentley posuwa się wolniutko ubitą drogą, z równo przyciętym żywopłotem po obu stronach. Łączy ona prywatną rezydencję z główną szosą.

Wielka żelazna brama otwiera się automatycznie, co wskazuje na to, że w samochodzie podróżuje ktoś bliski panu domu. Szofer nie musi zatrzymywać auta ani anonsować pasażera, którego wiezie na tylnym siedzeniu.

Auto zatrzymuje się obok trzech schodków prowadzących na podwyższenie przy wejściu. Pasażer nie czeka, aż szofer otworzy mu drzwi, jak przewiduje etykieta, i sam energicznie wysiada z samochodu. Nie naciska również dzwonka. Wystukuje sześciocyfrowy kod na klawiaturze znajdującej się na ścianie. Przed wejściem do domu strzepuje resztki kurzu z eleganckiego garnituru od Armaniego i poprawia kołnierz marynarki.

Pan domu, Wielki Maestre, czeka na niego w salonie, nie dlatego że tak ma w zwyczaju albo że tak wypada, ale dlatego że działania operacyjne prowadzone tej nocy tego właśnie wymagają. W przestronnym pomieszczeniu starzec z pobladałą twarzą wysłuchuje meldunków telefonicznych.

Nowo przybyły od razu zauważa, że sprawy nie układają się po myśli gospodarza. Jeśli informacje na temat rozwoju misji, które otrzymał przed rozpoczęciem podróży powrotnej, są prawdziwe, Geoffrey Barnes popełnił jakiś błąd.

Asystent oznajmia swoje przybycie cichym kasznięciem. Stary podnosi oczy i wita go skinieniem głowy. Młody wyostrza słuch, jednocześnie przygotowując dwie wódki. Kiedy stary odkłada telefon, asystent podaje mu szklaneczkę i siada.

- Rozumiem, że od naszej ostatniej rozmowy zaszły pewne zmiany - rozpoczyna.

Stary też wraca na swoje miejsce i wzdycha. Rzadko można z jego ust usłyszeć westchnienie, a zwłaszcza tak głębokie. Ostatnio jednak zdarza się to jakby częściej. Asystent uświadamia sobie w tym momencie, że towarzyszy temu mężczyźnie już od piętnastu lat. Przez ten czas obserwuje jego zmierzch. To bolesne doświadczenie dla kogoś, kto znał tego człowieka, kiedy był jeszcze w pełni sił fizycznych i umysłowych.

- Zaszły zmiany, i to niewiarygodne - odpowiada starzec, pociągnawszy dwa łyki wódki. - Stało się to, czego nikt nigdy sobie nie wyobraża, planując akcję.

- Ktoś wspominał o wtyczce. - Ci dwaj nie mają przed sobą tajemnic. - Barnes miał w swoich szeregach zdrajcę?

Starzec pije aż do dna.

- Wolałbym, żeby tak było - mamrocze.

- Jak to? - Wzrok asystenta jest pełen niedowierzania i niepokoju. Odpowiedź jest oczywista.

- Stało się to, co nigdy nie powinno się było stać.

- Wtyczka w naszych szeregach? Nie mogę w to uwierzyć.

- Lepiej uwierz.

- Ale gdzie? Tu, we Włoszech? Wśród nowych członków?

- Nie. W samej gwardii.

- W gwardii? Sukinsyn! Wiadomo już, kto to?

Starzec przytakuje.

- Sam się zdradził.

- Kto to jest? - pyta asystent z pewnym zniecierpliwieniem. - Załatwię go własnymi rękami. Najpierw jednak musi się dowiedzieć, dlaczego posyłam go do piekła.

- Jack - odpowiada starzec chłodno.

- Jack? Jaki Jack?
  - Jack Payne - uściśla Maestre i milknie na chwilę, żeby asystent mógł przelknąć tę wiadomość.
  - Kim on jest w rzeczywistości?
  - Kazałem go rozpracować, ale do niczego nie mogą dojść. Jego tożsamość musi być perfekcyjnie zakamuflowana.
  - Gdyby nie to, już byśmy go mieli.
  - Starzec wzdycha raz jeszcze.
  - To jest nowa sytuacja i musimy szybko stawić jej czoła.
  - Asystent wstaje, już otrząsnął się z szoku, w jaki wprawiła go ta wiadomość. Teraz mogą podejmować decyzje na zimno.
  - Na razie jednak musimy się skoncentrować na wyeliminowaniu celu, tak jak zaplanowaliśmy. Co się dzieje z tą sprawą?
  - Niczego nie rozumiesz. Ona jest z nim. Jeśli złapiemy jedno, będziemy mieli drugie - mówi starzec, podnosząc się z trudem.
  - Myśli pan, że trzeba będzie jechać do Londynu?
  - Nie wydaje mi się to konieczne. Postępujemy zgodnie z planem, ale nieustannie trzymając rękę na pulsie. Pojawienie się na scenie zdrajcy prawdopodobnie niesie ze sobą niespodzianki.
  - Co pan zatem proponuje?
  - Polecimy tam, gdzie wcześniej zamierzaliśmy. Pozwolimy działać Barnesowi. Cierpliwości. Pojawia się. Prędzej czy później coś ich musi zdradzić.
  - Zwłaszcza w Londynie. Niech pan jednak nie zapomina, że ona jest w towarzystwie kogoś, kto wie, jak można oszukać naszą czujność.
  - Tak, jestem tego doskonale świadom. Ale jeśli znasz Jacka tak dobrze jak ja, wiesz, że chociaż przeszedł na inną stronę, nie jest człowiekiem, który unika walki. Nie sądzę, żeby zechciał być wygnańcem przez resztę życia.
  - Zawiadomię załogę samolotu.
- W chwili kiedy asystent wychodzi z salonu, rozbrzmiewa sygnał faksu. Po kilku sekundach z maszyny wysuwa się biała kartka ze zdjęciem i towarzyszącym mu tekstem. Stary przygląda się fotografii Jacka Payne'a, tego samego, którego Sarah Monteiro zna jako Rafaela. Na dole strony pojawia się zdanie napisane dużymi drukowanymi literami: „NO DATA AVAILABLE”.
- Starzec mnie kartkę, zaciskając gwałtownie pięść. Pierwsza złość ustępuje jednak już po chwili.
- Nie uciekniesz mi, Jack - wymawia to zdanie nadzwyczaj pewnie i sekundę później, stukając z impetem laską, kieruje swe kroki do wyjścia. Teraz są inne ważne sprawy. Patrzy jeszcze raz na zmięty papier i zanim ciśnie go na ziemię, mamrocze: - Ona mi cię przyprowadzi.

## ROZDZIAŁ 22

Budynek słynnego British Museum, strażnika wielkich i ważnych śladów historii i kultury ludzkości, otwarto dla publiczności w odległym 1759 roku. Ponad siedem milionów eksponatów zaświadcza o drodze, jaką człowiek przebył na tej ziemi. Gwiazdami muzeum są ponad wszelką wątpliwość egipskie mumie, a także Kamień z Rosetty, eksponowany tutaj od 1802 roku.

Jaguar parkuje tuż przed wielkim gmachem, na Great Russell Street. Rafael i Sarah podchodzą do ogromnej bramy, zwieńczonej złotymi strzałami. Tuż obok niej są niewielkie drzwi. Tam znajduje się strażnica.

- Dobry wieczór - pozdrawia strażnika Rafael.
- Dobry wieczór - odpowiada tamten, żując gumę. To młody chłopak w służbowym uniformie firmy ochroniarskiej.

- Chciałbym się zobaczyć z profesorem Josephem Margu-liesem.  
- Z profesorem Josephem Marguliesem? - Wyraz twarzy strażnika nie należy do najsympatyczniejszych.

- Tak, czeka na nas.

- Chwileczkę. - Chłopak wchodzi do strażnicy, żeby zadzwonić. Nie spuszcza oczu z Sarah.

Rafael uprzedził już profesora telefonicznie. Ten, choć nie był zachwycony, w końcu zgodził się na spotkanie. Ponieważ dzień i noc jest zajęty zapinaniem na ostatni guzik nowej czasowej ekspozycji w muzeum, zaprosił ich właśnie tam.

Oczekiwanie w ciszy przynosi Sarah kolejną falę bolesnych przemyśleń. Musi sobie poradzić z bardzo trudnym problemem. Postanawia zagadnąć o to swojego towarzysza, z którym po intensywnie przeżytych ostatnich godzinach zdążyła już przejść na ty.

- Wyjaśnij mi jedną rzecz. Jaka jest rola mojego ojca w tym wszystkim? Kim on jest w tej organizacji?

- On sam musi ci to powiedzieć, nie ja.

Strażnik, przejęty swoją funkcją, potwierdza umówione spotkanie i pozwala im wejść na teren muzeum.

- Profesor Margulies za chwilę po państwa przyjdzie.

- Dziękujemy bardzo.

- Pan jest u nas już nie pierwszy raz, prawda?

- Nie pierwszy, ale nigdy nie byłem tu o tak nietypowej porze - potwierdza Rafael ze sztucznie skromnym uśmiechem. Strażnik porzuca swoją początkową szorstkość, która była zapewne tylko zawodową pozą, na rzecz życzliwego zainteresowania.

Idą w kierunku głównego wejścia do muzeum, usytuowanego w centrum budynku. Jego boczne skrzydła, dominujące nad częścią środkową, układają się w literę „u”, wyznaczoną przez linie proste. Czterdzieści cztery jońskie kolumny zdobią fasadę, nadając jej wygląd imperialny. Piętnaście alegorycznych postaci, wyobrażających Postęp cywilizacji, zasiedla tympanon wieńczący majestatyczne wejście. Sarah potyka się, wchodząc po schodach.

- Gdybyśmy tu przyszli z sekretną misją, już bylibyśmy spaleni - mówi Rafael tonem pozornie poważnym podszytym jednak żartem.

- Gdybyśmy tu przyszli z sekretną misją, nie przedstawilibyśmy się strażnikowi. Ani nie wchodzilibyśmy głównym wejściem.

- Masz rację.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego papież Luciani?

- Jest katalizatorem.

- Katalizatorem? Co to znaczy?

- Listę, którą dostałaś, miał w rękach w dniu śmierci. Przysłał mu ją wysoki funkcjonariusz P2, niejaki Carmine Pecorelli, adwokat i publicysta. Pecorelli kierował tygodnikiem, w którym opisywał wszelkiego rodzaju skandale. Sieć przysług i zależności - ciągnie Rafael - była rozrośnięta do tego stopnia, że czasopismo tego typka, „Osservatorio Politico”, było w rzeczywistości finansowane przez byłego premiera, bliskiego przyjaciela Wielkiego Maestre. Ten ostatni, niejaki Licio Gelli, był kimś w rodzaju sprytnego kameleona, genialnego manipulatora, pozbawionego zupełnie skrupułów. Wspierał skrajną prawicę lub skrajną lewicę, zawsze mając na względzie swój interes. Jest pewne, że był powiązany z wszystkimi partiami politycznymi, wykorzystywał je w zależności od tego, co było dla niego wygodne i czego wymagała konkretna sytuacja polityczna. Na przykład łoża P2 teoretycznie zwalczała wszelkie ideologie lewicowe. Jednak to Gelli przyczynił się finansowo do powstania grupy terrorystycznej Czerwone Brygady.

- Ach, tak. Po co w takim razie ten Pecorelli wysłał listę do papieża? - Sarah nie może pojąć, co wynika z tego zamętu nazwisk, dat i ciemnych interesów.

- Nie uwierzysz - odpowiada Rafael - po prostu chciał coś na tym zarobić. To była forma szantażu.

Chciał, żeby Gelli podzielił się forszą. Na początku „Osservatorio Politico” służyło wyłącznie celom Gellego, ale w pewnym momencie Pecorelli pojął, że jego własny mecenas byłby interesującym obiektem szantażu. Gelli nie przewidział tego, że Pecorelli będzie zaspokajać tylko własne zachcianki. A miał dostęp do wielu materiałów, które mogły pogrzyżyć Gellego. Ostatecznie dziennikarz opublikował część listy członków P2, ale dysponował prawdopodobnie znacznie bardziej kompromitującym zestawem danych osobowych. Z tego, co wiem, nieszczęsna lista znajdowała się przez jakiś czas w rękach Pawła VI i nie spowodowała wielkiego skandalu tylko dlatego, że w tamtym czasie papież był już bardzo chory i prawdopodobnie nie miał siły na walkę z wirusem, który przeniknął do organizmu Stolicy Apostolskiej. Kiedy Jan Paweł I zasiadł na Stolicy Piotrowej, miał w swoim gabinecie listę P2. Zweryfikował posiadane informacje i wydaje się, że był skłonny wyrwać z korzeniami ten chwast. Wiadomo, że wysokie stanowiska kościelne są nie do pogodzenia w żaden sposób z przynależnością do tajnych stowarzyszeń, a w szczególności do organizacji o proweniencji masońskiej. Kiedy papieża znaleziono martwego, miał w dłoni listę członków P2. Być może Jan Paweł I - przypuszcza Rafael - chciał rozwiązać sprawę dyskretnie, jak to się zazwyczaj robi w Watykanie. Mógł sporządzić kopię dla Tajnych Archiwów Watykańskich i jest możliwe, że tam właśnie znalazł ją przez przypadek Firenzi. Nie jestem pewien, jaki był bieg wydarzeń w tym wypadku. Jeśli masz więcej pytań, musisz je zadać swojemu ojcu.

- Ojcu? Ale jaką rolę on w tym wszystkim odgrywa?

Rozmowa milknie, słychać tylko kroki w przyległym korytarzu.

Sarah patrzy na Rafaela pytająco.

- Po co tu przyszliśmy?

- Aby rozszyfrować kod.

Korpulentny mężczyzna w fartuchu, około sześćdziesiątki, zbliża się do nich. Rafael uśmiecha się do przyjaciela.

- Profesorze Margulies!

- Witam cię serdecznie. Sądziś, że o tej godzinie można niepokoić spokojnego sługę Pańskiego?

- Każda godzina należy do Pana.

- A co to za młoda dama?

Profesor Margulies nie przykładą zbyt dużej wagi do słów.

- To znajoma. Sharon... eeee... Stone. Sharon Stone.

- Sharon Stone? - wykrztusza zszokowana Sarah.

- Miło mi, Sharon. - Profesor patrzy na nią z zarożumiałą miną. - Przepraszam, ale mam brudne ręce.

- Nie szkodzi.

Dziewczyna obserwuje profesora i usiłuje odgadnąć, czym on się zajmuje.

- Rozpracowujemy pewne tajne sprawy o dużym znaczeniu dla interesu państwa - mówi Rafael tonem na wpół żartobliwym. - Nie bardzo możemy powiedzieć, o co chodzi. Mam tu taką małą zagadkę i zastanawiam się, czy mógłbyś mi z tym pomóc - wyjmuje z kieszeni papier i podaje go Marguliesowi.

Uczony wydaje z siebie głęboki pomruk. Po jakichś pięciu minutach wychodzi z transu.

- Zobaczę, co się da zrobić. Chodźcie za mną.

Zagłębiają się we właściwe pomieszczenia muzealne i po pokonaniu schodów w górę, a następnie przemierzeniu pewnego odcinka, skręcając to w lewo, to w prawo, wchodzi w bardzo długi i ciemny korytarz.

- Zachowujcie się cicho, żeby przypadkiem nie obudzić mumii - zwraca im uwagę Margulies dosyć głośno, w najmniejszym stopniu się tym nie przejmując. - Gdzie ci się udało poznać tego kompletnie postrzelonego wariata?

- On nie... - stara się tłumaczyć Sarah.

- W klasztorze w Rio de Janeiro... - przerywa jej Rafael.

- Zakonnica, co? - Profesor patrzy na nią kpiąco.

- To nie tak... - Sarah po raz kolejny usiłuje tłumaczyć, ale Rafael ścisną jej ramię.

- No, jesteśmy - oznajmia Margulies, otwierając podwójne drzwi, prowadzące do wielkiej sali, pełnej regałów z książkami i stołów ustawionych w rzędy. Margulies zapala dwie smutne lampy, wypełniające

pomieszczenie przygnębiającym światłem. Kładzie papier na stole i podchodzi do regału. - Zobaczymy. O, mam. Kryptografia.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nie, siadaj. I twoja dziewczyna też.

Rafał odwraca się do Sarah i przez moment oboje patrzą na siebie.

- Dlaczego naopowiadałeś mu takich głupot? - pyta Sarah szeptem.

- Powiedziałem mu to, co chciał usłyszeć.

- I to właśnie chciał usłyszeć? Że chodzisz z brazylijską zakonnicą o nazwisku Sharon Stone?

- Nie przejmuj się. Cel uświęca środki. Myślisz, że jemu spodobałaby się prawda?

- Słuchaj, ja już nawet nie wiem, jak się nazywam.

Rafał chwytając Sarah za rękę i lekko je ścisną, żeby nadać swoim słowom właściwą moc.

- Prawda może nas wszystkich zabić. Jesteś na to najlepszym dowodem... chociaż jeszcze żyjesz. Nie zapominaj o tym.

Dziewczyna zaczyna się bać. Rafał puszcza ją i obserwuje Marguliesę, który w tej właśnie chwili studiuje uważnie trzy tomy, trzymając w dłoni papier z szyfrem.

- Skąd go znasz?

- Marguliesę? Był moim nauczycielem wiele lat temu. To bardzo poważny człowiek, chociaż na pierwszy rzut oka nie sprawia takiego wrażenia. Studiował w Watykanie i jest wybitnym specjalistą z zakresu kryptologii. Jeśli to naprawdę jest kod, rozszyfruje go.

- Czego cię uczył?

- A co to? Przesłuchanie?

- Nie. Zabijam czas.

- Teologii.

- Teologii? Jest teologiem?

- Między innymi.

Marguliesę podnosi wzrok znad papierów.

- Kochany chłopcze, to potrwa kilka godzin. Żeby odkryć, jakiego klucza użyto, muszę zrobić parę prób. Nie wiem, czy jest to kod, czy może szyfr. Nie masz niczego do załatwienia?

Rafał zastanawia się chwilę.

- Mam. Mogę to przepisać?

- Pewnie.

Sarah podchodzi do Rafała zaintrygowana.

- Dokąd teraz idziemy?

- Potrafisz stąd wyjść? - pyta profesor Marguliesę.

- Tak, nie martw się. Kiedy tylko coś ci się wyklaruje, zadzwoń do mnie pod ten numer.

Skończywszy kopiować tajemnicze znaki i cyfry, Rafał wręcza Marguliesowi swój numer telefonu i wychodzi, a w ślad za nim Sarah.

- No, dokąd idziemy?

- Ściąć włosy.

- Jak to? O tej porze?

Pokonują długi korytarz i drogę powrotną do głównego wyjścia, skąd kierują się do bramy budynku. Teraz dzieli ich pięćdziesiąt metrów od strażnika wpatzonego w czarno-biały monitor. W końcu wracają na Great Russell Street.

- Jeśli odwiedziliśmy znanego profesora w British Museum o wpół do trzeciej w nocy, dlaczego mielibyśmy nie obudzić fryzjera o trzeciej z minutami?

- Koniecznie musisz się teraz strzyć?

- Nie mówimy o moich włosach, kochana. Twoje są stanowczo za długie.

Są spotkania, które prędzej czy później muszą się zdarzyć.

Mężczyzna w podeszłym wieku kroczy swobodnie, lecz pewnie w tłumie nieznanym. Jest taki tłok, że jeszcze się nie zorientował, iż ktoś go śledzi. Inna sprawa, że tropiący go agent czyni to bardzo umiejętnie. Właśnie wyszli z Hilton Theatre, gdzie obejrzeli doskonały musical Chitty Chitty Bang Bang. Teraz schodzą Aleją Ameryk, zwaną też 6 Aleją, na południe. Parę metrów dalej, za skrzyżowaniem z 38 Ulicą, starszy pan wchodzi do eleganckiej kamienicy. Umundurowany portier salutuje mu z uszanowaniem.

Dotychczasowy cień starszego pana ogranicza się do obserwowania go z bezpiecznej odległości. Sprawdza numer domu i porównuje z informacjami, którymi dysponuje. Nie ma wątpliwości, to mieszkanie śledzonego.

Gdy tylko obserwowany mężczyzna znika w bramie, agent dzwoni gdzieś z telefonu komórkowego. Parę chwil później tuż obok niego zatrzymuje się czarna furgonetka. Agent wsiada. Samochód parkuje. Trzeba uzbroić się w cierpliwość.

- Tu mieszka? - pyta kierowca furgonetki ze słowiańskim, być może polskim akcentem, a potem gwizdże z uznaniem na widok przepychu rezydencji.

Mężczyzna w czarnym płaszczu przytakuje, nie odrywając oczu od luksusowego budynku.

- W Londynie poszło fatalnie, co? - pyta kierowca.

- Tak.

- Powiedz mi jedno. Dlaczego nie możemy wejść i od razu zlikwidować tego typu?

- Bo on jest kluczem.

Agent jeszcze przez chwilę wpatruje się uważnie bramę. W końcu prosi Polaka, żeby przejął obserwację, a sam wyciąga z kieszeni obrazek - to znany portret, zdjęcie Benedykta XVI, obecnego papieża. Wyciąga małą latarkę o promieniach ultrafioletowych i oświetla z bliska fotografię. Tysiące włókien precyzyjnie ukazują portret śledzonego staruszka, pogrążając w niebycie Benedykta. Kiedy gaśnie ultrafiolet, niknie ukryty portret, a na fotografii ponownie widnieje uśmiechnięty, pozdrawiający wiernych papież Ratzinger.

- On jest kluczem.

## ROZDZIAŁ 24

Aldo Moro

9 maja 1978 roku

Aldo Moro pisał właśnie list do rodziny. Był to kolejny z wielu, które wysłał w trakcie pięćdziesięciu pięciu dni od chwili porwania, gdy był przetrzymywany przez Czerwone Brygady. Pisał nawet do papieża Pawła VI i czołowych działaczy swej partii. Bo choć na pierwszy rzut oka piszący sprawiał wrażenie kloszarda, ten spokojny i pogodnego usposobienia człowiek pięć razy w swoim życiu sprawował urząd premiera Włoch.

Obecny rząd kierowany przez Giulio Andreottiego nie zgodził się na pertraktacje z organizacją terrorystyczną pokroju Czerwonych Brygad, która żądała uwolnienia więźniów skazanych za działalność lewicową. Premier dowodził, że sam porwany był przeciwny jakimkolwiek układom z podobnymi kryminalistami. Trudno było zatem przewidzieć, co może spotkać Alda Moro, który w chwili porwania, 16 marca pamiętnego 1978 roku, pełnił funkcję lidera Chrześcijańskiej Demokracji.

Od dnia porwania Moro nie widział nikogo i nie rozmawiał z nikim poza Mariem, swoim opiekunem, strażnikiem i porywaczem. Na początku Mario odnosił się do niego tak, jakby miał go przesłuchiwać w sposób bezwzględny, i porwanemu wydawało się, że stróż zamierza wydobyć od niego jakieś informacje. Szybko jednak ich spotkania przerodziły się w długie rozmowy w cztery oczy, a te

sprawiły, że były premier, mimo zdecydowanie niesprzyjającej sytuacji, w której się spotkali, zdołał zyskać głęboki szacunek Maria.

Postawa komitetu wykonawczego i działaczy jego własnej partii głęboko rozczarowała Aldo Moro. Nikt nie ruszył palcem, by mu pomóc, mimo że w listach tłumaczył, że rząd powinien się liczyć przede wszystkim z ludzkim życiem. Większość członków Chrześcijańskiej Demokracji i rządu, a nawet sam premier Andreotti, była przekonana, że Moro został zmuszony do pisania tych listów i w związku z tym nie wyrażały one jego prawdziwych opinii. Nie mieli racji.

Mario - wówczas lider Czerwonych Brygad - być może miał wybór. Mógł odstąpić od swoich żądań albo zabić Moro, osiągając to, że następne porwania niewątpliwie przyniosą właściwe rezultaty. Młodzieniec ten mógł także być tylko pionkiem w grze lub po prostu płatnym mordercą. To było bez znaczenia. Aldo Moro nie miał nadziei. Był przekonany, że nie ujdzie z tego z życiem.

W drugim pokoju tego samego mieszkania przy Via Gradoli, skąd Aldo Moro pisał swoje listy, Mario odebrał właśnie telefon. Towarzyszyło mu jeszcze trzech ludzi. Dwóch oglądało telewizję, trzeci przeglądał gazetę.

- Słucham?  
- Dzisiaj - powiedział męski głos w słuchawce. - Działajcie zgodnie z planem.  
- W porządku - przytaknął Mario.  
- Zadzwońię za godzinę. Amerykanin chce, żeby rozwiązać to jak najszybciej.  
- W porządku - powtórzył Mario i odłożył słuchawkę. -Kończymy tę zabawę, chłopcy - oznajmił towarzyszom.

- Myślisz, że to najlepsze rozwiązanie?  
- To nie zależy od nas. Nie możemy się już wycofać.  
- Ciągle mam wrażenie, że najlepiej byłoby go uwolnić. Za-szliśmy już za daleko, dalej, niż nam się kiedykolwiek mogło zamaryć. Zrozumieli nasze przesłanie, zrozumieli, o co chodzi. Wiedzą już, że nie mogą się czuć bezpieczni - powiedział jeden z terrorystów, składając gazetę.

- To nie nasza walka, Mario. Nie tego chcieliśmy - dorzucił inny, ten, który oglądał telewizję.  
- Gdy zaczynaliśmy, zdawaliśmy sobie sprawę, że to się może tak skończyć. I zgodziliśmy się - zaoponował Mario.

- Nie licz na mnie, nie pociągnę za cyngiel.  
- Ani na mnie. - Przyłączył się inny z towarzyszy, siedzący do tej pory cicho na sofie przed telewizorem.

- Powinniśmy go uwolnić. Nie jesteśmy u nikogo na służbie.  
- Nawet o tym nie myślcie. Dzisiaj wszystko się kończy. Nie wycofamy się - zakończył Mario, usiłując przekonać samego siebie, że to decyzja polityczna. Nawet nie przypuszczał, że życie Aldo Moro mogłoby zależeć od niego. Jego los został przypieczętowany już 16 marca, to była tylko kwestia czasu. Teraz nadeszła ta chwila.

Mario skierował się do sąsiedniego pokoju i przekręcił klucz w zamku. Aldo Moro siedział przy stole, pisząc list do swoich najbliższych.

- Niech pan wstaje, idziemy - rzucił rozkaz dowódca Czerwonych Brygad, ukrywając lekkie zdenerwowanie.

- Dokąd idziemy? - zapytał porwany, kończąc pośpiesznie swój list.  
- Przewozimy pana w inne miejsce - odpowiedział Mario, który w tym czasie składał koc, starając się nie patrzeć w oczy swojej ofierze.

- Mógłby pan wysłać ten list?  
- Wyślemy. - Mario wziął przesyłkę i włożył koc pod pachę.

Mężczyźni przyglądali się sobie przez krótką chwilę. Mario nie wytrzymał jasnego, szczerego spojrzenia Moro i pierwszy odwrócił wzrok. Nie trzeba było mówić nic więcej. Więzień wiedział, co go czeka w najbliższej przyszłości.

Zeszli do zaparkowanego w garażu samochodu. Moro z zawiązanymi oczami szedł z przodu, przytrzymywany przez Maria. Pozostali trzej towarzysze podążali za nimi, ze spuszczoneymi głowami,



niezadowoleni i rozczarowani decyzją, która w ich mniemaniu nie pozostawała w zgodzie z politycznymi ideami Czerwonych Brygad. Kiedy dotarli do garażu, kazali więźniowi położyć się w bagażniku czerwonego renault 4.

- Niech się pan tym okryje - rzucił twardo Mario.

Aldo Moro przykrył się podanym mu kocem. Mario stał chwilę z zamkniętymi oczyma i wydawało się, że trwa tak całą wieczność. Terrorysta usiłował przekonać swoje sumienie, że to, co ma zrobić, jest nieuniknione, że nie ma innej drogi. Nic nie zależało od niego.

Mario wyjął pistolet i wypalił jedenaście kul w koc. Żaden z jego towarzyszy nie wystrzelił.

Plan został wykonany.

## ROZDZIAŁ 25

Zbyt długie włosy Sarah obcina sam Rafael, zmieniając ją prawie nie do poznania. Robi to w hotelowym pokoju. Sarah siada na brzegu łóżka i wzdycha. To bolesne westchnienie śmiertelnie zmęczonej i zropaczzonej kobiety. A wszystko za sprawą działań nielegalnej i nieznanej organizacji, która raz na zawsze zniszczyła całą normalność w jej życiu, nawet jej włosy.

- Mam wrażenie, że teraz jestem bardziej zagubiona, niż wtedy, kiedy nic nie wiedziałam.

Rafael pozwala sobie na uśmiech.

- To naturalne.

Nastaje chwila ciszy. Rafael i Sarah szanują niepisaną umowę, by nie rozmawiać o sprawach osobistych. Mają zbyt wiele do przemyślenia, zwłaszcza Sarah. Nazwiska obce i nazwiska znajome. Żle opowiedziane historie i przerażające odkrycia, łoże masońskie, ich wielcy mistrzowie i morderstwa. I w środku tego wszystkiego jeszcze jej ojciec. Cóż to za straszny świat, w którym zaufania nie budzą nawet strażnicy wiary. Ich pobudki okazują się niskie i kłamliwe, nie cofają się przed niczym, choćby to miało być morderstwo.

- To jasne. Ten Pecorelli wysłał listę papieżowi i dlatego go zabili.

- Nie pozwól, żeby zawładnęła tobą mentalność dziennikarska. Ona wszystko psuje. Nigdy nie mówiłem, że on umarł przez listę.

- Nie mówiłeś?

- Nie.

Rzeczywiście. Rafael nigdy nie powiedział, że Jan Paweł I został zamordowany, ponieważ otrzymał listę, która w gruncie rzeczy była dość znana. Mówił tylko, że znajdowała się ona w jego dłoni, kiedy umarł. Według wszelkiego prawdopodobieństwa następstwa zdarzeń związanych z feralnym wykazem nazwisk doprowadziły do śmierci Ojca Świętego.

- Błędne przypuszczenia zawsze są przyczyną problemów -zawyrokował tajemniczo Rafael. - Organizacje związane z P2 i sama łoża wiedziały, że Pecorelli już wcześniej rozpowszechnił tę listę. Pecorelli próbował szantażować Gellego, to pewne, a taka gra z nim była zbyt niebezpieczna. Dziennikarza znaleziono martwego w marcu 1979 roku, z dwiema kulami wystrzelonymi w usta. Przypisanie tej zbrodni Gellemu było stosunkowo łatwe, ale udowodnienie tego już nie. Poza tym znacznie trudniej było dojść do tego, kto był prawdziwym capo, kto zlecił tę zbrodnię.

- Mogę tylko przypuszczać, że w tym spisku maczał palce były premier - podsumowuje Rafael.

- Premier? - dziwi się Sarah. - Boże, cóż to za kraj?!

- Taki sam jak każdy inny - odpowiada Rafael. - Gdybyś знаła choćby połowę okropności, które dzieją się w twoim kraju i w każdym innym na naszej planecie, nie wyszłabyś z szoku przez rok. Wykazy P2 nie są niebezpieczne same w sobie - ciągnie swój wykład Rafael - pod warunkiem że nie są dowodem na to, jak funkcjonowała polityka Włoch, Europy i świata w ostatnich trzydziestu latach. Ten sam premier

zamieszany był w operację „Gladio”, działania paramilitarnej i terrorystycznej struktury powołanej do życia przez CIA i MI6 tuż po drugiej wojnie światowej na wypadek agresji Związku Radzieckiego na Europę. Później, w latach sześćdziesiątych, organizacja skupiała swe wysiłki na uniemożliwianiu partiom lewicowym dochodzenia do władzy w krajach Europy Zachodniej i Ameryki Południowej. Przez wiele lat sieć ta była utrzymywana i wspierana przez CIA, NATO, przez wywiad brytyjski i inne zachodnie instytucje. We Włoszech Gladio przeprowadziła zakrojoną na szeroką skalę akcję, którą nazwano strategią napięcia. Ogólnie rzecz ujmując, polegała ona na finansowaniu lewicowych grup terrorystycznych, których działalność miała odstręczać obywateli od udzielania demokratycznego poparcia partiom lewicowym. W ramach owej strategii napięcia Gladio wsparła, sfinansowała i zrealizowała krwawe zamachy na Piazza Fontana w 1969 i w Peteano w 1972 roku. Europejska siatka Gladio działała w Grecji, Turcji, Hiszpanii, Argentynie, Francji, Niemczech i w wielu innych miejscach. Cel zawsze był ten sam: rozprzestrzeniać rzekomo komunistyczny terror i tworzyć klimat sprzyjający konserwatyzmowi, a nawet skrajnej prawicy. Spisek odkrył w 1990 roku ówczesny premier Giulio Andreotti i siatka Gladio została osądzona, skazana i napiętnowana w atmosferze światowego skandalu. W trakcie przesłuchań sądowych na jaw wyszły także nadużycia P2, która, jak się wydawało, była poważnie zaangażowana w ten proceder. To logiczne: P2 i Gladio miały wspólne faszystowskie korzenie. Jeden z niebezpiecznych szczegółów tej działalności dotyczył powiązań Gladio, P2, Czerwonych Brygad i zamordowania Alda Moro. O tym wszystkim Pecorelli wiedział znacznie wcześniej. Wiedział, że Czerwone Brygady, owszem, były lewicową grupą terrorystyczną, ale manipulowaną, albo nawet powołaną do życia przez Gladio i P2. Niektórzy uważali, że były w dużym stopniu infiltrowane przez CIA. Realizując swoje zadania, grupy te w 1978 roku podjęły wspólną inicjatywę porwania Alda Moro. W tym samym roku - kończy swój historyczny wywód Rafael - Aldo Moro doprowadził do tak zwanego historycznego kompromisu, czyli uzyskania długofalowego poparcia Komunistycznej Partii Włoch dla chadeckiego rządu kierowanego przez Giulio Andreottiego.

Sarah znowu przysiadła na brzegu łóżka, załamana z powodu ciężaru pogmatwanej sieci intryg, korupcji i manipulacji, którą przedstawił jej Rafael. Patrzy uważnie na swego towarzysza, nerwowo splatając dłonie.

- Przyniesiesz mi coś do picia?
- Pewnie.

Wstaje i podchodzi do minibarku, usytuowanego tuż obok drzwi. Wraca z butelką wody i napojem gazowanym.

- Jeśli P2 uczestniczyła w operacji „Gladio” razem z CIA i innymi - Sarah stara się powiązać w całość poszczególne wątki tej gmatwaniny - to znaczy, że międzynarodowe służby wywiadowcze nie tylko dobrze wiedziały o istnieniu tej organizacji, ale także wchodziły z nią w układy. Dobrze myślę?

- Doskonale. Tylko lepiej w tym wypadku będzie powiedzieć „wchodzą z nią w układy”. CIA dalej wspiera P2. Mówi się o dotacjach rządu jedenastu milionów dolarów miesięcznie. Wpompowują w nich kupę forsy.

- Nawet teraz?

- Nawet teraz. Cała ta sieć kłamstw i manipulacji miała swój początek zaraz po drugiej wojnie światowej. Tuż po jej zakończeniu zapanowała atmosfera totalnego braku zaufania; Związek Radziecki okopał się i zamknął na świat wraz z krajami satelickimi Układu Warszawskiego, wpadając w panikę przy każdej próbie destabilizacji politycznej podejmowanej przez państwa zachodnie. Za to kraje demokratyczne bały się misternych machinacji KGB i sowieckich służb specjalnych. Związek Radziecki i jego własne albo powiązane z nim agencje łądowały astronomiczne sumy w partie komunistyczne, a nawet grupy terrorystyczne na Zachodzie. Natomiast służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej

Brytanii i innych krajów demokratycznego Zachodu robiły, co w ich mocy, by zapobiec dojściu do władzy partii lewicowych. Żeby ten cel osiągnąć, nie cofały się przed współpracą z lożami masońskimi, różnymi organizacjami terrorystycznymi, grupami faszyzującymi, w gruncie rzeczy z każdym, kto mógł być użyteczny.

- Łoże masońskie, politycy, wojskowi, tajne służby... Kto nami tak naprawdę rządzi?
  - Teoretycznie jesteśmy wolnymi obywatelami.
  - Tak, ale kto rządzi? Władze, które wybieramy w sposób demokratyczny, są manipulowane przez służby specjalne?
  - Niezła teza.
  - Teza, która chciałaby być tylko pytaniem.
  - A jest odpowiedzią.
  - I to jest dobijające.
  - Nie myśl o tym.
  - Uważasz, że to takie łatwe.
  - Spróbuj po prostu myśleć o przyjemniejszych rzeczach.
- Sarah odstawia butelkę i rozciera niecierpliwie dłonie. „Co za gigantyczna góra kłamstw!”
- To jest dobijające - powtarza. - Co teraz?
  - Zobaczymy się z twoim ojcem.
  - Gdzie? Jest w Londynie?

Rafael wstaje i wyciąga z kieszeni marynarki telefon komórkowy. Wybiera numer i czeka. Kiedy po drugiej stronie ktoś odbiera, odzywa się płynnie po niemiecku.

- Hallo. Ich benötige einige Pässe. Ich bin dort in fünf Minuten\*.

\* Dzień dobry, potrzebuję paszportów. Będę za pięć minut.

## ROZDZIAŁ 26

- Do kogo dzwoniłeś przed chwilą? - pyta Sarah, siedząc znów w jaguarze, tym razem obok kierowcy.
- Do pewnego Niemca, który zrobi ci paszport.
- Tylko mnie?
- Tak, ja już mam kilka.
- To zaufany człowiek?
- Nie.
- Jak to?
- Zwyczajnie. Po prostu nie jest do końca pewny. Tacy fałszerze jak on działają tylko dla pieniędzy, tylko to nakręca ich interes. Za pieniądze powie wszystko.
- Ale...
- Ale powie tylko wtedy, gdy mu zapłacą. Jeśli myślisz, że polecą nas wsypać, to jesteś w błędzie. Możesz być spokojna.
- Tak, uspokoiłam się - ironizuje dziewczyna.
- I tak trzymaj.

Podróż jest krótka, nie trwa nawet pięciu minut, wliczając w to czas, który potrzebują na znalezienie miejsca do parkowania przed tłumnie odwiedzanym i głośnym pubem.

Wchodzą na trzecie piętro sąsiedniej kamienicy. Rafael naciska dzwonek. Drzwi otwierają się gwałtownie.

- Cześć, jak leci? - wita ich wylewnie Niemiec.
  - Nieźle, a tobie?
  - Świetnie. Wejdźcie.
  - Mam wrażenie, że jesteś najlepszy - mówi Rafael, wchodząc i mrugając okiem do Niemca.
- Hans nie ma więcej niż dwadzieścia lat. Jego fałszywki, poza tym że są szybkie i czyste, posiadają tę

zaletę, że nie wzbudzają podejrzeń w żadnym punkcie kontroli granicznej - jak dotąd.

- Dobra, stary, czego potrzebujesz?
- Paszportu dla tej pani.
- Paszportu dla „tej pani”, niezła gadka.

Chłopak łapie za aparat fotograficzny i bierze Sarah za rękę.

- Oprzyj się tutaj.

Jedna ze ścian jest specjalnie przygotowana do zdjęć paszportowych, pomalowana na neutralny niebieski kolor.

- Nie uśmiechaj się.
- Proszę?
- Nie uśmiechaj się. Na zdjęciach paszportowych nie można się uśmiechać.
- No, dobra.

Sarah robi poważną minę, może zbyt poważną, a Rafael w tym czasie przygląda się ścianie obwieszanej zdjęciami.

- Kim są ci ludzie?
- To wszyscy, którzy się przewinęli przez ten lokal.
- Masz niezłą kartotekę.

- Nie narzekam. - Podłącza aparat do komputera i zabiera się do pracy. - Życzysz sobie jakiś konkretny kraj, jakieś konkretne nazwisko?

Sarah jest zakłopotana. Nie pomyślała o tym.

- Sharon Stone - odpowiada za nią Rafael.
- To mi się nawet podoba, stary. Mam wrażenie, że znam kogoś, kto się tak nazywa.

„Niezły burak” - myśli Sarah.

- A jeśli chodzi o kraj, którykolwiek ze strefy Schengen.
- Okay, man. Masz pięć kawałków?

Sarah podchodzi do Rafaela.

- Skąd znasz tego gościa? - pyta szeptem.
- Nie znam go. Znam kogoś, kto go zna.
- Można by przysiąc, że jesteście kumplami od lat.
- Ale nie jesteśmy.

Hans zajmuje się przygotowaniem paszportu; stukając w klawiaturę komputera, retuszuje zdjęcie ściągnięte właśnie z aparatu. Chwilę później wstaje i otwiera szafę. Namyśla się i wyciąga kilka czystych paszportów różnych państw.

- Będziesz się szlajać tylko po Europie, mała?
- Dobre pytanie. Może będziemy musieli jechać do Stanów - wtrąca Rafael w zamyśleniu.

Sarah patrzy na niego zaintrygowana.

- Do Stanów?
- Dobra, stary, to zrobię jeden francuski, a drugi amerykański. Francuski na Europę, a ten drugi na drugi brzeg wielkiej kałuży. Może być?

- Dla mnie bomba.

Sarah obserwuje, jak Hans wyjmuje z szafy dwa paszporty, amerykański i francuski.

- To są autentyczne dokumenty?
- A jak myślisz, dlaczego ich nigdy nie namierzają? - odpowiada Hans, jakby jej pytanie było idiotyczne.

- Moja droga, tu przychodzisz prawie jak do ambasady, z tym że usługa obejmuje dodatkowo wybór imienia i ojczyzny - mówi Rafael. - No, to oczywiście podnosi koszty.

- Jakość, stary. Za jakość się płaci - podkreśla Hans.

Dzwoni telefon Rafaela.

- Słucham...? Wszystko idzie dobrze... Nie ma problemu... Gdzie? Musimy zająć jeszcze w jedno

miejsce i zaraz potem wyjeżdżamy.

- Kto to był?
- Dlaczego uważasz, że muszę ci się stale ze wszystkiego tłumaczyć?
- Facet, jesteś moim hero - przerywa Hans, zachwycony odpowiedzią Rafaela. Wkłada paszporty do specjalnej drukarki, przykłada coś w rodzaju skanera i zamyka pokrywę. - Dziesięć sekund i gotowe, moi drodzy.

## ROZDZIAŁ 27

Geoffrey Barnes znów rozmawia przez telefon. Tym razem po angielsku. Nie znoszący sprzeciwu ton jego głosu wskazuje, że nie jest to rozmowa z przełożonym. Nie korzysta z czerwonego aparatu, za pomocą którego komunikuje się z prezydentem Stanów Zjednoczonych, ani też tego, przez który rozmawiał z Włochem. Używa teraz aparatu służącego mu do wydawania rozkazów i kontrolowania działań operacyjnych. Dwadzieścia siedem lat służby i nieposzlakowany życiorys pozwalają na pewne udogodnienia. Niewątpliwie jedyną pasją Barnes'a jest praca. Ponad wszelką wątpliwość jedną z najważniejszych zalet jego pozycji zawodowej jest to, że nie musi wychodzić w teren, ale może dowolnie poruszać pionkami na szachownicy z miejsca wyposażonego w klimatyzację i nienarażonego na poważniejsze niebezpieczeństwo.

Rozmawia z szefem operacyjnym. Komentują przebieg akcji.

- Zniknęła? - Barnes nie chce ani nie może wywołać u podwładnych wrażenia, że stracił kontrolę nad sytuacją. Prawdę mówiąc, w głębi jego duszy coraz silniej kiełkuje przekonanie, że ta misja jest bezsensowną łamigłówką. Ku swemu zaskoczeniu właśnie dowiedział się, że dziewczyna wyparowała, dokładnie wtedy kiedy agenci już byli na jej tropie, na jednym z najludniejszych placów Londynu. Włoch kazał mu trzymać swoich ludzi w odwodzie, podczas gdy specjalna grupa będzie neutralizować cel. Nie ma wątpliwości, że taka wpadka będzie miała konsekwencje. Poza tym stawia pod znakiem zapytania znaną niezawodność jego agentów. - Wtyczka? Podwójny agent? - „Cholerny świat”, myśli. - W porządku, niech ich szukają. Przecież nie mają czapek niewidek.

Odkłada słuchawkę i z rękami pod głową wyciąga się na fotelu. Bierze głęboki oddech. „Jeśli się nie znajdują, mamy przerąbane” - mówi do siebie.

- Sir? - Staughton wpada w pośpiechu do gabinetu.
- No, co tam, Staughton.
- Sir, jesteśmy ciągle w odwodzie czy możemy już działać?

Barnes zastanawia się przez chwilę, nie za długo, by nie pomyślano, że jest niezdecydowany. Tutaj wszystko jest interpretowane, nawet milczenie.

- W tym momencie obaj mamy wędkę. Pierwszy, który zobaczy rybę, łowi.
- Rozumiem - odpowiada Staughton. - Przechwyciliśmy ciekawą rozmowę telefoniczną z British Museum na policję.

## ROZDZIAŁ 28

Jaguar pędzi z powrotem w kierunku British Museum. Sarah patrzy przed siebie, zamyślona i zirytowana.

- Nie licz na to, że cię przeproszę - mówi Rafael, może trochę z poczuciem winy z powodu zdania, które wyrwało mu się u Hansa. Jeśli chciał załagodzić sytuację, nie wybrał najlepszego sposobu, bo nie

tego Sarah oczekuje.

- Mylisz się - odpowiada dziewczyna, patrząc na niego tak intensywnie, że Rafael odwraca wzrok i skupia się na drodze.

- Mylę się?

- Nie oczekuję, żebyś mnie przeproszał.

- Nie?

- Nie. Interesują mnie konkrety.

- To już wiem.

- Czyżby?

- Tak, wiem. Odpowiedziałem ci w ten sposób, bo melina fałszerza nie jest najwłaściwszym miejscem do robienia planów i dzielenia się wiadomościami.

- A teraz powiesz mi, kto dzwonił?

- Twój ojciec.

- Mój ojciec? I czego chciał? - Ciekawość Sarah jest tak ogromna, że złości się na samą siebie.

- Chciał wiedzieć, jak nam leci.

- I jak nam leci?

- Dość dobrze, jak na naszą sytuację - odpowiada Rafael, nie odrywając oczu od drogi.

Sarah też przygląda się linii asfaltu w milczeniu. Jak to możliwe, żeby życie legło w gruzach w godzinę albo w sekundę? Wczoraj jeszcze miała zupełnie normalne życie, a dziś nawet nie wie, gdzie ma się podziać.

- Jeśli CIA finansuje P2, można przypuszczać, że znała plan zamordowania papieża. Czy to tylko dziennikarskie przypuszczenie?

- To dobre przypuszczenie.

- Jaki interes miałyby CIA w zlikwidowaniu papieża?

- To wymagałoby skomplikowanych wyjaśnień.

- Doskonale wiem, że to wszystko jest bardzo skomplikowane. Ale zadaj sobie ten trud, proszę.

Rafael przygląda się jej kilka sekund, potem wzdycha i znowu koncentruje się na drodze. Po chwili zaczyna mówić:

- Jeśli przestudujesz mapę geopolityczną świata ostatnich sześćdziesięciu lat, nie znajdziesz na niej ani jednej zmiany, w której nie brałaby udziału CIA i, w konsekwencji, Stany Zjednoczone. W tym czasie nie zdarzyła się żadna rewolucja, przewrót czy morderstwo na najwyższym szczeblu, w których nie maczałyby palców CIA.

- Na przykład?

- Przykład pierwszy z brzegu. Salvador Allende w Chile. Zabity w trakcie przewrotu wojskowego kierowanego przez Pinocheta, którego działalność w całości finansowała CIA. W Indonezji Sukarno odsunięty od władzy z powodu współpracy z komunistami. Amerykanie pomogli wojskowym dowodzonym przez Suharta zrujnować go zupełnie. Ponad milion rzekomych komunistów straciło życie w czystkach przez nich finansowanych. W Zairze wynieśli do władzy Mobutu, w Iranie operacja „Ajax” doprowadziła do zrzucenia ze stołka premiera Mohammeda Mossadegha, wybranego demokratycznie, i przywróciła do władzy szacha. W Arabii Saudyjskiej manipulowali mapą, jak chcieli.

- No i jest Irak - dodaje Sarah.

- Tak, to aż nazbyt oczywisty przykład. CIA potwierdzała, że istnieje tam broń masowego rażenia. Mogli chociaż ją podłożyć, żeby potem udawać, że coś znaleźli. Ja przynajmniej tak bym zrobił.

- Mają tam teraz za swoje.

- Nie. Teraz za błędy organizacji, które działają na własną rękę bez poparcia obywateli, płacą niewinni ludzie. CIA odpowiada tylko przed sobą.

- Wszyscy jesteśmy potencjalnymi ofiarami terroryzmu.

- To oni wymyślili terroryzm. I to oni są ofiarami tej broni, a i my przy okazji.
- Sarah niespokojnie poprawia się na siedzeniu.
- Zatem papież był po prostu jedną z ofiar.
  - Niestety. P2 potrzebowała tej ofiary, a CIA było wszystko jedno. Tak samo było z Aldem Moro. Jest tylko jedna osoba na świecie, której CIA nie udało się zlikwidować, mimo wielu prób.
- Sarah patrzy na Rafaela z zainteresowaniem.
- To Fidel Castro.

## ROZDZIAŁ 29

Jak wiadomo, Geoffrey Barnes zwykł poruszać pionkami na szachownicy swoich operacji, nie wychylając nosa z gabinetu usytuowanego na trzecim piętrze budynku w centrum Londynu. Mimo to rozmowa z pewnym abonentem telefonicznym mieszkającym w Rzymie, a dokładniej przy Via Veneto, sprawia, że wstaje z fotela i postanawia osobiście pokierować akcją. W praktyce Barnes musi wsiąść do jednego z samochodów agencji i pozwolić się eskortować przez trzy inne auta, po to by móc towarzyszyć agentom wykonującym działania operacyjne w strefie krytycznej.

- Wyjeżdżam - zakomunikował mu głos z Rzymu. - I życzę sobie, żeby sprawa została załatwiona, zanim wrócę. Zajmij się, pan, tym osobiście, albo stracisz stołek.

Niewiele osób może się zwracać do niego w ten sposób. Te, które to czynią, mają tak absolutną władzę, że Barnes nie jest w stanie się im przeciwstawić. Ogranicza się do skinięcia głową i wymamrotania: „Jasne, zrozumiałem”, żeby nie zostawiać miejsca na wątpliwości, czy wykona każdy rozkaz.

- Daję panu carte blanche - takie były ostatnie słowa rzymskiego rozmówcy. Uprawniono Barnesa do robienia, co tylko mu się podoba, do poprowadzenia rozgrywki wedle swego widzimisię, byle tylko ostateczne szach-mat nastąpiły jak najszybciej.

Dlatego w tej właśnie chwili Geoffrey Barnes z pistoletem w kaburze rozsiada się na tylnym siedzeniu okazałej limuzyny, oglądając po drodze migoczące za szybą światła ulicy. Jak to możliwe, że mieli wtykę tak wysoko?

„To się źle skończy” - myśli. Chwilę później usiłuje odpędzić od siebie złe przeczucia. Zrobi to, co do niego należy. Nie pozwoli, żeby jakaś gówniara w towarzystwie podwójnego agenta psuła mu opinię w oczach przełożonych. Skończy się to źle, ale dla celu, znanego jako Sarah Monteiro, i przy okazji dla jej wybawcy. „Niech cię szlag trafi! Jak mogłeś posunąć się do czegoś takiego?” - złości się w duchu. Bierze krótkofalówkę i rozpiera się na siedzeniu, przyjmując władcą pozę. Zbliżają się już do miejsca przeznaczenia i trzeba mądrze rozstawić pionki w grze, tym razem dołączając do towarzystwa na szachownicy.

- Zatrzymajcie się w rozsądnej odległości. Nie możemy dać się rozpoznać.
- Roger that - słyhać w odbiorze.

## ROZDZIAŁ 30

Agent ciągle jeszcze siedzi w czarnej furgonetce, zaparkowanej przy Alei Ameryk w Nowym Jorku. Odbiera każde połączenie przychodzące. Mógłby to być telefon od szefa, a takiemu rozmówcy w żadnym wypadku nie można kazać czekać. Właśnie dzwoni Maestre. Rozmowa znów prowadzona jest po włosku, choć właściwie trudno mówić o dialogu, ponieważ mężczyzna w furgonetce w trakcie niezwykle pilnego

wsluchiwania się w rozkazy, informacje i najnowsze wieści ogranicza się do krótkich wykrzyknień i przytaknięć.

Umiejętność przekazywania informacji w sposób syntetyczny jest wrodzoną zdolnością Maestre, który w kilka sekund potrafi przybliżyć wszystko w sposób doskonale zrozumiały i niebudzący u słuchacza najmniejszej nawet wątpliwości. Słuchający czuje się tak, jakby rozmawiał z Bogiem. Choć chciałby go spotkać osobiście, już sama myśl o nim sprawia, że ciarki przebiegają mu po plecach. Ile razy w życiu zdarza się coś takiego?

Wyłącza telefon, poddając się na moment pewnemu rodzajowi ekstazy. Po chwili jednak wraca do wyuczonej powagi. Nie chce,

by koledzy - w tym wypadku kierowca furgonetki - nakryli go w takim stanie.

- Są jakieś wieści? - Kierowca furgonetki czuje głęboki szacunek dla Maestre, z którym nigdy jednak nie miał okazji rozmawiać. Szacunek przeradza się w strach, kiedy dostrzega niewypowiedziane uwielbienie, jakie maluje się na twarzy jego towarzysza, a jednocześnie bezpośredniego szefa, czło wieka pozbawionego sentymentów. - Jakież wieści? - pyta raz jeszcze.

- Sprawy w Londynie znowu się posypały.
- Tak trudno zlikwidować tę cholerną babę? Przecież pomaga im CIA!
- Mieliśmy wtyczkę.
- Kto to był? U nas, w gwardii?

Mężczyzna w czarnym płaszczu nie odpowiada od razu. Patrzy na płynny ruch miasta, które nigdy nie zasypia, migające światła neonów, reklamy zapraszające do nieograniczonego wydawania pieniędzy. Wszystko dla pieniędzy. Dla pieniędzy pracują ci, którzy pilnują wejścia do budynku. Nawet porwanie w Rzymie było dla pieniędzy. Podobnie jak zlikwidowanie ojca Pablo w Buenos Aires. Nic za darmo, bo ideały nie napełnią niczyich żołądków.

- Jack - mówi w końcu.
- Jack? To pewne?
- Uciekł z nią. Nie pojawił się od tego czasu, a poza tym sprzątnął Szewczenkę.
- Swojego kierowcę?

Szef tylko przytakuje ruchem głowy.

- Pieprzony skurwysyn - przeklina mężczyzna za kierownicą. - Jack? Kto by pomyślał? To bardzo komplikuje niektóre sprawy.

- Cholernie komplikuje. Tak, że sam Maestre tu jedzie.

## ROZDZIAŁ 31

- Chcemy się widzieć z profesorem Marguliesem - mówi mężczyzna do pracownika ochrony czuwającego w strażnicy znajdującej się przy samej bramie wejściowej do British Museum.

- Profesor Margulies jest bardzo zajęty. Kogo mam mu zapowiedzieć?

- Jesteśmy z policji, dzwoniło do nas.

- Tak, tak, to ja dzwoniłem. Proszę wejść. - Dumny z dobrze spełnionego obowiązku strażnik otwiera bramę mężczyźnie pod krawatem i jego pięcioosobowej obstawie. - Szybcy jesteście. Nie minęło nawet dziesięć minut od mojego telefonu. Czemu nie w mundurach?

- Nie jesteśmy oddziałem mundurowym - odpowiada najgrubszy z nich i pokazuje legitymację służbową bardzo szybkim gestem, który jednak zadowala strażnika żującego gumę. - Wiemy, że były tutaj dwie osoby, dwoje podejrzanych.

- Dlatego zadzwoniłem - mówi strażnik. - To znaczy jeśli chodzi o faceta, to nie wiem, czy jest przestępcą, nie pierwszy raz go tu widziałem. Ale kobieta, od razu rozpoznałem, z komunikatu w lokalnej telewizji. To ta Portugalka, która zabiła jakiegoś gościa.



- Kiedy pan dzwonił, mówił pan, że przyszedli do niejakiego Margulies, profesora Margulies, zgadza się?

- Tak. To jeden z głównych konserwatorów w muzeum.
- Wie pan, z jakiego powodu chcieli się z nim widzieć? - Pytania zawsze zadaje najgrubszy.
- Nie mam pojęcia.
- Dobrze. Może nas pan zaprowadzić do jego gabinetu?
- Jasne. Proszę za mną.

Cała szóstka podąży gęsiego za strażnikiem, tłusciuch pierwszy, a za nim reszta. Docierają do gabinetu, gdzie pracuje Joseph Margulies, pogrążony w swoich kryptologicznych rozważaniach.

Uśmiech strażnika, dumnego z doskonale wykonanego zadania, zdradza pełnię jego satysfakcji. To była niezła akcja. Dobrze, że zaraz zadzwonił pod numer, który wyświetlił się u dołu ekranu. „Policja miejska prosi wszystkich, którzy widzieli osobę z fotografii, o telefon z informacją na numer 0202...” Szukają młodej dziennikarki, która była świadkiem strzelaniny. Dziewczyna była tak anielsko piękna, że zapamiętał sobie dobrze jej twarz. Nie przeszło mu nawet przez myśl, że może ją zobaczyć już chwilę później. Na jej widok zupełnie zgłupiał. Jednak z początku nie śpieszył się z dzwonieniem. Nawet bał się trochę o bezpieczeństwo profesora Margulies. Dlatego pilnował ich z rozsądnej odległości. Chwilę później zobaczył, że wychodzą. „Cholera - pomyślał. - Przepadło”. Nawet poszedł na górę, żeby zobaczyć, co da się zrobić. Profesor ze zmarszczonym czołem przeglądał książki, całkowicie pogrążony w swoich rozmyślaniach.

- Wszystko w porządku, profesorze?
- W najlepszym, Dobins.
- Potrzebuje pan czegoś?

- Nie, dziękuję. Może pan wracać na posterunek. Sprawdzam coś dla przyjaciela - odpowiedział Margulies, nie odrywając wzroku od książek i papierów. - Wrócą za chwilę, niech ich pan wpuści.

Nie mogło być lepiej. Dziewczyna miała pojawić się tu jeszcze raz. To była jego szansa. Jego życiowe pięć minut. Już widział, jak udziela wywiadów wszystkim stacjom telewizyjnym. Może nawet przełożeni nagrodzą go awansem albo podwyżką, no i w ogóle.

Strażnik przejęty swoją rolą, zatrzymuje się przed drzwiami gabinetu, w którym pracuje Joseph Margulies.

- To tutaj.

Sekundę później gruby przystawia strażnikowi do głowy pistolet z tłumikiem i oddaje dwa strzały.

- Zabierzcie go - rozkazuje. Zaraz potem otwiera drzwi i wchodzi do pomieszczenia. - Profesor Margulies? Geoffrey Barnes, bardzo mi miło.

## ROZDZIAŁ 32

Wokół British Museum panuje spokój, Rafael parkuje w tym samym miejscu, co poprzednio. Kolejny raz pokonują dystans, który dzieli ich od bramy muzeum. W budce strażniczej nie ma nikogo. Rafael naciska guzik dzwonka. Czekają.

Sarah jest zadumana. Rafael nie musi się zbytnio wysilać, żeby odgadnąć, jakie myśli obsesyjnie chodzą jej po głowie. Usiłuje przetrwać rozmowę, którą przed chwilą zakończyli.

Wreszcie pojawia się strażnik, tym razem łysy mężczyzna, który biegnie od strony budynku.

- O co chodzi?

- Czekają na nas profesor Margulies - odpowiada Rafael. Mężczyzna przygląda im się kilka sekund z niechęcią.

- Proszę wejść.

Sarah nie podoba jej się maniera łysiego typu, obalające jej prywatną teorię, że wszyscy łysi są dobrymi

ludźmi. Kolejny mit, który sięga bruku tej nocy, kiedy wszystko, co uznawała dotąd za pewnik, dokonało żywota. A winny temu jest niejaki Firenzi - on zapewne żyje sobie w błogiej nieświadomości konsekwencji świeżo nabytej przez Sarah wiedzy.

Rafael zdąża szybkim i pewnym krokiem do pomieszczenia, w którym zostawili profesora.

- Wiesz, czy profesorowi udało się odszyfrować wiadomość? - pyta szeptem Sarah, żeby nie burzyć panującej wokół podniosłej ciszy.

- Nie wiem, ale gdyby mu się udało, zadzwoniłby do nas.

- To takie skomplikowane?

- Nie wiem.

- Tekst sprawia wrażenie nabazgranego w pośpiechu, coś w stylu notatek dziennikarskich z konferencji prasowej. Autor nie miał chwili do stracenia.

W tym samym momencie Rafael otwiera drzwi do gabinetu Marguliesa, nie przypuszczając nawet, jaką ujrzy tam scenę. W pomieszczeniu siedzi trzech ubranych na czarno mężczyzn. Między nimi jest profesor Margulies, z twarzą zakrwawioną i pokrytą siniakami.

- Witaj, Jack - mówi gruby.

- Kopę lat, Barnes - odpowiada spokojnie Rafael.

„Jack?” - dziwi się Sarah, zaskoczona nowym imieniem, ale jej myśl natychmiast ulatuje, bo widzi, jak jeden z dwóch osiłków w garniturach, którzy nagle wyrosli za nimi jak spod ziemi, zadaje Rafaelowi potężny cios w kark.

Mężczyzna upada, ale nie traci przytomności. Instynktownie kładzie dłoń na karku, tam gdzie go uderzono.

- A szanowna pani to nikt inny jak sławna Sarah Monteiro - konstatuje Geoffrey Barnes swobodnie rozwalony na krześle.

Kiedy Sarah czuje, że uwaga zgromadzonych, a szczególnie jednego z nich, tego bardzo niesympatycznego, koncentruje się na niej, jej nogi stają się nagle jak z waty.

„Geoffrey Barnes?” Strach kompletnie ją paraliżuje. Przypomina sobie słowa Rafaela: „Prędej czy później nas znajda.”

Wszystko zależy od kart, jakimi wtedy zagramy”. Przerazenie odbiera jej zdolność racjonalnego myślenia. Może dlatego dziewczynie wydaje się przez moment, że nie ma pod ręką żadnej karty przetargowej.

- To nie Sharon Stone? - pyta profesor Margulies, dysząc z bólu.

Barnes wybuchając szalonym śmiechem, który Sarah wydaje się odrażający niczym rechot najbardziej zwyrodniałego złooczyńcy z filmu grozy.

- Sharon Stone? Zapewniam pana, że to nie Sharon Stone. Dawaj papiery - rozkazuje.

„Papiery?” Sarah patrzy na Rafaela, który z trudem wstaje. Jeden z mężczyzn, ten, który go uderzył, korzysta z okazji i łapie go za kołnierz płaszcza. Drugi w tym czasie go przeszukuje. Zabierają mu dwa pistolety z tłumikiem i zadają kolejne ciosy w twarz, Rafael powtórnie upada na ziemię.

Geoffrey Barnes przygląda się Sarah.

- No i co z tymi papierami?

Sarah dostrzega światelko w tunelu. Jasne, że ma kartę przetargową. Zaraz się okaże, czy na coś się przyda.

- Są w bezpiecznym miejscu - głos Sarah nie brzmi jeszcze tak pewnie, jak by chciała. Jego lekkie drżenie zdradza kruchość karty, którą właśnie trzyma w dłoni.

- Niech mnie pani nie rozśmiesza. A przede wszystkim niech pani nie marnuje mojego cennego czasu.

- A cóż pan myśli, że przyszedłem tu z listą, żeby ją dać byle komu? Za kogo pan mnie uważa?

- Pani nie wiedziała, że tu będziemy. Zaczynam tracić cierpliwość.

- To ja zaczynam tracić cierpliwość.

„Kopiesz sobie własny grób, ale teraz już nie możesz się cofnąć” - mówi sobie w duchu Sarah,

zmartwiona, lecz pewna swojej decyzji trwania w oporze. I brnie dalej:

- Ma pan niezły tupet! Żeby mnie mieć za idiotkę? Wiedziałam doskonale... - zaczyna jej brakować słów - wiedziałam, że prędzej czy później nas znajdziecie. To była tylko kwestia czasu.

Rafał przygląda się jej z zaciekawieniem, jak na razie z pozycji wykluczonego z gry. Mina Barnes zdradza głęboki namysł. Ani na moment nie spuszcza wzroku z Sarah. Ta ostatnia wolałaby zaś prowadzić konwersację bardziej w jego stylu, bez strachu, który wyciera z każdego jej słowa i trawi ją od środka. Bez strachu przez nim, strachu przed wszystkim i przed wszystkimi.

Barnes odwraca głowę w kierunku jednego ze swoich agentów, który odcina więźniom drogę ucieczki.

- Przeszukaj ją.

„No, to po sprawie” - myśli Rafał, przyparty do nogi jednego ze stołów w pomieszczeniu.

Jeden z ludzi Barnes, ten który uderzył Rafała, podchodzi do Sarah. Dziewczyna sztywnieje i podnosi ramiona, przygotowując się na przeszukanie. Mężczyzna dotyka ciała dziewczyny z całkowitą swobodą. Brakuje tylko, żeby wpakował jej ręce pod bieliznę. Zresztą nie daruje sobie i tego.

- Czysta - informuje szefa, oddalając się od Sarah z miną profesjonalisty.

Rafał patrzy na Sarah jeszcze bardziej zaintrygowany. „Czysta?” - dziwi się w duchu.

Barnes zastanawia się dłuższą chwilę nad kolejnym krokiem.

Niepokój nie opuszcza Sarah. Dotarli do najważniejszego rozdroża, do punktu, z którego nie ma już odwrotu.

Barnes wybiera inną opcję - spróbuje zatoczyć koło i osiągnąć dokładnie ten sam cel. Trzeba dać dziewczynie odetchnąć, niech się zrelaksuje przez parę minut.

- Zostawmy te papiery.

Sarah próbuje się trochę uspokoić. Przez całą dzisiejszą noc stąpa po linie nad przepaścią, i to po omacku. W tej właśnie chwili nadszedł najtrudniejszy moment, nie może się ugiąć, musi wytrzymać.

- Jak zapewne wiecie, w tym pomieszczeniu profesor Margulies oddawał się poruczonemu przez was zadaniu. Ustaliliśmy, że on nie ma papierów, których szukamy. Ma za to książki o tematyce kryptologicznej, co jest pewną wskazówką. Czy wie pani, co jest w podręcznikach kryptologii?

- Informacje o kryptach? - Barnesowi puszcza nerwy, kiedy słyszy prowokującą odpowiedź Sarah. Pierwszy raz wstaje i dwoma szybkimi krokami zbliża się do dziewczyny. Sarah dostaje potężny cios w twarz. Ból pojawia się natychmiast i zaraz potem język wyczuwa smak krwi. Cienka czerwona strużka wycieka z kącika ust.

„Drań”. Oczywiście natychmiast wilgotnieją. Ale Sarah nie pozwala sobie na ani jedną łzę. Nie chce okazywać słabości.

- W krypcie, moja droga, sama się znajdziesz, i to niebawem - cedzi przez zęby Barnes, patrząc na nią z tą samą niechęcią, co wcześniej. Zaraz potem wraca na swoje krzesło i rozsiada się na nowo. - Ponieważ już sobie wyjaśniliśmy ten punkt programu, pozwól, że przypomnę ci, co się zdarzyło. Dostałaś coś więcej niż papiery. Zaszifrowaną wiadomość, której, jak sądzę, twój ograniczony mózdzek nie jest w stanie odczytać. Dlatego przyszliście do profesora Marguliesa. Czyżbym się mylił?

- Nie, nie mylisz się, on musi mieć tę wiadomość - mówi Rafał, starając się ściągnąć na siebie uwagę.

- Doskonale - przytakuje Barnes. - Niestety, twój wierny przyjaciel połknął ją, zanim zdążyliśmy się z nią zapoznać. I jak można łatwo skonstatować po stanie, w jakim się znajduje, usiłowaliśmy namówić go, by podzielił się z nami swymi odkryciami. Nie nastąpił jednak w tym względzie znaczący postęp.

Wspaniały Margulies. Zrobił to. Połknął zaszifrowaną wiadomość. Dozgonny szacunek.

- W związku z tym już nie jest nam do niczego potrzebny - konkluduje Barnes. Kiwa ręką na agenta, stojącego za Rafałem. Mężczyzna podchodzi do Marguliesa, ciągnie go na środek pomieszczenia i zmusza, żeby ukląkł. Profesor ma ręce związane za plecami.

Sarah nawet nie chce myśleć, co może się za chwilę wydarzyć, i odwraca głowę, żeby nie patrzeć.

Nigdy nie widziała, jak ktoś umiera, nawet śmiercią naturalną. Czując bliskość Margulies, klęczącego zaledwie dwa lub trzy kroki od niej i skazanego na pewną śmierć, Sarah nie potrafi powstrzymać łez. Czuje niewyobrażalny ból.

- A, teraz to Sarah nie życzy sobie oglądać widowiska, które dla niej przygotowaliśmy - krzyczy Barnes, zdegustowany. - Tak to nie będzie, kochana.

Agent, który ją przeszukiwał, znowu do niej podchodzi. Łapie ją mocno za kark i zmusza do patrzenia.

- Nie - protestuje dziewczyna.

- Tak - mówi jej na ucho agent, ściskając mocno jej kark. - Naciesz się tym wspaniałym doznaniem, jakim jest moment pożegnania ciała z życiem. To najpiękniejszy spektakl. - Sarkastyczny śmiech przenika jej uszy, przyprowadzając ją o najstraszliwsze mdłości, jakich doświadczyła w życiu.

Profesor klęczy i cicho recytuje litanie. To pożegnanie, oddanie ducha Stwórcy, by ten mógł przyjąć go jak najlepiej. Sposób, w jaki człowiek umiera, czyni go godnym. A Margulies żegna się z życiem właśnie z wielką godnością.

Rafaël patrzy na niego bardzo poważnie. Nie zdradza żadnego uczucia. Rozgrywający się przed jego oczami dramat wydaje się nie robić na nim żadnego wrażenia.

Głowa profesora opada do przodu, jakby ustawiał ją tak, by katowi było wygodniej nacisnąć cyngiel. Tłumik przykleja się do karku. Margulies patrzy na Rafaela ostatni raz.

- Policz litery - szepcze kryptolog.

Sarah nie słyszy ostatnich słów profesora. Balansuje na krawędzi przepaści. Mogą ją zmusić, żeby nie odwracała głowy, ale nie mogą nakazać jej mieć otwarte oczy. Zamknij je szybko, Sarah. Zamknij oczy. Broń się przed gwałtem. Nie pozwól na taką torturę.

Głuchy dźwięk oznajmia zakończenie widowiska. Bezwładne ciało pada na podłogę w kałużę krwi, której Sarah nie widzi, ale ją sobie wyobraża. Niepowstrzymane łzy spływają jej po twarzy. W końcu otwiera oczy i stawia czoła twardej rzeczywistości. Margulies leży na podłodze, twarzą do ziemi, zwrócony w kierunku Rafaela, z czerwoną dziurą w karku.

„Sukinsyny” - myśli Sarah, po raz pierwszy świadoma, że cokolwiek uczyni, i tak stąd nie wyjdzie żywa.

- A teraz wróćmy do wspomnianych wcześniej papierów - mówi Barnes. - Jestem pewien, że teraz będziesz bardziej skłonna do wyznań niż na początku.

Myśli Sarah kłębią się jak burzowe chmury. Właśnie zabili profesora. Agent ciągle jeszcze ma pistolet w ręce. Następna potencjalna ofiara, człowiek, którego nazywają Jackiem i który popełnił największą zdradę, zawsze karana śmiercią, jest tak blisko. Jeśli zabiją Jacka, ona powie, gdzie są papiery, i...

I nic. Straszliwy kopniak łamie agentowi kostkę i każe mu pochylić się z krzykiem. Zanim ten zda sobie sprawę, co się dzieje, leży martwy od wystrzału z własnego pistoletu, wyrwanego mu w mgnieniu oka przez Rafaela.

Drugi strzał Rafaela pozbawia życia ochroniarza po prawej stronie Barnes. Ochroniarz z lewej i sam szef rzucają się na podłogę, starając się ukryć za pobliskimi sprzętami. Tymczasem agent, który przytrzymał Sarah, próbuje osłaniać się jej ciałem, ale ona z całej siły wymierza mu łokciem cios w pierś i wyrwa się z jego rąk. Sekundę później także i on żegna się z życiem za sprawą trzeciego celnego strzału Rafaela.

- Uciekaj! Szybko! - krzyczy Rafael do Sarah. - Zwiewaj! Nie mogą do ciebie strzelać.

Sarah biegnie do drzwi. Barnes i pozostały przy życiu ochroniarz celują w Rafaela, ale on chroni się za ciałem jednego z zabitych. Osłania się, strzelając, i wybiega z gabinetu.

Barnes wrzeszczy:

- Kobieta ma być żywa! - Pod nosem zaś mamrocze: - Skurwysyn.

Rafael pędzi przez korytarz na oślep, otwierając każde drzwi. Teraz musi znaleźć Sarah. Spotkanie następuje wcześniej, niż przewidywał, tuż za zakrętem.

- Mówiłem ci, żebyś uciekała. Gdyby to byli oni, już by było po tobie, dziewczyno.

Biegają, nie wiedząc dobrze dokąd. Ich oczy już przyzwyczyły się do nikłego oświetlenia i potrafią rozróżniać kształty. Wnętrze British Museum tworzy ogromny labirynt, który ich chroni.

- Gdzie schowałaś papiery? - pyta Rafael, nie mogąc powstrzymać ciekawości. Korytarz się kończy. Dalej są drzwi prowadzące na schody. Zbiegają nimi piętro niżej.

Kiedy stają na pomoście niższego piętra, Rafael otwiera drzwi i wychyla się ostrożnie.

- Wychodź. Teraz idziesz przyklejona do mnie. Nie oddalasz się ani na milimetr pod żadnym pozorem.

Tabliczki z oznaczeniem wyjścia ewakuacyjnego są ledwie widoczne.

Docierają do wielkiego holu, to King's Library - Królewska Biblioteka.

Przystają pod ogromnymi drzwiami, prowadzącymi do obszernego krytego szklą atrium. To konstrukcja dobudowana zupełnie niedawno. W samym centrum przestronnego wnętrza usytuowano niewielki okrągły budynek mieszczący czytelnię, po bokach zaś otwarto sklepy z pamiątkami i bary serwujące tysiącom turystów szybkie przekąski.

Sarah i Rafael biegną w kierunku wyjścia z muzeum tuż przy ścianie wielkiego atrium. Przestrzeń, która dzieli ich od drzwi, jest jak pozbawiona drzew naga łąka, choć szklana kopuła chroni przed niepokodą. Światło księżycy, teraz już widzialne, nasycza wnętrze szarawą bielą.

Huk wystrzału rozrywa cienie i nieznana siła odrzuca Rafaela w kierunku ściany. Dostał. Sarah zbiera wszystkie siły, żeby go podnieść. Rafael jęczy, ale rana nie wydaje się bardzo poważna.

W głębi dostrzegają dwa szybko zbliżające się cienie.

- Weź pistolet.

- Zwariowałeś?

- Strzel dwa, trzy razy w ich stronę, szybko - nalega Rafael.

Sarah spogląda za siebie. Cienie są coraz bliżej. W końcu bierze pistolet i strzela kilka razy, nie odwracając nawet głowy w kierunku ścigających.

Chowają się za pulpitem recepcji muzeum. Rafael ściąga płaszcz i rozdziera ubranie tam, gdzie trafiła go kula, tuż przy ramieniu.

- Miałem szczęście.

- Tak? To znaczy, że to tylko otarcie bez znaczenia? Myślałam, że zejdziesz na moich rękach.

- To jeszcze ciągle może się zdarzyć.

- Jack! - Słysząc wołanie z nieokreślonego miejsca w atrium. To Barnes.

Rafael wstaje i przyciąga Sarah gwałtownie do siebie.

- Co chcesz zrobić? - pyta dziewczyna szeptem. Czuje, jakby serce skoczyło jej do gardła.

- Nie możesz jej zabić, Barnes. Mnie też na to nie pozwolisz. Nie wiesz, komu zostawiła papiery. Ona jest jedynym tropem, który cię do nich zaprowadzi. Jak myślisz, co się stanie, jeśli teraz pociągnę za spust, co? - Rafael podnosi pistolet i przykłada go do skroni dziewczyny.

- Co chcesz zrobić? - Sarah czuje, że za moment zemdleje.

Karty układają się na niekorzyść Barnes'a.

- Daj spokój Jack, jesteś zdolny porwać się na życie niewinnej istoty?

- Barnes, znasz mnie dobrze. Jestem z tego samego gówna, co ty.

- Czego chcesz? - pyta, znając już odpowiedź.

- Posłuchaj, wydostanę się stąd z nią, a ty powiesz swoim chłopakom, żeby schowali broń i nie mrugnęli nawet powieką, kiedy będziemy przechodzić. Tym, którzy są z tobą, i tym, którzy czekają na zewnątrz.

- Bądźmy rozsądni, Jack.

- Jeszcze bardziej rozsądni? - ironizuje Rafael.

Barnes nie ma wyjścia, musi ulec.

- Przerwać operację. Schować broń. Puścić ich – cedzi twardo, odwracając głowę w kierunku mikroskopijnego mikrofonu przypiętego do kołnierza marynarki.

Rafaël wywleka Sarah zza osłaniającego ich pulpitu, w kierunku wyjścia.

Owiewa ich zimne nocne powietrze. Zbiegają po schodach i w okamgnieniu pokonują dystans dzielący ich od głównej bramy ozdobionej herbem królowej Elżbiety II. Lufa ciągle jeszcze tkwi przy skroni Sarah. Stąd do samochodu jest już całkiem niedaleko.

Parę sekund później ruszają z piskiem opon w kierunku Bloomsbury Street.

## ROZDZIAŁ 34

- Co ci przyszło do głowy, co? - pyta Sarah, prawie krzycząc, kiedy jaguar Rafaëla w pędzie skręca na Bloomsbury Street.

- Ratowałem nas - odpowiada Rafaël, nawet na nią nie patrząc.

- Ratowałeś nas?

- Skończ już z tymi pytaniami. Śledzą nas i nie będzie łatwo ich zgubić. Chociaż nie sądzę, żeby próbowali teraz coś zrobić.

Skręcają w prawo w New Oxford Street. Grymas na twarzy Rafaëla pozwala przypuszczać, że rana jednak boli. Na skrzyżowaniu z Tottenham Court Road zapalają się czerwone światła i jaguar zatrzymuje się.

- Zamieńmy się miejscami - prosi Rafaël.

- Co?

- Ty prowadź, ja nie jestem w stanie.

Sarah jedzie teraz Oxford Street, największą handlową ulicą Londynu. Pochyla się, żeby otworzyć schowek, wyjmując stamtąd listę i kładzie ją na kolanach Rafaëla.

- Proszę bardzo. Tu ją zostawiłam. Prawdę mówiąc, zapomniałam o niej, kiedy wysiadaliśmy z samochodu.

- Twoja krótka pamięć nas ocaliła... tym razem.

Przez chwilę jadą w milczeniu.

- Nie wiem, dokąd mam jechać - mówi w końcu Sarah.

- To nie ma znaczenia. Jedź przed siebie. Wszystko jedno, nawet jeśli znajdziesz się kilka razy w tym samym miejscu.

- Naprawdę chciałeś strzelić? Gdyby sprawy przybrały inny obrót, byłbyś zdolny mnie zabić?

- Tak - odpowiada Rafaël bez namysłu. - Zaraz potem sam bym się zabił. Wierz mi, że wyświadczyłbym ci przysługę. Lepiej być martwym, niż dostać się w ich łapy. To, że zapomniałaś o liście, umyślnie czy nie, to najlepsze, co mogło nam się przydarzyć. To był cud.

- Co oznacza, że jeśli znów znajdziemy się w podobnej sytuacji, nie mając jednak w ręce karty przetargowej, nawet się nie zastanowisz, tylko naciśniesz spust i najpierw mnie wyślesz na tamten świat, a zaraz potem siebie, mam rację?

- Właśnie tak - potwierdza Rafaël, nie pozwalając sobie na ujawnienie jakichkolwiek emocji.

- Ojciec dał ci taki rozkaz?

Rafaël patrzy na dziewczynę, która odwzajemnia jego spojrzenie, odwracając na chwilę wzrok od drogi.

- Nie, ale jestem pewien, że gdyby przyszło co do czego, zaakceptowałby moją decyzję.

- Jasne. - Sarah patrzy przed siebie. - Jasne, Jack - wymawia to imię umyślnie z naciskiem, tak jakby stanowiło klucz do wszelkich kłamstw, wątpliwości i frustracji, które ją dręczą. - Twoje prawdziwe imię to Rafaël?

- Któż to wie?

- Jack?

- Nie.

- Zatem?

- Lepiej, żebyś go nie znała. Słuchaj, Rafael to imię twojego wybawiciela, który ciągle jeszcze jest po twojej stronie. Były wzloty i upadki, ale w końcu odnieśliśmy sukces. Jack to pseudonim Johna Payne'a, członka P2, który dziś został zdemaskowany jako podwójny agent. Dlatego John Payne teoretycznie już nie żyje.

- A ten Geoffrey Barnes to kto?

- Jeden z dyrektorów CIA. Facet pozbawiony skrupułów, niewiarygodnie skorumpowany. Wykonałem parę misji na jego zlecenie i zapewniam cię, że jeśli wyściubił nos ze swojej jaskini i wyszedł nam na spotkanie osobiście, to dlatego że mają z nami niezły cyrk.

- Dobra, Jacku Payne. A może Archaniele Rafaelu. Nalegam, chcę znać twoje prawdziwe imię.

Rafael śmieje się pierwszy raz, odkąd się znają.

- To się nazywa taktyka.

- Pytając, niczego się nie traci. - Sarah znowu odrywa na moment oczy od drogi. - Rafaelu Jacku Payne, co teraz?

Rafael patrzy na nią przez chwilę, zanim odpowie.

- Teraz? Teraz znikniemy.

## ROZDZIAŁ 35

Cesarzowi, co cesarskie

Wrzesień 1978 roku

Ojciec Święty zmarszczył brwi, kiedy przeglądając terminarz z zamiarem przypomnienia sobie, jakie audyencje i rozmowy czekają go tego ranka, natrafił na wpis o spotkaniu z delegacją Departamentu Sprawiedliwości USA. Wpis uzupełniono później notatką, z której wynikało, że delegacja przybędzie w towarzystwie agentów FBI i przedstawicieli Banca d'Italia.

Prośbę o spotkanie wystosowano kilka miesięcy wcześniej, jeszcze za życia Pawła VI. Ta przedziwna audyencja nie doszła jednak do skutku, zapewne z powodu choroby papieża. W kolejnych notatkach, z sierpnia, oprócz informacji o odłożeniu spotkania na czas nieokreślony zaznaczono, że członkowie tejże komisji zostaną przyjęci podczas audyencji generalnej wraz z grupą belgijskich wiernych z Liege i grupą sierot z Genui.

W ostatnim zapisie nie było informacji o odwołaniu spotkania, lecz o wciśnięciu go między dwie inne audyencje - dla grupy pobożnych wdów z Piemontu oraz grupy uczniów i nauczycieli katolickiego gimnazjum z Hiszpanii.

Papież Jan Paweł I wszedł do przyległego gabinetu, gdzie pracowało pilnie dwóch jego osobistych sekretarzy.

- Tym panom nie będzie wygodnie w sali audiencyjnej. Proszę do nich zadzwonić i powiedzieć, żeby przyszli do mojego gabinetu. Teraz, jak najszybciej... Aha, to będzie wizyta kurtuazyjna. Nie trzeba zawiadamiać kardynała Villota. Dziękuję.

Parę minut później Albino Luciani parzył sobie kawę, kiedy jeden z młodych sekretarzy wszedł, by zaanonsować gości. W sąsiednim pokoju oczekiwało na niego sześciu mężczyzn. Papież poczuł się nieswojo wobec tak dostojnej delegacji. Wszyscy jednak pokornie pochylił głowy, ściskając dłoń głowy Kościoła. Parę godzin później Luciani nie potrafił sobie przypomnieć nazwisk tych panów. Dwóch Włochów było inspektorami i audytorami Banca d'Italia. Pozostali, czwórka Amerykanów, reprezentowali FBI i Departament Sprawiedliwości USA. Wszyscy jednak deklarowali przynależność do

jednostek zajmujących się przestępstwami finansowymi.

- Jesteśmy panu niezwykle wdzięczni - zagadnął jeden z Amerykanów, zapewne nie bardzo obeznany z protokołem watykańskim - że pozwolił nam...

- O tempora! O mores! Czyżby w Domu Pańskim upadały obyczaje? - przerwał mu Jan Paweł I w nie najgorszej angielszczyźnie, uśmiechając się nieznacznie. - Czy macie panowie ochotę na kawę? Obawiam się, że przynajmniej ja jej potrzebuję...

Usiedli na wygodnych krzesłach w rogu gabinetu wokół niskiego stolika, na którego blacie spoczywał prosty srebrny krucyfiks. Jan Paweł I wydawał się przygotowany do wysłuchania przybyłych, nieco zdenerwowanych bliskością kapłana, za którym stały miliony wiernych na całym świecie. Jeden z agentów FBI w obawie, że spotkanie upłynie na picie kawy, przełamał wszelkie bariery:

- Przynosimy panu całościowy raport na temat śladów działalności o charakterze przestępczym w instytucjach finansowych powiązanych z Watykanem.

Albino Luciani, poważny i skupiony, utkwiał wzrok w agenta.

- Proszę powiedzieć, co zawiera ten raport. Pan, jako się rzekło, wysłucha was.

- Finansami Stolicy Apostolskiej - kontynuował agent, nie zrozumiałwszy papieskiego żartu - zarządza Bank Watykański, który związany jest z Banco Ambrosiano Roberto Calviego, ten zaś z interesami Michele Sindony i jego Banca Privada. Wiemy, że Sindona jest łącznikiem między Roberto Calvim i biskupem Marcinkusem. Pozwolę sobie przypomnieć, że Sindona nazywany jest bankierem mafii i w Stanach Zjednoczonych wysłano za nim list gończy, zarzucając mu malwersacje podatkowe, przestępstwa finansowe i zbrodnie dokonywane w ramach działań organizacji mafijnych. Pozwolę sobie przypomnieć również, że Roberto Calvi należy do loży masońskiej P2, kierowanej przez faszystę Licio Gellego, uznawanego za inicjatora operacji „Gladio”. Zapewne jeszcze pamięta pan bomby na Piazza Fontana w 1969 roku.

- Twierdzi pan, że za watykańskie pieniądze w Rzymie podkłada się bomby?

- Nie. Twierdzą, że bomby podkłada się w Rzymie i wielu innych miejscach świata. Od Polski po Nikaraguę.

Jego Świątobliwość nawet nie mrugnął okiem, choć od ognia, który czuł w gardle, mógłby zapłonąć cały Pałac Apostolski.

Agent FBI, któremu przytakiwali pozostali członkowie Departamentu Sprawiedliwości USA, kontynuował:

- Roberto Calvi i Paul Marcinkus założyli w 1971 roku Ci-salpine Overseas Bank w Nassau na Bahamach. Bank ten wykorzystuje się do prania brudnych pieniędzy pochodzących z handlu narkotykami i bronią, z prostytucji, pornografii, a także do finansowania spekulacji na rynku nieruchomości i tym podobnych ciemnych interesów. Stamtąd, za pośrednictwem sieci rozmaitych organizacji, dokładnie przedstawionych w raporcie, pieniądze przeznaczone są na różne cele. Na przykład dla ruchu robotniczego w Polsce, dla dyktatur, takich jak rząd Somozy, dla organizacji rewolucyjnych albo terrorystycznych.

- Czy nie wydaje się panu dziwne, że finansujemy zarówno faszystów, jak i lewicowców? - zapytał Albino Luciani.

- Nie mamy tutaj do czynienia z polityką finansowania, lecz przestępstwa. We Włoszech ludzie, o których mówimy, korumpują i szantażują polityków wszystkich barw. Uważna lektura „Corriere della Sera” nie pozostawia co do tego najmniejszych wątpliwości. W końcu jest to dziennik finansowany przez Gellego, Sindonę, Calviego i Marcinkusa.

- Ojciec Święty - wtrącił się jeden z audytorów Banca d'Italia - Banco Ambrosiano ma obecnie deficyt rządu blisko półtora miliarda dolarów. A jak Waszej Świątobliwości wiadomo, Bank Watykański posiada dwadzieścia procent udziałów w Banco Ambrosiano. Należy zdecydować się na jakieś działania, ponieważ Banca d'Italia nie może brać na siebie takiego ryzyka...

- W każdym razie - przerwał mu jeden z wysłanników Departamentu Sprawiedliwości USA -



administracja amerykańska będzie musiała poczynić pewne kroki. Przyszliśmy tu, by poinformować, że wydaje się niemożliwe, iż skandal tej miary nie zbruka także Stolicy Apostolskiej. Przekazując ten raport, spełniam polecenie przełożonych. Być może minie jeszcze z rok lub dwa, zanim ta sprawa ujrzy światło dzienne. Co do tego, że tak się stanie, nie ma wątpliwości. Tymczasem można dołożyć starań, aby Stolica Apostolska odcięła się definitywnie od wspomnianych mafijnych powiązań.

- Tak, synu. Nie wiem jednak, czy zostało mi tyle czasu.

- Ojciec Święty - wykrzyknął jeden z włoskich audytorów -  
proszę się odciąć od Marcinkusa, De Bonisa, Calviego...!

Albino Luciani wstał z fotela wyraźnie przygnębiony. Od wielu lat, od czasu kiedy szefował Banca Cattolica del Veneto, miał świadomość, że Marcinkus i jego podwładni nie kierowali finansami Kościoła według przykazań Bożych, ale tak, jak podpowiadały sztuczki rodem z Wall Street.

Papież otworzył drzwi gabinetu i wyszedł bez pożegnania.

Przed lustrem w prywatnym apartamencie, oparty o marmurowy blat zastawiony hebanowymi puzderkami, małymi monstrancjami ze srebra, szklanymi kulami i oprawionymi w ramki zdjęciami, Albino Luciani z furią zacisnął zęby. W samotności pozwolił sobie na wybuch gniewu. Z impetem zrzucił wszystkie stojące na blacie przedmioty, które spadając, rozbiły się na tysiące kawałków i rozsypały po całym pomieszczeniu.

- Przeklinam was! Zamieniliście Dom Ojca w jaskinię zbójców!

## ROZDZIAŁ 36

- Jakim cudem plan, który jak dotąd był realizowany tak precyzyjnie, nagle zawodzi?

- Ciągle jeszcze jest czas, by zdecydować o podróży do Londynu, szefie - asystent mówi na ucho starcowi, wygodnie usadowionemu w fotelu prywatnego samolotu. - Możemy to potraktować jako niewielkie zboczenie z kursu.

- Nawet o tym nie myśl. - Ten gwałtownie kręci głową. - Uszanujemy plan do samego końca.

- Czy nie istnieje zbyt duże ryzyko, że oni go zupełnie zmienią?

- Nie bądź człowiekiem małej wiary, przyjacielu. Na końcu sprawy się ułożą.

- Przyzwyczajaliśmy się wiarę pozostawiać wierzącym - przekonuje asystent, pewien, że owo niewielkie zboczenie z kursu może przeważać szalę na ich korzyść. - Przede wszystkim musimy odzyskać dokumenty.

- Owszem. Dokumenty są powodem całego zamieszania i celem naszej podróży, nie musisz mi o tym przypominać. Jednak nasza obecność w Londynie nie jest konieczna. Sprawy idą w dobrym kierunku.

- Jak to? Tych dwoje jest wciąż na wolności, a my tracimy czas.

- Ale są w naszym zasięgu.

Asystent nie rozumie, o co chodzi. Maestre ma plan, którego jeszcze nie wyjawiał.

- Czy mógłbym zatem poznać pańskie zamiary? - pyta, aby sprawić wrażenie, że rozumie sytuację.

- Poznasz je w swoim czasie. Masz dostęp do informacji, o których nie śniło się większości ludzi.

Wkrótce układanka poskłada ci się sama i pojmiesz wszystko.

- Tak jest - odpowiada asystent i wraca na swoje miejsce, rozmyślając o relacjach ze starcem nie bez irytacji. Ten człowiek uwielbia celebrować tajemnice, zachowywać informacje tylko dla siebie, aż staną się bezużyteczne. Wtedy wiadomo, że osiągnął zamierzony cel. Stary nie znosi, kiedy także asystent ma dostęp do sekretów. Gdyby dobrze nie znał szefa, mógłby pomyśleć, że on mu nie ufa. Wie jednak, że tu chodzi o coś innego. Wytlumaczenie jest proste. Maestre postępuje tak, bo pragnie udowodnić swoim własnym zmorom, że ciągle jeszcze jest na fali, że nic się nie zmieniło i nadal to on przesądza o losie nawet najmniejszej muszki.

Stary podnosi słuchawkę telefonu satelitarne, zamontowaną w lewym oparciu siedzenia, i wybiera

numer. Po chwili ktoś się zgłasza.

- Ciao, Francesco - wita tamtego z chłodnym uśmiechem. Właśnie się dowiedziałem, że niedawno straciłeś przyjaciela. Przykro mi.

Upływa dłuższa chwila, nim rozmówca reaguje.

- Uznaj to za wiadomość z pierwszej ręki. Ciało pojawi się w swoim czasie.

Po raz drugi pozwala tamtemu przetrwać swoje słowa.

- Ale nie dlatego dzwonię. Może się zdarzyć, że będę potrzebował twoich usług... Kiedy? Wczoraj... Chcę, żebyś wsiadł w najbliższy samolot... Na lotnisku dostaniesz wszystkie potrzebne informacje, a potem będziesz czekał, aż do ciebie zadzwonię - rozłącza się bez pożegnania. - Wkrótce oboje stawią się przede mną - mruczy do siebie, ze wzrokiem utkwionym w przepływające za oknem chmury. - Jeszcze się przekonamy, kto jest sprytniejszy.

W tej właśnie chwili głośnej medytacji znów podchodzi do niego asystent. Rozdrażnienie starca, przynajmniej pozornie, ustąpiło.

- Dzwonili z Londynu - mówi cicho. - Stało się najgorsze.

## ROZDZIAŁ 37

Geoffrey Barnes przez całą noc nie zmrugał oka. Mimo że tym razem karty rozdaje Włoch, Geoffrey Barnes gryzie się bardziej, niż gdyby wykonywał jakieś rozkazy za plecami prezydenta Stanów Zjednoczonych, którym notabene znacznie łatwiej manipulować niżeli tym typem z P2.

Rozmawiał z nim dwa razy, chociaż Włoch właśnie znajdował się w powietrzu. Zresztą nie wiadomo, czy jest Włochem, może tylko mówi w tym języku. Za pierwszym razem Barnes tłumaczył mu powody, dla których podjął określone decyzje. Starzec nie zareagował ani pozytywnie, ani negatywnie, nie pozwolił sobie na cień emocji. Powiedział tylko, że najpierw ma odzyskać papiery.

- Jak widać, nie docenialiśmy naszego przeciwnika, ale to już się nie powtórzy. Proszę użyć wszelkich możliwych środków. Kiedy już będzie pan w posiadaniu dokumentów, należy zlikwidować wszystkich świadków. Czy to jasne?

- Oczywiście. Zrozumiałem.

Włoch zadzwonił po raz drugi, by przypomnieć mu, że nie wolno ich stracić z oczu ani na moment i pod żadnym pozorem. Musi stosować się do rozkazów bez względu na koszty.

- Jeśli będą jakieś straty, niech pan zrzuci winę na arabskich terrorystów. Następnego dnia tu czy tam przejdzie demonstracja, oddadzą hołd ofiarom, terroryzm zostanie potępiony i po problemie - powiedział Włoch bez śladu ironii.

- I tak się robi - przytaknął wysoko postawiony funkcjonariusz CIA. Barnes dobrze wie, że w czasie działań operacyjnych można stracić kulę albo i dwie. Bomba może wybuchnąć w niewłaściwym momencie, a cel może się znajdować w towarzystwie innych osób. Taka praca.

- Jeszcze jedno: niech pan czeka na moje rozkazy. Nie róbcie niczego na własną rękę.

Po tych słowach Włoch się rozłączył w typowy dla siebie sposób. Do tego Barnes zdążył już przywyknąć. Jest piąta rano.

Sarah i Jack krążą po Londynie, zmuszając śledzących ich agentów do odbycia wycieczki po historycznym centrum miasta. Przejechali kilka razy obok pałacu Buckingham i dalej aleją The Mall w kierunku Trafalgar Square. Kolejny raz przemierzają Charing Cross, potem inną ze znanych londyńskich ulic. I tak w kółko. Jadą powoli jak rasowi turyści. Raporty, które metodyczny Staughton co dziesięć minut dostarcza Barnesowi, tak to właśnie opisują.

„Dziwne, że nie próbują ucieczki - myśli głośno Barnes, siedząc samotnie w swoim gabinecie. - Nie zatrzymali się nawet, żeby zatankować. Kiedyś będą musieli - kontynuuje dialog z samym sobą, wyczekując nowych informacji. - Muszę zjeść coś przyzwoitego”.

Jack Payne był legendą łoży P2. Do tego stopnia, że CIA angażowała go do swoich najdelikatniejszych zadań. Jego nazwisko było synonimem kompetencji, perfekcyjnie wykonanej misji. P2 jest organizacją z gruntu egoistyczną i bez skrępowania żąda od agentów CIA rozmaitych specjalistycznych usług, co należy uznać za inteligentny sposób korzystania z zaawansowanych amerykańskich technologii przy równoczesnym comiesięcznym wpływie na konto. Kiedy zaś agencja Wuja Sama w zamian wymaga od łoży wypożyczenia kogoś z jej członków, zwłaszcza jeśli chodzi o tych najlepszych, jak sławny Jack, na ogół nie spotyka się to ze zrozumieniem. Czasami jednak, kiedy masoni uznają, że coś przy tym mogą zyskać, zezwalają na wykorzystanie jednego ze swoich, i tak właśnie było z Jackiem. Wziął udział w dwóch czy trzech misjach pod dowództwem Barnes'a. Jack Payne był fachowcem, którego każdy szef chciałby mieć w swojej ekipie. Barnes posunął się nawet do tego, że zaproponował mu przejście do struktur CIA.

„Kardynalny błąd. Będzie mnie kosztował stanowisko w agencji” - myśli Barnes, rozparty w swoim fotelu, wykończony długą akcją minionej nocy. Wyobraża sobie, co się stanie, kiedy odbiorą mu gabinet, wywalczony nie bez wysiłku i poświęcenia. *No pain, no gain* - mawiają Amerykanie i mają rację. Swą pozycję w agencji zawdzięcza wielu latom ciężkiej pracy, wielu wyrzeczeniom, wielu nieprzespanym nocom i nieplanowanym postom, tak jak dzisiaj. Atmosfera poprzedniej nocy przypomina mu niepewne czasy zimnej wojny, kiedy świat zupełnie zwariował.

„Chyba straciłeś rozum, postanawiając ze mną zadrzeć, Jack” - mruczy tłścioch wyraźnie dotknięty.

Nagle otwierają się drzwi i do gabinetu wpada zdyszany Staughton.

- Szeffie...
- Tak, Staughton...
- Zniknęli.

## ROZDZIAŁ 38

„Teraz znikniemy”. Tak powiedział Rafael już w samochodzie.

Przez jakiś czas krążą bez pośpiechu po brytyjskiej stolicy, która powoli budzi się ze snu. Zostało niewiele benzyny. Rafael prosi Sarah, by na skrzyżowaniu pod dworcem King's Cross skręciła w lewo i zwolniła. W tym czasie podwójny agent pod badawczym spojrzeniem swojej towarzyszki przemieszcza się na tylne siedzenie.

Opuszczając oparcie siedzenia, Jack bez trudu dostaje się do bagażnika, z którego wyjmuje zieloną drewnianą skrzynkę. Następnie ustawia oparcie w poprzedniej pozycji, przesiada się do przodu i otwiera wszystkie okna. Ze skrzynki wyjmuje małe kule i co chwilę rzuca je w kierunku przeciwnego krawężnika. Kule toczą się ku samochodom zaparkowanym wzdłuż chodnika.

- Cokolwiek się będzie działo, nie zatrzymuj się, dopóki ci nie powiem.

Samochód od dworca Euston dzieli tylko jakieś sto metrów.

- Teraz przyspiesz i zatrzymaj się przed dworcem - rzuca Rafael, pozbywając się ostatniej kuli.
- Co robisz? - pyta Sarah.
- Moment - odpowiada krótko.

Chwilę potem, kiedy samochód parkuje już w okolicy dworca, coś zaczyna się dziać.

- Dobra, zgaś silnik.

Sarah posłusznie wykonuje polecenie i w tej właśnie chwili wokół nich rozpętuje się piekło. Począwszy od skrzyżowania przy King's Cross, po obu stronach ulicy następują po sobie niewielkie wybuchy, zbliżające się w ich stronę. Gęsta chmura gazów łzawiących wypełnia przestrzeń. Słychać

krzyki. Mieszkańcy okolicznych domów budzą się przerażeni.

Oślaniani przez barierę gazu, która kłębi się za ich plecami, Rafael i Sarah biegną w kierunku dworca Euston.

Nie zamieniając ze sobą ani słowa, wpadają na postój taksówek. Od tego momentu wszystko staje się prostsze. Taksówka wykonuje kurs w kierunku Waterloo, międzynarodowego dworca kolejowego, skąd udaje im się złapać ekspres Euro-star do Paryża.

Komfortowa podróż TGV pozwala im na chwilę odpoczynku. Sarah śpi prawie przez całą drogę. Rafael kładzie się, sprawdziwszy dwukrotnie cały wagon wzdłuż i wszerz. Nikt ich nie śledzi. Udało im się zniknąć.

Dokładnie dwie godziny i trzydzieści siedem minut później wjeżdżają na historyczny Gare du Nord w centrum francuskiej stolicy. Stamtąd zaś bez trudu dostają się na lotnisko Orly.

## ROZDZIAŁ 39

Airbus A320 stabilizuje lot na wysokości jedenastu tysięcy metrów, przecinając powietrze z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę. Za mniej więcej dwie godziny wylądaje na lotnisku Portela pod Lizboną. Portugalska stolica jest celem podróży stu jedenastu pasażerów, do grona których zalicza się również Sarah Monteiro, obecnie obywatelka francuska, oficjalnie znana jako Sharon Stone, oraz Rafael, podróżujący jako obywatel Zjednoczonego Królestwa pod nazwiskiem John Doe. Trajektoria lotu TP433 rozpoczęła się na lotnisku Orly, nieco ponad dwadzieścia minut wcześniej, tym razem - dla odmiany - z opóźnieniem. Ponieważ oboje nie śpią, Rafael musi stawić czoła lawinie pytań zadawanych przez towarzyszącą mu dziennikarkę.

Owszem, Rafael słyszał kiedyś to zdanie, które niepokoi Sarah, że „ojcowie byli w Jerozolimie”. Dotyczy ono zapewne mitycznych budowniczych świątyni Salomona. Ci godni najwyższego podziwu architekci przekazali swoją wiedzę i umiejętności cieślom i kamieniarzom Zachodu, tym samym, którzy w wiekach średnich wznosili katedry. To oni nazywani byli *macones* - mularze albo murarze. To oni wznosili mury, używali młota, dłuta, cyrkla, węgelnicy i pionu. Wpływowe gremia, które tworzyli, znały Boskie sekrety. Nawet dziś w katedrach Notre Dame, w Reims czy w Amiens można odnieść wrażenie, że ich budowniczowie otarli się o Boskie tajemnice. A może znane im były także Boże zamiary wobec świata?

Z tego co czytał Rafael, wolnomularze stali w cieniu szafotów rewolucji francuskiej, kiedy w strugach krwi spadały z nich głowy szlacheckie i królewskie. Stali także za niejedną wojną i niejedną gwałtowną zmianą rządów w Europie i Ameryce.

Wielki Wschód Włoch zaczął się wewnątrz rozpadać w początkach dwudziestego wieku. Wtedy właśnie narodziła się Propaganda Due. Ci, którzy pociągali na świecie za sznurki, narzekali, że masoneria jest na ustach wszystkich, że związane z nią nazwiska pojawiają się w mediach. P2 zapewniła im cień, którego szukali. Skończyły się przecieki, oświadczenia i zdjęcia. P2 nie istniała. Nikt nie mógł nic o niej wiedzieć. Loża zaś, jako *loggia coppers*, ukryta, przygarnęła tych, którzy w aureoli bożej łaski skupiali wszystkie swoje siły na wznoszeniu na ziemi Królestwa Bożego.

- To były dla nich bardzo trudne czasy - relacjonuje zasłuchanej Sarah Rafael. - Fascynowali ich Hitler i Mussolini. Cóż, kiedy oni, zdaniem wolnomularzy, zdradzili prawdziwe powołanie... Licio Gelli, który przewodził włoskiej masonerii w połowie dwudziestego wieku, był inicjatorem powstania łoża P2. Gelli miał więcej pomysłów niż zdolności, by te pomysły z powodzeniem wprowadzić w życie - ciągnie Rafael. - Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Włoch przekazał mu tak ogromną władzę, że przerosła ona jego możliwości. Gelli był tylko drobnym przedsiębiorcą z Toskanii, który podziwiał Führera, Duce i Caudillo. Zaciągnął się nawet jako wolontariusz do oddziałów walczących przeciwko republikanom w hiszpańskiej wojnie domowej. Pracował też jako nazistowski szpieg na Bałkanach, współpracował aktywnie z CIA i był

współautorem

niektórych przewrotów w Ameryce Łacińskiej. Awans Gellego w organizacji pozostaje tajemnicą. Niezbadane są wyroki Boże, lecz czy liczba złoczyńców sięgających po władzę, chwałę lub sławę nie jest zaskakująca? - pyta retorycznie Rafael.

Pewne jest to, że Licio Gelli znalazł się na samym szczycie struktury P2 na początku lat siedemdziesiątych, a w 1971 roku stał się jednym z najpotężniejszych ludzi tego świata, pozostając oczywiście w cieniu. Gelli, skłonny do nieustannego spiskowania, powołał do życia lożę PI, jeszcze bardziej utajnioną niż P2 i zajmującą się wyłącznie ochroną prezydentów, wysokich dygnitarzy, sekretarzy i innych decydentów.

Koledzy o dłuższym stażu w loży opowiadali Rafaelowi o tajnych zebraniach. Około dwudziestu opancerzonych, lśniących i czarnych jak noc limuzyn z przyciemnionymi szybami zjeżdżało się pod któryś z luksusowych hoteli nad brzegiem jeziora Como albo w Genewie, albo w Baden-Baden. Czekwały tam na swych pasażerów dwie lub trzy godziny, a potem rozjeżdżały się bocznymi szosami, rozplywając się w europejskiej sieci dróg.

Najprawdopodobniej to właśnie Gelli namówił masonów z organizacji Giustizia e Liberta, by zasilili szeregi P2. Wśród nich znajdowali się politycy wszelkich frakcji, wojskowi, finansisci, a każdy z nich był zachwycony przynależnością do tak elitarnej grupy.

- Próżność to wielki życiowy błąd, Sarah. Gelli nie mógł sobie odmówić przyjemności sportretowania się z Juanem Domingo Peronem w Casa Rosada w Buenos Aires.

Kiedy w połowie lat siedemdziesiątych do Gellego zaczęli dobierać się sędziowie i prokuratorzy, odizolował zupełnie swoją organizację i odciął się od wszelkich powiązań z lożami masońskimi. W ten sposób P2 stała się jednostką ściśle tajną, a sam Gelli zaczął używać tytułu Gran Maestre - Wielki Mistrz. Tamten okres nazwać można „czasem rodzinnym”. P2 działała w identyczny sposób jak mafia albo camorra i określano ją mianem „familia Gellich”. Neofaszystowskie ideały Gellego nie pozwalały jednak na to, by organizacja kroczyła drogą Wielkiego Planu Bożego. Mimo wszystko jego działania okazały się niezwykle konstruktywne z innego punktu widzenia. Jego współpracownicy przeniknęli wtedy do wszystkich włoskich instytucji państwowych, do Watykanu i wielu agencji bezpieczeństwa na świecie.

Wielu polityków uważało wówczas, że rzeczywistym prezydentem Włoch jest Licio Gelli, manipulujący środkami masowego przekazu, badaniami opinii publicznej, wyborami i kampaniami wyborczymi w celu desygnowania na eksponowane stanowiska osób uprzednio przez niego upatrzonych.

Rafael obserwuje reakcję Sarah.

- Gelli skończył się w tym samym czasie, co ten nieszczęśnik... no, jak mu tam było... Pecorelli! Familia Gellich sama sobie wykopała grób, dopuściwszy, by lista członków organizacji dostała się w ręce tego dziennikarza. Prokuratorzy zaczęli zadawać niepotrzebne pytania i stary Gelli musiał uciekać do Urugwaju.

Wtedy też zmieniło się kierownictwo loży - opowiada dalej Rafael. - Odsunięto Gellego i rozpoczęto naprawianie organizacji i sprowadzanie jej na właściwą drogę. To były pracowite lata. Trzeba było zmienić konstytucję, przekształcić sądownictwo i uniwersytety, a także przekonać do siebie pewnych wpływowych ludzi. Craxiego, Andreottiego, Bisaglię... Nieistotne było, do jakiej partii należeli. Najważniejsze, by podjęli współpracę, choćby nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Dziennikarze, w większości, to dobrzy ludzie, ale lubią pieniądze - konkluduje Rafael. - Dzisiejsza P2 to rada cieni, której nikomu nie udaje się skutecznie namierzyć. To fantazja wielbicieli konspiracji, pozbawiona znaczenia miejska legenda, organizacja budząca dziś strach tylko wśród samotnych śledczych buszujących w sieci. Oni nie istnieją. A to nieistnienie

jest godne polecenia, gdy ktoś zamierza realizować taki plan jak oni.

Sarah zaczyna rozumieć, w jaki sposób organizacja rozwinęła sieć na całym świecie. Nawet w Watykanie, gdzie P2 nazywana jest lożą Ecclesia. Kiedy papież Jan Paweł I nagle zmarł, wielu członków loży wykonywało swoje obowiązki zawodowe w budynkach Stolicy Apostolskiej.

- Rzym był wówczas najdogodniejszym miejscem na świecie do realizowania ich celów. Finansami

zarządzał biskup Marcinkus i wszystko, co przechodziło przez jego ręce, zamieniało się w złoto - ciągnie swoją opowieść Rafael. - Jest pewne, że inwestowali w wydawnictwa pornograficzne, w laboratoria produkujące pigułki antykoncepcyjne i wiele innych interesów całkowicie sprzecznych z misją Kościoła. Jednak nakłady na produkcję broni, zdobywanie tajnych informacji politycznych, łapówki, szantaże czy pranie brudnych pieniędzy okazały się na dłuższą metę znacznie bardziej opłacalne.

- Nie wiem już sama, czy chcesz odsłonić przede mną prawdę, czy może mnie zastraszyć - bąka Sarah.

Dziewczyna siedzi zadumana i Rafael także pogrąża się w myślach. Przestrzeń między nimi wypełnia spokojna cisza.

Stewardesa wręcza im tacę z przekąską. Jedzą w milczeniu, oddani swoim medytacjom.

- Marzę o prysznicu. - Sarah kręci się w fotelu, żeby rozprostować ramiona i nogi.
- To można załatwić - zapewnia ją Rafael. - Kiedy wylądujemy, zobaczymy, co się da zrobić.
- Obiecujesz? - pyta dziewczyna, ryzykując delikatny uśmiech.
- Nie, nigdy niczego nie obiecuję. Ale dotrzymuję słowa.

Znowu przez chwilę siedzą w ciszy. Potem huk silników samolotu nakłada się na przyciszony gwar rozmów pasażerów. Sarah odwraca się do Rafaela.

- Myślisz, że u mojego ojca wszystko w porządku?
- Tak. Odrzuć strach. - Stanowczość jego głosu budzi w niej ufność.
- Teraz boję się, że zgarną nas na lotnisku - mówi Sarah.
- Możesz być spokojna. To się nie zdarzy.
- Skąd ta pewność?

- To jeden z przywilejów mojej pozycji. Pół świata może deptać nam po piętach, ale mamy tę przewagę, że wiemy, co oni myślą. I zawsze wyprzedzamy ich o krok. Najważniejsze, żeby nie stracić tego rytmu i żeby inicjatywa należała do nas.

- A co oni myślą?
- Najpierw muszą usunąć ze sceny pozostałości strzelaniny i gazy łzawiącej, które rozpyliłem na ulicy.

Głos Rafaela w niewytłumaczalny sposób uspokaja ją. Sarah nie ma wątpliwości, że to głos człowieka bez skrupułów, mordercy. Mimo to dziewczyna odzyskuje równowagę.

- Co zrobimy po rozmowie z moim ojcem?
- Zobaczymy. Jesteśmy skazani na stawianie małych kroków.
- Ciągłe zachowujesz informacje dla siebie.

- To prawda. Ale w tym wypadku niewiele więcej mam ci do powiedzenia. Musisz spotkać się z ojcem, to jest konieczne. Potem zobaczymy, co dalej.

- Zastanawiam się, czy istnieje ryzyko, że gdy dotrzemy do Lizbony, nasze zdjęcia ukażą się w jakiejś gazecie. Władze mogą nas poszukiwać.

- Nie, to nie wchodzi w grę. Zależy im na tym, byśmy pozostali niezauważeni. Ich cel nadrzędny to umieścić nas dwa metry pod ziemią albo w rzece z kamieniem u szyi. Poza tym dopóki mamy listę, nikt nie pozwoli na to, byśmy pojawili się w gazetach. Gdyby tak się stało, przegraliby wszystko.

„Mam tylko nadzieję, że się nie myli” - myśli Sarah.

- A Firenzi skąd miał mój adres? - pyta sama siebie na głos. - No jasne, przecież mój ojciec jest członkiem organizacji! To mnie nie dziwi. Jednak ciągle nie mogę pojąć, dlaczego on wysłał list właśnie do mnie.

Rafael nawet nie udaje, że chce odpowiedzieć. Podnosi dłoń do lewego, zranionego ramienia.

- Boli cię?  
- Tak - odpowiada, masując lekko bolesne miejsce. Kilka godzin wcześniej w pociągu zabandażował sobie ranę w toalecie. Wtedy ból nieco ustał, ale teraz znów się nasilił.

- Mogę ci jakoś pomóc?
- Nie, dzięki. Jakoś wytrzymam - odpowiada.

Kiedy samolot zbliża się do lotniska, przelatując nad północną częścią ojczyzny Sarah, w jej sercu

wzbiera uczucie niepokoju. Skurcz w żołądku nie pozwala jej głębiej odetchnąć.

- Wiesz, kim jest człowiek, który wszedł do mojego domu?

- Wiem.

Rafael ciągle milczy i patrzy uparcie w okno.

- Kto to był?

- Amerykański tajny agent. A właściwie Czech z obywatelstwem Stanów Zjednoczonych, ale to bez znaczenia. Przy tej okazji z życiem pożegnało się jeszcze kilka innych osób. Hiszpański ksiądz Felipe Aragon i kapłan z Argentyny Pablo Rincón. Obaj otrzymali informacje na temat dokumentów Jana Pawła I.

- Papiery takie jak moje?

- W noc swojej śmierci Ojciec Święty miał przy sobie różne dokumenty. Lista, którą dostałaś, to tylko część papierów, które przeglądał. - Rafael zdaje się chętny do rozmowy jak nigdy przedtem.

- Czy oni też dostali część tych dokumentów?

- Prawdopodobnie, ale mieli mniej szczęścia niż ty. Pablo nie zdążył uciec. A Felipe niestety umarł na zawał serca prawie w tym samym czasie.

- Jeśli Pablo dostał jakieś dokumenty, muszą teraz być w rękach P2. Jeśli jednak dostał tylko informację o, powiedzmy, miejscu ich ukrycia, P2 musiała wejść w posiadanie także i tych informacji, zanim go sprzątnęła - rozmyśla na głos Sarah.

- Może tak, może nie, nie wiem. Istnieje możliwość, że twój ojciec coś nam wyjaśni.

- Jakim cudem ty funkcjonujesz w ten sposób? Podejmujesz decyzje, nie mając wszystkich informacji.

- W pracy nie jestem niczym więcej niż małym trybikiem w wielkiej maszynerii. Fundamentem tej roboty jest dogłębna wiedza o naszej własnej roli i przyzwoite korzystanie z niej. Jeśli chodzi o łamigłówki, rozwiązać je może w całości tylko ten, kto je wymyśla.

- A nie jesteś ciekawy?

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Samolot zaczyna przygotowywać się do lądowania i po kilku minutach bez większych problemów kołuje po pasie.

- Właśnie wylądowaliśmy na lotnisku Lizbona Portela... -informuje stewardesa, powtarzając utartą formułkę.

- Dobrze, że nie zaatakowali nas rakietami ziemia-powietrze - żartuje Sarah, żeby złagodzić napięcie, które nie opuszcza jej ani na chwilę.

## ROZDZIAŁ 40

Ogrody Watykańskie

Wrzesień 1978 roku

Siostra Vincenza szukała Jego Świątobliwości przez całe popołudnie. Przebiegała korytarze Pałacu Apostolskiego, niosąc w rękach niewielką tacę, na której była szklanka wody i pastylka na talerzyku. Nagle zatrzymała się przy jednym z okien i dostrzegła go siedzącego na ławce w ogrodzie. Ojciec Święty podparł głowę obiema rękami i wydawał się zatopiony w bolesnych rozmyślaniach.

- Getsemani - wyrwało się niechcący siostrze Vincenzie.

Staruszka zeszła po schodach prowadzących do wspaniałych ogrodów i ruszyła jedną ze żwirowych ścieżek w kierunku klombu. Don Albino nie odszedł daleko. Siedział w swojej nieskazitelnie białej sutannie, wpatrzony w czubki butów.

Siostra Vincenza stanęła przed nim.

- Lekarze zalecają Waszej Świątobliwości, żeby spacerował po ogrodach, nie wspominali o

siadywaniu w nich.

Albino Luciani popatrzył na swoją wierną gospodynię z dobrotliwym uśmiechem na ustach.

- No, tak. Zalecili, żebym spacerował po ogrodach, to przestaną mi puchnąć nogi. Tylko że kiedy mam opuchnięte nogi, nie mogę spacerować. Co w tej sytuacji zrobić?

Siostra Vincenza przyzwyczajona do nieubłaganej logiki don Albina przyznała, że lekarze rzeczywiście wykazali się ograniczoną przenikliwością. Ojciec Święty bez słowa sięgnął po pastylkę i szklankę wody, które przyniosła mu zakonnica. Wpatrując się w lekarstwo z miną pełną rezygnacji, włożył je do ust i połknął, delektując się raczej świeżością wody niż potencjalnymi dobroczynnymi właściwościami pastylki.

- Czy siostra знаła mojego ojca? - zapytał don Albino gospodynię, która wciąż stała przed nim. - Kiedy w wieku jedenastu lat wstąpiłem do seminarium, mój ojciec dwa miesiące nie odzywał się do matki. To była bardzo pobożna kobieta, jak siostra wie, ale ojciec...

- Don Giovanni był buntownikiem - odpowiedziała siostra Vincenza.

- Nie. Don Giovanni, jak go siostra raczyła nazwać, był socjalistą. Swoją drogą, patrząc na to, co się teraz dzieje, sam zaczynam mieć wątpliwości, czy emigrant, pracownik sezonowy albo robotnik, który całe życie klepał biedę, może mieć inny światopogląd. Znamienne jest to, że kiedy wstępowałem do seminarium, ojciec powiedział: „No, cóż, trzeba się zdobyć na to poświęcenie”. Dziś powiedziałbym, że jakkolwiek był zażartym antyklerykałem, doświadczył przeczucia bliskiego wizji duchowej. Właśnie o tym myślałem, kiedy siostra nadeszła.

- Pan dopomoże znieść ten ciężar, Ojczy Świąty.

Don Albino popatrzył na siostrę Vincenzę dobrotliwie. Rozmowa z nią o postępowaniu decydentów Banku Watykańskiego na nic by się zdała. Cóż by sobie pomyślała ta niewinna zakonnica, gdyby udowodniono jej, że do prania pieniędzy mafii wykorzystuje się firmy, których akcje krążą na giełdach Zurychu, Londynu czy Nowego Jorku? W jakim stanie ostałaby się prosta wiara siostry Vincenzy, gdyby wiedziała, że miły kardynał Villot pojawia się pod numerem 041/3 w archiwach łoży P2 od 6 sierpnia 1966 roku?

Jak mogłaby zasnąć ta wspaniała staruszka, wiedząc, że jej don Albino nie kieruje Kościołem Jezusowym, lecz ekonomicznym konglomeratem, który niebawem wybuchnie w jego rękach, jeśli nie uda mu się przedsięwziąć jakichś środków zaradczych? A jeśli chodzi o niego samego, jak mógłby spojrzeć w oczy tej dobrej kobiecie, gdyby się dowiedziała, że jej Kościół zamienił się w jaskinię zbójców?

- Ja potrafię znieść ten ciężar, siostrzo Vincenzo - powiedział w końcu. - Nie wiem tylko, czy inni są w stanie znieść mnie.

- Trzeba mieć ufność w Panu, don Albino - odpowiedziała z serca zakonnica, krocząc już żwirową ścieżką w kierunku Pałacu Apostolskiego. - Tylko ufność w Panu...

Jan Paweł I posiedział jeszcze kilka minut na ławce, zatopiony w myślach i wpatrzony we własne opuchnięte stopy. Pora wracać do gabinetu. Tyle ma jeszcze pracy! Z gestem rezygnacji wstał, a na jego ustach pojawił się grymas bólu - to opuchnięte kostki dały znać, jak bardzo cięży im całe ciało.

- Cóż, jak powiedział stary don Giovanni... trzeba się zdobyć na to poświęcenie.

I wrócił do swojego gabinetu, stąpając wolno, z rękami założonymi do tyłu.

## ROZDZIAŁ 41

Staughton daje z siebie wszystko, pragnąc wypełnić rozkazy szefa. Nie najlepszy humor tłścicocha wszystkim ciąży. Staughton nie może sobie pozwolić na taki luksus. Choć tej nocy także nie spał, nie ma podwładnych, żeby się na nich wyładować. Nie ma również rodziny, u której mógłby znaleźć pocieszenie. Rodzice przeszli na zasłużoną emeryturę w Bostonie w Massachusetts, a kobiety nigdy nie wytrzymywały na dłuższą metę jego rytmu pracy. Każdy pracownik agencji jest tak zaangażowany, że



obowiązki pochłaniają go coraz bardziej, uniemożliwiając stworzenie jakichkolwiek więzów rodzinnych, a nawet głębszej przyjaźni. Prawdziwy tajny agent nie ma kontaktu ze światem zewnętrznym, a to ułatwia mu wykonywanie jego misji.

Staughton w tej materii niczym nie różni się od swoich kolegów po fachu, choć od czasu do czasu kontaktuje się z rodzicami i innymi krewnymi. Nawet nie tak dawno dzwonił do matki, żeby powiedzieć jej, że ma się całkiem dobrze. Dla niej Staughton jest informatykiem w londyńskiej filii amerykańskiej firmy, co w gruncie rzeczy nie bardzo mija się z prawdą. Z biegiem lat jeden po drugim znikali przyjaciele z dzieciństwa. Jeśli chodzi o kobiety,

Staughton, owszem, próbował. Dwa razy był o krok od włożenia na palec obrączki i złożenia przed Bogiem i urzędem koniecznej uroczystej przysięgi. 11 września 2001 roku pierwsza próba skończyła się fiaskiem. I nie sposób za to winić narzeczonej, bo Staughton zniknął z kraju na trzy miesiące tuż po zamachu na wieże WTC, ograniczając się do lakonicznej cotygodniowej rozmowy telefonicznej, zawsze z zapewnieniem, że wróci za tydzień. Ten sam scenariusz napisało życie w 2003 roku, kiedy na scenie pojawiła się kolejna narzeczona. Dramat rozegrał się tuż przed wojną i zaraz po drugiej wojnie w Zatoce Perskiej. Datę ślubu wyznaczono na 9 kwietnia. Tego samego dnia siły międzynarodowe wylądowały w Bagdadzie. Ze Staughtonem nie było kontaktu przez pięć miesięcy. Sporadycznie przysyłał jednak krótkiego e-maila z zapewnieniem o swojej nienagannej kondycji psychicznej i fizycznej, a także z obietnicą pojawienia się w ciągu najbliższego miesiąca.

Kiedy wreszcie wrócił naprawdę, narzeczona przeprowadziła się do innego miasta. Była tak urażona, że nie odebrała ani jednego z wielu jego telefonów. Wtedy właśnie zdecydował, że trwale związki nie są dla niego, i dzisiaj, mając trzydzieści dwa lata na karku, żyje tylko dla pracy, z nadzieją, że kiedyś nadejdzie taki czas, że będzie mógł założyć rodzinę, dbać o nią i ją kochać. Przeraza go perspektywa przeobrażenia się w kolejnego Geoffreya Barnes, pozbawionego życia uczuciowego satrapy, bez żadnych pozazawodowych zainteresowań oprócz tego, żeby napchać sobie brzuch tam, gdzie dobrze dają jeść. Dla Staughtona Geoffrey Barnes to cholerny sukinsyn, pozbawiony elementarnej wrażliwości i skrupułów.

- Gotowe? - pyta Barnes, nachylając się nad ekranem komputera obsługiwanego przez Staughtona.
- Jeszcze nie. Ale prawie.
- Masz coś?
- To, co mam, jest w drukarce.

Barnes podchodzi do drukarki stojącej naprzeciw okna i bierze garść kartek leżących na podajniku. Dużo danych. Trzeba kilku godzin, żeby je przetworzyć. Patrzy na salę, w której panuje zgiełk niczym w ulu. Kobiety i mężczyźni przebiegają nieustannie z jednego końca pomieszczenia na drugi. Słychać krzyki, rozkazy, telefony. Trzech młodych agentów prowadzi ożywioną rozmowę.

- Ej, panowie, wszyscy trzej! Proszę przeanalizować te materiały bardzo szczegółowo. Kiedy skończycie, będzie tego więcej.

Uśmiechy gasną, ale agenci posłusznie wykonują rozkaz.

- Informujcie Staughtona o wszystkim, co się wam wyda interesujące.
- W porządku, szefie - odpowiada jeden z nich.

Barnes wycofuje się do swojego gabinetu. Dzień upływa, a informacji jak nie było, tak nie ma.

Młodzi agenci siadają przy stole, żeby zająć się pracą zleconą przez Barnes. Jeden z nich, najbardziej pewny siebie, zwraca się do Staughtona:

- Nie jadł dziś jeszcze czy co?

- Ani nie jadł, ani nie pił, nie spał i nie pieprzył - wyrzuca z siebie Staughton, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

- Dobra, dawaj, machniemy to szybko.

- Módl się, żebyśmy ich znaleźli jak najszybciej, bo jak nie, nawet sobie nie wyobrażasz, jak szybko machną nas.

Agent nachyla się nad Staughtonem, jakby chciał mu coś powiedzieć na ucho.

- Dopiero przyjechałem, stary. Nie mam zielonego pojęcia, czego szukamy.

- Zdrajcy Jacka Payne'a i niejkiej Sarah Monteiro, dość sprytniej dziennikarki. Chcą ich mieć żywych.
- Jacka Payne'a? Słynnego Jacka Payne'a?
- We własnej osobie.
- Pracowałem z nim kiedyś. Uratował mi życie.
- Teraz już by tego nie zrobił, masz to jak w banku. Bierz się do roboty, Thompson, nie ma czasu, chłopie - przywołuje go do porządku Staughton.
- Co robisz?
- Przeszukuję listy pasażerów, którzy opuścili kraj dzisiaj rano. Huk roboty.
- Szukasz igły w stogu siana. Na pewno mają fałszywe papiery.
- Na pewno. Ale to na razie nasza jedyna możliwość. Musimy znaleźć tę igłę za wszelką cenę.
- Pozwól, że wykonam telefon. Zaraz wracam - mówi Thompson i odchodzi w kierunku jednej z sekretarek, która w tym momencie nie ma słuchawki przy uchu.

Siedząc w swoim wygodnym fotelu, Barnes obserwuje salę przez szklane ściany. Byłoby świetnie, gdyby wszyscy ci ludzie zaangażowali się w jego sprawę, ale to nie jest możliwe. Świat jest wielki, a Stany Zjednoczone mają inne priorytety, tak przynajmniej uważa gabinet prezydenta. Barnes rozważa możliwość zwrócenia się o dodatkowy personel. Nie odmówią mu, ale to oznaczałoby poddanie się, przyznanie do porażki przed sztabem generalnym. Nie, na razie wytrzymamy. Jeśli nie pojawią się do wieczora, będzie musiał przemyśleć tę ewentualność. Tymczasem coś w obserwowanym pomieszczeniu przykuwa jego uwagę. A raczej brak czegoś. Wstaje i wchodzi do sali ogólnej. Wściekły podchodzi do stołu, gdzie dwóch agentów analizuje listy pasażerów, którzy opuścili Zjednoczone Królestwo przed zamknięciem przestrzeni powietrznej.

- No i co, macie coś?
- Nic. Czy bierze pan pod uwagę możliwość, że jeszcze nie wyjechali z kraju? - pyta jeden z agentów.
- Wyjechali. Jestem tego pewny. - Patrzy w miejsce, które go zaniepokoiło. - Gdzie jest Staughton?
- Wyszedł z Thompsonem.
- Z Thompsonem? I dokąd poszli?
- Nie powiedzieli.

Barnes wraca zdenerwowany do gabinetu, ale z zamyślenia wyrывa go sekretarka.

- Szeffie...
- Przynieśli moje jedzenie?
- Już jadą.
- Tym razem nie bardzo im się śpieszy.
- Dwadzieścia minut, tyle, co zawsze, szefie.

Barnes popycha drzwi gabinetu. Jest bardzo zaniepokojony. „To się dla mnie źle skończy” - obsesyjnie powtarza sobie w duchu.

Siedząca na schodach i skupiona na jakiejś elektronicznej grze dziewczynka nawet nie zauważa dwóch mężczyzn przechodzących obok niej na wyższe piętro. Gdyby nie gra, dziewczynka usłyszałaby na pewno, jak mężczyzna idący z tyłu beszta swojego towarzysza, że tak się nie robi i że to nie w jego stylu. W okolicy nie ma nikogo.

Dziewczynka jest zupełnie pochłonięta deszczem meteorytów, który musi sprytnie omijać swoim statkiem kosmicznym. Słuchawki skutecznie chronią jej uszy przed hałasem wywołanym gwałtownym kopaniem w drzwi na trzecim piętrze. Lokator budzi się, poderwany hukiem walących się na podłogę drzwi. Rzuca się do ucieczki przez okno, ale pistolet pierwszego z mężczyzn wchodzących do mieszkania powstrzymuje go w mgnieniu oka.

- Hans, nasz drogi Hans - wesoło pozdrawia gospodarza Thompson, zbliżając się do niego, podczas gdy Staughton wchodzi do mieszkania z pistoletem w dłoni.
- Jak interesy?

## ROZDZIAŁ 42

Chociaż wylądowali w stolicy Portugalii zaledwie przed dwiema godzinami, Sarah zdążyła już wziąć prysznic w hotelu Altis przy ulicy Castilho, gdzie zjedli też niewielki posiłek.

Sarah ciągle czuje się dziwnie, mieszkając w tym samym pokoju z nieznajomym. W końcu nic o nim nie wie, mimo tylu wspólnie przeżytych zdarzeń, których nigdy nie zdoła wymazać z pamięci i które łączą ją z Rafaelem tak mocno, jak jeszcze nic nigdy nie łączyło jej z żadnym mężczyzną. Przechodzi przez pokój owinięta białym ręcznikiem, a on siedzi obok obojętnie, co jednak nie przestaje jej krępować.

Nagle na ekranie telewizora pojawia się czołówka wiadomości i sekundę później Sarah słyszy swoje nazwisko.

- Wiadomość z ostatniej chwili: portugalska dziennikarka Sarah Monteiro, poszukiwana przez władze brytyjskie jako świadek morderstwa dokonanego w jej mieszkaniu, została zatrzymana dziś rano w Londynie.

Na ekranie widać kobietę, która wysiadając z policyjnego samochodu, nakrywa głowę kurtką i jest prowadzona w kierunku słynnego budynku Scotland Yardu.

- Dzisiaj nie widać końca niespodzianek - komentuje zaszokowana Sarah.
- Jesteśmy podwójnie czyści - mówi Rafael.
- Dlaczego montują takie kłamstwa?
- Żeby nie wmieszały się w tę sprawę siły zewnętrzne. Są przekonani, że wyjechaliśmy z kraju.
- Tak to trzeba interpretować?
- Tak - odpowiada Rafael. - Idę wziąć prysznic i wychodzimy.

Kiedy Rafael wyłania się z łazienki w ręczniku na biodrach, Sarah nie ma w pokoju. Dziewczyna zjawia się w momencie, kiedy mężczyzna wkłada spodnie.

- Gdzie byłeś? - pyta, nie przestając się ubierać i ignorując jej lekko zakłopotaną minę.
- W recepcji.
- Po co?
- Czy muszę ci się ze wszystkiego spowiadać?
- Nie, ale jeśli nie wiem, gdzie jesteś, nie mogę cię chronić.
- Zesłałem tylko do recepcji. Jestem już z powrotem cała i zdrowa - kwituje Sarah sarkastycznie. - A teraz co? Wychodzimy? - pyta, zmieniając temat.
- Zaczekaj, skończę się ubierać.

Sarah przygląda się jego ranie i dziwnemu tatuażowi na ramieniu.

- Nie wygląda to zbyt ładnie.
- Goi się.
- Przynajmniej pozwól mi oczyścić ranę. - Nie czekając na odpowiedź, Sarah idzie do łazienki po mydło i ręcznik, drugi ręcznik zwilża ciepłą wodą. Wraca do pokoju i kładzie wszystko na łóżku. - Siadaj tu.

- Daj spokój, już jest lepiej.
- Siadaj.

Nie podejmując dyskusji, Rafael pokornie siada na brzegu łóżka. Jeśli nie ma alkoholu, najlepszym odkażaczem jest mydło.

Sarah zaczyna od oczyszczenia rany wilgotnym ręcznikiem. Potem osusza ją, drze na pasy cienki ręcznik do wycierania twarzy i bandażuje ranę. Kończy opatrunek, prostuje się i patrzy na Rafaela. Nie spuszczał z niej oczu przez cały czas, kiedy z niespotykaną delikatnością opatrywała mu ranę. Przez długą chwilę żadne z nich nie odwraca wzroku. Sytuacja staje się niezręczna, przynajmniej dla Sarah, ale wytrzymuje spojrzenie.

- Co jest? - pyta w końcu dziewczyna.

- Nic - odpowiada Rafael, odwracając wzrok i zakładając koszulę. - Dziękuję.  
- Zawsze na rozkaz - rzuca Sarah, podnosząc się. - Wystrzałowy tatuaż - dodaje, żeby złagodzić napięcie emocjonalne, które nagle się wytworzyło.  
- Jeśli zobaczysz u kogoś podobny, uciekaj, nie oglądając się za siebie.  
- Dlaczego?  
- Bo to symbol gwardii.  
- Gwardii? Jakiej gwardii?  
- Gwardii Progresywnej P2. To mały oddział przygotowany do szybkich akcji w terenie. Dzisiaj zniszczyłaś legendę o jego niezawodności.  
- Ja nie. Ty - poprawia go Sarah. Wężowy tatuaż, wijący się od ramienia ku nadgarstkowi, znika pod rękawem koszuli. - Zadzwońmy do recepcji po taksówkę?  
- Nie trzeba.  
- Złapiemy ją w mieście?  
- Nie. Nie pojedziemy taksówką. Mam przygotowany samochód.  
Chwilę później opuszczają stolicę autostradą prowadzącą na północ. Niedługo Sarah spotka się z ojcem i nie potrafi myśleć o niczym innym.

## ROZDZIAŁ 43

Po całonocnym czuwaniu dwóch agentów tkwi ciągle w tym samym miejscu, nie spuszczać oczu z bramy, za którą wiele godzin temu zniknął staruszek. Nie widać po nich zmęczenia czy zniecierpliwienia, zwłaszcza po tym, który siedzi obok kierowcy.

- Jestem wykończony - narzeka.  
- Samochody nie są przystosowane do spania - odpowiada mu kierowca.

W ramach śniadania zjadają pączki, popijając je kawą, którą ten pierwszy przyniósł z baru oddalonego o jakieś pięćdziesiąt metrów od samochodu. Wykorzystując milczące usposobienie kolegi, miał wiele długich godzin na myślenie. Taki na przykład Payne, wielki Jack. Potępia to, co on zrobił, i jednocześnie go podziwia. Trzeba mieć dużo odwagi, po prostu trzeba mieć jaja, żeby się zdecydować na coś takiego. Do tego jeszcze trzeba je mieć na właściwym miejscu, żeby prowadzić podwójną grę w samym sercu gwardii, a nade wszystko nie dać się zdemaskować, chyba że na własne wyraźne życzenie. Stary Jack Payne. Prawdziwy lis. A mówiąc o starcach i lisach...

- Cel właśnie wyszedł na ulicę - mówi kierowca.  
- Widzę go.  
- Będziesz go śledził?  
- Nie. Ty to zrobisz.  
- A ty?  
- Rozglądnę się po jego mieszkaniu.  
- To rozumiem - mówi kierowca, nie ukrywając zadowolenia. Wreszcie coś się dzieje.  
- Nie spuszcza go z oka. Zadzwoń, kiedy skończę, i powiesz mi, gdzie jesteś.

Kierowca cicho wysiada z samochodu i idzie w ślad za staruszkami, który oddala się Siódmą Aleją w stronę Central Parku. Skręca w kierunku Broadwayu i dalej na Times Square. Stary jest miłośnikiem długich spacerów, a to ułatwia pracę śledzącemu.

„Dlaczego nie wlepimy mu kuli między oczy, by skończyć raz na zawsze tę sprawę? - zadaje sobie w duchu pytanie kierowca. - Co ma takiego nadzwyczajnego, że traktujemy go inaczej niż innych?”

Zaledwie piętnaście minut później drugiemu z mężczyzn udaje się wejść do mieszkania staruszka. Wykonuje swoją pracę kompetentnie i postępuje z najwyższą ostrożnością, mając na uwadze fakt, że przekracza uprawnienia związane ze swoją funkcją. Rozkazy szefa są jasne, nie było mowy o wejściu do

mieszkania. Poza tym wyraźnie zabroniono wszelkich działań mogących pokrzyżować plan. Jak zatem wytłumaczyć inicjatywę tego człowieka? Dlaczego naraża na niebezpieczeństwo całą dotychczasową pracę i sam się pcha pod nóż, wiedząc, że Maestre nie zadrzy ręką, kiedy będzie wymierzał karę? Jednak podejmuje takie ryzyko, bo myśli, że może zyskać coś, co sprawi przyjemność staremu szefowi, który niebawem zjawi się tu osobiście.

Wszystko ma świetnie przygotowane. Czeką w rozsądnej odległości od bramy. Po niecałych dziesięciu minutach zatrzymuje się

pod nią samochód i portier podchodzi, żeby otworzyć drzwi kobiecie z dziećmi, które rzucają się mu na szyję. Mężczyzna nie traci czasu i w ułamku sekundy przedostaje się już do bocznej klatki schodowej, przeznaczonej dla obsługi. Wspina się na siódme piętro. Nikt nawet nie zauważył, że ktoś wszedł.

Znalazłszy się w mieszkaniu, przeszukuje je z nadzwyczajną ostrożnością. Wystrój jest bardzo stonowany: stare meble, ale bez luksusów. Dominują ciemne barwy, a wzrok przykuwają liczne krucyfiksy, wiszące na ścianach wszystkich pomieszczeń. O religijności lokatora świadczy drewniany ołtarz - niewielki, lecz wystarczający do tego, by odprawianej przy nim mszy wysłuchało dziesięć do piętnastu osób - a także wiele egzemplarzy Nowego Testamentu, rozmaitych wydań, rozmiarów i w różnych oprawach.

Podczas przeszukania, trwającego około godziny, trzy razy dzwoni do swego partnera, żeby skontrolować pozycję właściciela mieszkania, który ciągle jeszcze spaceruje po Central Parku, ku rozpaczy kierowcy, zmęczonego już dreptaniem za nim. Kiedy mężczyzna kończy przeszukiwanie, nie ma najmniejszej wątpliwości, że to, czego szuka, znajduje się w innym miejscu. Sprawdza każdy, nawet najmniejszy i najbardziej zakamulowany zakątek mieszkania. Ostrożnie wygląda przez okno. Na Szóstej Alei ruch nie słabnie. Rzuca okiem na swój samochód, zaparkowany przy krawężniku. Usiłuje trochę się uspokoić. Nie może stąd wyjść rozdrażniony.

W zamyśleniu wrywa mu się głębokie westchnienie: „Nic”.

## ROZDZIAŁ 44

Pośród wielu cennych zabytków architektury w Portugalii pałac w Mafrze jest jedną z najważniejszych budowli. Ogromny budynek, uważany za szczytowe osiągnięcie europejskiego baroku, wzniesiony został na życzenie króla Jana V, zwanego Wielkodusznym, w miejscowości, której zawdzięcza swoją nazwę. Król złożył obietnicę ufundowania go jako wotum, jeśli jego małżonka, królowa Maria Anna Austriacka, obdarzy go potomstwem. Narodziny księżniczki Marii Barbary zobligowały króla do rozpoczęcia budowy, na to pełne rozmachu przedsięwzięcie nie szczędził środków. Luksusowe apartamenty królewskie zajmowały całe wyższe piętra pałacu, lecz najważniejszą częścią potężnego kompleksu był klasztor franciszkański, zapewniający dach nad głową ponad trzystu braciom, bazylika oraz jedna z najpiękniejszych europejskich bibliotek, wyłożona marmurami i egzotycznym brazylijskim drewnem. Jej rokokowe regały dźwigają dziś ponad czterdzieści tysięcy woluminów w skórzanych oprawach, z tytułami tłoczonymi złotymi literami. Pośród wielu białych kruków znaleźć tam można pierwsze wydanie Luzytan Luisa Vaz de Camoesa. Franciszkanów

nie ma w Mafrze już od wielu lat, od czasu kiedy w 1834 roku rozwiązano w Portugalii zakony.

Sam zespół pałacowo-klasztorny ma olbrzymią wartość, lecz nie mniejszą estymą cieszą się również zgromadzone w nim skarby. Bazylika ma dwie wieże i kopułę, sześć prospektów organowych, jak również własny repertuar, który może być grany tylko tam, oraz dwa karyliony uważane za najwspanialsze na świecie, z których każdy liczy po dziewięćdziesiąt dwa dzwony.

- Co my tu robimy?
- Spotkamy się z twoim ojcem.
- Tutaj? - Sarah jest w nie najlepszym humorze. - Przyjedzie tutaj?

- Już tu jest.

Wchodzą przez wielką bramę klasztoru, by zagłębić się w jego oszalałymi wnętrza. Rafael sprawia wrażenie, jakby doskonale wiedział, dokąd zmierza.

Otoczająca klasztor aura barokowego przepychu i spokoju sprawia, że Sarah zaczyna się powoli wyciszać. Taka atmosfera działa jak balsam na wszystkie dusze. Tuż przed nimi budowlę podziwia grupa uczniów, a przewodnik przybliży im historię tego miejsca.

- Jose Saramago, laureat literackiej Nagrody Nobla, opisuje w swojej powieści Baltazar i Blimunda, którą wam zresztą polecam, blaski i cienie wznoszenia tej budowli.

Rafael i Sarah kierują się niezauważenie w kierunku drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”. Serce dziewczyny bije szybciej, jest już tak blisko.

- Wiesz, że się mówi, że wysokość klasztoru równa jest głębokości jego podziemi? - pyta Sarah, wyraźnie zdenerwowana.

- Wiem - odpowiada Rafael automatycznie i nietrudno zauważyć, że rozmyśla o czymś innym.

Zbliżają się do miejsca, gdzie kiedyś był szpital z przylegającą doń kaplicą, w której chorzy mogli słuchać słowa Bożego. W jednym z kątów znajdują się niewielkie drewniane drzwi, Rafael otwiera je wprawnym ruchem.

Schodzą po kręconych schodach w dół, w świetle latarki, którą Rafael wyjmuje z kieszeni.

- Mówi się również, że podziemia od wieków są niedostępne z powodu tysięcy szczurów, żyjących tutaj – głos Sarah drży coraz bardziej, zdradzając niepewność i przerażenie. - Podobno z tego powodu zaginęło wiele bardzo cennych skarbów.

Dochodzą do bardzo starych drewnianych, obrośniętych mchem drzwi o zardzewiałych zawiasach. Ciemność jest tu nieprzenikniona. Sarah zaczyna sobie wyobrażać nietoperze zbudzone ze stuletniego snu, oszalałe na widok dwojga intruzów. Rafael otwiera drzwi, które odpowiadają przeciągłym, głuchym skrzypieniem.

- Uważaj na głowę - ostrzega ją, schylając się, gdy przekracza próg. Sarah wchodzi zaraz za nim, przekonana, że właśnie cofa się w czasie do piętnastego wieku.

- Co tu jest? Gdzie my jesteśmy?

- Masz - mówi Rafael, wręczając jej małą latarkę.

Sarah wykorzystuje to i rozgląda się po pomieszczeniu, nie zwracając uwagi na swojego towarzysza. Dostrzega jedynie ziemię. Wszędzie wokół tylko ziemia i ziemia, tak że trudno się zorientować, czy znajdują się w dalszej części korytarza, czy też właśnie wkroczyli do czegoś, co przypomina katakumby.

- Mogłabyś mi poświecić? - prosi Rafael. - To musi być gdzieś tutaj.

- Ale co?

W kamiennej lub ziemnej ścianie - Sarah nie potrafi tego dokładnie określić - tkwi gruby kij, owinięty z jednej strony szmatą. To pochodnia.

Kilka sekund później Rafaelowi udaje się ją rozpaść za pomocą zapalniczki. Pałca się tkanina emituje żółtawe światło, które częściowo rozprasza ciemności. Stoją u wejścia do potężnego tunelu, wydrążonego w kamieniu, który zdaje się nie mieć końca.

- Gdzie jesteśmy?

- Witaj w katakumbach klasztoru w Mafrze - mówi Rafael, obserwując jednocześnie pełen niepewności wyraz twarzy Sarah. - Idziemy?

Dziewczyna nie odpowiada. Strach ją paraliżuje, nie może wydusić z siebie ani słowa.

- Mój ojciec przyjdzie tutaj, żeby się z nami zobaczyć? - pyta w końcu.

- Nie, twój ojciec tutaj mieszka.

Golf i ekonomia  
Wrzesień 1978 roku

Każdy przyzna, że nic nie przewyższa niebieskawego dymu z hawańskich cygar, układającego się z wolna w zgrabne smugi o nieprzewidywalnych kształtach i roztaczającego wokół nieporównywalną z niczym woń elegancji i wyrafinowania.

Paul Marcinkus w swoim rzymskim gabinecie delektował się hawańskim cygarem, oglądając w telewizji skrót meczu golfowego. Kiedy elegancki gracz w żółtym swetrze stawał do walki z niepokonanym Jackiem Nicklaussem, właśnie chylił się ku zachodowi dzień pełen goryczy. Tylko turniej tej klasy, co Masters w Augustie albo British Open, mógł ukończyć życiowe nieprzyjemności. „Chociaż ze wszech miar słuszną jest teza, że najwspanialszy jest Wimbledon” - rozmyślał Marcinkus.

U arcybiskupa z Illinois mdłości wywoływała sama myśl o zapachu zakrystii i nie mógł pojąć niesmaku, budzącego się w niektórych kapłanach na myśl o życiowych przyjemnościach. „Kiczowaci dewoci” - zwykł mawiać, kiedy któryś z pełnych pokory księży przypominał mu, że ostentacyjne bogactwo Kościoła nie jest najlepszym wzorem dla wiernych na świecie. Gdy napomnienie przychodziło od kogoś z członków Kurii Rzymskiej, *monsignore*

Marcinkus przywoływał na swoją obronę ustęp z Ewangelii, który rozbrajał jego przeciwników: „Przyszedł Syn Człowieczy: je i pije, a wy mówicie: »Oto żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników«. A jednak wszystkie dzieci mądrości przyznały jej słusność”<sup>\*</sup>.

\* Łk 7, 34-35.

Na szczęście dla Marcinkusa, żadnemu z napominających go hierarchów nie przychodził do głowy w tym momencie inny fragment, w którym Jezus zauważa, że nie można dwóm panom służyć, zwłaszcza jeśli jeden jest Bogiem, a drugi mamoną.

- To żelazo trzy - rzuca arcybiskup, bo komentator telewizji RAI nie wiedział, jakiego kija golfowego użył jeden z graczy.

Papież Paweł VI powierzył Marcinkusowi zarządzanie watykańskimi finansami w 1971 roku, kiedy miał on zaledwie czterdzieści dziewięć lat. Marcinkus pamięta papieża, już schorowanego, który przyznawał, że po Soborze Watykańskim II skarbiec watykański zarósł pajęczynami. „To była misja od Boga” - pomyślał Marcinkus z ironicznym grymasem na ustach. Bank Watykański, zwany inaczej Istituto per le Opere di Religione (IOR), skupiał *de facto* w swoim łonie rozmaite organizacje finansowe, a one potrzebowały gruntownej odnowy i restrukturyzacji.

Jedną z pierwszych współczesnych instytucji bankowych zależnych od Stolicy Apostolskiej był Banco Ambrosiano, założony w 1896 roku przez *monsignore* Toviniego. Wspomniana instytucja finansowa, zgodnie z tym, co przeczytał Marcinkus w wielu starych raportach, powołana była do „wspierania instytucji o charakterze moralnym, dzieł zbożnych i grup religijnych zajmujących się dobroczynnością”.

- Naturalnie - powiedział na głos kardynał, przypominając sobie właśnie, że jednym z dyrektorów Banco Ambrosiano był siostrzeniec papieża Piusa XI. - Dobroczynność jest najważniejsza.

W latach sześćdziesiątych Banco Ambrosiano przeniósł swoją główną siedzibę do Luksemburga, kraju lubującego się w pieniądzu. „Małe kraje są zachwycające. Luksemburg, Monako, Andora, Watykan, Bahamy...” - pomyślał kardynał. W Luksemburgu powołano do życia Banco Ambrosiano Holding, którego zbożne dzieła rozprzestrzeniły się na cały świat.

Błogi uśmiech na twarzy Marcinkusa zdradzał, że myśli o wspaniałych latach sześćdziesiątych, kiedy to Michele Sindona - z niezrozumiałych względów nazywany bankierem mafii - zaczął zacieśniać więzy przyjaźni z Roberto Calvim. Zdaniem kardynała, Sindona nie był człowiekiem szczególnie błyskotliwym. Aresztowano go w Stanach Zjednoczonych i skazano za nielegalne operacje finansowe we Włoszech. Natomiast jeśli chodzi o Calviego, Marcinkus mógł tylko wyrazić swój najwyższy podziw. Z tej właśnie przyczyny stosunki między IOR a Banco Ambrosiano krzepły coraz bardziej. Korzystając z technik

„wyższej inżynierii finansowej”, Marcinkus doprowadził do wchłonięcia Banca Cattolica del Veneto, na którego czele stał duchowny, całkowity dyletant, niejaki Albino Luciani. Marcinkus z nadludzkim trudem przypomina sobie krótkie i suche rozmowy, jakie prowadził w tamtym czasie z patriarchą Wenecji. Kiedy Luciani niespodziewanie został papieżem, Marcinkus myślał, że Wenecjaninem kieruje wyłącznie żądza zemsty. Dzisiaj mógł się o tym dobitnie przekonać. Luciani oskarżył sporą część osób zasiadających w Kurii Rzymskiej o moralny upadek i zamierzał przeprowadzić w łonie Kościoła coś na kształt rewolucji. Na szczęście chłopcy z P2 już się tym zajęli.

Kościół ocalał przecież dzięki wysiłkom Marcinkusa, dzięki jego stosunkom z możnymi tego świata, dzięki pobożnym ludziom, którzy umiejętnie mu doradzali. Cóż złego może być w osiągnięciu wysokich zysków, a przy tym w przeznaczaniu ich na liczne dzieła dobroczynne?

Albino Luciani jednak tego nie pojmował. Niczego nie pojmował. Niczego się nie nauczył przez te długie lata. I jeszcze groził, że zniszczy ich wszystkich.

W tej samej chwili w telewizji golfista Nicklaus zagrał na birdie i piłka z gracją wpadła do dołka.

- Genialnie! Genialnie!

## ROZDZIAŁ 46

Odrzutowiec przecina powietrze z maksymalną prędkością na wysokości trzynastu tysięcy metrów. Wnętrze tego samolotu przypomina londyńskie biuro, z personelem biegającym jak w ukropie, z fruującymi w powietrzu rozkazami, z informatykami zapatrzonymi w ekrany komputerów, sekretarkami z telefonem przy uchu i nieskończoną liczbą osób wykonujących inne czynności, niczym nie różniące się od tych, które zwykle wykonuje się na ziemi. Jedyna różnica polega na tym, że nie można wyjść na ulicę, żeby napić się kawy, i trzeba zadowolić się chwilą wytchnienia na pokładzie statku powietrznego. Fotele służą do siedzenia z zapiętymi pasami tylko w czasie startu i lądowania.

Jako na ziemi, tak i w niebie. Geoffrey Barnes i tutaj ma swój osobny gabinet, oddzielony od reszty ekipy, z wygodnym skórzanym fotelem.

Thompson okazał się świetnym nabytkiem. Serwuje sobie kawę w gabinecie szefa i siada na krześle, już nie tak wygodnym jak fotel Barnesesa.

- Sharon Stone. Cholerne ścierwa - podsumowuje Barnes refleksyjnie. - Facet nie żartował.

- Jaki facet? - pyta Thompson.

- Gość z British Museum. Nieważne.

W odróżnieniu od londyńskiego biura ściany jego gabinetu nie są ze szkła, co uniemożliwia Barnesowi permanentną kontrolę nad agentami. Ale on chyba tak woli. Przez szklane ściany także podwładni mogą widzieć każdy jego ruch, a tutaj może robić, co mu się żywnie podoba.

Na pokładzie Staughton oddaje się swojemu stałemu zajęciu - które przedkłada ponad pracę w terenie - a mianowicie analizie i kojarzeniu danych. W samolocie czy w biurze, wszystko jedno, zawsze to lepsze niż wychodzenie na zewnątrz w celu zebrania informacji, tak jak ostatnio wizyta w mieszkaniu Hansa. Staughton nie ma do tego dość zimnej krwi. Jego bronią jest komputer. Drukarka ustawiona tuż obok zaczyna wibrować i po chwili z oszałamiającą szybkością wypluwa papier.

„Te typy doprowadzają mnie do szału” - myśli, rzucając okiem na czterech ubranych na czarno mężczyzn, siedzących nieruchomo w głębi kabiny. Od czasu kiedy samolot wystartował, nie zamienili ze sobą ani słowa. Siedzą jak posągi z eleganckich parków, w identycznych garniturach, jak spod igły. Może jednak przypominają mu o czymś innym.

Staughton nie znosi czarnych garniturów, tego oficjalnego blichtru agentów. Woli mniej formalne ubranie. Cokolwiek, w czym jest mu wygodnie. Wystarczyłoby, żeby nie chodzili z trzydniowym zarostem albo przesadnie zaniedbaną fryzurą. W dniu, w którym zobligują wszystkich pracowników agencji do noszenia garnituru i krawata, Staughton jako pierwszy złoży wymówienie. Drukarka wyrzuca



ostatnią kartkę i informatyk, wsuwając je wszystkie do teczki, udaje się do gabinetu szefa.

- Nie mogę ścierpieć tych typów, którzy tam siedzą - skarży się już w drzwiach.
- To nie patrz na nich - sugeruje Thompson.
- To ci z gwardii? - pyta Staughton. - Nie wydają się bardzo niebezpieczni.
- Mów ciszej, Staughton. Ci faceci to dzikie zwierzęta - upomina go Barnes. - Masz coś nowego?
- Chyba tak. Złapali Eurostar na Waterloo, do Paryża, a potem samolot z Orly, wylądowali dwie godziny temu w Lizbonie. Są tam już nasi ludzie, którzy rozglądają się za nimi na miejscu.
- Sharon Stone - powtarza Barnes, wzdychając. - Cholerne ścierwa.
- Nie domyśla się pan, dlaczego tam pojechali? - zaciekawia się Thompson.
- Na pewno chcą porozmawiać z ojcem dziewczyny - odpowiada Barnes.
- Nie ma go w ich posiadłości w Beja. Sprawdzaliśmy już to miejsce. Teraz szukamy u krewnych.
- Mamy tylko jedną taką okazję, moi drodzy - mamrocze Barnes. - Po raz drugi nie użyją już tych paszportów. Jack nie popełni takiego błędu.
- Wszystko się komplikuje, kiedy ściga się kogoś, kto wie, jak się ściga - narzeka Thompson.
- Staughton, o której mniej więcej będziemy na miejscu? - pyta Barnes.
- Za dwie godziny wylądujemy na wojskowym lotnisku w Figo Maduro.
- Dobrze. Niech nasi ludzie już zaczną chodzić po hotelach, agencjach wynajmu samochodów, firmach taksówkarskich, prywatnych liniach lotniczych. Niech pokazują ich zdjęcia, ale niech ich nie zostawiają. Nie chcemy, żeby wchodziły się w to portugalskie gliny, a już broń Boże dziennikarze! Niech będą dyskretni i szybcy. Ty się tym zajmij. Kiedy wylądujemy, musimy mieć już jakiś trop, żeby szybko zamknąć sprawę.

Staughton, który wszedł do gabinetu z mnóstwem papierów, wychodzi z mnóstwem rozkazów, ale taka praca mu się podoba.

Parę telefonów i wszystko zostaje uruchomione, machina zaczyna działać na pełnych obrotach, czekając na chwilę, w której Jack Payne okaże się mniej sprytny niż oni wszyscy razem wzięci.

- Dlaczego zdecydowali się lecieć do Portugalii, do ojca? - pyta Thompson, ciągle jeszcze odpoczywając w gabinecie Barnes'a.
- Myślę, że szukają odpowiedzi na kilka pytań. I chcą coś zaplanować.
- Ale on nie jest członkiem P2?
- Teoretycznie.
- Teoretycznie?
- Teoretycznie istnieją dwie grupy ludzi, dwie warstwy w P2. Nowa i stara. Ojciec dziewczyny należy do tej starej.
- To znaczy, że są dwie loże?
- Nie całkiem. Jest jedna P2. Starzy członkowie nie mają żadnej władzy w nowej strukturze. Ale istnieć, istnieją. A w starym piecu diabeł pali.
- To wszystko ich manipulacje?
- Tak. Nawet Watykan jest zaalarmowany. Musimy dostać te papiery jak najszybciej. Jeśli ich nie przechwycimy, całe to gówno wpadnie do wentylacji i narobi smrodu. A my, Thompson, jesteśmy częścią tego gówna, i jak mi Bóg miły, wylecimy w powietrze.

## ROZDZIAŁ 47

- Co masz na myśli, mówiąc, że mój ojciec tutaj mieszka? - docieka Sarah, pokonując długi korytarz wydrążony w skale. Jest tak wysoki i szeroki, że mogą iść wyprostowani obok siebie.

- Tylko to, co znaczą te słowa - odpowiada Rafael, podnosząc do góry pochodnię. Wydaje się, że dobrze zna drogę.

- Jak to możliwe? - nie ustaje w dociekaniach dziewczyna, zaskoczona samą myślą, że ktoś mógłby tu mieszkać.

- Przekonasz się.

- Czyli to prawda, że klasztor ma podziemne tunele.

Serce Sarah wali jak młot, z każdym krokiem coraz głośniej. Zbliża się chwila spotkania z ojcem. Dziewczyna ma świadomość, że jego obraz, który miała jeszcze do niedawna, nie jest kompletny, żeby nie powiedzieć fałszywy. W rzeczywistości po prostu go nie знаła. Zawsze mu ufała, przede wszystkim ze względu na jego przykładową postawę tak w życiu osobistym, jak i społecznym. Był dla niej osobą godną szacunku, bez żadnej skazy. Uważała go za wzorowego ojca, żołnierza i człowieka. A teraz... Tak szybko znalazła się znów na ojczystej ziemi, i to w takich okolicznościach.

Teraz przemierza katakumby klasztoru w Mafrze - o których niewiele słyszała, a tylko nieliczni mogli zobaczyć je na własne oczy - usiłując sobie wmówić, że musi być silna i nie może się przed nim rozkleić. Mimo wszystko czuje, jak wilgotnieją jej oczy.

Po kilku minutach przed Sarah i Rafaelem wyrasta ogromna drewniana brama zamykająca tunel. Coś przelatuje nad ich głowami z zawrotną szybkością, a z ust Sarah wrywa się krzyk przerażenia.

- To nietoperz - uspokaja ją Rafael.

Sarah obserwuje czarny otwór, z którego wyleciał skrzydlaty ssak, a potem dostrzega drugi taki sam otwór, usytuowany dokładnie naprzeciwko, do którego nietoperz wpadł w pędzie.

- Co to za dziury?

- Korytarze do innych miejsc.

- Jakich miejsc?

- Teraz znajdujemy się w sieci tuneli prowadzących do odrębnych galerii, schronów i przejść. Nigdy nie miałem tyle czasu, żeby zbadać je wszystkie, więc nie wiem dokładnie, dokąd prowadzą i gdzie się kończą - tłumaczy spokojnie Rafael. - Wiesz, że w czasie inwazji napoleońskiej rodzina królewska rozważała możliwość schronienia się tutaj?

- Serio? Jan VI? Ten, który uciekł do Brazylii?

- Ten sam. W końcu wybrali Brazylię. To było pewniejsze wyjście.

- Z gwarancją Atlantyku.

Wreszcie stają przed wejściem i Sarah czeka, aż Rafael je otworzy. Jej towarzysz zbliża się i trzy razy głośno uderza w drewniane drzwi. Raz. Cisza. Dwa. Cisza. Trzy. Cisza.

Po chwili oczekiwania słyszą zgrzyt zamka i rygła odsuwanego po drugiej stronie. Sarah czuje straszliwy niepokój, rosnący z każdą sekundą zbliżającą ją do momentu, kiedy drzwi zupełnie się otworzą. Potem zapada cisza. Dziewczynie wydaje się, że trwa to wieczność. Wreszcie zawiasy skrzypią i brama zaczyna się poruszać. Kiedy jest już w takim stopniu otwarta, żeby mogli swobodnie wejść, w szparze pojawia się czyjaś twarz z szerokim uśmiechem na ustach. Sarah wstrząsa dreszcz, lecz nie pozwala całkowicie ponieść się nerwom, które i tak wywołały u niej delikatne drżenie rąk i nóg. Spoglądające na nich oblicze należy do Raúla Monteiro, jej ojca.

- Jak się masz? - pyta Rafael, ściskając gospodarza i poklepując go poufale po plecach. To spotkanie dwóch przyjaciół.

- Dobrze. U mnie wszystko w porządku.

Po przywitaniu z Rafaelem Raúl kieruje wilgotne spojrzenie na córkę.

- Sarah, córeczko... - wrywa mu się, kiedy podchodzi do niej.

Łzy płyną po policzkach obojgu.

- Przebac mi, kochana. Przebac - szepcze jej do ucha, głosem złamanym wzruszeniem.

Kiedy mija chwila powitania, emocje opadają i wszyscy wracają do rzeczywistości.

- Zatem... wejdźcie do środka - prosi Raúl pogodnie.

Po drugiej stronie drewnianej bramy, na końcu kolejnego korytarza, tym razem wyłożonego płytkami,

które zdobią malowidła przedstawiające motywy związane z portugalskimi odkryciami geograficznymi, widać światło. Karawele Zakonu Rycerzy Chrystusa na wzburzonym morzu, grecki gigant Adamastor, nowe ludy i nowi wrogowie... Każdy obraz od następnego oddziela strofa z Luzytań wielkiego Camoesa.

Rafaël zamyka drzwi, zasuwając rygiel, co sprawia, że kryjówka ponownie jest w pełni bezpieczna. Gasi pochodnię. Tam gdzie się znaleźli, już nie potrzebują jej światła, dostarczają go bowiem kandelabry na ścianach. Marmurowa posadzka nadaje wnętrzu splendoru. Sarah rozumie teraz, że surowość tuneli nie ma większego znaczenia. W korytarzach luksusu nie są potrzebne, zarezerwowano je dla schronów. Ogromne drzwi przedzielają dwa światy.

Korytarz prowadzi na wielki balkon otwarty na dwie strony. Ciężar sklepienia podtrzymuje wiele kolumn. Krawędzie balkonu wyposażono w kute balustrady, dla tych, którzy pragną podziwiać z góry usytuowany poniżej obszerny salon z wszystkimi niezbędnymi do codziennego życia udogodnieniami. Dostać się do niego można po dwóch ciągach schodów, umieszczonych na obu krańcach balkonu. Z sufitu tworzącego kopułę zwisa ogromny żyrandol, oświetlający całą przestrzeń, a na ścianach zawieszono kilimy. Jest tu także fortepian, kilka kanap ozdobionych poduchami i stół jadalny na co najmniej dwadzieścia osób. Wystrój wnętrza działa na wyobraźnię Sarah i każe myśleć o pałacu lub haremie. Brakuje tylko kobiet... i sułtana.

Z balkonu Sarah dostrzega troje drzwi, po jednych w każdej ze ścian salonu - prowadzą one zapewne do prywatnych pokoi.

Raúl wybiera schody po lewej stronie i kiedy tylko schodzą na dół, prosi, by usiedli na ogromnej kanapie.

- Macie ochotę na coś do jedzenia? A może się napijecie? Nie ma tu rarytasów, ale czymś na pewno mogę was ugościć. - W jego głosie wyczuwa się ulgę, że siedzą obok niego, cali i zdrowi.

- Jesteś tu sam? - ośmiela się zapytać córka, zapominając o tym, co sobie obiecała.

- Tak.

- A mama?

- Jest bezpieczna, nie martw się.

- Dlaczego nie przyjechała tu z tobą?

- Bo nie zniosłaby tego odosobnienia. Tutaj nie ma ani telewizji, ani radia, ani Internetu, niczego.

- Gdzie ona jest? - dopytuje się uparcie Sarah tonem pełnym wyrzutu. Wzruszenie powtórnego spotkania już ustąpiło. Obeschły

łży i rozsądek przejął kontrolę nad dziewczyną. Sarah uświadamia sobie wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby. Nierozwiane dotąd wątpliwości i wszystkie karty, które ciągle jeszcze są w grze zakryte.

- Twoja matka jest w bezpiecznym miejscu. Niedaleko Porto - odpowiada ojciec. - Powiedziałem jej o wszystkim. Jej reakcja nie była najlepsza, jak możesz się spodziewać. - Sarah potwierdza słowa ojca lekkim skinieniem głowy. Oboje doskonale znają tę kobietę. - Chciała jechać po ciebie do Londynu, ale kiedy pojęła powagę sytuacji, uległa mojej prośbie. Ona nie może być sama. Jeśli ją złapią, będą mogli użyć jej jako zakładniczki. Są zdolni do takich rzeczy. Poza tym oficerowie operacyjni CIA są dość aktywni.

- Rzeczywiście - potwierdza Rafaël. - Ale ciągle jeszcze mamy parę godzin przewagi.

- Godzin? - powtarza Sarah, nie mając pewności, czy się nie przesłyszała.

- Tak, godzin - przyznaje ojciec. - Ci ludzie są świetnie wyszkoleni. Nie mogą odtworzyć wszystkich naszych kroków, ale zawsze zostaje jakiś ślad i oni go umieją znaleźć.

Strach znowu opanowuje Sarah, przyspieszając rytm jej serca i wywołując lekki dreszcz przechodzący po plecach.

- Mogą nas tu znaleźć?

- Tutaj nie - odpowiada Rafaël natychmiast. - Mogą za to zlokalizować nas w Mafrze.

- Jak?

- Przepytyując ludzi w agencji, w której wypożyczyliśmy samochód.

- I zorientują się, w jakim hotelu się zatrzymaliśmy?

- Teoretycznie tak. Jeśli zasięgną języka we wszystkich recepcjach hoteli w całym regionie. Natomiast nawet jeśli namierzą taksówkarza, który nas wiozł z lotniska do hotelu, nic nie wskórają, bo...

- Tak, wiem - przerywa mu Sarah, przypominając sobie, że gdy wzięli taksówkę na lotnisku, Rafael poprosił, by zawieziono ich do hotelu Le Meridien. Kiedy wysiedli z taksówki przed budynkiem, a Sarah już miała nadzieję na chwilę odpoczynku, Rafael z miejsca ruszył w kierunku przeciwnym niż hotel. Gdy zapytała go, dokąd idą, odpowiedział, że tu się nie zatrzymają. Szli prawie kilometr do hotelu Altis. Teraz już rozumiała jego taktykę. - Najpierw pomyślą, że zatrzymaliśmy się w Le Meridien.

- No właśnie.

- Teraz już rozumiem - mówi Sarah, zamyśliwszy się. Po chwili patrzy ojcowi głęboko w oczy. - Jak widać nie mamy chwili do stracenia, więc opowiedz mi wszystko, czego nie wiem, od samego początku i nie omijając żadnego szczegółu.

Raúl siada naprzeciwko, dzieli ich pięknie rzeźbiony ciemny stół.

- Masz rację. Masz prawo wiedzieć wszystko. Co ci zdążył powiedzieć Rafael?

- Nic dobrego. Same okropności. Nie za wiele, mając na uwadze fakt, że jestem w posiadaniu listy przestępców, na której widnieje nazwisko mojego ojca.

- Przyjrzyjmy się temu spokojnie, córeczko - prosi kapitan pojednawczym tonem.

- Spokojnie? Prosisz mnie o spokój? Depczą mi po piętach jakieś ciemne typy z choleralnej sekty P2, wysługują się agentami CIA i ty chcesz, żebym była spokojna?! Kiedy na dodatek wiem, że udało im się wykończyć już niejedną grubą rybę! Nawet papieża! Sam sobie bądź spokojny, jeśli potrafisz, bo ja nie umiem!

- Dobrze. Teraz bądź przez chwilę cicho i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Ale najpierw naleję nam wszystkim po kieliszku porto. Zrozumiano? - W głosie kapitana Monteiro pojawia się w końcu wojskowy ton. Wstaje, napełnia trzy kieliszki brunatnym porto Ferreira Vintage i podaje gościom.

Rafael siedzi niewzruszony i spokojny tuż obok Sarah. Raúl wraca wreszcie na swoje miejsce i pociąga łyk z kieliszka.

- Każdy człowiek popełnia w życiu błędy. I ja nie jestem wyjątkiem. W 1971 roku wstąpiłem do P2, ponieważ wydawało mi się, że w ten sposób pomogę swojemu krajowi. W Portugalii mieliśmy dyktaturę i P2 mogła stworzyć warunki potrzebne do zmiany tej sytuacji. W to przynajmniej chciałem wierzyć. Kiedy odkryłem prawdziwe zamiary liderów, natychmiast odsunąłem się od łoża. Niestety, nikt nie opuszcza P2 z własnej woli, chyba że organizacja może mieć z tego jakiś zysk. Jak zdążyłaś zauważyć, nie byłem jedynym Portugalczykiem na liście. Co więcej, było wielu takich, którzy mieli to szczęście, że nie znaleźli się ani w tym sprawozdaniu, ani w innym, opublikowanym w 1981 roku.

- Widziałam bardzo znane nazwiska ze świata polityki - przyznaje Sarah.

Kapitan puszcza mimo uszu komentarz córki.

- Wracając do sprawy, moje stosunki z P2 ustały w 1981 roku. Moje i wielu innych osób. Ale organizacja wciąż istnieje i działa, jak mogliście się przekonać, w najgorszy możliwy sposób. Przez jedenaście lat, kiedy byłem jej członkiem, nigdy nie naraziłem niczyjego życia na szwank, nigdy nikogo nie zabiłem - ostatnie słowa Raúl wypowiada, patrząc córce w oczy, żeby nie miała żadnych wątpliwości. - Inwigilowałem wiele osób tu, w Portugalii, wielu ludzi, których organizacja chciała mieć ciągle na oku. Niektórzy byli obcokrajowcami, mieszkali tu na stałe lub byli tylko przejazdem. O ile wiem, tylko dwie z tych osób dziś już nie żyją, lecz nie zginęły z mojej ręki. Jedną z nich był premier Sa Carneiro.

- Boże kochany - jęknęła Sarah, podnosząc rękę do ust.

- Ta historia zakończyła mój romans z łożą.

- A jak się zaczął mój?

- Do tego zmierzam. Najpierw wyjaśnię ci, co to za dokumenty. Mówimy o trzynastu stronach.

- Trzynastu? Ja mam tylko dwie. To znaczy trzy. Miałam trzy, ale jedna zginęła... w żołądku pewnego człowieka. - Odwraca się do Rafaela. - Ta strona z kodem.

- Jakim kodem? - pyta nagle ojciec. - Nie, zaczekajcie, potem do tego wrócimy. Teraz pozwólcie mi skończyć. Feralne trzynaście stron zawiera listę, którą otrzymałaś, cztery strony informacji o wysokich

urzędnikach Watykanu wraz z listą przyszłych papieskich nominacji, z których parę miało nabrać mocy tego samego dnia, gdy papież zmarł. Zawiera również zapiski dotyczące środków, które należy przedsięwziąć długo- i krótkofalowo, w razie zagrożenia najbardziej kontrowersyjną dla konserwatywnego skrzydła Kościoła elekcją. Poza tym jest tam jeszcze trzecia tajemnica fatimska.

- Trzecia tajemnica fatimska? - Sarah nie może wyjść ze zdumienia. - Ta, którą Jan Paweł II ogłosił w 2000 roku?

Raúl patrzy ze zdziwieniem na córkę.

- Oczywiście, że nie ta. Prawdziwa trzecia tajemnica.

- Czyli to, co zostało ujawnione w 2000 roku, nie jest autentyczną tajemnicą?

- Prawdziwa mówi o śmierci człowieka odzianego w biel z rąk jego własnych podwładnych. Niektórzy uważają, że trzecia część tajemnicy fatimskiej, wyjawiona światu w 2000 roku przez Watykan, nie została opublikowana w całości. Siostra Łucja mówiła o prześlągnięciu Maryi. Najświętsza Pani krzyczała: „Pokuta, pokuta, pokuta!”. Według tekstu, zakonnica z Fatimy widziała biskupa odzianego w biel, którego utożsamiała z Ojcem Świętym. Widziała też innych biskupów, kapłanów, zakonników i zakonnice, wchodzących na stromą górę, na której szczycie znajdował się „wielki krzyż zbit z nieociosanych belek jak gdyby z drewna korkowego pokrytego korą”. Papież, albo raczej postać, którą siostra Łucja zidentyfikowała jako papieża, zanim dotarł na szczyt, przeszedł przez wielkie miasto na wprost zrujnowane. Ojciec Święty zdawał się kroczyć „na poły drżący, chwiejnym krokiem, udreńczony bólem i cierpieniem, szedł, modląc się za dusze martwych ludzi” których ciała napotykał na swojej drodze”. Zgodnie z tym, co opublikował Watykan, wizja opisywała dalej, jak człowiek odziany w biel dotarł na szczyt góry, a tam, klęcząc u stóp wielkiego krzyża, został zabity „przez grupę żołnierzy, którzy kilka razy ugodzili go pociskami z broni palnej i strzałami z łuku”. Proroctwa wizji kończyła się zapewnieniem, że inni biskupi, kapłani i zakonnicy zginęli wraz z nim w ten sam sposób, obok wielu mężczyzn i kobiet różnych klas i pozycji. Pod dwoma ramionami wspomnianego krzyża były dwa anioły, według siostry Łucji trzymały w rękach konewki z kryształami, do których zbierały krew męczenników. ..

Raúl robi pauzę - tak by dziewczyna zdążyła pojąć, że historia ta, mimo wrażenia, jakie robi na słuchaczu, nie jest kompletna - i korzystając z okazji, pociąga kolejny łyk portu.

Sarah zastanawia się nad opowieścią ojca, starając się ocenić jej możliwe następstwa. Wszystko to rysuje się nazbyt poważnie, by można było bez trudu przejść nad tym do porządku dziennego. Gdyby zależało to od niej, byłaby za nieujawnianiem tego dokumentu, za ukryciem go na wieki wieków.

- Dlaczego w takim razie ogłosili ją w 2000 roku?

- Bo coś trzeba było wymyślić. Uznano, że lepiej zmarnować nadzieje z nią związane, niż ogłosić, że trzecia tajemnica mówiła coś innego o zamordowaniu papieża.

- Jasne - potwierdza Sarah, ciągle jeszcze rozważając w duchu fakty. - Wyobrażam sobie, że nie jest łatwo zapanować nad taką rewelacją.

- Oj, nie! Dlatego tyle lat zwlekano z jej ujawnieniem. Potem zresztą zmontowano tę historię w Roku Jubileuszowym.

Wierni kupili kłamstwo, niewierni także, i sprawa została odłożona ad acta.

Kieliszek Sarah wciąż jest nietknięty. Rafaela zaś przeciwnie, już pusty.

- Z jakiego powodu te dokumenty pojawiają się teraz?

- No, właśnie...

- To znaczy jeżeli papieża zamordowali jego watykańscy współpracownicy, po co zachowali papiery... zamiast je zniszczyć?

- Najpierw wyjaśnijmy sobie jedno. Watykan jako instytucja nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Grupa osób, choćby ukrywały się one pod habitami lub czerwonymi piuskami, nie tworzy całej Stolicy Apostolskiej. Aktualnie w Watykanie wciąż działają ludzie niepożądanymi, podobnie jak w 1978 roku. Różnica polega na tym, że nie zajmują już tak eksponowanych stanowisk. Chociaż Kuria Rzymska jest równie konserwatywna, jak kiedyś, a może nawet bardziej niż wówczas, P2 nie ma w niej już żadnych wpływów. Nie może manipulować wynikami konklawe ani papieskimi decyzjami. Dziś powołane są do tego inne organizacje, ale nic nie wiadomo o tym, by prały brudne pieniądze albo generowały fałszywe

tytuły.

Sarah słucha zniesmaczona.

- Manipulacje wynikami konklawe? A kardynałowie? A Duch Święty?

- Jedyne Duch Święty, którego znam, to bank - stwierdza ironicznie Raúl. - To oczywiste, że konklawe to nade wszystko akt woli politycznej, poddany wpływom i manipulacjom zewnętrznym, jak każdy ludzki wybór. Są tacy papa-bili, którzy aż do momentu rozpoczęcia konklawe prowadzą kampanie w celu pozyskania jak największej liczby głosów. Kuria wybiera swego kandydata, wspierana przez silne frakcje, i kiedy kardynałowie dają się zamknąć na klucz, właściwie wszystko już wiadomo.

- Czyli wszystko to jest pewnego rodzaju komedią?

- Teoretycznie.

- Teoretycznie?

- Kościół ma wiele frakcji. Najbardziej konserwatywna to ta reprezentowana przez Kurię, są też inne, bardziej liberalne. W chwili kiedy jedna z tych frakcji osiągnie przewagę, reszta kardynałów daje się jej uwieść, na zasadzie czegoś w rodzaju *dura necessitas*.

- Dają się pociągnąć lokomotywie.

- Można tak powiedzieć.

- I to właśnie się stało w 1978 roku?

- Nie. Kurii nie udało się przeforsować wyboru kardynała Siriego, który był jej faworytem. Frakcja niewłoskich kardynałów poparła kandydaturę Albino Lucianiego. W ten sposób przypieczętowano jego los. - W salonie zapada cisza. Po chwili Raúl znowu zaczyna mówić: - W czasie drugiego konklawe 1978 roku, „roku trzech papieży”, kardynałowie nie zaryzykowali i wybrali tego, co do którego przewidywano, że będzie go można kontrolować. Nie trzeba dodawać, że trafili w dziesiątkę. Nie tylko był to papież, którym Kuria manipulowała, ale i udało mu się zbudować później wspaniałą więź z wiernymi. Był im bardzo przydatny.

- Nie takie miałam wyobrażenie o Janie Pawle II.

- Podobnie jak większość ludzi. Ale też trudno go za to winić. Po pierwsze dlatego że otrzymał bardzo czytelne ostrzeżenie w 1981 roku, mimo że pierwotny plan zakładał nie tyle zastraszenie go, ile uśmiercenie. A po drugie dlatego że Watykan okrężną drogą włął w kieszenie Solidarności prawie miliard dolarów.

- Solidarności?

- Tak, polskiego związku zawodowego z Gdańska, który doprowadził do upadku reżimu komunistycznego w Polsce. Pieniądze szły z zasobów zarówno watykańskich, jak i amerykańskich.

- Komunizm zawsze na celowniku - podsumowuje Sarah.

- Tak. Nie tylko Amerykanie mają obsesję na punkcie komunizmu. Watykan również.

- Dobrze, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego osoby, które zabiły papieża, nie zniszczyły tych papierów? Ja na ich miejscu zrobiłabym to od razu.

- Słuchaj dalej - ciągnie Raúl. - Papież nie umarł z powodu dokumentów, które przeglądał. Jednak ktoś zatroszczył się o to, aby wyjąć je z jego dłoni i usunąć z apartamentów papieskich. Oddał je osobie, która wykonała zadanie i natychmiast wyniosła je z Watykanu. Rozkaz brzmiał „zniszczyć”, ale ta osoba nigdy go nie wykonała.

- Dlaczego?

- Dobre pytanie. Myślę, że po to by mieć możliwość szantażu. A być może nawet aby ocalić życie, gdyby w przyszłości któryś z szefów zechciał się jej pozbyć.

- Rozumiem - mówi Sarah, potakując głową. - Przyszła kolej na wyjawienie motywu zamordowania papieża. Dlaczego go uśmiercono?

- Pijesz swoje porto, Sarah? - pyta nagle Rafael. Od dłuższej chwili wcale się nie odzywa. Ich spojrzenia krzyżują się.

- Nie - odpowiada, wręczając mu kieliszek. - Wypij.

- Dzięki - rzuca Rafael i bierze go bez ceremonii.

- Chciałabym wiedzieć, kto i dlaczego zamordował Albino Lucianiego - nie daje za wygraną Sarah - i

kim jest niejaki Firenzi. Wydaje mi się, że skądś znam to nazwisko, ale nie potrafię sobie przypomnieć skąd. Muszę wiedzieć, jaka jest w tym wszystkim moja rola.

- Przepraszam, że przerywam, ale rozsądniej będzie dokończyć tę rozmowę w samochodzie.
- W samochodzie? W jakim samochodzie? Tym, którym przyjechaliśmy? - chce wiedzieć Sarah.
- Nie, w tym, który mam na górze - tłumaczy jej ojciec. - Jak chciałaś stąd wyjechać?
- Nie wiem, z nim wszystko jest możliwe - odpowiada Sarah, spoglądając na Rafaela. - Dokąd jedziemy? Nie jesteśmy tu bezpieczni?
- Jesteśmy, ale zaraz Mafra będzie pełna agentów, a nie możemy sobie pozwolić na to, żeby nas otoczyli. Najważniejszym celem jest teraz utrzymanie dystansu zapewniającego nam możliwość manewru. Musimy być zawsze o krok przed nimi.
- Naprawdę myślisz, że mogą nas znaleźć w Mafrze?
- Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości.

## ROZDZIAŁ 48

- Papież umarł, bo wiedział za dużo - kontynuuje Raúl, siedząc na miejscu obok kierowcy volvo. Odwraca się do tyłu, do córki, która przysiadła na krawędzi tylnego siedzenia, żeby lepiej słyszeć. Rafael zdaje się pochłonięty prowadzeniem samochodu. Sarah domyśla się, że on zna już historię, którą opowiada ojciec, i myśli o własnych sprawach. - I na dodatek był skłonny poczynić pewne kroki.

- A to, co wiedział, było takie niebezpieczne?
- Wiedział, że prominentni hierarchowie kościelni, włączając w to sekretarza stanu kardynała Jean-Marie Villota, należą do organizacji masońskich, co pociąga za sobą obłożenie anatamą. Dowiedział się także, że Istituto per le Operę di Religione, IOR, znany jako Bank Watykański, kierowany jest przez człowieka skorumpowanego, który we współpracy z kimś z Banco Ambrosiano zajmował się praniem pieniędzy mafii i innych instytucji o zgoła nieświętej proweniencji.
- Kogo masz na myśli?
- Paula Marcinkusa z Banku Watykańskiego i Roberto Calviego z Banco Ambrosiano. A przede wszystkim kluczową w całej sprawie postać, która manipulowała tamtymi dwoma - niejakiego Licio Gellego, mózg całego procederu pralni brudnych pieniędzy.
- Jak się robi takie rzeczy?
- Poprzez fikcyjne firmy zakładane w Ameryce Łacińskiej i Europie Północnej, a potem poprzez przejmowanie banków zagranicznych albo wykorzystywanie zagranicznych filii Banco Ambrosiano. To umożliwiała niekontrolowany przepływ kapitału. Wielkiego kapitału. Kiedy interes zaczął prosperować na dużą skalę, Calvi otrzymał od Pawła VI przydomek „bankier Boży”. Jasne, że w pewnym momencie interes rozkręcił się już tak, że apetyty rosły w miarę jedzenia, i Gelli żądał przepływu coraz większych sum przez Bank Watykański i Banco Ambrosiano. Oczywiście na dłuższą metę nie mogło to pozostać niezauważone i mimo że Marcinkus i Calvi byli profesjonalistami, nie ustrzegli się pewnych błędów. Prawdę mówiąc, wielu błędów. Sprawa wyszła na jaw wkrótce po śmierci papieża i znana była jako „afera w Banku Watykańskim”.

- Banco Ambrosiano, tradycyjnie związany z instytucjami religijnymi - przejmuje opowieść Rafael - wpadł w ręce Roberto Calviego, znanego członka P2. Gellemu, Wielkiemu Mistrzowi loży P2, udało się doprowadzić do tego, że Bank Watykański przejął ponad dwadzieścia procent akcji Banco Ambrosiano i uczestniczył w nieregularnych transakcjach między różnymi, także nielegalnymi organizacjami w Europie i Ameryce, zajmującymi się malwersacjami podatkowymi i praniem brudnych pieniędzy. Bomba wybuchła, kiedy Bank Centralny Włoch ogłosił deficyt sięgający wysokości miliardów dolarów i Banco Ambrosiano nie mógł sobie w żaden sposób z nim poradzić. Kiedy rozpoczęto śledztwo na początku lat osiemdziesiątych, wyszło na jaw, że Stolica Apostolska tolerowała podejrzane poczynania zarówno

Calviego, jak i jej własnych urzędników bankowych, poza tym okazało się, że Watykan korzystał z przestępczej działalności Banco Ambrosiano.

Calvi zwrócił się o pomoc do Banku Watykańskiego, zarządzanego przez kardynała Marcinkusa, ale ten zajęty był ratowaniem własnej skóry. Albino Luciani wiedział o tych przekrętach znacznie wcześniej, nim został papieżem, ponieważ jako patriarcha Wenecji pełnił funkcję prezesa Banca Cattolica del Veneto, jednej z instytucji finansowych Stolicy Apostolskiej. Kiedy zasiadł na tronie papieskim, na pewno miał dostęp do innych informacji, a to wystawiało go na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

- Jeżeli dobrze rozumiem, papież zginął, bo mógł im pokrzyżować plany - konkluduje Sarah.

- Otóż to. Nie tylko zrujnowałby ich, ale i skompromitował przed światem. Wszyscy wylądowaliby w więzieniu. Takie tam powstało bagno... Przykład: Bank Watykański za pośrednictwem P2 został zamieszany w kupno pocisków Exocet, których użyli Argentyńczycy przeciwko Anglikom w wojnie o Falklandy. Wyobrażasz sobie, jakie to są powiązania?

- Boże jedyny!

- Współpracowali także z pewnym mafioso, niejakim Michele Sindoną, który działał jako łącznik z cosa nostra i zasilał bank znacznymi sumami.

- On także należał do tej szajki?

- Owszem, ale on nie miał nic wspólnego ze śmiercią papieża. Sindona miał ręce splamione krwią wielu osób, nierzadko znanych osobistości, ale już w tamtym okresie jego własne ciemne sprawy zaciskały mu pętlę na szyi. W Nowym Jorku odpowiadał przed amerykańskim sądem za przestępstwa finansowe.

- Pozostałymi członkami szajki nikt się nie zainteresował?

- Przyszła taka chwila, że różne europejskie policje i sam Departament Sprawiedliwości USA zaczęli wiązać rozproszone wątki w całość i namierzać rozmaite nieprawidłowości. Mimo to spisek okazał się tak rozległy i skomplikowany, że śledztwa nie udało się

szybko przeprowadzić. Jednak Jan Paweł I przyjął na niejawnej audyencji, parę dni po wybraniu go na Stolicę Piotrową, funkcjonariuszy amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości, którzy wtajemniczyli go w szczegóły prowadzonego dochodzenia. Także po to by sam mógł poczynić kroki, które uzna za stosowne. Papież zdawał sobie sprawę, że w Watykanie są kryminaliści i że powinien się ich pozbyć. Ubiegli go jednak.

- To oni go zamordowali?

- Nie wiadomo. Myślę, że oni są moralnie odpowiedzialni za tę zbrodnię. W tym samym stopniu, co ten, kto jej dokonał.

- Mógłbyś ich wymienić?

- Licio Gelli, Roberto Calvi, biskup Marcinkus i kardynał Jean-Marie Villot. Oczywiście ktoś w Watykanie musiał ułatwić mordercy dostęp do sypialni papieża, a potem posprzątać po nim w rekordowym czasie. Jego Świątobliwość znaleziono martwego za piętnaście piąta rano, o szóstej po południu jego apartamenty były już wysprzątanę i opieczętowane, a klucz znajdował się w posiadaniu Villota, kardynała kamerlinga, po raz drugi w ciągu kilku miesięcy. Wystarczyło dwanaście godzin, aby usunąć wszelkie ślady trzydziestodniowej obecności Lucianiego w Pałacu Apostolskim.

- To się nazywa skuteczność.

- To się nazywa konieczność. O wpół do szóstej rano tego samego dnia, trzy kwadransy po znalezieniu ciała Lucianiego, w Watykanie już zjawili się specjaliści od balsamowania zwłok. Mając na uwadze wszelkie niezbędne w takiej sytuacji procedury, pojawienie się braci Signoracci w pełnej gotowości i w tak nadzwyczajnym tempie musi budzić niepokój. Zwłaszcza jeśli uświadomimy sobie, że włoskie prawo zezwala na balsamowanie zwłok nie wcześniej niż dwadzieścia cztery godziny po zgonie.

Sarah ogranicza się tylko do pokręcenia głową z niedowierzaniem.

- O szóstej po południu tego samego dnia Jan Paweł I już został zabalsamowany. Popełniono wykroczenie przeciw prawu.

- Jaka trucizna może zmylić lekarzy?



- Papież nie został otruty.
- Nie?
- Nie. Żaden z lekarzy nie został wyprowadzony w pole.
- Zatem...

- Największy tępak zorientowałby się, że coś tu nie gra -przerywa Sarah ojciec. - Zwykły atak serca nigdy nie skłoniłby wrogów Lucianiego do takiej nieroztropności i pośpiechu. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę ich doświadczenie. Gdy zmarł Paweł VI, zaledwie miesiąc wcześniej, sprawy toczyły się zupełnie innym rytmem. Zgoła przeciwnym.

- Nie wiadomo, dlaczego tak się stało?

- Doskonale wiadomo. W Watykanie były osoby zamieszane w zbrodniczy spisek przeciwko papieżowi. Na początku miały nadzieję, że uda im się kontrolować poczynania Lucianiego. Ale ten postawił wszystko na jedną kartę i podjął decyzję o ważnych zmianach w strukturach watykańskich. Był zdecydowany wyrwać chwasty z korzeniami, włączając w to Marcinkusa i Villota, których mieli zastąpić odpowiednio kardynałowie Felici i Benelli. W tym momencie P2 zdała sobie sprawę, że to oznaczałoby ich sromotną klęskę, i Gelli, zawsze chętny do wszelkich intryg, wprowadził w życie plan, wykonany w nocy z 28 na 29 września.

- A kto konkretnie wykonał ten wyrok?
- Nikt nie zna jego nazwiska. Ale myślę, że to ten sam człowiek, który teraz depta nam po piętach.
- To znaczy, że jest związany z P2?
- Tak. Ten, kto zabił Jana Pawła I, jest członkiem P2.
- I nie wiecie, jak się nazywa?
- Znamy tylko jego inicjały.
- Jakie to inicjały?
- J.C.

- A co ja mam z tym wszystkim wspólnego? - pyta Sarah po raz setny, z nadzieją, że ojciec wreszcie odpowie jej na to pytanie.

- Co ty masz z tym wszystkim wspólnego? - powtarza kapitan Monteiro na głos. Wzdycha, starając się uporządkować w głowie fakty, tak by stały się zrozumiałe dla innych. -Valdemar Firenzi, podobnie jak ja były członek P2, znalazł te zaginione papiery. Wiele lat spędził na gromadzeniu poszlak i tropieniu śladów i wreszcie, kiedy już miał zostawić to wszystko, natknął się na te dokumenty w najbardziej nieoczekiwanym miejscu.

- Gdzie?
- W Tajnych Archiwach Watykańskich.
- W tajnych archiwach? Skąd się tam wzięły?
- Nie mam pojęcia. Musiałabyś spytać J.C., choć nie życzę ci spotkania z nim - odpowiada Raúl. -

Wyobrażam sobie, że kiedy osoby związane z morderstwem zaczęły wymierać, poczuł się pewniej. W gruncie rzeczy posiadanie takich dokumentów nie było zbyt rozropne, ale... to są tylko moje przypuszczenia.

- Jasne. Nieważne. Firenzi znalazł te papiery i co dalej?

- Całkiem niedawno prokurator Pietro Saviotti wznowił w rzymskiej prokuraturze dochodzenie w sprawie śmierci Lucianiego, a takie dokumenty miałyby nieocenioną wartość dowodową. Zdając sobie sprawę z ich wagi i z tego, że wielu ludzi życzyłoby sobie, żeby je ziemia pochłonęła, zdecydował się wynieść je z Watykanu. Chcąc je ocalić, wysłał je do osób, których nikt nie zna. Ponieważ jednak ściany Pałacu Apostolskiego mają uszy, czuł, że coś mu zagraża. Co zatem zrobił? Wysłał do swoich dwóch przyjaciół, księży Felipe Aragona i Pablo Rincóna, fotografię Benedykta XVI z zaszyfowaną wiadomością, którą tylko oni mogli odczytać. Wydarzyło się coś jeszcze. Coś, o czym nie wiem, a co sprawiło, że znana ci lista wylądowała w twoim londyńskim domu.

Dlaczego zatrzymał ją u siebie i nie wysłał razem z pierwszą partią dokumentów? Nie mam zielonego pojęcia.

- Ale dlaczego wysłał ją właśnie do mnie?

- Bo jesteś jego chrześnicą. Nie pamiętasz? Kiedy byłaś małą, wspominaliśmy ci o nim. Wiele lat temu wyjechał do Rzymu i dlatego go nie pamiętasz. Potrzebował kogoś, kto nie należał do organizacji. Myślał, że kiedy zobaczysz moje nazwisko na liście, skontaktujesz się ze mną, a ja zorientuję się od razu, o co chodzi. Najgorszy z możliwych scenariuszy to taki, że nie zainteresowałamby się listą w ogóle. Firenziemmu wydawało się, że nie mogą go namierzyć. Udało im się to i w jakiś sposób dowiedzieli się o wszystkim.

- Dopadli go?

- Tak.

- I co z nim.

- Myślę, że już nie żyje - mówi Raúl zdławionym głosem.

Sarah namyśla się głęboko.

- Cóż... prawie już zapomniałam, że Włoch był moim ojcem chrzestnym.

- Niech cię nie myli nazwisko. Firenzi był Portugalczykiem z krwi i kości.

- Tak? Wszystko jedno, wszystkich nas naraził na niebezpieczeństwo.

- Nie mów tak.

- Jak mam mówić? To prawda. Wpakował nos w sprawy, których lepiej było nie tykać. Na co miał nadzieję?

- Na ujawnienie prawdy.

- Tej prawdzie było całkiem nieźle w sejfie, w którym ją zamknięto na cztery spusty.

Raúl sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciąga z niej kartkę papieru i portret Benedykta XVI.

- Co to jest? - pyta Sarah.

- To, co otrzymał pocztą ksiądz Felipe z Madrytu.

Wręcza kartkę córce. Dziewczyna, mimo że nie zna hiszpańskiego, nie ma większych problemów ze zrozumieniem listu.

Dziś, w dniu, w którym kończę siedemdziesiąt cztery lata, błędy przeszłości właśnie mnie dopadły. Boża ironia nie może przejść niezauważona. Wiem, że to On stoi za tym wszystkim. Trudno jest przewidzieć możliwe następstwa i konsekwencje naszych decyzji i czynów podejmowanych wtedy, kiedy życie dopiero się rozwija. Wychodzimy od słusznych idei, kierując się najszlachetniejszymi z naszych marzeń, by z czasem przekonać się o własnej karłowatości, potworności i okrutnych konsekwencjach tego, cośmy uczynili. Jakkolwiek usilnie byśmy pracowali przez resztę swych dni, pragnąc zaleczyć zło dobrem i zapierając się sobie na korzyść bliźniego, plama nie daje się wywabić, towarzysząc nam zawsze w drodze, skracając dystans i szepcząc do ucha: „nie uciekniesz, nie uciekniesz”. Aż wreszcie spełnia swoją obietnicę, tak jak to się dzieje dziś, w dniu moich urodzin. Zanim się pożegnaj, chciałbym oddać Ci ten list i portret mojego ukochanego Ojca Świętego, który będziesz umiał przejrzeć łagodnym światłem modlitwy. Jeśli o mnie chodzi, żegnaj się wyznaniem - pozwoliłem umrzeć Ojcu Świętemu z tchórzostwa i nie uczyniłem nic, żeby temu zapobiec.

- Hiszpańska policja oddała mi ten list, kiedy załatwiałem sprawy związane z pogrzebem Felipe. To był mój bardzo bliski przyjaciel.

- Treść nie wydała im się podejrzana?

- Nie pojęli tych skomplikowanych splotów. Na szczęście znalazłem się tam, zanim któryś z członków organizacji zdążył przejrzeć list. W Buenos Aires to już nie było możliwe. Nie tylko zamordowali Pabla, zabrali też portret.

- Co szczególnego jest w tym portrecie?

Raúl wyjmuje małą latarkę dającą światło ultrafioletowe.

- Przysuń się.

Sarah z niedowierzaniem, ale i ciekawością przysuwa się do ojca. Rafael także od czasu do czasu rzuca okiem, nie tracąc panowania nad kierownicą. Po oświetleniu ultrafioletem widzą, jak znika twarz Benedykta XVI i pojawia się twarz starszego mężczyzny, naszkicowana starannie tysiącami fluorescencyjnych włókienek.

- Kto to jest?
- Nie mam pojęcia - odpowiada ojciec.
- Podwójny portret - podsumowuje Rafael.

Raúl gasi magiczną latarkę i na karcie natychmiast pojawia się twarz Benedykta XVI.

- Nie wiem już, co o tym wszystkim myśleć - wzdycha Sarah.  
- Nie mam pojęcia, kto to jest, ale oni muszą to już wiedzieć. Myślę, że to człowiek, który w tej chwili jest w posiadaniu reszty dokumentów - dodaje Raúl.

- Co prowadzi nas bez wątpienia ku pozostałym dwóm elementom łamigłówki, które dostała Sarah - podsumowuje Rafael.

- Jakim? - pyta Raúl.
- Jeden to kod...
- Który twój przyjaciel, szczęśliwie lub nie, połknął - wpada mu w słowo Sarah.
- A drugi to klucz.

- Prawda, klucz - Sarah zupełnie o nim zapomniała. Wyjmuje go z kieszeni spodni i pokazuje ojcu. Jest to bardzo mały kluczyk, pasujący zapewne do miniaturowego zamka w sekretarzyku lub szkatułce.

- Co otwiera ten klucz? - pyta sam siebie Raúl, obracając go w dłoni. - Czego strzeże?

Milczą dłuższą chwilę, każde z nich w myślach analizuje hipotezy dotyczące klucza, portretu i rewelacji, którymi właśnie podzielił się z nimi Raúl.

- Mówiliście o jakimś kodzie.

- Tak, ale już go nie ma.

- Nie ma oryginału, ale jest kopia - oświadcza z dumą Rafael, rozwijając kawałek papieru, który wyciągnął z kieszeni spodni. Ten sam, na którym skopiował tajemniczy szyfr, zanim zostawił oryginał Marguliesowi do rozkodowania.

Raúl wpatruje się w szyfr z najwyższą uwagą, nie ma czasu do stracenia.

18, 15-34, H, 2, 23, V, 11

Dio bisogno e IO fare lo. Suo augurio Y mio comando

GCT (15)-9, 30-31, 15, 16, 2, 21, 6-14, 11, 18, 18, 2, 20

- Wasz przyjaciel zdołał go odczytać?
- Nie zdążył - wyjaśnia dziewczyna. - Zabili go chwilę wcześniej.
- No, to będzie nas to kosztowało ładnych parę godzin.
- Czekajcie - mówi nagle Rafael, usilnie starając się przypomnieć sobie jakiś szczegół. - Zanim umarł,

spojrzał na mnie.

- Kto? - pyta Sarah, zdezorientowana.
- Margulies. Spojrzał na mnie tuż przed śmiercią i powiedział, żebym policzył słowa.

Raúl już nie słucha. Układa papier na kolanach i milczy, bazgrząc coś od czasu do czasu ołówkiem na kartce i licząc na palcach. Po paru minutach prostuje się.

- Mam.

L, A - C, H, I, A, V, E

Dio bisogno e IO fare lo. Suo augurio Y mio comando

GCT (DI) - N, Y - M, A, R, I, U, S - F, E, R, R, I, S

- Chiave to znaczy klucz - woła Sarah. - A Marius Ferris? Kim jest Marius Ferris?
- Sądzę, że to mężczyzna z podwójnego zdjęcia - spekuluje ojciec.

- Kapitanie, za pozwoleniem, myślę, że możemy interpretować kod na dwa sposoby. Albo kluczem do zagadki jest Marius Ferris, albo klucz otwiera coś w Nowym Jorku.
- W Nowym Jorku? - Sarah nie rozumie, dlaczego Rafael wymienia nazwę tego miasta.
- Tak. NY musi oznaczać Nowy Jork.
- A GCT? - zastanawia się Raúl.
- GCT - powtarza Rafael, myśląc intensywnie, ale bez skutku. - I te dwie litery w nawiasie. Twardy orzech do zgryzienia.
- Dobrze to rozszyfrowałeś?
- Myślę, że tak - stwierdza ojciec. - Zwróć uwagę na pierwsze słowa: la chiave to klucz, nie ma najmniejszej wątpliwości. Marius Ferris to ktoś, kogo nam brakuje. Musimy tylko odgadnąć, co to jest GCT i co oznaczają te litery w nawiasach.
- Zastanowimy się nad tym w czasie podróży, kapitanie.
- Masz rację.
- Już wiecie, dokąd teraz jedziemy? - pyta Sarah, dostrzegając w oddali światła Lizbony. - Szczególnie interesuje mnie to, czy uda nam się przespać choć jedną noc w hotelu.
- Nie ma takiej możliwości. Do Madrytu jest jeszcze kawał drogi.
- Do Madrytu? - Sarah znów niczego nie pojmuje.
- Jaki masz plan, Rafaelu? - pyta Raúl, żeby uspokoić córkę.
- Samochodem do Madrytu, a potem w samolot i do Nowego Jorku.
- Do Nowego Jorku? - Sarah tym razem jest zaintrygowana. - Nawet nie mamy pewności, że tam właśnie prowadzi nas ta tajemnica.
- Owszem - przytakuje Rafael z nieugiętą pewnością. - Niech pan spali ten szyfr, kapitanie. Już wiem, co on znaczy.

## ROZDZIAŁ 49

W końcu nadchodzi wyśniona chwila. Ta, której oczekuje od wielu lat, a jeśli się nad tym głębiej zastanowi, może nawet powiedzieć, że czekał na nią, od kiedy spacerował po ulicach starego Gdańska z ojcem za rękę.

Ojciec, z zawodu metalurg, aktywny działacz Solidarności, był bardzo przywiązany do myśli o wolnej Polsce. Nienawidził reżimu w swoim kraju, lecz nie zauważał tego, który sam ustanawiał we własnym domu, zmuszając do uległości jego matkę, zawsze pełną pogody ducha, mimo psychicznych i fizycznych upokorzeń, jakim musiała stawiać czoła. Jest pod wrażeniem odkopanego właśnie z najgłębszej pamięci obrazu rodziców nad brzegiem Motławy. Przecież codziennym sposobem „istnienia” ojca była przemoc i jego ciągła nieobecność, oddalenie od rodziny, naturalne następstwo nierównej walki przeciwko systemowi totalitarnemu. Na tym polu trzeba mu oddać honor, wytrwał w pełnym zaangażowaniu do końca swych dni. Szkoda tylko, że we własnej rodzinie nie wprowadził w życie wartości, o które walczył. Mógłby na przykład przyznać matce wolność wypowiedzi. Obraz znad rzeki mógłby być szczęśliwą fotografią zrobioną szczęśliwej matce, ale nie był. Nic z tej fotografii nie odpowiadało rzeczywistości. To zdjęcie nigdy nie istniało, nigdy go nie zrobiono. Istniał za to strach, codzienny lęk, dreszcz przebiegający po plecach na odgłos przekręcanego w zamku klucza, który otwierał drzwi i wpuszczał do środka demona. To był kres spokoju, wielkiego nieistnienia. Inny obraz: duża czarna walizka pełna dolarów, dla sprawy. „To od Amerykanów” - mówił, łykając pośpiesznie kolację przygotowaną przez niewolnicę tak czystego serca, że nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby zaprawić ją trutką na szczury. On by się nie zawahał. „To z Watykanu - mówił innym razem. - Teraz ich wykończymy”. I śmiał się jak dziecko, którego marzenia już niedługo się spełnią. Mówił, że nie wolno im nikomu wspominać o pochodzeniu pieniędzy. Wszyscy by się ich wyparli, gdyby się

dowiedzieli. Poza tym to były pieniądze z nielegalnych źródeł, zarobione na krzywdzie innych, pieniądze z narkotyków, z handlu źle strzeżoną tajemnicą. Brudne pieniądze wspierające szlachetne cele - równość, sprawiedliwość i wolność. Zagranica, ciekawscy i przede wszystkim wróg nie mogą się dowiedzieć, skąd pochodzą fundusze. „Mamy je z Watykanu i od Amerykanów” - mawiał ojciec, nie precyzując meandrow, jakie przebyły te banknoty, żeby w końcu wywieść w pole intruzów i zdrajców. Ręce, przez które przepłynęły, widmowe firmy, do których je zaproszono, zarządy skorumpowanych banków. Nikt się nigdy nie dowie.

Pamięta tamten dzień, jakby to było wczoraj. Po powrocie do domu, już w drzwiach, zobaczył matkę. Szeroko otwarte, szkliste i nieruchome oczy o zagubionym spojrzeniu. Po szyi spływała jej krew, tworząc na podłodze kałużę. Prawie nie było widać, że ma na sobie białą bluzkę. Ojciec siedział na podłodze, pijany, oparty o ścianę, miotając przekleństwa i jednocześnie usiłując wyjaśnić, że ona uchybiła jego godności. Kiedy się zorientował, zło już się stało. „Teraz jesteśmy, synku, tylko we dwóch - bełkotał nieprzytomnie, szlochając. - Chodź tu, chłopcze, uściskaj ojca”. To nie była prośba, tylko rozkaz, któremu dziecko poddało się pokornie, objawszy ojca ciałem, lecz myślą matkę. Nóż zanurzył się w ciele aż po trzonek, a syn obejmował ojca z całej siły, z wielką miłością, z mocno zaciśniętymi powiekami. Kiedy w końcu mężczyzna umarł, syn odsunął się od niego i spojrzał ostatni raz na ciało matki. „Teraz jestem tylko ja”.

Wreszcie nadszedł ten moment, upragniony od tylu lat. Pozna Wielkiego Maestre, który zapewne już wylądował na amerykańskiej ziemi, tuż obok, na jednym z pasów lotniska LaGuardia w Nowym Jorku. Jego wierny sługa czeka na niego na wewnętrznym pasie, w miejscu wyznaczonym do postoju samolotów. Prowadzi samochód odpowiedni dla tak godnego pasażera. Uśmiech skrywa zżerając go od środka zdenerwowanie. Maestre jest dla niego jak ojciec. Chociaż nie zna go osobiście, zawdzięcza mu wszystko to, co syn może zawdzięczać ojcu - dach nad głową, pieniądze, wykształcenie, pracę, motywację. Prawda, że Maestre dokonał tego na odległość, ale pewnie dlatego mężczyzna pielęgnuje w sobie tak wielką miłość i szacunek dla mistrza.

Samolot już wylądował. Kiedy gasną silniki i otwierają się drzwi, pierwszą osobą, która się w nich pojawia, jest mężczyzna w garniturze od Armaniego, ten, którego poznał w Gdańsku. Czeka na starszego pana, wychodzącego tuż za nim i podpierającego się laską, zwieńczoną złotym łbem lwa. Starzec jedną ręką ściska laskę, drugą opiera się na ramieniu asystenta. Wreszcie stają wszyscy trzej, oko w oko. Ojciec, Syn i Duch Święty. Pan, sługa i asystent.

Wkrótce następuje scena rodem z minionych czasów, polski sługa pada na kolana przed Maestre i pochyla głowę w akcie oddania.

- Maestre, chciałbym, żeby pan wiedział, że to dla mnie niebывały honor poznać pana - mówi z zamkniętymi oczami.

Starzec kładzie mu na głowie drżącą dłoń.

- Wstań, synu.

Sługa natychmiast wykonuje polecenie. Nie ośmiela się patrzeć szefowi prosto w oczy. Starzec wsiada do samochodu, a on zatrząskuje za nim drzwiami.

- Dobrze mi służyłeś. Zawsze z najwyższą gorliwością i poświęceniem.

- Zawsze może pan oczekiwać ode mnie całkowitego oddania - podkreśla sługa ze szczerym uwielbieniem.

- Wiem to doskonale.

- Gdzie jest cel? - wchodzi w słowo asystent.

- W tej chwili zwiedza muzeum.

- Lubi rozwijać swój intelekt - ironizuje mężczyzna w czerni.

- Gdzie pan sobie życzy je chać, Mistrzu? - nieśmiało pyta Polak.

- Zabawmy się trochę w turystów - odpowiada stary. - Przewieź nas po mieście.

Jego słowa są rozkazem.

Z tylnego siedzenia dobiega ściszona rozmowa, nie prze-znaczona dla uszu podwładnego.

Po jej zakończeniu Maestre wystukuje numer na klawiaturze swojej komórki. Czeka kilka sekund na połączenie.

- W jakim punkcie jesteśmy? - pyta od razu, nie uprzedzając pytania żadną formą powitania. Słucha, po czym odpowiada ostro: - Panie Barnes, niech pan dobrze słucha moich rozkazów.

## ROZDZIAŁ 50

Już od dłuższej chwili troje pasażerów volva trwa w milczeniu, mknąc obwodnicą w kierunku Lizbony z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Tylko o tej porze można pędzić tak szybko jedną z najbardziej zatłoczonych autostrad Europy.

Sarah obserwuje świat za szybą, zamyślona. Obok przesuwiają się posiadłości, stadiony, centra handlowe, samochody i ciężarówki, ale ona nie zauważa ich istnienia. „Jakie intrygi snują się właśnie w tym momencie, by jedni ludzie mogli dominować nad innymi albo by mocarstwa przejęły kontrolę nad słabszymi krajami?” - zastanawia się. Są dwa rodzaje polityki - ta, którą mogą obserwować społeczeństwa, czysto fasadowa, i ta druga, ukryta, która tak naprawdę decyduje o wszystkim.

- Dobrze się czujesz, córeczko? - pyta ojciec, odwracając głowę do tyłu.

- W miarę - odpowiada Sarah zdawkowo, tak jakby nadal była pochłonięta swoimi myślami. - P2 zamordowała Ojca Świętego i pewnie jeszcze wiele innych osób. Zastanawiałam się, czy sprzątnęli jeszcze kogoś znanego? - To ostatnie pytanie kieruje do Rafaela, wbijając w niego wzrok. Mężczyzna czuje na sobie ciężar spojrzenia, mimo że jego oczy pilnie śledzą drogę za przednią szybą.

- Trudno powiedzieć. Wiedzą to tylko osoby zamieszane w te sprawy, ale prawdopodobnie do ich ofiar można zaliczyć również zastrzelonego na ulicy premiera Szwecji Olofa Palme.

- Cóż, zdaje się, że nic nie może ich powstrzymać, gdy trzeba zlikwidować kogoś, kto staje im na drodze.

- Tego możesz być pewna.

- Dlaczego go zabili?

- Bo chciał zapobiec jakiejś ważnej dla nich transakcji. Sprzedaży broni, najprawdopodobniej.

- Chwileczkę! A co ma z tym wszystkim wspólnego CIA?

- Bardzo dużo. Te zabójstwa doszły do skutku, bo agencja uznała je za użyteczne.

- Była zainteresowana śmiercią Jana Pawła I?

- Sojusznicy P2, czyli CIA, musieli mieć w tym jakiś interes. Ale przypadek jest ciekawy, również dlatego że przecież Jan Paweł I współpracował z Departamentem Sprawiedliwości USA. Jego śmierć poważnie zakłóciła prowadzone przez nich śledztwo.

- Niezły galimatias.

Raúl odwraca się do Rafaela.

- Którędy pojedziemy?

- Na południe. Przez most 25 de Abril, a potem prosto do Madrytu.

- Tak będzie najlepiej - zgadza się Raúl.

- Muszę tylko sprawdzić, czy nas śledzą.

Sarah natychmiast się prostuje.

- Jak to sprawdzimy?

- Wjeżdżając w wąską drogę albo w ślepa uliczkę. Wtedy ktoś, kto jedzie z tyłu, musi się zdradzić.

- Ale przez to my nie będziemy mieli możliwości ucieczki - protestuje Sarah.

- Jasne, ale przekonamy się, czy nas śledzą. Taką taktykę mają handlarze narkotyków. W ten sposób nie narażają się na złapanie in flagranti. Kiedy nie mają ogona, jadą dalej. Co kilka kilometrów powtarzają całą operację. Jeśli ktoś ich śledzi, odwołują akcję. Rzucają się na policję z pistoletami, łapią ich, a wielcy handlarze siedzą sobie w swoich posiadłościach czyści jak łąza, planując wygodnie następną akcję.

Sarah słucha wywodów Rafaela z przerażeniem.

- Nie mam najmniejszej ochoty brać udziału w żadnej strzelaninie. Ta wczorajsza wystarczy mi na długo.

- Mówiłem, jak się to robi w niektórych wypadkach, a nie jak będzie w naszym. Są inne sposoby.

- Jakie?

Rafael hamuje gwałtownie na środku autostrady. Słysząc kakofonię klaksonów, protestujących wobec tak nieodpowiedzialnego manewru.

- Zwariowałeś?! - krzyczy dziewczyna, czując, że ma serce w gardle.

- Uspokój się, Sarah - mówi ojciec spokojnie. - On wie, co robi.

Rafael patrzy do tyłu, ale dziewczyna jest tuż za nim, jej oczy są pełne furii.

- Mogłabyś się odsunąć? - prosi ją kierowca.

Sarah dedykuje mu złośliwy gest. Rafael dostrzega trzy samochody na poboczu szosy, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Chór klaksonów emitowanych z wymijających volvo innych użytkowników drogi nie słabnie.

- Trzy samochody - alarmuje Rafael.

- Może był jakiś wypadek - sugeruje Sarah, zdenerwowana.

Rafael odwraca się do tyłu i na nowo zapina pas bezpieczeństwa.

- Sprawdźcie, proszę, czy macie dobrze zapięte pasy.

Dziewczyna posłusznie wykonuje polecenie, coraz bardziej niespokojna.

- Boże, wcale mi się to nie podoba.

- Dobra, Sarah, słuchaj uważnie. - Rafael patrzy na nią przez wsteczne lusterko. - Żebyś potem nie mówiła, że cię nie uprzedziłem. Wjedźmy w obszar zabudowany z dużą prędkością. Spróbuj się uspokoić. Proszę, zapnij się porządnie.

Gdy tylko wybrzmiało ostatnie słowo, opony zapiszczały na asfalcie, a silnik głośno zaryczał. Gigantyczne przyspieszenie wcisnęło Sarah w siedzenie. Trzy samochody ruszają ich śladem. Zjeżdżają z autostrady i przemykają na czerwonym świetle. Sto dwadzieścia, sto trzydzieści. Prawy pas, lewy pas, wymijają inne auta.

Rafael prowadzi sprawnie, jak zawodowy kierowca. Sarah go obserwuje. Patrzy na ojca, na spokój, który maluje się na jego twarzy, i kolejny raz dochodzi do wniosku, że słabo go zna. Dwóch nieznanym, a jednocześnie tak jej bliskich. Kapitan udziela Rafaelowi precyzyjnych informacji na temat śledzących ich aut, które teraz wcale nie ukrywają tego, że jadą za nimi. Przyspieszają, tak samo jak Rafael, mknąc przez samo centrum Lizbony, aleją Republiki.

Dojechawszy do placu Duque de Saldanha, wybierają długą aleję, prowadzącą w kierunku wielkiego ronda Marques de Pombal. Czerwone światła nic nie znaczą dla czterech samochodów uczestniczących w pościgu. Trzymają się tak, jak powinny - jeden na dystans, dwa pozostałe bardzo blisko, żeby go nie zgubić. Towarzyszą im tysiące inwektyw i ryk klaksonów. Rafael nie zwraca na to uwagi, jedzie z maksymalną szybkością.

- Trzymajcie się - ostrzega - trzymajcie się mocno.

Jeszcze dobrze nie skończył mówić, kiedy nacisnął hamulec do oporu, tak że jadący za nim ogon o mało nie wbija mu się w tył auta. Dwa pozostałe samochody jadące po bokach przejeżdżają z pędem i zanim zdążą zawrócić, Rafael skręca gwałtownie w lewo, przecinając przeciwległy pas.

Sarah jest spięta i rozgląda się wokół nerwowo, ale przede wszystkim patrzy przed siebie, tam gdzie może pojawić się największe niebezpieczeństwo. Gnają pod prąd. Samochody jadące z przeciwka trąbią wściekle i starają się wyminąć rozpędzone volvo i ciągnący się za nim ogon.

- Chyba zwymiotuję - mówi dziewczyna, wydając przy tym z siebie zduszony jęk.

Po szalonej gonitwie wbrew wszelkim przepisom wjeżdżają na Plaza del Comercio, a za nimi agenci. Kiedy docierają do wschodniej części placu, samochód z tyłu przykleja się do nich. Teraz trzeba działać błyskawicznie. Rafael przyspiesza do samobójczej prędkości. Wjeżdżają na Avenida 24 de Julio. Aleja jest szeroka i długa, ale na niektórych odcinkach gwałtownie zakręca, co zmusza Rafaela do zdejmowania nogi z gazu i przyspieszania na przemian. Kierowca ogona to równej klasy profesjonalista, ale volvo

wyraźnie zaczyna się oddalać. Zbyt wyraźnie.

- Nie podoba mi się to. Zostają z tyłu zbyt ostentacyjnie.
- Może mają jakiś problem z silnikiem.
- Miejmy nadzieję, że tak jest.

Na Avenida da India obejmuje ich intensywne światło z góry. Reflektor helikoptera namierza ich precyzyjnie.

- I co teraz? - pyta Sarah, ciągle jeszcze walcząc ze strachem. - Co robimy?
- Teraz już nie uciekniemy - wyjaśnia spokojnie Rafael.
- Skończyło się?

Patrzy na nią bardzo poważnie.

- Skończyło się.
- Zabiją nas... - szepcze Sarah blada ze strachu.
- Jeszcze nie. Gdyby nas chcieli zabić, już dawno by to zrobili. - Odwraca się do Raúla. - I co teraz,

kapitanie?

- Damy się złapać.

Jadą aleją, mijają majestatyczny pałac Belem, oficjalną rezydencję prezydenta republiki. W niewielkiej odległości Rafael dostrzega światła blokady samochodowej, przecinającej ulicę w okolicy klasztoru Hieronimitów. Nie ma ucieczki. Blokada jest coraz bliżej.

Pięćset metrów.

- Kapitanie, proszę o wybaczenie, zawiodłem.
- Nie masz powodu, by prosić mnie o wybaczenie.

Czteryście metrów.

Trzysta.

- Zatrzymaj samochód natychmiast! - ryczy głos z helikoptera. - Stój!
- Kapitanie, potrzebuję pańskiej decyzji - mówi Rafael, tym razem bardziej energicznie.

Pojazdy cywilne, policyjne, furgonetki... stoją blisko siebie, tworząc szczelną zaporę. Widać wielu ludzi, klęczących za otwartymi drzwiami samochodów z wycelowaną w nich bronią.

Dwieście metrów.

Bez ostrzeżenia zatrzymuje samochód na środku ulicy.

- Kapitanie, to by było na tyle.

Raúl patrzy na córkę.

- Daj mi papiery - mówi.
- Co z nimi zrobisz? - pyta Rafael. - Nie mogą wpaść w ich ręce.
- Nie martw się. Schowek w tym samochodzie ma drugie dno. Nie znajdą ich tak szybko i zyskamy na czasie. Daj mi papiery - nalega Raúl.

„Wszystko zależy od kart, którymi zagramy w danym momencie” - myśli Sarah, nieco mniej spięta.

- Papiery! - powtarza Raúl raz jeszcze.
- Nie mam ich. Tylko ksera - odpowiada dziewczyna, pokazując dwie kartki z fotokopiami listy.
- A gdzie są?
- W bezpiecznym miejscu.

Na ustach Rafaela pojawia się nieznaczny uśmiech.

- W porządku. Co robimy? - pyta Raúla.
- Tak. To zmienia nieco postać rzeczy.
- To jest karta przetargowa. Atut, którym możemy zagrać.
- Bez wątpienia - przyznaje ojciec. - Bez wątpienia.

Z jednego z samochodów wysiada mężczyzna i zmierza w ich kierunku. Pewne i zdecydowane kroki niosą tego tłuściocha.

- W porządku, plansza została rozłożona, a pionki ruszyły - mówi Rafael, wskazując nadchodzącego. Mężczyzna podchodzi do volvo i nachyla się do okna kierowcy.



- Ależ to słynny Jack Payne.  
- Geoffrey Barnes. Dawno się nie widzieliśmy.  
- Rozglądnij się, Jack - rozkazuje Barnes. - Rozglądnijcie się wszyscy. Zorganizowaliście nam niezły młyn.

Do samochodu podchodzą inni agenci, otwierają drzwi i wyciągają z niego Raúla i Sarah.

- Potrzebujesz pomocy, żeby wysiąść z auta, Jack? - ironizuje Barnes.

Ludzie Barnes'a trzymają się o krok z tyłu, zostawiając inicjatywę szefowi.

Rafaël otwiera drzwi i wysiada spokojnie z samochodu, nie odrywając oczu od tłuściocha.

- Zabrać dziewczynę i ojca, już!

Agenci odprowadzają Raúla i Sarah, dwóch zostaje do dyspozycji Barnes'a. Sarah ogląda się za siebie. Co jeśli ten tłuścioch zabije Rafaëla? Dziwne, że bardziej martwi się o niego niż o siebie. Agenci wsadzają córkę i ojca do osobnych samochodów.

W tym samym momencie Barnes patrzy wymownie na Rafaëla.

- Jack, Jack, Jack - cedzi szorstko. - Zawiodłeś nas, bardzo nas zawiodłeś.

Bez ostrzeżenia tłuścioch wymierza mu cios w brzuch. Rafaël zwija się, lecz już za chwilę się prostuje. Barnes uderza po raz kolejny, tym razem powalając Rafaëla na ziemię.

- Jak mogłeś zrobić to właśnie mnie? I agencji? Zdradziłeś wszystkie wartości, które nam wpojono.

Rafaël próbuje wstać, lecz otrzymuje kopniaka w brzuch, i z powrotem pada na ziemię.

- Jesteś kawał sukinsyna - ciągnie Barnes - w dodatku niewdzięcznego.

Następny kopniak.

- Zabierzcie go - rozkazuje swoim chłopakom. - Jedziemy na spacer. Na długi spacer.

## ROZDZIAŁ 51

Spędził cudowny wieczór w zachwycających wnętrzach Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku. Jako prawdziwy koneser sztuki, wszystkich jej przejawów, rozkoszował się, nie pierwszy już raz, arcydziełami tam zgromadzonymi.

Teraz wraca do domu taksówką. Uwielbia spacerować, ale wiek już mu odrobinę ciąży i te parę godzin na nogach w muzeum daje się we znaki. Przez szybę taksówki obserwuje spokojnie życie miasta.

Urokami Wielkiego Jabłka napawa się już od dziesiętnastu lat. Muzea, kina, restauracje, odczyty, spotkania religijne... Mimo to wciąż czuje się tu obco. Miasto jest tak wielkie, tak różnorodne i pełne tylu atrakcji, że nie starczy jednego życia, by je wszystkie poznać. Uważa się za uprzywilejowanego, po pierwsze dlatego że może służyć Bogu, po drugie zaś dlatego że może to robić właśnie tutaj, w samym centrum cywilizowanego świata. Jego zadaniem jest niesienie ludziom słowa Bożego, tak jak czynili to pierwsi misjonarze. Polem jego działania jest wielka metropolia, bez wątpienia spragniona nauczania Zbawiciela. Poprzedni papież pobłogosławił go za tę pracę dwukrotnie. Za jego oddanie, gorliwość i poświęcenie.

Jedno z jego najmilszych wspomnień to dzień, w którym podczas wizyty w Watykanie dostąpił przywileju i honoru ucałowania pierścienia Jana Pawła II. Było to w 1990 roku, ale jemu wydaje się, jakby zdarzyło się to wczoraj. Teraz jest zupełnie inny papież, Niemiec zastąpił Polaka. Ma nadzieję, że dożyje jeszcze chwili, w której będzie mógł ucałować pierścień nowego papieża. Chciałby także prywatnie zamienić parę słów z Jego Świątobliwością.

Nie ma jednak pewności, że tego doświadczy, i to nie tylko dlatego że wiek ściga go już nieubłaganie, ale przede wszystkim dlatego że czasy są dziś mroczne i pokręcone, zbyt skomplikowane, czasem niemożliwe do rozszyfrowania. Jego najdroższemu Kościołowi zagrażają trudne do określenia niebezpieczeństwa. Siły nieczyste zaatakowały samo jądro świętej instytucji, raniąc ją zdradziecko, posłużawszy się jej słabymi członkami, którzy nie potrafili oprzeć się pokusie władzy i bogactwa, a przy tym nie znali

granic w tym, co czynili.

Całkiem niedawno otrzymał przesyłkę od swego najdroższego brata w Chrystusie, monsignore Firenziego. Zawierała ona informacje takiej wagi, że dotąd jest poruszony. Były to dokumenty Jana Pawła I, w których znalazł zaskakujące notatki, zapisane własnoręcznie przez Jego Świątobliwość. Osoby, które do tamtej chwili darzył wielkim szacunkiem i podziwem, okazały się fałszywymi wyznawcami Chrystusa, wykorzystującymi swoje pozycje, by osiągać korzyści majątkowe. Grzesznicy skryci pod sutannami okazali się zdolni nawet do zabójstwa.

Instrukcje kardynała Firenziego były jasne - strzec przesyłki jak oka w głowie i przekazać wiadomość o miejscu jej ukrycia najpewniejszymi możliwymi kanałami. Tak zrobił, a nawet przesłał mu klucz do tajnej skrytki, gdzie ukrył dokumenty.

Firenzi dzwonił do niego kilka dni temu. Był bardzo zdenerwowany. Mówił, że nie ma wiele czasu, i prosił go o szczegółowe informacje o skrytce, a on wytłumaczył mu wszystko dokładnie. Firenzi miał taki głos, jakby to była jego ostatnia rozmowa. Pożegnał się, mówiąc: „Miej oczy szeroko otwarte i uważaj na siebie”. Od tej chwili nie miał od niego żadnych wieści.

Prawdę powiedziawszy, wie, że Firenziego nie ma już wśród żywych. Czuje to. Czuje to tak mocno, że nie ma żadnych wątpliwości. To coś jakby szósty zmysł, właściwy jego kapłańskiej kondycji. Właśnie tak, dla niego bowiem kapłaństwo nie polega tylko na głoszeniu słowa Bożego, lecz także na odbieraniu przesłania, które Najwyższy do nas kieruje. Zawsze umiał odczytywać takie przesłania. Przeczuwa, co może oznaczać pękający talerz, wyjący pies, niczym nieuzasadnione przyhamowanie samochodu, i jest pewny momentu, w którym śmierć dosięgnęła Firenziego. Odmawiał właśnie poranną modlitwę, klęcząc przed małym ołtarzem ustawionym w jego mieszkaniu, by mógł tam odprawiać msze dla kręgu przyjaciół, sąsiadów i odwiedzających go wiernych. Gromnica zgasła. Płomień wielkiej świecy, która stale pali się w kandelabrze po lewej stronie ołtarza, zgasł, w momencie kiedy wypowiadał modlitwę za swego przyjaciela kardynała. Tym gorliwiej zaczął się modlić za niego, by dobry Pan odwrócił złe wyroki i dał jeszcze jedną szansę Firenzemu, lecz na próżno. Nie udało mu się już tego dnia zapalić świecy, tak jakby ktoś dmuchał w nią nieustannie. Nazajutrz, pogodziwszy się już z wolą Bożą, prosił Najwyższego o spokój duszy najdroższego przyjaciela. „Bądź wola Twoja”. I świeca zapaliła się za pierwszym razem.

Wie, dlaczego umarł Firenzi - z powodu dokumentów, które mu przesłał w sekrecie. Nie wie jednak, czy jego własny udział w sprawie może zostać odkryty przez tych, którzy depczą im po piętach. Możliwe, że w końcu dotrą i do niego, lecz zamiary Boże są nieodgadnione i to, co jest mu z góry pisane, dobre i mniej dobre chwile, przyjmie z równym poświęceniem, z podniesioną głową i w pełnej gotowości do zaakceptowania Bożej woli, jakakolwiek ona będzie.

Niestety nie może już sobie pozwolić na rozmowę w ludzkim wymiarze z bliskimi mu braćmi - Filipem z Madrytu i Pablo Rincónem z Buenos Aires. Obaj otrzymali listy od Firenziego, który wyznaczył im ważne zadania. Ale było już za późno. Dwa dni po ostatniej modlitwie za Firenziego dowiedział się o śmierci jednego i zamordowaniu drugiego. Niech się dzieje, co chce. Jest głęboko przekonany, że Bóg zechce wynagrodzić tego, kto służy Mu wiernie. Jeśli Bożą wolą jest, by papiery pozostawały pod jego kuratelą, tak będzie. Jeśli przeciwnie, niech się tak stanie.

„Miej oczy szeroko otwarte” - powiedział kardynał, kiedy rozmawiali po raz ostatni. „Miej oczy szeroko otwarte”. Jednak wiek nie pozwala mu już wdawać się w awantury i pościgi. Będzie żył tak, jak do tej pory, normalnie, z codzienną rutyną odprawiając msze, odwiedzając muzea, wystawy, bywając w teatrze. Jeśli ktoś go zechce odnaleźć albo właśnie już go śledzi, cierpliwości. O dokumentach nie wie nic i nieprędko się czegoś dowie.

Taksówka wjeżdża w 6 Aleję, Aleję Ameryk i spokojnie przemierza dystans dzielący ją od rogu 38 Ulicy. Dojechawszy na miejsce, staruszek wysiada i płaci należność. Wchodzi do budynku. Umundurowany portier nie pojawia się, żeby mu otworzyć drzwi i wezwać na dół windę.

„Gdzież ten Alfred się podziewa?” - zastanawia się. To niezwykle, że portiernia jest pusta, i niezbyt bezpieczne, że budynek pozostaje bez dozoru. Mimo galowego munduru portier nie pracuje tu tylko dla

wygody i poczucia luksusu lokatorów. Jest także gwarantem bezpieczeństwa i czuwa, by do budynku nie wszedł ktoś nieproszony lub nieupoważniony. Rzuca okiem na biurko w portierni i próbuje otworzyć drzwi prowadzące na zaplecze dla portierów. Są zamknięte.

Jako człowiek skrupulatny, zamyka na klucz główną bramę budynku, by nikt niepowołany nie mógł wykorzystać czasowej nieobecności portiera. Lokatorzy użyją swoich własnych kluczy.

Teraz już może wsiąść do windy. Jedzie na swoje siódme piętro i wlokąc się korytarzem w kierunku drzwi mieszkania, szuka w kieszeni klucza.

Przekręca klucz, ale nie musi wiele razy go obracać. Drzwi zamknięte są tylko na zatrask.

„Dziwne - mówi do siebie. - Przysiągłbym, że zamknąłem na dwa razy”.

Wchodzi do mieszkania, podchodzi do telefonu w salonie i podnosi słuchawkę. Czuje, że coś jest nie w porządku. Jego egzemplarze Nowego Testamentu nie leżą na swoich miejscach, są rozrzucone po podłodze w rządku, jakby wyznaczały ścieżkę. Ścieżkę do sąsiedniego pokoju. Staruszek odkłada słuchawkę i podąża wyznaczonym szlakiem. Wchodzi do pomieszczenia, w którym znajduje się ołtarz, ale lampy i świece są pogaszone i nic nie widać. Udaje mu się namacać włącznik i zapala górne światło. Z mroku wyłania się leżący na podłodze, na pół oparty o ścianę portier ze związanymi nogami i rękami i z plastikową torbą na głowie. Chwilę później dostrzega trzy osoby siedzące wygodnie tuż przy ołtarzu - to Maestre, sługa i asystent.

- Marius Ferris - zwraca się do niego Maestre tonem pełnym niezachwianej pewności, nie wyciągając nawet dłoni, obejmującej laskę leżącą na kolanach.

- Kim panowie są? Jak panowie tu weszli? - pyta staruszek nestora grupy, który nazwał go po imieniu.

- Zstąpiłem z nieba, żeby cię odwiedzić - odpowiada tamten szyderczo.

- Kim... kim pan jest?

- Możesz mnie nazywać J.C.

## ROZDZIAŁ 52

Villot

28 września 1978

Villot nie mógł usiedzieć spokojnie na krześle w swoim biurze. Wstał i zaczął spacerować z papierosem w dłoni tam i z powrotem. Kolejny raz przekroczył limit, który sam sobie narzucił - tysiąc razy przyrzekał sobie nie palić więcej niż dwie paczki dziennie, pod żadnym pozorem. Jakkolwiek nikotyna zabijała go krok po kroku, nie mógł jej wyeliminować. Dym uspokajał jego skołatane nerwy i dręczący niepokój. I, na nieszczęście, zbliżał go z coraz większą prędkością do wiecznej chwały.

Razem z dymem z ust kardynała wydobywało się chrapliwe dyszenie, towarzyszące parkosyzmowi złości. Spojrzał po raz setny na papiery leżące na ogromnym drewnianym biurku. Był to mebel niezwyklej wartości, pamiętający zamierzchłe czasy, przez jego blat w ciągu wieków przewinęły się tysiące dokumentów. Pracowały przy nim całe zastępy watykańskich sekretarzy stanu, wyznaczając bieg historii Świętej Instytucji. Gdyby to biurko posiadało właściwy ludzimi dar mowy, a przy tym zechciało być niedyskretne, wyjawiłoby zapewne tajemnice, intrygi, spiski i machinacje, które zmroziłyby niejedno spokojne serce. Na wysłużonym blacie piętrzyły się także pragnienia, marzenia, ambicje i utopie. Pośród nich przenikliwy wzrok dostrzegłby ledwo widoczne, choć nieugaszone, źle skrywane pragnienia, aby osiągnąć najwyższy tron - Piotrowy. Do czegoż innego mogliby aspirować kolejni użytkownicy biurka, jeśli nie do tego, osiągnąwszy drugie miejsce w hierarchii?

Lecz w tej właśnie chwili to nie ambicja rozniecała złość Villota. Już dawno porzucił myśl o chwale następcy Księcia Apostołów. Całą siłą swego dynamicznego charakteru pożądał natomiast obsadzenia na samym szczycie człowieka nie przysparzającego tylu kłopotów, co ten, któremu właśnie służy.

Nie więcej niż godzinę wcześniej przesłano mu z biura papieża Lucianiego pewne dokumenty. Pisano w nich o dekretach, decyzjach i nowych nominacjach. Niektóre z tych zmian, najważniejsze, wejdą w życie za kilka godzin albo najpóźniej jutro. Villot wziął do ręki leżące na biurku papiery i kolejny raz czytał to, co znał już na pamięć.

„Benelli na moje miejsce? - powiedział do siebie. - Czy można wyobrazić sobie większą prowokację?”

- To zbyt ryzykowne, Ojciec Święty - powiedział Villot tuż po otrzymaniu dokumentów i pobieżnym przekartkowaniu pierwszych zapisów o papieskich decyzjach. - Co zostanie z Kościoła, jaki znamy, jeśli to uczynimy...?

- Kościół przetrwa w czystości, skromności i humanitaryzmie, które są jego istotą - odpowiedział oschle Albino Luciani.

Villot dzierżył papiery w jednej ręce, a drugą przytrzymał piuskę, odczytując nonsensy wypisane ręką człowieka, który - wszystko na to wskazywało - był najważniejszym głosem ogółu chrześcijan. Jego wola, by rozluźnić nieco stanowisko Kościoła w kwestii kontroli narodzin, była tylko jedną z proponowanych niedorzeczności.

- Ależ Ojciec Święty... to przeciw doktrynie Kościoła. To jest sprzeczne z orzeczeniami poprzednich papieży - w głosie sekretarza stanu z każdą chwilą pobrzmiwały coraz bardziej nerwowe tony. - Nieomyślność. Święta nieomyślność - podkreślił Villot.

- Święta? Obaj wiemy, że to był błąd - stwierdził Luciani ze zwykłym sobie spokojem.

- Jak Wasza Świątobliwość może mówić coś takiego? - zapytał kardynał, obłudnie się zegnając.

- Mogę tak mówić, ponieważ jestem papieżem i wiem, że błędę jak każda istota ludzka.

- Papież jest nieomyślny. A te zarządzenia podważają decyzje podjęte w mocnym świetle papieskiej nieomyślności.

Charakter Villota nie pozwalał mu zwracać się do Jego Świątobliwości z posłuszeństwem i pokorą, jak tego wymagała jego pozycja w hierarchii. Spierał się z Janem Pawłem I, jakby prowadził rozmowę ze swym sekretarzem lub asystentem. Albino Luciani zdawał się ignorować ten brak szacunku. W duchu jednak niepokoiło go zachowanie Villota, którego nigdy nie podejrzewałby o podobną śmiałość.

- Kościół, który sam siebie nazywa nieomyślnym, nie jest w stanie zwalczyć swojej choroby - zawyrokował Luciani. - Ksiądz kardynał i ja wiemy doskonale, jak przebiegało przyjmowanie dogmatu o nieomyślności w 1870 roku.

- Czy Wasza Świątobliwość podważa działania Piusa IX? - zaatakował Villot.

- Czy może poprawić się ktoś, kto nie umie sam siebie krytykować?

Kardynał usiadł na jednym z wielu krzeseł stojących obok biurka i zakrył oczy dłonią.

- Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

- Niech się ksiądz nie zachowuje jak prosty proboszcz ze wsi, kardynale Villot. Wie ksiądz kardynał równie dobrze, jak ja, że nieomyślność służy wyłącznie krępowaniu nam rąk.

Villot zdjął dłonie z twarzy.

- Czy... czy ja naprawdę dobrze słyszę?

- Myślę, że powiedziałem właśnie to, co zamierzałem powiedzieć. Papież jest nieomyślny w kwestiach dotyczących doktryny wiary i moralności. Czyż nie tak? Nie wydaje się to księdzu wyjątkową gwarancją tego, żeby pewne obyczaje, może nawet wysoce naganne, nigdy się nie zmieniły?

- Anatemata... świętokradztwo - wybełkotał pośpiesznie Villot, bezsilny wobec odbywającej się na jego oczach zdumiewającej gry skrajności: huraganu o pozorach ciepłej i spokojnej bryzy.

- Świętokradztwo? - powtórzył Luciani, uśmiechając się leciutko. - Nadszedł moment, by przypomnieć księdzu kardynałowi, że w stosunku do mojej osoby warto by okazać choć odrobinę szacunku. W końcu jestem nieomyślny. - Kardynał spuścił głowę. - Nie będę jednak nadużywał ani mojej pozycji, ani prawdopodobnych boskich przywilejów, które mi ksiądz kardynał tu przypisuje. Chciałbym tylko nadmienić, że ksiądz kardynał, piastując takie, a nie inne stanowisko, powinien zachowywać się w odmienny sposób. Szacunek dla innych nie jest czymś, co zależy wyłącznie od księdza, kardynale Villot. I powtarzam dobitnie, dogmat o nieomyślności jest błędem i wygórowaną pretensją. Dlatego zostanie znie-

siony.

W tej samej chwili Villot pojął, że głową muru nie przebiję. Prawdę mówiąc, najnowsze dokumenty papieskie zawierały propozycje znacznie bardziej irytujące niż sprawa dogmatu o nieomyślności, która prawdopodobnie stanie się przedmiotem wieloletnich studiów komisji teologicznych.

- A jeśli idzie o nowe nominacje, Ojciec Święty, czy Wasza Świątobliwość choćby mgliście wyobraża sobie, jakie poruszenie wywołają one w łonie kurii?

- Myślę, że mam wystarczająco dobre pojęcie o tym, kardynale Villot - odpowiedział Luciani ze swobodą.

- Ale... ale... a kardynałowie? A purpuraci, którzy głosowali na Jego Świątobliwość, żeby wspierać bardziej umiarkowaną politykę...?

- Po pierwsze, nie prosiłem nikogo, by mnie wyniósł tu, gdzie teraz jestem. Po drugie, nie uważam, aby decyzje, które podjąłem, mogły być uznane za jakikolwiek atak lub agresję. Zajmuję się tylko tym, czym muszę się zajmować, kardynale. Niech ksiądz kardynał nie zapomina, że odpowiadam przed Bogiem i wiernymi.

Villotowi opadły ręce. Im więcej argumentów wytaczał - a przecież tak sprawny i przenikliwy zwykł bywać przy takich okazjach - tym bardziej zdecydowanie Luciani odpierał je z wyniosłością, nieprzejednaną siłą i pewnością siebie. Nie ma sposobu, by go pokonać... przynajmniej na słowa.

- Ojciec Święty... proszę mi pozwolić przeanalizować sytuację szczegółowo. Przyglądnę się tym nominacjom i przedstawię alternatywne kandydatury, szczególnie na moje miejsce i na stanowisko szefa IOR-u. Jeśli Wasza Świątobliwość zgodziłby się na odłożenie terminu, może jest jeszcze jakaś nadzieja.

- Niech się ksiądz nie wysila, kardynale Villot. To moje ostatnie słowo. Szkoda czasu na szukanie alternatywy. Jestem pewien, że kandydaci księdza kardynała to osoby kompetentne i uczciwe, ale ich nie zaakceptuję. Moja decyzja jest nieodwołalna. Należy niezwłocznie zastąpić biskupa Marcinkusa kardynałem Giovannim Abbo, a także odwołać kardynałów De Bonisa, Menniniego, Del Strobla. De Bonisa zastąpi kardynał Antonetti, a dwa pozostałe wakaty rozważę po konsultacji z kardynałem Abbo.

- Ale...

- Z Bogiem, kardynale Villot - pożegnał się Ojciec Święty, kierując się do drzwi.

Villot nie miał nawet czasu, żeby odpowiedzieć. Nigdy nie podejrzewał, że Luciani może być taki nieprzejednany.

Sytuacja z każdą chwilą stawała się trudniejsza i bardziej skomplikowana. Gelli miał rację - przeliczyli się. Ten człowiek przysporzy im samych problemów.

- Liczę na księdza w kwestii sprawnego przejścia stanowiska sekretarza stanu przez kardynała Benellego - powiedział już w drzwiach Ojciec Święty.

- Wasza Świątobliwość - wybełkotał Villot - czy nie powinno się przemyśleć tego na spokojnie? W końcu Wasza Świątobliwość zasiada na Stolicy Piotrowej od bardzo niedawna...

Luciani na moment wbił wzrok w sekretarza stanu i odpowiedział z niezmałym spokojem:

- Dziękuję za uprzejme zainteresowanie, Villot. Ale moja decyzja jest ostateczna.

Wyszedł, pozostawiając Villota jego własnym, czarnym jak burzowe chmury myślom. Villot medytował, rozważał, modlił się, lecz nie udało mu się znaleźć wyjścia z sytuacji. Popatrzył na telefon stojący tuż obok tych nieszczęsnych papierów. Wydał mu się kuszący i przerażający zarazem. Wiele razy wykręcał początkowe cyfry numeru, którego nauczył się na pamięć już jakiś czas temu. Nagle odłożył słuchawkę z nadzieją, że jakiś pomysł wpadnie mu do głowy. Życzyłby sobie, aby to nie było konieczne! Zdecydował postawić wszystko na jedną kartę. Jeśli on sam nie zdołał przekonać papieża, zwoła kardynałów, których przyszłość też stoi pod znakiem zapytania. Wspólnie spróbują znaleźć jakiś sposób, aby następca świętego Piotra jeszcze przemyślał sprawę.

- Zostaliśmy tylko we dwóch, Jack - mówi Barnes do Rafaela. - Ty i ja. - Siada naprzeciwko. - Jestem pewny, że odbędziemy za chwilę bardzo owocną rozmowę.

Miejsce jest mroczne. Sprawia wrażenie scenografii filmowej: dwa krzesła, kwadratowy stół z ciemnego drewna, stary i zniszczony, oraz lampa zwisająca z sufitu, oświetlająca dwóch rozmawiających mężczyzn.

- Gdzie jesteśmy? - pyta Rafael.

- Jack, Jack, Jack, chyba nie rozumiesz dobrze swojej sytuacji - Barnes nie zmienia sarkastycznego tonu. Wstaje od stołu i spaceruje po pokoju. - Pytania tutaj zadają tylko ja.

- Uduś się, Barnes. Nie jestem kretynem. Nie traktuj mnie tak jak innych. Nie zesram się w gacie ze strachu, bo ty tu jesteś. Daruj sobie, nie przestraszysz mnie.

W odpowiedzi dostaje cios w twarz, który z hukiem powala go na ziemię.

- Wstawaj - rozkazuje kolos. - Wstawaj! - krzyczy, widząc, że więzień go nie słucha.

Rafael podnosi się bez pośpiechu, nie okazując najmniejszych oznak bólu. Podnosi krzesło i siada, ostentacyjnie kładąc ręce na stole.

- Nie myśl, że uda ci się mnie nabrać, Barnes. Wiem, że jesteśmy w Stanach. Chciałem tylko wiedzieć, gdzie dokładnie - ciągnie Rafael, nie tracąc spokoju. Zdaje sobie doskonale sprawę, że znajduje się w sytuacji prawie beznadziejnej, mimo to stara się nie tracić kontroli nad przebiegiem wypadków.

- Z czego wnosisz, że jesteśmy w Stanach? Możesz być gdziekolwiek na świecie.

- Tyle godzin w samolocie wskazuje, że jesteśmy w Ameryce. Do Londynu mieliśmy zaledwie dwie i pół godziny. Przypuszczam, że jesteśmy albo w Waszyngtonie, albo w Nowym Jorku. Nie myślę się, prawda?

- Jesteśmy w samym piekle, Jack. Jakie to ma teraz znaczenie? A może miałbyś ochotę coś zwiedzić?

- Czemu nie?

Cios, tym razem trochę słabszy, deformuje mu twarz i rozcina wargę.

- Masz pojęcie, co ona przeżywa w tym momencie, Jack? Możesz to sobie wyobrazić? - Barnes zmienia taktykę. - Ta śliczna buźka zmasakrowana przez takiego brutala jak ja. - Rafael ma jednak swoją koncepcję obecnej sytuacji. Dwa ciosy, które Barnes osobiście mu zafundował, nie dają się porównać z tym, co może go jeszcze czekać. - Opowiesz mi, gdzie są papiery? - pyta Barnes tonem nieco bardziej ugodowym.

- Wiesz doskonale, że nie. Po pierwsze, dlatego że nie wiem. A po drugie, nawet gdybym wiedział, nie powiedziałbym ci.

Pojawienie się Staughtona przerywa przesłuchanie.

- Panie Barnes! - woła od progu.

- Wejdz, Staughton.

Podchodzi do szefa i szepcze mu coś na ucho.

- Pewny jesteś? - pyta Barnes, swoim zwykłym krzykliwym głosem. Wiadomość nie jest przyjemna. Przez chwilę zastanawia się w milczeniu.

- Dobra, daj mi kilka minut - mówi w końcu, wypraszając Staughtona, który szybko zamyka za sobą drzwi, pozostawiając Rafaela kolejny raz na łasce Barnes'a.

- Dam ci jeszcze jedną szansę, Jack, w imię naszej starej przyjaźni. - Barnes znowu siada naprzeciw Rafaela. - Gdzie są papiery?

- Ostatni raz widziałem je - ciągnie wolno Rafael, zastanawiając się, jakby nagle podjął decyzję o współpracy - w tyłku twojej matki.

Barnes kamienieje. Na jego twarzy rysuje się konwulsyjny grymas. Rafael zaczyna przeciągać strunę. Człowiek z CIA wstaje znowu i podchodzi do przesłuchiwanego. Przybliża się i nachyla do jego ucha.

- Dlaczego marnujesz mój czas, Jack? - Ślina, którą wypluwa podczas mówienia, skrapia twarz Rafaela. - Nie pomyślałeś, że mam dziewczynę i ciebie wcale nie potrzebuję? Ty może nie puścisz pary z gęby, ale ona wszystko wyśpiewa. No, więc może wiesz, koleś, co jeszcze mnie powstrzymuje przed wysłaniem cię na drugi brzeg?

- To, co ja wiem, a ona nie - odpowiada twardo Rafael.
- A co takiego wiesz, o czym ona nie wie?
- Wiem, że dostała tylko dwie strony z trzynastu.
- Mów dalej.
- I wiem, gdzie jest pozostałe dziewięć - ciągnie arogancko, blefując, w nadziei, że ten drugi połknie haczyk.

Barnes obserwuje go przez chwilę. Ocenia to, co właśnie usłyszał. Próbuje czytać w jego myślach.

- Kłamiesz - mówi w końcu.
- Zaryzykujesz i sprzątniesz mnie? A jeśli nie kłamię?
- Mam dziewczynę i ojca, Jack. Poradzę sobie bez ciebie.
- Miałbyś rację, gdybyś się nie mylił.

Barnes ledwo panuje nad wściekłością. Ma ochotę zmasakrować tego sukinsyna. Łapie go za poły marynarki i potrząsa nim.

- Nie przeciągaj struny, Jack! Mogę cię sprzątnąć w każdej chwili.

Rafael, skrępowany do przesłuchania, może prowokować tylko wzrokiem.

- Nie masz na to wpływu, Barnes.

Rozwścieczony Barnes potrząsa Rafaelem jeszcze mocniej.

- O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że wielki Barnes mógłby mi rozwalić łeb już dawno. Nie zrobiłeś tego, bo to nie zależy od ciebie. Ochoty ci nie brak, widzę to w twoich oczach, ale jest nad tobą jeden sukinsyn, który nie pozwala ci pociągnąć za spust.

- Stul pysk! - krzyczy tłuścioch, popychając Rafaela na ścianę. Doprowadzony do ostateczności wymierza mu w brzuch cios za ciosem. Rafael upada na podłogę, ale Barnes nie ma dosyć i kopie go z wściekłością, miotając najgorsze przekleństwa. Nagle od ofiary odciągają go silne ręce.

- Niech się pan uspokoi, natychmiast - rozkazuje elegancko ubrany mężczyzna, mocno przytrzymując oszalałego ze złości Barnesesa. - Co pan wyprawia?

- Zabiję tego skurwysyna! - ryczy Barnes, wbijając w Rafaela wściekły wzrok, kiedy ten z trudem usiłuje się podnieść.

- Niech się pan opanuje - nakazuje mężczyzna.

Staughton i Thompson zaglądają, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Proszę go stąd zabrać - rozkazuje przybysz Staughtonowi i Thompsonowi, którzy natychmiast wypełniają polecenie, wyciągając Rafaela z pomieszczenia.

- Nie tamtego, tego tutaj - prostuje pomyłkę nowo przybyły, przytrzymując Barnesesa z całą siłą.

Tłuścioch się uspokaja. Bierze parę głębokich wdechów i odzyskuje równowagę.

- OK. Już jestem spokojny - mówi - zupełnie spokojny.

- Od tej chwili przejmuję dowodzenie - oświadcza mężczyzna w czerni. - Niech pan sobie zaaplikuje coś mocniejszego i okiełzna nerwy. - Potem zwraca się do Staughtona i Thompsona: - Zabierzcie podejrzanego do celi, tam gdzie siedzi reszta. Maestre też już tam jest.

Polecenia zostają natychmiast wypełnione. Barnes wychodzi, nie oglądając się za siebie. „Pieprzone skurwiele” - mruczy. Dwaj agenci podtrzymują Rafaela, który sam już nie jest w stanie utrzymać się na nogach.

Mężczyzna, który wydawał rozkazy, poprawia garnitur od Armaniego. Nadeszła długo oczekiwana chwila.

Czterech mężczyzn idzie długim, źle oświetlonym korytarzem, po jego obu stronach ciąg zamkniętych drzwi. Miejsce wydaje się zimne i zaniedbane, chociaż nie sprawia wrażenia opuszczonego. Nie ma nawet śladu brudu i pajęczyn. Zapewne jednak korzysta się z niego sporadycznie.

Rafael kroczy z pomocą Staughtona i Thompsona. Za nimi podąża mężczyzna w garniturze od Armaniego. Przy nim nie mogą mu nic zrobić. Z otwartych na korytarz drzwi pada intensywna smuga światła. Słyszą głosy. Przez ostatnie metry prawie ciągną Rafaela.

- Ten drań waży coraz więcej - narzeka Thompson.

- Na pewno robi to specjalnie - stwierdza Staughton.

Nie mijają się z prawdą. Rafael symuluje gorszy stan, żeby utrudnić agentom pracę. Nie ma w tym specjalnego celu, po prostu chce ich zdenerwować. Jednak czuje ból w piersi. Pewnie Barnes złamał mu żebro, więc teraz trudno mu się oddycha. Zdrowiem zajmie się później, kiedy już skończy się ten koszmar - jeżeli się skończy. Ten korytarz może być dla niego równie dobrze korytarzem śmierci.

Kiedy go taszcza, Rafael myśli o Sarah. Czy będzie musiała przejść przez to samo? Rafael był szkolony na wypadek takich sytuacji. Złość Barnes'a, jego niekontrolowane ciosy to dla niego chleb powszedni. Ale dla Sarah mogą być czymś o wiele straszniejszym. Chociaż w czasie tej ich wspólnej nie-długiej przygody pokazała, że jest dość odważna. Mimo napięcia potrafiła zapanować nad nerwami dwa razy z rzędu. A to, co zrobiła z papierami, wiedząc, że stanowią ich ostatnią deskę ratunku, mówi wiele o jej charakterze.

Gdy wchodzi do pomieszczenia, gdzie pali się światło, Rafael dostrzega kapitana Monteiro i jego córkę, a także starszego mężczyznę, którego nie zna, chociaż jego twarz wydaje mu się znajoma. Więźniowie opierają się o ścianę, lecz zwisające z sufitu łańcuchy krępujące nadgarstki zmuszają ich do pozostawania w pozycji stojącej.

Obok zatrzymanych stoi mężczyzna ubrany na czarno, w trudnym do podrobienia stylu agentów P2. Rafael poznaje go od razu. To Polak. Staughton i Thompson ciągną Rafaela w miejsce, gdzie przykuto resztę, i spinają mu oba nadgarstki zwisającą z sufitu metalową obręczą. Dwaj podwładni Barnes'a opuszczają pomieszczenie, zostawiając więźniów na łasce Polaka i asystenta Maestre.

Rafael szuka na ciele Sarah śladów tortur. Nic. Jeszcze jej nie tknęli. Bał się, że zabrali ją w inne miejsce. Na czas lotu rozdzielili ich i od tamtej chwili nie wiedział nic o losie swoich towarzyszy.

Kapitan, a także stojący obok niego starszerek, którego Rafaelowi jeszcze nie udało się zidentyfikować, nie zdradzają najmniejszych oznak maltretowania. Asystent pierwszy zabiera głos:

- Wreszcie wszyscy jesteście razem.

- Nie ma nic do zjedzenia? - pyta Rafael.

Asystent ignoruje jego prowokacyjną uwagę.

- Przyjmijcie, proszę, moje najszczerze przeprosiny za złe traktowanie, któremu was poddano, niniejszym obiecuję, że to się wkrótce skończy.

- Kim pan jest? - pyta Rafael stojącego obok niego starszaka.

- Nazywam się Marius Ferris. A pan?

- Marius Ferris, ten ze zdjęcia - przypomina sobie Rafael, rozpoznając go wreszcie. - Jestem Rafael.

- Nikt z nas nie ma wątpliwości, w jakim charakterze tu się znaleźliśmy. Przejdźmy zatem od razu do rzeczy. Gdzie są papiery? - pyta asystent.

Na blacie jedyne w tym pomieszczeniu stołu leży czarna walizka. Polak otwiera ją właśnie w tej chwili. Przegląda zawartość i bierze do ręki kilka znajdujących się w niej przyrządów, jak się wydaje, przeznaczonych do cięcia. To narzędzia tortur, zdolne złamać najtwardszy opór. W niektórych przypadkach wystarcza tylko ostentacyjne pokazanie tych przerażających instrumentów, aby przesłuchiwany poddał się bez walki.

- Papiery są w bezpiecznym miejscu - stwierdza Rafael.

- U nas będą bezpieczniejsze - odpowiada asystent. - Bądźcie rozsądni. Czyż nie lepiej skończyć z tym jak najszybciej i uniknąć dalszych cierpień?

Odpowiada mu milczeniem. Asystent czeka jeszcze chwilę. Może ktoś z więźniów się podda. Nie jest



możliwe, by cała czwórka pozwoliła się torturować za coś, co żadnego z nich bezpośrednio nie dotyczy. Nikt jednak nie otwiera ust.

W porządku. Zacznie od ojca Sarah, bo to może zadziałać na jej psychikę i skłonić ją do mówienia.

- Zajmij się wojskowym - rozkazuje słudze.

Oczy Sarah robią się okrągłe z przerażenia. Potwierdza się to, czego najbardziej się bała. Będą ich torturować i w końcu wyciągną

z nich prawdę - jeśli nie od razu, to później, kiedy ciało nie znieś już bólu.

Sługa wyjmuje jeden z instrumentów, rodzaj wiertła o długości około dwudziestu centymetrów zwieńczonego ostro zakończoną płytką centymetrowej szerokości i przeznaczoną do bolesnego przecinania skóry, bez możliwości uszkodzenia organów wewnętrznych, chyba że celowo. Rozdziera koszulę kapitana, odsłaniając jego tors. Mierzy przyrządem w prawą stronę brzucha i przykłada ostrą końcówkę do skóry.

Przenikliwy krzyk ofiary oznajmia wszystkim, że metal zagłębił się właśnie w jej ciało. Ostrze wije się, wchodzi coraz głębiej, torując sobie drogę i wyzwajając uczucie tępego, nieznośnego bólu. W końcu nieubłagane narzędzie tortury ukazuje się między żebrami, na plecach. Pewna ręka kata wyjmuje je wreszcie, a robi to bardzo powoli. Rana została zadana, zarówno ciału kapitana Monteiro, jak i duszom jego córki Sarah i Mariusa Ferrisa, którzy obserwują całą scenę niemi ze strachu. Kapitan nie może ukryć bólu. Pot spływa mu po twarzy zniekształconej cierpieniem.

- Czy teraz ktoś ma coś do powiedzenia? - pyta asystent. - Czy nie przekonałem was, że znacznie lepiej zaopiekujemy się papierami?

- Mnie się wydaje, że najlepiej by było, gdybyśmy mogli dostać tu jakiegoś hamburgera - stwierdza Rafael.

Asystent podchodzi do niego i patrzy mu głęboko w oczy, z wyrazem niezmaconego spokoju.

- Czy chciałby się pan z nami podzielić jeszcze jakimiś uwagami?

- I dużo sera, bardzo dużo sera. Z grubą warstwą keczupu.

Asystent obserwuje go bacznie z kilkucentymetrowej zaledwie odległości.

- Myślę, że Jackowi dobrze zrobi mały aperitif. Coś, co mu uprzytomni, czego się nie robi kolegom.

Gest w kierunku sługi wystarcza.

- Zdrada, na przykład, jest bardzo źle widziana – odsuwa się, aby przepuścić sługę, trzymającego w dłoni straszliwy przyrząd, którym przed chwilą torturował Raúla.

Rafael nie porzuca jednak sarkastycznego tonu. Ma świadomość, że ci dwaj wiedzą, że on nie jest przeciętnym więźniem. Mogą go roznieść na strzępy, jeśli będą chcieli, a on pozwoli im się zabić, nie puściwszy pary z ust. Ale to nie znaczy, że tortura zostanie mu oszczędzona.

- Nie oczyścisz tego wiertelka z krwi? - pyta Rafael Po laka. - Mogę coś od niego złapać.

Patrzy na Raúla.

- Bez urazy, kapitanie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, z jaką przyjemnością wy-prułbym ci flaki, kawałek po kawałku. Patrzyłbym, jak się wykrwawiasz niby wieprz, aż do ostatniego tchnienia - mówi prześladowca, zbliżając twarz do twarzy Rafaela, żeby ten słyszał dobrze każde słowo.

- Jestem do twojej dyspozycji - ironizuje ofiara - i na każde twoje skinienie.

Sługa nie wytrzymuje prowokacji i spluwa mu w twarz. Powiedziałby mu jeszcze to i owo, ale lepiej skupić się na właściwym wykorzystaniu przyrządu, który trzyma w ręce.

Polak brutalnie rozdziera koszulę Rafaela.

- Dobra, przestańcie! Nikt tu już nikomu nie będzie wypruwał flaków.

Kobiecy głos niespodziewanie rozbrzmiewa w pomieszczeniu, skupiając na sobie uwagę obecnych. Wszystkie głowy odwracają się w poszukiwaniu źródła tego głosu, który przemawia z niebywałą pewnością.

- Co za radość widzieć, że ktoś w tym towarzystwie jest rozsądny i miłosierny wobec kolegów - mówi

asystent, zwracając się do Sarah, która to właśnie przed chwilą sprawiła wszystkim niespodziankę.

- O rozsądku raczej trudno tutaj mówić - odpowiada Sarah z przekonaniem. - Niech pan powie koledze, żeby przestał.

Asystent zastanawia się chwilę, ale w końcu rozkazuje słudze, żeby odstąpił od Rafaela.

- Mów - rozkazuje dziewczynie.

- Nie, jeszcze nie. Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć, ale...

- Nie mów nic - przerywa jej Rafael.

- Nie rób tego, córeczko - prosi ojciec słabym głosem.

Sługa uderza w twarz Rafaela. Tylko jeden cios, ale dotkliwy i skuteczny.

- Cicho, niech mówi.

- Proszę - zwraca się do Sarah asystent, odzyskując kontrolę nad sytuacją.

- Powiem wszystko, co chcecie wiedzieć - powtarza Sarah - ale tylko temu, kto tu rządzi.

- Jak to? - Asystent sprawia wrażenie zaskoczonego. - Ja tu rządzę.

- Nie, nie pan. Pan jest zwykłym najemnikiem - wyprowadza go z błędu Sarah, nie tracąc pewności siebie. - Będę rozmawiać tylko z J.C., z nikim więcej.

Polak jest zdezorientowany.

- Za kogo się pani uważa, żeby tu wydawać rozkazy?!

Gest asystenta ucisza go. Sarah rozgrywa swoją partię. Ma do tego prawo.

- J.C. nie będzie z panią rozmawiał. Lepiej, żeby pani powiedziała teraz, co ma pani do powiedzenia.

- Chcecie czegoś, co jest w naszym posiadaniu. Jestem skłonna wam to oddać, ale mój warunek jest właśnie taki i nie podlega negocjacjom. Będę rozmawiać tylko z J.C. W przeciwnym wypadku możecie nas torturować, aż nas pozabijacie. Nikt nie puści pary z ust.

Asystent podchodzi do Sarah, wyjmując pistolet z tłumikiem i przykładając go do skroni.

- Za kogo się uważasz, laleczko, że wyjeżdżasz mi tutaj z żądaniem, co? - Głos leciutko mu drży, zdradzając coś pomiędzy wściekłością a zniecierpliwieniem. - Chyba nie wiesz, w jakiej jesteś sytuacji. Żądać czegokolwiek mogę tutaj jedynie ja. Mów, co wiesz.

- Jeśli jest tu ktoś, kto może stawiać jakieś warunki, to tym kimś jestem ja. Może i skuliście mi ręce, ale tylko dlatego że mam coś, na czym wam zależy - słowa Sarah brzmią prowokacyjnie. - Niech pan lepiej zabierze pistolet z mojej skroni i zadzwoni po J.C.

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości - grozi jej asystent, odbezpieczając broń. - Nikt nie będzie dzwonił do J.C. Gadaj!

Sarah nie chce się poddać. Nie może ustąpić. Chciałaby zamknąć oczy, kiedy mężczyzna w garniturze od Armaniego mierzy do niej z pistoletu i przygotowuje się do strzału, ale to mogłoby zostać wzięte za oznakę słabości.

- Pańska nieustępliwość może nas wszystkich drogo kosztować - mówi Sarah, po raz ostatni próbując go przekonać. Za sekundę wszystko może się skończyć, jej życie, życie jej towarzyszy, ale gdyby udało się otworzyć szczelinę w duszy asystenta, może coś jeszcze byłoby do uratowania. Czy trzeba przeciągnąć strunę jeszcze bardziej? - Szefowi na pewno się nie spodoba, jeśli nas pan zabije, nie osiągnąwszy konkretnych i namacalnych rezultatów - drąży zdesperowana Sarah.

- Nie jestem taki głupi. Ostrzegam cię ostatni raz, wyduś to z siebie, albo twój tatuś będzie musiał na zawsze pożegnać się ze swoją śliczną córeczką.

- Zbyt dużo pan ryzykuje - przypuszcza kolejny atak Sarah. - Jeśli pan myśli, że moja śmierć rozwiąże wasz problem, to jest pan w błędzie. Problem stanie się jeszcze większy, a wtedy nie rozwiążecie go już tak łatwo.

- Zamknij się. - Asystent jest wściekły. - Jedno z was zacznie śpiewać, w końcu zawsze ktoś pęka.

- Przestańcie - słychać nagle zza drzwi. Asystent odwraca wzrok w stronę wejścia, w którym stoi Maestre. Stary opiera się jak zwykle na lasce, w drugiej ręce trzyma czarną teczkę.

- Maestre... - zaczyna asystent, odsuwając lufę od czoła Sarah.

- Cisza - ucina Maestre. - Chce pani rozmawiać ze mną? - zwraca się do Sarah.

- Jeśli pan jest J.C., to owszem - odpowiada dziewczyna, z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

Nie spodziewała się takiego zwrotu akcji.

Stary odwraca się i wychodzi.

- Przeprowadźcie ją.

- Ale szefie... - bąka asystent.

- Przeprowadźcie ją - powtarza stary, już na korytarzu. Mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Resztę na razie zostawcie, czekajcie na następny rozkaz.

## ROZDZIAŁ 55

Dla Geoffreya Barnesa jedną z wielkich atrakcji Nowego Jorku jest jedzenie. Pierwszy raz od dłuższego czasu raczy się wyśmienitym lunchem w dobrej restauracji. Jest dużo spokojniejszy i rozumie, że wszystko, co spotkało go w całej tej historii z Jackiem, jest częścią jego pracy. To coś jakby gra, którą Jack prowadził po mistrzowsku, wytrącając go z równowagi. Jasne, że gdyby Barnes mógł mieć Jacka tylko do swojej dyspozycji, sprawy potoczyłyby się inaczej. Ten sukinsyn, ten przewrotny łotr wiedział, co jest grane, i umiał sprowokować go w odpowiednim momencie.

Do diabła z Włochem, czy kim on tam jest. Fakt, że mówi w tym języku, jeszcze o niczym nie świadczy. Powiedział kategorycznie: „Nikt nie umrze, chyba że ja na to pozwolę”. A kiedy mówi szef, ogon pod siebie i pokornie słuchaj. Kiedy stracił głowę, nie działał zgodnie z rozkazem. Wpadł w zasadzkę, którą zastawił Payne. Niełatwo było ją ominąć. Ale popełnił błąd, dając się ponieść nerwom.

Lepiej już jednak o tym nie myśleć. Skupia się na ostatnich kęsach dania, spoglądając łakomie w kierunku deseru. Wtedy rozbrzmiewa sygnał telefonu, tej cholernej komórki, która kradnie mu najpiękniejsze chwile w życiu. Szuka jej w kieszeni i odbiera, nie patrząc nawet, kto dzwoni.

- Barnes, słucham.

Przez kilka długich chwil Geoffrey Barnes ogranicza się do słuchania i odpowiadania przeciągłymi monosylabami - „nie”, „tak”, „hm”. Łatwo się zorientować, że nie rozmawia z podwładnym, bowiem z każdą minutą rozmowy na jego twarzy maluje się coraz większy niepokój, a ciało zaczyna wykonywać na krześle coraz bardziej niecierpliwe ruchy. Jeszcze parę zdawkowych słów i „do widzenia”.

Kiedy się rozłącza, jego twarz jest zmieniona nie do poznania. Niewielkie krople potu spływają po czole i zwilżają mu całe oblicze. Odkłada na stół widelec, który trzymał dotąd w dłoni. Gównno właśnie wpadło do wentylacji i jeżeli Barnes nie zacznie natychmiast działać, zapaskudzi wszystko. Zostawia pieniądze na stoliku i wychodzi pośpiesznie z lokalu. Wystukuje numer na klawiaturze komórki i już na ulicy przykłada ją do ucha. Idzie krokiem szybkim i zdecydowanym.

- Staughton, to ja, Barnes. Nie pozwól, żeby zrobili cokolwiek, zanim przyjadę. - Dyszy z wysiłku, ciągle jednak mówi tym samym pewnym i ostrym głosem. - Niech nikogo nie tykają. Nie mów im dlaczego, powiedz tylko, że wszystko wyjaśnię, kiedy przyjdę. - Słucha przez moment, a potem dodaje: - Ani Payne'a, ani nikogo. Niech niczego nie ruszają i siedzą spokojnie, innym też to przekaz, w przeciwnym razie wszystko pierdyknie. - Przechodzi przez ulicę, nie oglądając się na boki. Samochody ocierają się o niego, ale Barnes nie przestaje mówić. - Dlaczego? Powiem ci, ale nie mów nikomu, Staughton, rozumiesz? - Po drugiej stronie linii telefonicznej, w biurze, w samym centrum Manhattanu podwładny cały zamienia się w słuch. - Właśnie dostałem telefon z samej góry, z Watykanu. - Wzdycha. - Dziewczyna nas ograła.

## ROZDZIAŁ 56

- W jaki sposób zabił pan Jana Pawła I? - pyta Sarah bez ogródek, siadając na krześle w tym samym

pomieszczeniu, w którym Barnes przesłuchiwał Rafaela. Kładzie ręce na blacie, żeby sprawiać wrażenie zrelaksowanej.

Maestre stoi plecami do niej, wydaje się, że nad czymś rozmyśla. Wysłuchawszy pytania, odwraca się do Sarah z uśmiechem.

- Nie przyszłaś tu, żeby zadawać pytania, panno Monteiro. Wymogłaś na moim asystencie zgodę na opowiedzenie mi wszystkiego, co wiesz, osobiście. Dlatego tu jesteś. - Głos Maestre to zdarty i zachrypnięty głos starca, ale nie brak mu ostrości.

- To będzie taka mała wymiana informacji. Pan mi opowie o tym, co mnie interesuje, a ja panu dam to, czego pan tak bardzo pożąda. Wie pan doskonale, że nie mogę użyć przeciwko panu tego, co mi pan tu powie.

- Widzę, że nie doceniasz mojej inteligencji, panienko. Nie jestem czarnym charakterem z taniej powieści. Jestem bytem realnym, z krwi i kości.

- Dlaczego pan mi to mówi? - Odpowiedź starogo zaskakuje Sarah.

- Nieważne. Takie tam dywagacje - wyjaśnia J.C., siadając na krześle po przeciwnej stronie stołu. - Tak naprawdę nie mówiłem tego do ciebie.

- W jaki sposób umarł papież?

Cisza, która zapada po tym pytaniu, budzi w Sarah niepokój.

- Oficjalna informacja głosi, że umarł na zawał mięśnia sercowego - odpowiada w końcu starzec.

- Oboje wiemy, że tak nie było.

- Wiemy? - zagadkowo pyta J.C. - Naprawdę wiemy? Usiłujesz obalić oficjalną prawdę, moja panno.

- Oficjalna nie musi być prawdziwa. W ostatnich dniach dowiedziałam się, że wszyscy jesteśmy ofiarami oszustwa - ciągnie Sarah ze śmiałością, o którą nie podejrzewała się nigdy przedtem.

J.C. wybucha gardłowym śmiechem, któremu jednak nie sposób odmówić szczerości.

- No i cóż panience o tym wiadomo?

- Przyznaje pan, że oficjalna wersja jest fałszywa?

- Fałszywa czy nie, to jedyna, jaka istnieje - ton jego głosu brzmi naturalnie. Starzec nigdy nie traci opanowania, nie mówi też niczego, czego potem mógłby żałować.

Następnie szuka czegoś w czarnej teczce, którą przyniósł ze sobą i postawił koło stołu. Chwilę przekłada papiery w niej zgromadzone, wreszcie znajduje pożądaną kartkę papieru i wręcza ją Sarah.

- Czytaj.

- Co to jest? - Dziewczyna patrzy na papier. Jest to oficjalny akt zgonu.

- Czytaj - powtarza J.C.

To akt zgonu Albino Lucianiego, Jana Pawła I. Przyczyna zgonu: zawał mięśnia sercowego, przybliżona godzina zgonu: 23.30,

dnia 28 września 1978 roku. Podpis nieczytelny, prawdopodobnie lekarza dyżurnego.

- Oto oficjalna informacja o przyczynie zgonu Jana Pawła I - konkluduje J.C. z uśmiechem na ustach.

Sarah przygląda się dokumentowi, zastanawiając się, po co Maestre nosi go ze sobą.

- Przejdźmy do najważniejszej kwestii - nalega starzec.

Sarah oddaje dokument i patrzy mu prosto w oczy.

- Nie. Jeszcze nie. Chciałabym usłyszeć pańską prawdę.

- O jakiej prawdzie mówisz?

- Ten dokument wydano bez oględzin zwłok papieża - mówi Sarah, przypominając sobie rozmowę z ojcem w Mafrze. - Niech mi pan powie prawdę. Coś za coś.

- Mam inne metody, żeby wydobyć od ciebie to, czego chcę.

- Nie wątpię. Ale to może trwać wiele godzin, całe dni i nie jest wcale pewne, że będzie skuteczne.

Proponuję panu sprawiedliwą wymianę.

- Masz jakiś interes w zdobyciu tej wiedzy?

- Czy ja wiem? Raczej nie... To tylko czysta ciekawość człowieka, któremu nagle wali się na głowę wszystko, w co wierzył do tej pory. - Rozmowa ustaje na kilka chwil. Maestre zastanawia się. Dla Sarah nie jest to tylko kwestia ciekawości, choć może się tak wydawać; to także sposób, żeby zyskać na czasie.

Cel tych zabiegów jej samej jest zupełnie nieznany. - Dobrze. Niech mi pan opowie, co się zdarzyło w nocy 28 września 1978 roku.

Stary zaczyna mówić dopiero po chwili:

- Przede wszystkim chciałbym wyprostować pewne zafałszowania. Albino Luciani zmarł 29 września 1978 roku, o pierwszej w nocy. Nie ma potrzeby wyjaśniać, skąd to wiem. Byłem ostatnią osobą, która widziała go żywego, i pierwszą, która zobaczyła go martwego. Umarł dlatego, że, jak zapewne wiesz, stał się papieżem

niepożądanym, niebezpiecznym wrogiem, i trzeba było go zlikwidować. Nie mówię o kwestiach wiary. Dokonano błędnej oceny jego charakteru. Jeśli po konklawe mieliśmy pewne nadzieje, bardzo szybko okazało się, że są one płonne. Jego kruchy wygląd był tylko pozorem. Natychmiast zabrał się do generalnych porządków. Pierwsi do odstrzału byli biskup Marcinkus i kardynał Jean-Marie Villot. Najmocniejsze karty w talii. I wierz mi, wielu innych podzieliłoby ich los. Gdyby wylecieli Marcinkus i Villot, zaraz za nimi poszliby Calvi i Gelli, a to doprowadziłoby do całkowitej klęski. Jan Paweł I sam wykopał sobie grób. Był inny niż Paweł VI, który zajmował się tylko wiarą i religią, a pozostałe sprawy składał na barki kurii i innych, kompetentnych osób. Ale Jan Paweł I chciał skończyć z Kościołem, jaki znaleźliśmy do tej pory.

- Jak to? - Sarah śledzi uważnie każde słowo Włocha.

- Myślisz, że Kościół nie zachwiałby się w posadach po czystce, którą chciał zrobić Luciani? Oczywiście, że tak by się stało. Wierni byliby wstrząśnięci, poznaawszy zaledwie małą cząstkę informacji o nadużyciach finansowych popełnionych przez Kościół. Paweł VI, choć nie było w tym jego winy, zostałby uznany za przestępcę, który nakazywał swoim podwładnym pranie brudnych pieniędzy i czerpanie zysków z przedsiębiorstw wytwarzających produkty potępione przez Kościół, takie jak pigułki antykoncepcyjne, prezerwatywy i broń. Chodziło o to, żeby zarobić jak najwięcej i jak najwięcej przelać na prywatne konta.

- Ale to wszystko zostało później ujawnione i nic się nie stało.

- Oczywiście. Wtedy jednak już nie kontrolowaliśmy przepływu informacji i nie dało się tego uniknąć. Uczyniono to jednak w taki sposób, aby szkody były jak najmniejsze.

- Jak to jest możliwe, że pan z takim spokojem mówi o śmierci Jana Pawła I? - pyta dziewczyna.

- Cel uświęca środki, moja panno. Mieliśmy zbyt wiele do stracenia i nie chodzi mi tylko o ewentualne konsekwencje prawne. Wiele osób i państw ucierpiało w wyniku decyzji, które podjęła głowa Kościoła.

- Chciał tylko przywrócić sprawiedliwość!

- Sprawiedliwość jest pojęciem bardzo względnym. Myślę, że już to zrozumiałaś. Licio Gelli został zmuszony do opracowania planu, który miał zostać wykonany w ciągu kilku godzin. Dlatego pojawiłem się na scenie jako kat Jana Pawła I. Moja funkcja polegała na oczekiwaniu na telefon. Villot próbował opóźnić wykonanie planu, jak tylko mógł, starając się odwieść papieża od jego zamierzeń argumentami i gotowością do kompromisu. Ale papież nie wykazał się elastycznością. Przypieczętował swój los 28 września, kiedy poinformował Villota i resztę kardynałów o mających nastąpić w ciągu najbliższych dni zmianach na stanowiskach, poczynając od natychmiastowego odwołania Marcinkusa. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko działać.

- Rozwiązanie ostateczne - dodaje Sarah, oscylując między sarkazmem a złością. - Rozwiązanie wszystkich problemów. Jeśli się do nas nie dostosuje, zabijemy go, im szybciej, tym lepiej. Lista ofiar o podobnej mentalności jest nieskończona.

- Oj tak, moja panno, oj tak. W każdym razie tamtej nocy, z 28 na 29 września, stawiłem się w Pałacu Apostolskim. Jeden z kardynałów zobowiązał się umożliwić mi wejście i bezpieczne przemieszczanie się w budynku. Tak też było. Wywiązał się doskonale ze swego zadania.

- Chce pan powiedzieć, że o północy chodził pan sobie po Watykanie niezauważony?

- Nie. Wszedłem wprost do apartamentów papieskich, schodami, które nie są używane. Zwykle drzwi na parter i na trzecie piętro są zamknięte. Jak się zapewne domyślasz, tamtej nocy wyjątkowo było

inaczej. W czasach Jana XXIII Gwardia Szwajcarska przestała pełnić straż przed apartamentami papieskimi. Na swojej drodze nie spotkałem więc nikogo. Wszedłem do pokoi papieża bez najmniejszego trudu. Nie spał jeszcze, zamieniliśmy kilka słów. Kiedy wyszedłem, moja misja była zakończona. Kardynałowie musieli już tylko pochować tego nowego papieża i wybrać innego.

- Rozmawiał pan z papieżem? Pewnie nie może pan wymazać z pamięci tamtej rozmowy...

- To już nie ma znaczenia - wyjaśnia J.C., który zaczyna zdradzać oznaki zniecierpliwienia. - Następnego dnia ten sam kardynał, który umożliwił mi wejście, zaprosił mnie do siebie do Watykanu i wręczył papiery. Te, które dzisiaj usiłujemy odzyskać. Chciał, abym je dobrze schowałem... i to właśnie uczyniłem. - W oczach starego pojawia się lisi błysk. - Zdeponowałem je w najbezpieczniejszym miejscu świata. Poza tym sam pomysł był zabawny. Czyż mogłem przypuszczać, że ten idiota Firenzi znajdzie je i sobie przywłaszczy?

- I nie chcieli, żeby pan zniszczył te dokumenty?

- Nie, nie... No, może z wyjątkiem listy i tajemnicy fatimskiej te papiery są nieszkodliwe... to były tylko dyspozycje papieskie związane z reorganizacją Kościoła. Jedne bardziej kontrowersyjne, inne mniej, ale bez żadnych rewelacji, przynajmniej dla tego, kto z pewną uwagą śledzi sprawy religijne. Lista to zupełnie inna historia, jak już pewnie ci wiadomo, nie chodzi w niej o listę członków P2, którą wszyscy znają, lecz o jej znacznie mniej oficjalną wersję, zawierającą nazwiska znanych osobistości, a konkretnie jednego z premierów. Pierwszy z brzegu sędzia miałby możliwość oskarżenia tych ludzi o spowodowanie śmierci papieża. Nikt sobie nawet nie próbuje wyobrazić takiej ewentualności... chyba że ten przeklęty prokurator z Rzymu... W swojej gorliwości Villot popełnił wiele błędów. Kiedy ciało Lucianiego zostało odnalezione przez siostrę Vincenzę, nikt nie widział niczego niezwykłego w jego śmierci. Villot wymógł na mieszkańcach pałacu śluby milczenia, całkowicie niepotrzebnie. Potem wymyślił oficjalną wersję, którą zdementował sam Watykan.

- Nie rozumiem.

- Pierwsza oficjalna informacja mówiła, że sekretarz papieski, ksiądz John Magee, znalazł go martwego o wpół do szóstej rano, podczas gdy w rzeczywistości został znaleziony przez siostrę Vincenzę, osobistą gospodynię Lucianiego, czterdzieści pięć minut wcześniej.

- Po co to zrobił?

- Wydawało mu się niestosowne, aby kobieta, jakkolwiek zakonnica, wchodziła bez skrupowania do apartamentów papieskich. Kwestia wizerunku. Potem Villot składał sprzeczne oświadczenia i podejmował ekstrawaganckie decyzje. Powiedział, że w chwili śmierci papież miał w rękach swoją ulubioną książkę, O naśladowaniu Chrystusa Tomasza Kempisa, w bibliofilskim wydaniu, podczas gdy książka ta w rzeczywistości znajdowała się w Wenecji. Wezwał bezzwłocznie specjalistów od balsamowania. To, że ciało znalazła zakonnica, wyszło na jaw bardzo szybko. A jeśli do tych wszystkich nieprzemysłanych działań kamerlinga doda się jeszcze fakt zbyt wczesnego i pośpiesznego sprzątnięcia papieskich pokoi, nie ma się co dziwić, że cały świat zaczął podejrzewać, że podobne zachowanie wynika z chęci ukrycia jakiejś niewygodnej prawdy. Poza tym jest oczywiste, że lekarze watykańscy poszli na współpracę tylko w sytuacji, w której nie musieli konfrontować swojej opinii z innymi specjalistami. Lekarzem Lucianiego był doktor Giuseppe de Rós, który dbał o jego zdrowie w Wenecji, a także potem, w Watykanie. Potwierdzenie oficjalnej przyczyny zgonu przez Rosa w Rzymie było bardzo ważne. Villot nie zezwoliłby na sekcję zwłok, notabene zabronioną przez prawo kanoniczne. Villot był wówczas kardynałem kamerlingiem i w związku z tym pełnił również funkcję głowy Kościoła aż do końca nadchodzącego konklawe. Był bardzo zabiegany i niesłuchanie przejęty wszystkim, co się wydarzyło.

- To zrozumiałe - stwierdza Sarah.

- Doktor Giuseppe de Rós potwierdził diagnozę pozostałych lekarzy, ale prawda jest taka, że nie miał wielkich możliwości działania, mógł jedynie dokonać powierzchownych oględzin zwłok. Ponieważ autopsja nie wchodziła w grę, zbrodnia byłaby doskonała, gdyby nie ten pośpiech Villota. Wybrano nowego papieża i życie toczyło się dalej. Ale śmierć Jana Pawła I budziła szereg podejrzeń i powoli

wszystko zaczęło się sypać, sprawy przybrały szczególnie niekorzystny obrót dla P2, która została rozwiązana w 1981 roku. Od tego czasu żyjemy w najgłębszym cieniu.

- W jaki sposób udało im się pogрузić P2?

- Szczegóły są zbyt skomplikowane. Powiedzmy, że przez kolejne lata sędziowie, dziennikarze i niektóre organy ścigania tropiły wytrwale pewne sprawy, które w końcu zaprowadziły ich do IOR, Banco Ambrosiano, P2 i łączących je interesów.

- A co stało się z Villotem, Marcinkusem i administratorem Banco Ambrosiano?

- Villot w chwili zabójstwa Lucianiego był już poważnie chory. Sam poprosił o zwolnienie, ale nie mógł znieść tego, że jego miejsce miał zająć Benelli. Villot chciał sobie wybrać następcę. Benelli za bardzo przypominał Jana Pawła I. Spowodowałby te same nieodwracalne szkody. Śmierć Lucianiego odprężyła Villota, który umarł w spokoju w marcu 1979 roku, otoczony wiernymi przyjaciółmi. Marcinkus był zaangażowany w IOR jeszcze przez długi czas, aż do chwili kiedy odsunięto go na boczny tor i wrócił do Chicago. Potem ukrył się w jakiejś parafii na przedmieściach Phoenix, w Arizonie. Marcinkus to bez dwóch zdań była kanalia, nie miał przyjaciół ani współpracowników, ani tym bardziej stronników. Przyjaźnił się wyłącznie z samym sobą i służył jedynie własnym interesom.

Dlatego właśnie mógł nam pomagać tak długo, nawet kiedy Jan Paweł I i Villot opuścili ten ziemski padół. Marcinkus stał na czele IOR aż do 1989 roku, za przyzwoleniem samego Wojtyły. Jeśli chodzi o pozostałych - kontynuuje J.C. - Calviego znaleziono martwego w 1982 roku, powieszono pod mostem Blackfriars w Londynie. Defraudacja w Banco Ambrosiano urosła w efekcie do dwóch bilionów dolarów. Pieniądzy nigdy nie odzyskano, ale Gellemu i Marcinkusowi to się na pewno opłaciło. Chciałabyś wiedzieć, gdzie jest teraz Gelli? - pyta starzec, robiąc dramatyczną pauzę. Wie, że zbliża się do końca swej historii. - Odbywa areszt domowy w spokojnej willi w Arezzo, w pięknej Italii. A jeśli chodzi o mnie... powiedzmy, że mnie nie ma nigdzie.

Znowu zapada cisza. Zaraz potem Sarah powtórnie ryzykuje pytanie, na które dotąd nie uzyskała odpowiedzi. A to właśnie tej odpowiedzi jest najbardziej ciekawa.

- Jak pan zabił Ojca Świętego?

- Hola, hola, panno Monteiro, chyba się nie łudzisz, że usłyszysz wszystko w zamian za nic, prawda? Wykonałem swoją część umowy z nawiązką. Teraz twoja kolej. - Uśmiecha się z satysfakcją, jak ktoś, kto jest przekonany, że racja jest po jego stronie.

- To moje ostatnie pytanie. Muszę wiedzieć, jak pan to zrobił.

- A ja muszę wiedzieć, gdzie ukryłaś papiery, moja panno.

- Sam pan powiedział, że nie ma w nich żadnych rewelacji.

- Gwarantuję ci, że nie. I gdyby ujrzały światło dzienne w noc zabójstwa, wyłączając z tego listę i tajemnicę fatimską, nic wielkiego by się nie stało. To były tylko notatki i plany zmarłego. Gdyby jednak pojawiły się dzisiaj, po tylu latach, mogłyby zostać odczytane zupełnie inaczej. - Sarah musi się z nim zgodzić. Stolica Apostolska stałaby się w oczach wiernych instytucją pozbawioną sumienia i moralności, których obronę niezmiennie deklaruje. - Rzeczony dokumenty, i nie tylko one, potwierdziłyby podejrzenie, że ktoś chciał, aby znikły z powierzchni ziemi. Palcem wytknięto by osoby na najwyższych szczeblach kurialnej administracji i być może już nigdy Kościół nie podniósłby się po straszliwym oskarżeniu o spisek i morderstwo.

- Dziwię się panu, cóż to wszystko może pana obchodzić? Trudno mi uwierzyć, że przywiązuje pan szczególną wagę do problemów Kościoła.

- Są takie tajemnice, które muszą pozostać w cieniu, i takie prawdy, których nie trzeba wydobywać spod ziemi.

- Prędzej czy później ktoś się na nie natknie i wszystko wyjdzie na jaw.

- Niech się to przynajmniej zdarzy najpóźniej, jak to tylko możliwe. Kiedy mnie już nie będzie na tym świecie. Mam w nosie, co się stanie z tymi papierami po moim długim życiu... Na razie będą u mnie bezpieczne.

- Nie chce pan ich zniszczyć?

- Nie. Może w jakimś momencie będą mi jeszcze potrzebne. No, to teraz, kochana, pomóż mi w tym i

mów, co wiesz.

- Pomogę. Chcę tylko poznać odpowiedź na moje ostatnie pytanie - ryzykuje Sarah, żeby zyskać na czasie.

Stary pogrąża się w niepokojącym milczeniu, a Sarah zaczyna się martwić. Musi się dowiedzieć, w jaki sposób zabił Jana Pawła I. Nie wie dlaczego, ale czuje w sobie to przemożne pragnienie.

- Zróbmy tak: ty mi powiesz to, co ja chcę wiedzieć, a ja odpowiem ci na twoje pytanie.

- Ale... - dziewczyna się waha.

- Zawsze dotrzymuję słowa - dodaje starzec.

Sarah nie ma wątpliwości. Ma inny problem. Kiedy tylko powie, gdzie są papiery, J.C. zapomni o niej albo ją zabije.

- Czekam - naciska J.C.

- Dobrze, dokumenty są schowane w bezpiecznym miejscu.

Dziewczyna robi pauzę.

- Domyślam się. Skończ myśl, z łaski swojej. - Oschły ton starego zwiastuje, że wyczerpała się jego cierpliwość.

- Są tak bezpieczne, że nie mam nad nimi żadnej kontroli.

- Co przez to rozumiesz? - Starzec podnosi złowieszczo głos. - Wyjaśnij to.

- Dokumenty są w Watykanie - odpowiada Sarah, bardzo pewnym tonem. - Uznałam, że skoro stamtąd je zabrano, tam powinny wrócić. Dokumenty papieskie należą do Watykanu.

- Żartujesz sobie.

- Nie. Mówię zupełnie serio.

Mroczny wyraz twarzy J.C. nie pozostawia żadnej wątpliwości. Nagła trupia bledność wyostreza starcze zmarszczki. Atak astmatycznej duszności demaskuje ludzkie oblicze Maestre, które Sarah widzi po raz pierwszy. Nie jest już bezdusznym automatem wydającym rozkazy i rozporządzającym życiem innych według własnego widzimisię, lecz kruchym starcem u kresu życiowej drogi.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś, dziewczyno?

- Czy sobie zdaję sprawę? - Strach i poczucie godności walczą w jej duszy o prymat.

- Twój ojciec i jego przyjaciele już są martwi, dzięki tobie.

- Trudno. - Oczy wzbierają jej łzami, które chciałyby powstrzymać. - Wiem, że zrobiłam to, co musiałam. Nie odejdzie pan stąd jako zwycięzca.

- Myślisz, że nie odzyskam dokumentów, dlatego że są w Watykanie? Uważasz, że nie mogę tam mieć swoich agentów, jak w 1978 roku?

- Czasy się zmieniły.

- Nie miej złudzeń.

Sarah chciałaby wierzyć, że tak. Że czasy rzeczywiście się zmieniły.

Nie ma złudzeń, że frakcja konserwatywna w łonie Kościoła, znacznie mniej liberalnego i współczesnego niż ten, który wymarzył sobie Albino Luciani, krzepnie coraz bardziej. Jednak osoby, które ją tworzą, są już inne. Nie ma dzisiaj w Watykanie Villotów ani Marcinkusów.

- Jeśli się nie zmieniły, po cóż pan się martwi. Jutro albo za parę dni odzyska pan swoje papiery.

Spojrzenie starca zdradza, że tak nie będzie.

- A reszta dokumentów?

- Jaka reszta?

- Nie udawaj idiotki. Dostałaś tylko listę. Gdzie jest reszta papierów?

Przez moment Sarah zastanawia się, czy czegoś nie wymyślić, ale po chwili odrzuca tę ewentualność. Lepiej nie przeciągać struny. Już i tak pewnie zaszła za daleko.

- Mogę mówić tylko o liście. Jeśli chodzi o resztę, nie czuję się odpowiedzialna.

Maestre zastanawia się przez chwilę. W końcu stuka trzy razy laską w podłogę. Natychmiast wchodzi



asystent.

- Zabierz ją. Zlikwiduj ojca, dziewczynę i podwójnego agenta, całą trójkę. Potem przyprowadzisz mi Mariusa Ferrisa. Mamy sporo do pogadania. Ale najpierw chcę zobaczyć ich trupy.

- To najlepszy sposób, żeby rozwiązać mu język - odpowiada asystent z ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

- Dokąd ją pan zabiera? - pada w drzwiach pytanie.

- Na zatracenie - odpowiada sarkastycznie asystent.

Barnes łapie dziewczynę za drugie ramię i wyszarpuje ją z rąk asystenta.

- Co pan robi? - pyta J.C.

- Siadaj - rozkazuje dziewczynie Barnes, zanim zwróci się do starca. - Wysłała papiery do Watykanu.

- To już wiem. Zapłaci za to.

- Parę minut temu dzwonili do mnie stamtąd.

Starcem wstrząsa dreszcz. W jego oczach pojawia się niedowierzanie.

- Czego chcą?

- Nie czego chcą, ale czego żądają.

## ROZDZIAŁ 57

Ostatnia obrona

28 września 1978 roku

### Gabinet Jego Świątobliwości Jana Pawła I

Hans miał dzisiaj bardzo niespokojny dzień i czuł, że nadchodzi dla niego jedna z tych niekończących się bezsennych nocy.

Szef do spraw bezpieczeństwa, dowódca Gwardii Szwajcarskiej, cały wieczór otrzymywał sprzeczne polecenia. Wiele z nich pochodziło z sekretariatu stanu, część od szefa Archiwów Watykańskich, część z sekretariatu synodu, a wreszcie i z Kongregacji Nauki Wiary.

Sekretarz kardynała Jeana Villota tego samego popołudnia zakomunikował mu życzenie, aby tajne przejście Leona XIII, zwykle zamknięte, zostało otwarte na nadchodzącą noc. Chwilę później sam prefekt Kongregacji Nauki Wiary oznajmił mu, że szczególna przezorność nie będzie potrzebna, z biura biskupa Marcinkusa natomiast zalecono, aby maksymalnie udroźnić dostęp do prywatnych apartamentów papieża Lucianiego. Podwładni innych kardynałów wpadali do biura gwardii, przynosząc precyzyjne instrukcje dotyczące bezpieczeństwa, a takie poruszenie nie należało do codzienności.

W końcu Hans domyślił się, że w gabinecie papieskim, położonym tuż obok prywatnych pokoi Lucianiego, w Pałacu Apostolskim

odbędzie się ważne spotkanie. Według szefa do spraw bezpieczeństwa, miało to być spotkanie na wysokim szczeblu politycznym, przy tym o charakterze nieformalnym, gdyż nie wystosowano żadnego komunikatu z biura rzecznika Watykanu, obecnego zwykle przy takich okazjach. Z całego tego galimatiasu faksów, telefonów i luźnych notatek dało się wywnioskować z całą pewnością, że w spotkaniu wezmą udział sekretarz stanu Jean-Marie Villot, biskup Paul Marcinkus i arcybiskup wikary Rzymu Ugo Poletti.

Hans skierował swe kroki do Pałacu Apostolskiego i wzmocnił straż przy głównym wejściu. Później zadzwonił do podwładnego, aby ten rozmieścił szwajcarów w tylnej części budynku. Osobne patrole przydzielone poszczególnym osobistościom zostały poinstruowane, by precyzyjnie wskazać kardynałom tajne przejście. Stamtąd hierarchowie mieli się kierować na górę bocznymi schodami, prowadzącymi wprost na korytarz pałacu, już bez żadnych przeszkód. Gwardia Szwajcarska zajęła się zablokowaniem

wszystkich wejść i uniemożliwieniem jakichkolwiek zakłóceń spotkania. Kardynałowie - nieważne, w jakiej konfiguracji - nie spotkają nikogo po drodze i dostaną się do gabinetu papieskiego w CO najwyżej cztery minuty pięćdziesiąt sekund. Hans zarządził także, aby co dwadzieścia pięć metrów czuwała para gwardzistów w cywilu, a przy wejściu do gabinetu - dwóch z jego najlepszych ludzi, ubranych w galowe mundury, jak to było w zwyczaju.

W przedpokoju gabinetu stało biurko, zwykle zajmowane przez byłego asystenta Jana XXIII, którego nie chciano wyrzucać i któremu powierzano zadania bardziej zbliżone do zadań zwykłego gońca niż papieskiego woźnego.

Późnym popołudniem sekretarze papiescy opuścili swoje gabinety. Wtedy, jak domyślał się Hans, nieubłaganie zbliżyła się pora spotkania. Radiotelefon oznajmiał mu sukcesywne przybywanie kolejnych osobistości.

- Wchodzi kardynał Villot, szefie.
- Zrozumiałem - odpowiedział Hans.

Po mniej więcej trzydziestu sekundach charakterystyczny sygnał krótkofalówki zabrzmiał znowu.

- Wchodzi kardynał Ugo Poletti i monsignore Agostino Casaroli, szefie.
- Dziękuję.

Monsignore Casaroli sprawował urząd radcy do spraw publicznych Kościoła, był jakby ministrem spraw zagranicznych Watykanu.

Kilka minut potem krótkofalówka sierżanta zapiszczała znowu i gwardzista pełniący straż przy głównym wejściu zameldował, że nadjechali biskup Marcinkus i monsignore Donato De Bonis. Obaj reprezentowali zarząd Banku Watykańskiego.

Dokładnie cztery minuty i pięćdziesiąt sekund później na końcu korytarza pojawili się pierwsi goście, którzy jednak poczekali na pozostałych na najwyższym podeście schodów.

Hans obserwował gwardzistów. Wszystko było w porządku.

Kiedy pięciu kardynałów dotarło już na miejsce, zamienili kilka słów i skierowali się natychmiast do gabinetu papieża. Dziwna była ta komitywa. W Watykanie chodziły słuchy, że „przyjaciele” Villota - ci, którzy nazywali go poufale Jeanni - poczuli się do żywego dotknięci prawdopodobnymi zmianami, które szykował nowy papież. Sądząc po środkach bezpieczeństwa, jakie zostały podjęte, było jasne, że biskup Marcinkus oraz kardynałowie Villot, De Bonis, Casaroli i Poletti nie pragnęli wcale, aby widziano ich razem.

Hans poczuł dreszcz na plecach, ujrawszy owych pięciu kapłanów kroczących korytarzem. Ich zwykle pełne miłości i miłosierdzia gesty stały się teraz przerażające, a złowieszcze falowanie czarnych sutann budziło grozę.

Nie zwrócili się do niego ani słowem. Weszli i zamknęli za sobą drzwi.

Jego Świątobliwość wydawał się nie dostrzegać pięciu dostojników. Stał przy oknie, patrząc na dachy Rzymu. Już prawie zdążył się przyzwyczaić do tych niezapowiedzianych wizyt. Od czasu owego nieszczęsnego konklawe, kiedy to wybrano go głową Kościoła, członkowie kurii nie ustawiali w intrygach. Doskonale zdawał sobie sprawę, że otaczają go wilki.

- Spóźniliście się trochę - wyszeptał, nie odwracając głowy.

Villot spojrział kątem oka na towarzyszy i dał im znak delikatnym gestem, aby pozwolili mówić Ojcu Świętemu.

Jan Paweł I odwrócił się i spojrzął na nich z tym swoim łobuzerskim uśmiechem, który tylko wzmagał czujność u jego wrogów.

- Tak, spóźniliście się trochę, a poza tym spodziewałem się, że przyjdą jeszcze inni kardynałowie. Bardzo by mi było miło zobaczyć was tutaj w komplecie. Ponieważ łączą was pewne sprawy, spodziewam się, że będziecie chcieli wzajemnie się wspierać, słysząc oskarżenia, które są wam stawiane.

- To są kalumnie, Ojciec Święty - odpowiedział De Bonis, kryjący się za Marcinkusem.

- Oczywiście, księżo kardynale. W przeciwnym razie nie mógłby ksiądz być tutaj z nami - odpowiedział papież, podchodząc do swego biurka i siadając na krześle. Pięciu kardynałów pozostało w pozycji stojącej. Ojciec Święty otworzył jedną z teczek leżących na biurku, obserwował chwilę do-

stojników znad szkieł okularów, po czym skupił się na papierach. - Jak zapewne wiecie, kilka dni temu przyjąłem u siebie delegację służb specjalnych ze Stanów Zjednoczonych.

Villot odetchnął głośno. Nareszcie Amerykanie zrobili coś pożytecznego. Z pewnością CIA zawiadomiła papieża o istnieniu pewnych politykujących grup w kurii, które atakowały sekretarza stanu, a także biskupa Marcinkusa, z nie do końca jasnych powodów. Należy mieć nadzieję, że Amerykanie przekonali Jana Pawła I, że łoża P2 nie istnieje.

- To wspaniała wiadomość, Ojciec Święty. Utrzymanie dobrych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi to bardzo roztropna decyzja. CIA zawsze była Kościołowi bardzo pomocna, a jej szefowie to bardzo pobożni i miłośni ludzie.

- Jest wielce prawdopodobne, że ksiądz nie wie, księżę kardynale, że CIA nie jest jedyną agencją służb specjalnych w USA. Ale, na szczęście, nie wszyscy politycy i sędziowie w Ameryce są tak pobożni i miłośni, jakby sobie tego ksiądz kardynał życzył. Na przykład ci przyjaciele, którzy mnie odwieźdźli, nie okazali szczególnego miłosierdzia w kwestii waszych czcigodnych osób.

- To krzyż, który nam zsyła Pan - mruknął kardynał Casaroli. - Zniesiemy z pokorą diabelską zasadzkę, Ojciec Święty.

- Tak. Mam nadzieję, że zdołacie to znieść.

Albino Luciani wstał z teczką w dłoni i potrząsnął nią przed nosem kardynałów. W jego oczach było więcej żalu niż złości, ale nie mógł przejść do porządku dziennego nad tym, co zawierałateczka.

- Coście czynili przez cały ten czas?

- Oddaliśmy nasze życie z najwyższym poświęceniem dla dobra Kościoła, Ojciec Święty - powiedział Villot z przekonaniem.

- Dla dobra Kościoła? - zapytał zirytowany Luciani. - A jaki Kościół potrzebuje, aby jego członkowie odbywali sekretne narady i nielegalne spotkania, kardynale Villot? Od kiedy Kościół wymaga, aby jego pasterze wiązali się z masonami, kardynale Poletti? Który to z Kościołów buduje swoją siłę, gromadząc zbrukane złoto na Bahamach i w krajach uznanych za raje podatkowe, monsignore Marcinkus? I odkąd to Kuria Rzymska zainteresowana jest inwestowaniem w pornografię, eminencjo De Bonis? Czy jesteśmy miłośni, kardynale Casaroli, kiedy angażujemy się w intrygi w krajach znajdujących się na krawędzi wojny?

Wszyscy zebrani chcieli protestować i bronić się. Pierwszy zabrał głos Villot:

- To bardzo poważne oskarżenia, Ojciec Święty!

- To jest nie do przyjęcia - wybełkotał Poletti.

- Kto wymyślił te kłamstwa? - zdenerwował się Casaroli. Papież Jan Paweł I popatrzył na nich z boku.

- Ktoś, kto bez cienia wątpliwości zna was świetnie. Marcinkus odważył się na krok w przód i wykrzyknął z gniewem:

- Jeśli Ojciec Święty nie potrafi odróżnić działania na szkodę od pracy dla dobra Kościoła, być może należy przedsięwziąć jakieś kroki!

Szef watykańskich finansów i zdeklarowany wróg Jana Pawła I jeszcze z czasów, kiedy ten sprawował urząd patriarchy Wenecji, już od ładnych paru dni nosił się z myślą o możliwości przeprowadzenia procedury destytucji, sugerując rzekome upośledzenie funkcji umysłowych papieża.

- Może biskup Marcinkus powinien nauczyć się odróżniać, „jak działać dla dobra Kościoła” od „jak dobrze działać w Kościele”?! - krzyknął Luciani.

De Bonis okrążył Jean-Marie Villota, pragnąc zbliżyć się do Ojca Świętego z prośbą o łagodny wymiar kary.

- Ojciec Święty... być może czyniliśmy źle, ale nasze intencje były dobre...

- Odstąp, kardynale - podniósł głos Luciani. - Jeśliście błędzili z wyrachowania, będzie wam to w dniu ostatecznym policzone. A jeśli z niewiedzy, to daję słowo, ślepi byli moi poprzednicy. W żadnym wypadku nie możecie już sprawować swoich urzędów.

Villot popatrzył na Lucianiego z gniewem.

- Wasza Świątobliwość nie może tego zrobić!

- Jutro z samego rana wejdzie w życie dymisja księdza i innych odpowiedzialnych urzędników kurii, kardynał Villot - podsumował Ojciec Święty, co powiedziawszy, opuścił gabinet wyraźnie zdenerwowany. Zamknął drzwi z drugiej strony, oparł się o nie całym ciężarem ciała. Po tamtej stronie znajdowali się jego wrogowie. Prosił Pana, aby darował mu ten wybuch gniewu.

Hans, szef straży watykańskiej, widział, jak z papieskiego gabinetu wychodzi pięciu najbardziej wpływowych w Kurii Rzymskiej kardynałów. Widział, jak jeden z nich, Jean Marie Villot, wypadł tak wzburzony, wyrzucając z siebie obelgi, że aż czarna kapa z czerwoną lamówką okrywająca jego ramiona powiewała w powietrzu, póki nie zniknął za zakrętem schodów. De Bonis opuścił gabinet tuż po Marcinkusie, prosząc go potulnie o wyjaśnienia: „Czyż wielki Maestre nie zamierza podjąć jakichś kroków, kardynał?” „Niechże mi ksiądz nie zawraca głowy” - rzucił mu przez ramię „bankier Boży”. Casaroli i Poletti wyszli pośpiesznie, żywo gestykułując. „A nie mówiłem? Nie mówiłem, że z tym papieżem będą same kłopoty?”

Hans słyszał wszystkie te gwałtowne słowa, ale nie był pewien, co mogło być ich przyczyną. Przesunął dłonią po włosach, od czoła aż po sam kark, i nagle zdał sobie sprawę, że wejścia do gabinetu pilnuje dwóch gwardzistów.

- Coście słyszeli? - zapytał ich

- Niczegośmy nie słyszeli, panie sierżancie - odpowiedział starszy rangą.

- W porządku.

## ROZDZIAŁ 58

- Nie czego chcą, ale czego żądają - powtarza Barnes w Sali przesłuchań, w samym sercu Manhattanu.

- Żądają? - nie chce wierzyć J.C. - Niech pan nie będzie śmieszny!

- Mają listę.

- Co takiego? - bełkocze asystent.

- To prawda - zapewnia Barnes. - Pani to potwierdza? - zwraca się do Sarah.

Dziewczyna potakuje głową.

- W porządku - mówi starzec. - Czego zatem żądają?

- Nie podejmą żadnych działań, jeśli to wszystko zakończy się tu i teraz. Bez dalszego rozlewu krwi, bez rannych. W przeciwnym razie użyją przeciwko nam wszelkich dostępnych im środków, a także ujawnią dokumenty.

Oddech starszego mężczyzny staje się z każdą chwilą coraz szybszy.

- Coś mi tu jednak nie pasuje.

- O co chodzi, szefie? - pyta asystent.

- Skoro Watykan ma papiery, dlaczego żąda uwolnienia więźniów? Powinno im to być obojętne.

Rozumowanie jest spójne, ale praktyczny rozum nie sprzyja spekulacjom. Dziewczyna go oszukała. Nie zdawał sobie sprawy, że będzie do tego zdolna. Maestre decyduje się podjąć grę rozpoczętą przez Sarah, żeby przekonać się, dokąd go to zaprowadzi. Być może ta opcja będzie lepsza niż tortury.

- A jeśli przyjmemy ich warunki? - Głos starca brzmi oschle.

- Wszystko pozostanie tak jak przedtem. Nikt niczego nie straci. Żądają jednak, żeby dziewczyna potwierdziła wysłannikowi z Watykanu, że są wolni.

- Nie powinniśmy się na to godzić, szefie - przekonuje asystent. - Możemy jeszcze odzyskać te papiery.

Sarah widzi, że sprawy stają na ostrzu noża i dochodzi do wniosku, że powinna zrobić coś, co położy kres wszelkim wątpliwościom tych typów.

- Reszta dokumentów także jest w drodze do Watykanu -kłamie.
- Co ty mówisz? - Maestre marszczy czoło coraz bardziej. Jego podejrzenia stają się realne.
- Tamte papiery również odesłałam do Watykanu - powtarza Sarah.
- Ale powiedziałaś przecież, że nie możesz czuć się za nie odpowiedzialna.

„Cholerny staruch ma niezłą pamięć” - myśli dziewczyna.

- Owszem. Nie są w moim posiadaniu, ale równocześnie nie dotarły jeszcze do Watykanu. Zaufana osoba ma je tam dostarczyć.

- Kłamie - stwierdza asystent.
- Nie możemy ryzykować! - krzyczy Barnes.
- Ryzykujemy o wiele bardziej, ciągle nie mając dokumentów w ręce - konkluduje asystent.
- Stanowisko Watykanu nie pozostawia wątpliwości. Jeśli wszystko zakończy się na tym etapie, papiery

pozostaną pod właściwą

ochroną. Nikt się nie dowie o ich istnieniu i, co najważniejsze, nie zostaną wyciągnięte konsekwencje wobec żadnego z uczestników tej niefortunnej misji.

- Mistrzu, daj mi jeszcze dwie godziny i wyciągnę prawdę ze staruszka - mówi asystent.

- Niestety, nie mamy dwóch godzin - informuje Barnes. -Dziewczyna ma się spotkać z wysłannikiem Watykanu za godzinę w hotelu Waldorf Astoria.

J.C. słucha, nie przerywając nikomu. Wydaje się, że wszystkie atuty znalazły się w rękach adwersarzy. Została im tylko godzina.

- Możemy porozmawiać na osobności? - pyta starca Barnes, wrywając go z zadumy.

- Słucham? - Maestre jest trochę rozkojarzony. - A tak, tak - opowiada w końcu. Wstaje, wspierając się na lasce. - Chodźmy na korytarz.

Barnes podąża za starcem, który wydaje się całkowicie pochłonięty swoimi myślami.

- Sprawdził pan źródło telefonu? - pyta nagle Barnes.

- Wydałem stosowne polecenie, ale jeszcze nie dostałem odpowiedzi - mówi zapytany.

- Uważa pan, że to był autentyczny telefon? - Opinia człowieka z CIA jest ważna, szczególnie takiego weterana jak Barnes.

- To wszystko jest przedziwne. Stolica Apostolska nie funkcjonuje w ten sposób, ale to mógł być autentyczny telefon. To jak zawiadomienie o podłożeniu bomby, a na wybuch nie możemy sobie pozwolić.

- W oczekiwaniu na potwierdzenie źródła rozmowy musimy przyjąć ultimatum Watykanu.

- Tak. Obawiam się, że jesteśmy w trudnej sytuacji.

- Hm... - Starzec znów pogrąża się w rozmyślaniach. - Może to właśnie nas uratuje - konstatuje po chwili.

- Tak pan myśli? - Amerykanin nie jest przekonany.

- Mają się spotkać z emisariuszem w Waldorfie za godzinę, tak?

- Właśnie tak.

- Dobrze, nawet bardzo dobrze. Spróbujmy przejąć inicjatywę. Niech ich pan wyśle tam, dokąd mają pójść.

- Jest pan pewien?

Lodowate spojrzenie starca zdradza bezsens postawionego pytania.

- Niech ich pan tam wyśle. Ja już zajmę się resztą.

- Zignoruje pan ultimatum?

- Oczywiście, że nie. - Umysł starszego mężczyzny pracuje na najwyższych obrotach, opracowując błyskawicznie plan odzyskania dokumentów.

- Nie wierzy pan, że ona odesłała te papiery do Rzymu?

- Listę może i tak, ale reszty nie.

- Z czego pan to wnosi?

- Wszystkie ślady wskazują na Mariusa Ferrisa i Nowy Jork. Właśnie tu jesteście. Możemy stwierdzić z całą pewnością, że oni nie tknęli tych dokumentów od chwili, kiedy się znaleźli z Nowym Jorku. Teraz mamy ich na oku, prawda?

Barnes zastanawia się przez chwilę.

- A jeśli pan się myli?

- Jeśli się mylę, spotkają się z wysłannikiem Watykanu tylko chwilę później, niż to było umówione. Musimy spróbować odzyskać dokumenty. Jeżeli naprawdę wysłała listę, jedynym sposobem, żeby ją odzyskać, jest przejęcie brakującej części papierów.

- Co pan zamierza?

Podczas gdy dwaj mężczyźni dyskutują, asystent zbliża się do Sarah.

- Myślisz, że jesteś taka bystra, suko? - cedzi jej na ucho przez zęby. - Jeśli wyjdiesz stąd żywa, pamiętaj, że czuвам. Nie odpoczniesz nawet minuty.

Dreszcz przebiega Sarah po plecach, ale wie, że nic nie zależy od mężczyzny, który jej grozi. To stary rządzi, a przynajmniej tak było do tej pory, bo szczęśliwie do gry wkroczył Watykan. Najbliższe minuty będą decydujące. Jednak nie chce sobie robić niepotrzebnych nadziei.

- I pewnego dnia - ciągnie asystent - kiedy najmniej się tego będziesz spodziewać, wejdę do twojego domu, podejść do twojego łóżka i obudzę cię.

„Zamknij się, palancie” - mówi sobie w duchu Sarah. Chętnie powiedziałaaby mu to na głos. Jednak nie powinna go teraz prowokować - jeszcze mu puszcza nerwy i zapomni o rozkazach Maestre.

Barnes i starzec wracają z tymi samymi grobowymi minami, z którymi wyszli z pomieszczenia.

- Wypuście ich - rozkazuje J.C.

- Ale, szefie... - próbuje protestować asystent.

- Milcz - ucina starzec głosem, w którym znowu rozbrzmiewa pewność siebie. - Wypuście ich i zatroszczcie się, żeby dziewczyna spotkała się z wysłannikiem o umówionej godzinie.

Zrezygnowany asystent szarpie Sarah brutalnie i wypycha ją z pomieszczenia.

Barnes zostaje w środku i obserwuje korytarz, nie zauważa uśmiechu błędzącego po twarzy starca.

- Jest pan pewien, że wie, co robi? - pyta szef londyńskiego oddziału CIA.

- Całkowicie. Niech pan będzie spokojny. Odzyskam te papiery. To tylko kwestia czasu.

- Ale na razie mamy niewiele - przypomina Barnes ze współczuciem. - I co dalej?

- Gdy zdobędę dokumenty, zabijecie ich wszystkich.

Zaraz potem wybiera numer w swej komórce.

- Francesco? Eminencjo, mam do ciebie sprawę.

## ROZDZIAŁ 59

Kres prześladowań Sarah Monteiro i jej towarzyszy zdaje się już bliski. Z pomocą Najwyższego i odrobiną szczęścia dziewczyna zdołała wyrwać z rąk J.C. cztery istnienia. Mimo to nie przejdzie ona do historii, bowiem dla historii nie istnieją ani J.C., ani Sarah Monteiro, a papież Jan Paweł I zmarł na skutek zawału serca.

Tak właśnie przedstawia się sytuacja, kiedy poturbowani więźniowie wychodzą na ulicę. W najgorszym stanie jest Rafael, ale mimo to pomaga Sarah podtrzymać ojca, który nie może sam iść. Za nimi podąża Marius Ferris. Do tej pory trudno mu uwierzyć w swoje szczęście.

Wszyscy pozostali: Geoffrey Barnes, Staughton, Thompson, sługa, asystent i Maestre przypatrują się beczynnemu tej defiladzie. Barnes, koniec końców, nie będzie miał okazji zmieść Jacka z powierzchni ziemi.

- Weźcie furgonetkę - poleca. - Ktoś ją potem odbierze.

Za kierownicą siada Rafael. To on ich poprowadzi na miejsce spotkania z wysłannikiem z Watykanu,

który wywiezie ich całych i zdrowych ze Stanów. Zaraz potem odzyskają cenne dokumenty, które Sarah - zgodnie z tym, co oświadczyła - oddała komuś, kto miał je wysłać do Stolicy Apostolskiej. Raúl Brandao Monteiro dotyka swojej rany, rozłożony na tylnym siedzeniu, z głową na kolanach córki.

- Czy ktoś rozumie coś z tego wszystkiego? - drżącym głosem po raz pierwszy od dawna odzywa się skromny Marius Ferris, który wcześniej nie był w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa.

- To samo pytanie miałem wam zadać - odpowiada mu Rafael, prowadząc samochód z miną zdradzającą, że doskwiera mu ból. - Kapitanie, rozumiesz, co się właściwie stało?

Sarah uprzedza odpowiedź ojca:

- To proste. Gdy byliśmy w hotelu Altis w Lizbonie, zadzwoniłam do Watykanu i powiadomiłam ich o sytuacji. Człowiek, który ze mną rozmawiał, był bardzo uprzejmy, ale niczego mi nie obiecał. Zażądał jakiegoś dowodu, więc mu go dostarczyłam.

- Jak? - pyta Rafael zaskoczony słowami Sarah. Zrobiła to wszystko za jego plecami, pewnie wtedy, kiedy brał prysznic.

- Wysłałam mu te papiery faksem.

- I co potem?

Sarah nie podoba się inkwizytorski ton Rafaela. Wydaje się, że nie docenia faktu, że to ona wyrwała ich z objęć śmierci.

- Potem ten człowiek poprosił o przesłanie oryginałów do Watykanu, więc poprosiłam recepcjonistę, żeby to zrobił.

- I co dalej?

- Powtarzał parę razy, że niczego nie może mi obiecać, ale zapewnił, że przedstawi moją sprawę kompetentnym osobom.

- I dzięki temu siedzimy właśnie w furgonetce w drodze na spotkanie z wysłannikiem Watykanu, czy tak?

- Nie inaczej.

Rafael patrzy na ojca Sarah, zerkając w tylne lusterko.

- Co o tym myślisz, kapitanie?

Oficer chciałby coś powiedzieć, ale wydaje z siebie tylko niezrozumiałe dźwięki.

- Co chcesz powiedzieć? Nie męcz się - prosi go córka.

- Za... za...

- Zasadzka? - zgaduje Rafael. Raúl przytakuje.

- Zasadzka? Dlaczego? - Sarah nie rozumie podejrzliwości swoich kompanów. - Mam rozumieć, że uważacie, że sama nie potrafiłabym znaleźć wyjścia z tej sytuacji?

- Oczywiście, że nie - stwierdza stanowczo Rafael. Raúl ścisną lekko ramię córki, aby posłuchała Rafaela. - Po prostu Watykan nie działa w taki sposób. Taktyki, którymi się posługuje, są znacznie bardziej wyszukane. Nigdy nie postawiliby podobnego ultimatum, a już na pewno nie po to aby ratować nasze życie.

- Niech wam będzie, mam jeszcze asa w rękawie - przyznaje Sarah enigmatycznie. - Radzę wam tylko, byście nie tracili czujności i zbyt wcześnie nie ogłaszali zwycięstwa.

- Myślicie, że nas śledzą? - wtrąca się zmartwiony ksiądz Marius Ferris.

- Łatwo to sprawdzić - rozprasza jego wątpliwości Rafael. - Waldorf jest na północy miasta, spróbujemy pojechać inną drogą. Chciałbym wstąpić do jakiegoś szpitala, żeby ktoś opatrzył kapitanowi tę ranę. Co pan na to, kapitanie?

Rafael skręca w pierwszą ulicę w prawo i przyśpiesza w kierunku ruchliwego centrum Manhattanu. Załedwie pół minuty później trzy radiowozy nowojorskiej policji z włączonymi kogutami przyklejają się do nich. Nie zmuszają ich jednak do zatrzymania się, wręcz przeciwnie. Dwa auta jadą z tyłu, trzecie pilotuje ich, torując bezpieczną drogę w gęstym ruchu tej wielkiej metropolii.

- Ze względów bezpieczeństwa policja nowojorska będzie eskortować was do miejsca przeznaczenia. Proszę jechać za nami - słychać zniekształcony w megafonie głos dochodzący z jednego z radiowozów.

- Cóż za kurtuazja - prycha z ironią Rafael, dostosowując się do wybranej przez patrol trasy. - No, to teraz mi powiedzcie, czy tę eskortę też zawdzięczamy Watykanowi?

- Założmy, że macie rację. To po co ta cała komedia? Mają nas, potem puszczają? Co z tego będą mieli? - zastanawia się Sarah.

- Jestem pewien, że choćbyśmy się nawet bardzo postarali, nie wyprowadzimy ich w pole. Krąży nad nami niejeden satelita. Poza tym to ich furgonetka. Nie wierzę, że nie jest nafaszerowana najlepszym sprzętem naprowadzającym, jaki tylko można sobie wyobrazić - sprowadza kompanów na ziemię Rafael. - A jeśli chodzi o teatr, to myślę, że stary w gruncie rzeczy doskonale wie, co robi. Nasza sytuacja mimo wszystko wcale się nie poprawiła.

- Pewnie, w celi mieliśmy komfortowe warunki... - rzuca Sarah z okrutną ironią.

- Nie znasz... nie znasz jeszcze wszystkich... elementów łamigłówki, córeczko - z wyraźnym trudem wtrąca swoje zdanie Raúl.

- Zgoda, panie łamigłówkowy, niechże mi pan powie zatem, co teraz zrobimy?!

- Nic.

- Jak to nic?! - odpowiadają równocześnie Sarah i Marius Ferris.

- Masz jakiś plan w zanadrzu? - pyta Rafael, patrząc zaczepnie na Sarah. - Jestem ci niezmiernie wdzięczny, że podarowałaś mi dodatkowe pół godziny życia.

- Święta Mario, Matko Boża... - modli się Marius Ferris, usiłując pokonać wzbierający w nim strach.

- Z tego, co mówicie, wynika, że oni nie wierzą, że dokumenty wróciły do Watykanu, nie myślę się?

- Nie myli się ksiądz. Oni wiedzą, że papiery tam nie dotarły. Sarah nie jest jedyną osobą, która ma kontakty w Stolicy Apostolskiej - potwierdza Rafael.

- Ale wydawało się, że uwierzyli. To jest bardzo dziwne. No to kto, twoim zdaniem, zadzwonił do nich z ultimatum?

- Nikt - odpowiada kategorycznie. Nagle zuchwały ton łagodnieje, staje się bardziej refleksyjny, może nie chce już ranić Sarah. - Zakładając nawet, że było jakieś ultimatum, wątpię, by oni się przed nim ugięli. I trudno mi sobie wyobrazić, aby Watykan tak się przejął naszą marną egzystencją. Pomyśl, jak wytłumaczysz tę eskortę?

„Tak, tego nie wytłumaczę” - odpowiada w duchu Sarah. Czuje się obrażona. Jasne, że było ultimatum.

- Z przykrością muszę cię poinformować, że rzeczone ultimatum nie jest wcale „domniemane”.

- Skąd ta pewność?

- Znasz wszystkie elementy łamigłówki? - pyta prowokacyjnie Sarah. - Masz pewność, że za chwilę nie spotkamy wysłannika Watykanu?

- Wysłannik oczywiście będzie.

- W porządku, ja już rozegrałam swoją partię. Zrobiłam, co mogłam. Niech się dzieje, co chce.

Przez moment patrzą na siebie. W obojgu rodzi się niepokój. Niepokój o siebie i o pozostałych.

Kilka minut później w towarzystwie eskorty wjeżdżają z pompą na Park Avenue. Zatrzymują się pod numerem 301. Mieści się tam słynny hotel Waldorf Astoria, chętnie odwiedzany przez wielu VIP-ów i wielkie gwiazdy już od ponad stu lat.

Raúl z trudem prostuje się na siedzeniu. Marius Ferris jako pierwszy otwiera drzwi, ale zanim zdąży postawić nogę na chodniku, ktoś z zewnątrz zatrząskuje je z impetem. Tym kimś jest nieznajomy w czarnym garniturze.

- Bardzo przepraszam, Jego Ekscelencja woli, aby nie widziano go w towarzystwie panów. Prosi tylko panią - mówi mężczyzna, nachylając się do okna samochodu.

Rafael nie może sobie darować ironicznego spojrzenia, pytając nim Sarah, ile jeszcze zna elementów łamigłówki.

Sarah nie odpowiada, bo nie rozumie. Rafael kiwa do niej, żeby się nachyliła, i szepcze jej coś do ucha. Sarah milczy, ale widać, że jest bardzo zdenerwowana.

- Tylko pani może iść ze mną - upiera się mężczyzna w garniturze.

Dziewczyna dotyka delikatnie dłoni ojca.



- Wszystko będzie dobrze, nie martw się.

Mężczyzna w czerni otwiera drzwi i Sarah wychodzi z furgonetki. Razem kierują się do obszernego hotelowego holu. Rafael także wysiada z samochodu. Natychmiast zjawia się koło niego drugi dobrze zbudowany typ w czarnym garniturze.

- Nie słyszał pan, co mówił kolega? - pyta tonem groźby.

- Owszem, słyszałem.

- Radzę panu wrócić na miejsce.

- Niestety to niemożliwe. Muszę iść razem z panią - nalega Rafael niewzruszenie.

- Niech pan wsiada do furgonetki, ale już - rozkazuje typ. -Drugi raz nie będę prosił.

- Nie mogę. Wie pan dlaczego?

- Wyglądam na takiego, co chciałby wiedzieć?

- Jeśli nawet pan nie wygląda, powinien pan się dowiedzieć - nie ustępuje Rafael i po wymownej pauzie dodaje: - Tylko ja wiem, gdzie są te dokumenty. - Znowu pauza. - Pani nie ma o tym zielonego pojęcia.

## ROZDZIAŁ 60

- Powiesz mi wreszcie czy nie?

- Co mam ci powiedzieć?

- To, co przemilczałaś.

- Co przemilczałam?

- Pamięć cię zawodzi? Co jeszcze zrobiłaś za moimi plecami?

- Dlaczego uważasz, że coś ukrywam?

- A brakujący element łamigłówek?

- Jeśli powiesz mi, czego brakuje w twojej łamigłówce, może ci się odwzajemnię. Pod warunkiem że będę miała czym.

- U mnie niczego nie brakuje.

- Nie? - Zastanawia się chwilę. - To u mnie chyba też nie.

Rafael i Sarah Monteiro prowadzą tę enigmatyczną rozmowę na tylnym siedzeniu czarnego rangę rovera, którym udają się w miejsce, gdzie rzekomo znajdują się feralne dokumenty.

Ochroniarz powiadomił przełożonych o oświadczeniu Rafaela i otrzymał rozkaz przyprowadzenia go przez oblicze

Jego Eminencji, oczekującego w hotelowym holu. Rafael stanął przed biskupem. Francesco Cossega wydawał się autentyczny. Wyglądało to dziwnie, ale Rafael instynktownie ucałował pierścień dostojnika.

- Niech cię Bóg błogosławi, synu - odparł Jego Eminencja, zgodnie z biskupim zwyczajem.

- Czy Wasza Eminencja jest wysłannikiem Jego Świątobliwości?

„Lanie od Barnesy musiało mu się rzucić na rozum. A może coś kombinuje?” - pomyślała Sarah.

- Ze mną jesteście bezpieczni, moi drodzy - zapewnił biskup i spojrzał Rafaelowi w oczy. - Zaprowadzi mnie pan w miejsce, gdzie są papiery?

- Oczywiście, Eminencjo - pośpieszył z odpowiedzią Rafael. - Pragnę tylko prosić, by pozwolono odjechać dwóm mężczyznom, którzy pozostali w furgonetce. Jeden z nich potrzebuje natychmiastowej pomocy lekarskiej.

„A ty niezwłocznej wizyty u psychiatry” - pomyślała Sarah, zaskoczona zachowaniem Rafaela. Ten się wygłupia, kiedy ona umiera z nerwów o ojca. Niczego bardziej nie pragnie, jak tylko znaleźć się teraz przy nim.

- Oczywiście - duchowny kiwa ręką na agenta, który natychmiast się oddała.

Po tej rozmowie Sarah i Rafael wsiadają do limuzyny, której szofer jeśli chodzi o strój niczym nie

odróżnia się od pozostałych agentów. Biskup jedzie w ślad za nimi w najnowszym opancerzonym mercedesie z przyciemnianymi szybami.

Celem ich podróży jest 460 Madison Avenue. Taki adres podał Rafael biskupowi Cossedze w hotelu Waldorf. Kiedy wychodzą z hotelu, nie ma już przed nim furgonetki, w której zostali kapitan Monteiro i Marius Ferris.

- Dlaczego sądzisz, że reszta papierów jest właśnie tam? - pyta Sarah szeptem, tak by nie słyszeli jej ochroniarze.

- Zaraz się przekonasz.

- Znasz tego biskupa? Zachowywałeś się przy nim bardzo pobożnie.

Rafael zwleka z odpowiedzią.

- Nigdy go nie widziałem. Ale biskup to biskup. Trzeba okazać należny mu szacunek.

- Naprawdę myślisz, że jest na usługach J.C.?

- Wydaje mi się, że to Cossega zorganizował to wszystko.

- Jak to?

- Jeszcze nie wiem. To są przypuszczenia.

Przez jakiś czas siedzą w milczeniu. Do celu pozostaje im już niewiele drogi.

- Słuchaj - Rafael zwraca się do Sarah szeptem, muskając delikatnie jej ramię. - Chciałbym, żebyś się nie odzywała, aż ci dam znak, dobrze? Jeśli się do tego nie zastosujesz, nie będę mógł cię bronić.

- Co zamierzasz?

- Jeszcze dokładnie nie wiem.

- Jak to jeszcze dokładnie nie wiesz? Będziesz negocjował naszą wolność w zamian za dokumenty?

- Dowiem się bardzo szybko.

- Cóż jeszcze chcesz wiedzieć? - Sarah jest lekko zirytowana. - Pozwól mi negocjować.

Rafael jest zaskoczony, ale nie ma czasu na więcej pytań, ponieważ samochód właśnie zatrzymuje się w miejscu przez niego wskazanym. Wszyscy wysiadają i wchodzą do wielkiej świątyni - katedry Świętego Patryka, dźwigającej swoje dwie gigantyczne wieże na wysokość ponad stu metrów.

Kościół jest pusty i tylko niebotyczne kolumny i potężne sklepienia wzniesionego w 1879 roku na wzór francuskiego gotyku przez Jamesa Renwicka świętego przybytku staną się świadkami mających nastąpić tu wydarzeń.

- Niech pan prowadzi - zachęca Rafaela biskup Cossega.

Jeśli istnieje jakakolwiek wątpliwość co do autentyczności Jego Ekscelencji, zostaje ona rozwiana, kiedy okazuje się, że kierowcą i pilotem biskupiego mercedesa są agenci Staughton i Thompson we własnej osobie.

- Niczym się już nie martwcie, moi drodzy. Idźcie słuszną drogą. Nikt was nie będzie prześladował. Macie moją gwarancję - zapewnia Jego Ekscelencja.

Jakiś ton w jego głosie ostatecznie przekonuje Sarah. Chciałaby, żeby to był prawdziwy duchowny, to znaczy duchowny prawdziwej wiary. Szkoda, że jest po drugiej stronie barykady. Sarah pojmuje wreszcie, że cała ta farsa to plan uknuty przez J.C. Trzeba przyznać, że jest dobry i że mógłby wypalić, gdyby nie to, że udało jej się uprzedzić pewne fakty.

Rafael prowadzi grupę przez szeroką nawę główną. Kroczy bardzo pewnie, z pełnym przekonaniem.

- Daleko jeszcze? - pyta Cossega, który wydaje się nieco zdyszany.

Rafael milczy i nie zwalnia kroku.

- Czy ty aby na pewno wiesz, co robisz? - szepcze Sarah, nie odstępując Rafaela ani na sekundę.

- Jeszcze nie. Idźmy. Coś się zaraz wyklaruje.

- Sytuacja może się skomplikować, jeśli odkryją, że krążymy bez celu - przypomina mu Sarah. -

Dlaczego sądzisz, że biskup jest fałszywy?

Rafael wybucha śmiechem.

- On nie jest fałszywy.

- Nie?
  - Nie. To Francesco Cossega. Prawdziwy biskup. Ale nie jest wysłannikiem Stolicy Apostolskiej. Dziewczyna zastanawia się przez chwilę.
  - Skąd wiesz, że nie jest?
  - Bo ja nim jestem.
  - Co? - Sarah z trudem opanowuje okrzyk zdziwienia.
  - A ty? - pyta nagle Rafael.
  - Co ja?
  - Dlaczego uważasz, że biskup nie może być wysłannikiem z Rzymu?
  - A kto powiedział, że ja tak uważam? - broni się Sarah, nie dając za wygraną. Ten Rafael, cudowny wybawca i zarazem Jack Payne, postrach z CIA i P2, okazuje się emisariuszem Rzymu!
- Szybko docierają do nawy poprzecznej. Sarah nie może się powstrzymać i spogląda w górę ku wysokiej kopule. Jeden z asystentów idzie tuż za biskupem. Nagle agent Thompson pada rażony potężnym ciosem, wymierzonym mu nieoczekiwanie przez Rafaela, który nie tracąc czasu, w ten sam sposób unieszkodliwia drugiego, Staughtona.
- Biskup i asystent spoglądają za siebie. Za późno. Rafael zdążył przejąć kontrolę nad sytuacją. Thompson usiłuje się podnieść, ale silny kopniak Sarah powala go z powrotem na szlachetną posadzkę. Dziewczyna nie może uwierzyć, że stać ją na taką odwagę. Zwykle nikogo nie kopie. „Ale ten to sobie zasłużył” - myśli w duchu.
- Zabierz im broń! - rozkazuje Rafael.
- Sarah podaje pistolet Rafaelowi, a drugi chowa za pasek spodni.
- Powiesz mi wreszcie, dlaczego uważasz, że to nie jest wysłannik Rzymu? - pyta Rafael, kiedy osłaniają się wzajemnie, przemieszczając się w stronę bezpiecznego schronienia za kolumną.
  - To nie może poczekać?
  - Może - przytakuje. - Schowaj się tam. - Pokazuje jej pusty konfesjonał.
- Z drugiej strony kolumny widać przygotowany do strzału pistolet, którego właściciel ostrożnie się wychyla. Nie zdąży jednak nic przedsięwziąć, bo wkrótce zostaje ogłuszony potężnym ciosem Rafaela, tak skutecznym jakby sam święty Patryk zaangażował się w tę sprawę. Na scenie zostaje tylko przestraszony biskup.
- Czekam! - woła wesoło Rafael.
- Sarah wychodzi ze swego ukrycia, przeszukuje unieszkodliwionego przed chwilą agenta i zabiera mu broń. Rafael podziwia jej odwagę. Zachowuje się tak, jakby robiła to przez całe życie.
- To proste. Nie może być wysłannikiem, bo nigdy nie dzwoniłam do Watykanu.

## ROZDZIAŁ 61

- Teraz się z łaski swojej wytłumacz - domaga się Rafael, kiedy przeciskają się między ławkami w katedrze, popychając przed sobą biskupa. Ogromną świątynię spowijają mrok i cisza, niezakłócona niczyją obecnością.
- Z czego mam się tłumaczyć? - dziwi się Sarah bez cienia zdenerwowania.
- Co tak naprawdę zrobiłaś, jeśli nie zrobiłaś tego, co powiedziałaś, że zrobiłaś - płacze się Rafael, żeby uniemożliwić biskupowi zrozumienie, o czym chce rozmawiać z Sarah.
- Nie zrobiłam tego i kropka - odpowiada zirytowana.
- Czy naprawdę myślicie, że uda się wam ująć stąd z życiem? - wtrąca się biskup, dość butnie jak na kogoś, komu w tej właśnie chwili przytknięto do głowy lufę pistoletu.
- Wszyscy bardzo się postaramy, żeby tak się stało, czyż nie, Eminencjo?
- Skończycie jak Firenzi i cała reszta.

- Niech mi ksiądz powie jedną rzecz, księżo biskupie. Mam przecucie, że wszystko zaczęło się z winy księdza. Nie mylę się?

- O czym pan mówi? - Biskup odwraca się i patrzy Rafaelowi w twarz.

- O wszystkim. O śmierci niewinnych ludzi, o naszej obecności w tej świątyni. O całym łańcuchu wydarzeń.

Jego Eminencja rusza przed siebie, ale Rafael mówi dalej:

- Proszę zauważyć: Firenzi znalazł dokumenty. Nic takiego, nikt by się nie zorientował, że zniknęły. Tkwiły w archiwach od trzydziestu lat. Tylko przypadek mógł spowodować, że ujrzą światło dzienne. I tak się właśnie stało. Sam fakt ich znalezienia nie naraziłby na śmiertelne niebezpieczeństwo życia monsignore Firenziego...

- Niech pan przestanie. Nie wie pan, co mówi - nie daje mu skończyć Cossega.

- Mów dalej - prosi Rafaela Sarah.

- Firenzi mógł narazić swoje życie, opowiadając o wszystkim komuś, kto go zdradził. Jednemu z przyjaciół. Na przykład biskupowi.

- On się nie myli, Eminencjo, prawda? - pyta sarkastycznie Sarah.

- Bzdury. Nie znałem Firenziego dobrze, a już na pewno nie byłem jego zaufanym przyjacielem.

Nagle rozmowa zostaje przerwana. Jakaś pobożna dusza mogłaby przysiąc, że to sam święty Patryk przemawia do uzbrojonych ludzi w świątyni.

- Nie uważacie, że już najwyższa pora zakończyć tę grę? - Mikrofon wzmacnia i tak potężny bas Geoffreya Barnes, który mówi, oparty o pulpit ambony.

Rafael popycha energicznie biskupa przed siebie.

- Niechże ksiądz biskup idzie.

Przyśpieszają kroku. Są już bardzo blisko głównego ołtarza.

- Stać! - ryczy Barnes przez mikrofon. - Dokąd się wybieracie?

Przez boczne drzwi do świątyni wchodzi trzech mężczyzn. Z przodu starzec, podpierając się swoją rzeźbioną laską. Za nim asystent i Polak.

- Panna Sarah zachowała się bardzo niegrzecznie – skarży się starzec, zbliżając się powoli do grupy i wyznaczając rytm kroków stukaniem laski o posadzkę. - Może wreszcie zacznie grzecznie rozmawiać, gdy się dowie, w jakim stanie są kapitan Monteiro i ksiądz Ferris. Nie jestem pewien, czy rozpozna ich twarze. Oni pewnie też nie zdołają nikogo rozpoznać. Natychmiast oddajcie mi wszystkie papiery! - krzyczy. - Myśleliście, żeście mnie wykiwali?! Ale żeby mnie wykiwać, potrzebne jest coś więcej niż odrobina szczęścia.

Sarah czuje, że teraz nic już się nie da zrobić. Rafael będzie musiał powiedzieć, gdzie są dokumenty. Ona nie zniesie już więcej cierpienia. Valdemar Firenzi, ksiądz Felipe, ksiądz Pablo, inne niepotrzebne ofiary. Oni sami wkrótce zostaną wpisani na tę listę i żadnemu z tych obrzydliwych typów nawet nie zadrży ręka, gdy będą do nich mierzyć. Sarah walczy z natłokiem myśli. Nagle czyjeś silne ręce łapią ją w pasie. To Rafael przyciąga ją mocno do siebie.

- Wiecie świetnie, że raczej pożegnamy się z życiem, niż powiemy wam, gdzie są papiery - krzyczy Rafael.

- Pewnie tak - przyznaje stary. - Ale jeśli umrzecie, nie będę się musiał niczym przejmować. Jeśli nikt nie wie o ich istnieniu, czego jeszcze mógłbym się bać? - mówi.

- Wątpię, czy zadowolili pana ufność w takie szczęście - odpowiada mu Rafael.

Sarah czuje na pośladkach dotyk. Dłoń posuwa się ku górze, aż napotyka pistolet ukryty za paskiem spodni. Zaraz potem czuje, że coś zimnego wsuwa się jej między ramię a żebro. To lufa zdobycznego pistoletu.

Sekundę później wybucha seria strzałów, krótka i intensywna, która ustaje równie nagle, jak się zaczęła.

Jedna z kul trafiła Polaka w pierś, powalając go na ziemię. Konsekwencją strzelaniny jest jeden zabity, jeden ranny i wyraźna zmiana ról. Prześladowani stają się prześladowcami.

- Pierwszy raz w życiu jestem świadkiem takiego braku profesjonalizmu! - krzyczy starzec, podtrzymując swego asystenta.

Błysk kolejnego strzału przecina powietrze i dosięga serca biskupa Cossegi. Grymas zaskoczenia na jego twarzy jest niezwykle wymowny.

- Dlaczego? Przecież wystawiłem ci Firenziego - bełkocze biskup i upada ze schodów ołtarza na posadzkę.

- Nienawidzę nieudaczników! - pieni się Maestre, celując tym razem w Rafaela, który osłania się dwoma pistoletami. - Masz jeszcze cień nadziei, że uda ci się ująć z życiem, chłopcze?

- Mam jeszcze w ręku atut.

- Niczego nie masz - rozkręca się stary. - Teraz nie masz już niczego. Z papierami czy bez, już nie żyjesz...

Suchy kaszel Barnes'a, ukrytego za amboną, rozbrzmiewa w całej świątyni.

- Telefon do pana - rzuca w kierunku starego.

- Do kogo? - zaciekawia się J.C., nie spuszczać oka z Rafaela.

- Do pana, Maestre - potwierdza Barnes.

- Kto dzwoni?

- Jakaś kobieta.

- Kobieta? - Starzec sprawia wrażenie przerażonego. - Zgłupiałeś do reszty? Nie może zaczekać?

- Myślę, że lepiej porozmawiać.

- No, to mi ją puść przez głośnik, idioto!

Chwilę później Barnes przełącza swoją komórkę na tryb głośnomówiący i w katedrze Świętego Patryka rozbrzmiewa teraz kobiecy głos, powielany wielokrotnie przez echo.

- Jesteś tam? - pada pytanie.

- Kto mówi? - pyta zdenerwowany starzec.

- Zamknij się, stary ramolu! Zaczekaj na swoją kolej - odpala głos.

Rafaël jest równie zaskoczony, jak stary. Tylko Sarah lekko się uśmiecha.

- Wszystko w porządku, Sarah?

- Tak, tak. Nic mi nie jest.

- Kto to? - szepcze Rafaël.

- Przyjaciółka - triumfalnie obwieszcza dziewczyna. - Ta sama, która dzwoniła z ultimatum z Watykanu.

Maestre słyszy ostatnie słowa Sarah.

- A więc to pani zafundowała nam fałszywe ultimatum z Watykanu?

- Już panu mówiłam, żeby się pan nie odzywał niepytany. Sarah... Sarah, naprawdę nic ci nie jest?

- Tak, Natalie. Możesz być spokojna.

- Natalie? - zaciekawia się Rafaël. - Kim jest Natalie?

Pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

- Dobra, przejdźmy zatem do interesów. Jak się nazywa ten skurwiel, który cię w to wpakował? - ciągnie uspokojona Natalie.

- J.C. - odpowiada dziewczyna, patrząc w oczy Maestre.

- J.C? Jezus Chrystus? Niezły z niego drań! Dobra, słuchaj teraz, J.C! Mam w rękach listę, na której są nazwiska paru osób publicznych, członków P2. Figuruje na niej nawet jedna szuja, która jest premierem.

- I co pani zamierza? - pyta stary, patrząc w przestrzeń.

- Na początek niech pan uwolni moją przyjaciółkę i wszystkich jej towarzyszy.

- Co będę z tego miał?

- Spokojnie, kochany! Śpieszy ci się gdzieś?

Sarah uśmiecha się, nie potrafi powstrzymać odruchu satysfakcji. Ta Natalie jest warta wszystkich

pieniędzy!

- Zobaczmy. Jeśli pan ich uwolni, mogę na przykład nie zrobić reportażu dla BBC i nie opublikować w „Daily Mirror” artykułu, który już prawie skończyłam. Artykułu z listą w roli głównej, rzecz jasna. No i co, dogadamy się?

Irytacja wykrzywia twarz starca nie do poznania.

- Jeśli się zgodzę, jaką mam gwarancję, że nie ujawni pani tych informacji?

- Niech się pan zastanowi - negocjuje spokojnie Natalie. - Jeśli lista zostanie ujawniona, podpisze pan na siebie wyrok śmierci. Dlatego teraz zachowa się pan przyzwoicie i wypuści zakładników. A my dotrzemy naszej części umowy. Jeśli kiedykolwiek zmieni pan zdanie, wie pan, jakie będą konsekwencje.

Starzec odchodzi kilka kroków i pochyla się w zamyśleniu.

- To niezła umowa dla nas wszystkich - mówi wreszcie z tym swoim typowym angielskim akcentem, rozbrzmiewającym w bazylice niczym głos z zaświatów. - Umowa stoi.

## ROZDZIAŁ 62

Noc

Lata Chrystusa będą moimi dniami. Dziś przypada dwudziesty piąty dzień mojego pontyfikatu. Chrystus żył trzydzieści trzy lata.

Jan Paweł I, Dziennik osobisty, 20 września 1978

Jego watykański łącznik szczęśliwie zapewnił mu swobodne wejście.

Żaden szwajcar nie stanął na drodze mężczyźnie o lodowatym spojrzeniu. Gdyby ktoś go tu nakrył... nie miałby nic na swoje usprawiedliwienie. Wszyscy doskonale wiedzieli, że powodzenie planu zależy od tego, czy droga na trzecie piętro Pałacu Apostolskiego będzie wolna.

Osoba, której powierzono pieczę nad wszystkimi watykańskimi ścieżkami, znała każdy zakątek miasta-państwa. W końcu Status Civitatis Vaticanae zajmuje terytorium nie większe niż średnia wioska i liczy niewiele ponad tysiąc mieszkańców.

W Watykanie wszystko jest pozornie skromne, a w rzeczywistości pełne przepychu. Tak przynajmniej myślał człowiek, który pamiętnej nocy przemierzał ulice i place Stolicy Apostolskiej. Pragnienie uczynienia z Watykanu prawdziwego odbicia Królestwa Bożego na ziemi skłoniło renesansowych papieży do zainwestowania w ten cel wszelkich sił i środków. Z tej przyczyny do Rzymu przyjeżdżali najwięksi światowi artyści. Chcieli zdać Najwyższemu sprawę ze swej pracy i wykazać się biegłością w sztuce.

Człowiek, o którym mowa, wielokrotnie korzystał z przywileju odwiedzania Watykanu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, gdzie znajduje się ten czy ów pałac, biuro tego czy innego dostojnika, każdy najmniejszy nawet zaułek. Wiedział też, jak przemknąć niezauważenie tam, gdzie chciał. Znał godziny i trasy patroli, a także miejsca, w których stali szwajcarzy.

O wpół do pierwszej w nocy nikt oprócz strażników nie spacerował w tej części miasta. Łącznik musiał tylko zagwarantować, że rutyna się nie zmieni. No i pozostawić mu otwarte drzwi.

Wszystko działało na jego korzyść i zdołał bez trudu dotrzeć na trzecie piętro Pałacu Apostolskiego, pod drzwi prywatnego mieszkania papieża.

Korytarz oświetlony był nader oszczędnie, co nadawało wnętrzu przygnębiający wygląd. Wąska smuga światła wydostawała się na zewnątrz spod drzwi papieskiej sypialni. Znaczyło to, że Ojciec Święty jeszcze nie śpi. Pewnie pracował nad zmianami, które tak przerażały niektórych purpuratów... a także kilka innych osób. Fakt, że był jeszcze na nogach, modyfikował nieco sposób realizacji planu. Prawdziwą

niespodziankę zrobiłby ofierze, gdyby zabił ją we śnie. Rozważył możliwość poczekania, aż papież zaśnie, ale po dziesięciu minutach zrozumiał, że nie ma sensu zwlekać. Musi to zrobić, tak czy owak. Wejdzie i zdusi w zarodku jakąkolwiek reakcję. Kiedy ofiara zostanie opanowana, reszta będzie już dziecinnie prosta.

Podszedł do drzwi, położył na klamce dłoń w rękawiczce i odczekał kilka sekund. Uspokoił napięte nerwy. Nie pierwszy raz zabijał i pewnie nie ostatni. To morderstwo miało jednak w sobie coś odrażającego. Musiał zabić papieża. To tak, jakby uderzył w samo serce pobożnego ludu. Jedna rzecz była jednak pocieszająca. Ta zbrodnia zapobiegnie innym. Pontyfikat Jana Pawła I skończy się za parę chwil.

Energicznym ruchem otworzył drzwi i wszedł. Czekala go niespodzianka. Albino Luciani siedział w łóżku oparty o poduszki i coś pisał. Nawet nie podniósł wzroku, by sprawdzić, kto wtargnął do jego mieszkania o tak późnej porze.

- Niech pan zamknie drzwi - powiedział, nie odrywając oczu od papierów.

W tamtym czasie, pod koniec lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, intruz był jeszcze człowiekiem młodym, pełnym energii. Nie musiał posługiwać się laską, nie potrzebował też żadnej pomocy. Emanowały od niego siła i wrażenie skuteczności. Mimo to zachowanie Lucianiego niezmiernie go zaskoczyło. Skąd wzięła się ta obojętność?

Spełnił papieską prośbę i powoli zamknął drzwi. W pomieszczeniu zapanowała niezręczna cisza, bowiem Luciani w dalszym ciągu nie zwracał na niego uwagi. Nie tak wyobrażał sobie tę scenę, kiedy parę dni temu planował morderstwo. Zawsze widział siebie w roli dominującego. Wchodzi, zabija i wychodzi. Ta głupia sytuacja kompletnie nie przystawała do jego wcześniejszych wyobrażeń. Słowa, które zamienili później, pozwoliły katu zyskać przekonanie, że ma do czynienia z człowiekiem wyjątkowym.

- Wie pan, jakie są najważniejsze cnoty ludzkie? - zapytał Luciani, zagłębiony w dalszym ciągu w swoich notatkach.

- Godność i cześć? - odpowiedział pytaniem na pytanie morderca, niczym uczeń oczekujący aprobaty od swego profesora.

- Godność i cześć to cnoty poboczne - wyjaśnił papież. - Największymi ludzkimi cnotami powinny być zdolność do miłości i umiejętność przebaczenia.

- Czy Wasza Świątobliwość praktykuje te cnoty?

- Nieprzerwanie. Jestem jednak tylko papieżem, nie Bogiem. Moja nieomylność ma charakter instytucjonalny, nie zaś personalny. Co oznacza, że nie zawsze o nich pamiętam.

Po raz pierwszy Luciani spojrzął znad okularów na swego kata.

- Dlaczego Wasza Świątobliwość mi o tym mówi?

- Abyś wiedział, że cię nie potępiam. Kocham cię jak bliźniego i jako takiemu przebaczam.

W tej samej chwili morderca zrozumiał, że papież Jan Paweł I czekał na niego i wie, po co się tu zjawiał. To odkrycie wzbudziło w nim dziwne wzruszenie. Niewystarczająco jednak silne, by postanowił się wycofać. Przyłożył poduszkę do twarzy Albino Lucianiego i przycisnął mocno. Upływające sekundy wydały mu się najdłuższe w jego życiu. Zabił człowieka, którego śmierć nie zdołała oszukać. Morderca wiedział, że po drugiej stronie poduszki jest ktoś, kto ani nie błaga o litość, ani nie próbuje uciekać. Ten ktoś mógł uniknąć śmierci, gdyby tylko chciał zgodzić się na jakiś kompromis. Jednak pozostał wierny swoim przekonaniom aż do końca. „Czyż to nie jest godne najwyższego szacunku?” - myślał kat. Kiedy Ojciec Święty wydał ostatnie tchnienie, morderca się wyprostował. Łzy spływały mu po policzkach. Zaraz potem, nie wiadomo czemu, ułożył martwe ciało w tej samej pozycji, w jakiej zastał ofiarę. Głowa oparta na poduszkach opadała nieco w prawą stronę, martwe oczy patrzyły przed siebie.

Przeglądając papiery, które Ojciec Święty trzymał w ręce, morderca przeczytał fragment trzeciej tajemnicy fatimskiej. Zapowiadała ona śmierć odzianego w biel człowieka z rąk jego własnych współpracowników. Proroctwo nie mogło się spełnić dokładniej.

Kat zadbał, by wszystko wróciło na swoje miejsce, i zaraz opuścił apartamenty, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Nawet nie zgasił światła. Posprzątanie miejsca zbrodni pozostawił innym.

## ROZDZIAŁ 63

Pokój na siódmym piętrze hotelu Waldorf Astoria nadaje się doskonale do tego, by pozwolić odetchnąć śmiertelnie zmęczonemu kilkudniowym prześladowaniem ciała. Sarah właśnie wzięła prysznic i spaceruje po pokoju owinięta wielkim białym ręcznikiem. Rafael odpoczywa na kanapie z przy-mkniętymi oczami.

Zanim zakwaterowali się w hotelu, udali się na GCT (DI) -NY, inaczej mówiąc na GCT (15) - NY, czyli Grand Central Terminal, jeden z głównych dworców kolejowych w Nowym Jorku, usytuowany przy 42 Ulicy. Towarzysząca kodowi liczba 15 oznaczała numer skrytki dworcowej. Szyfr, odczytany tak wielkim kosztem, okazał się dziecinnie prosty.

W skrytce rzeczywiście spoczywały dokumenty. Pożółkłe kartki zawierały przemyslenia nowoczesnego człowieka, którego życie przerwały przedwcześnie nikczemne zamiary jego współpracowników. Dokumenty sporządzono pięknym i zdradzającym silny charakter pismem. Cóż, kiedy beużytecznie.

Sarah oddała papiery wysłannikowi Rzymu - Rafaelowi.

- Jesteś pewien, że nikt nas nie śledził? - pyta nauczona doświadczeniem ostatnich dni dziewczyna.
- Nie, ale teraz to już nie ma znaczenia. Mamy nad nimi wielką przewagę i nie porwą się na żadne głupstwo. Przynajmniej na razie.
- Przynajmniej na razie?
- Tak! Ci ludzie mają doskonałą pamięć. Zaatakują, kiedy najmniej będziemy się tego spodziewać.
- Niezbyt to pocieszająca perspektywa.
- To cena, którą musimy zapłacić. Na razie jesteśmy uratowani, przyszłość jest w rękach Pana.

Gdy tylko znaleźli się w hotelu, Sarah skontaktowała się z kliniką, w której leżał jej ojciec. Rana nie była poważna, choć wyglądała paskudnie. Ludzie z P2 wiedzieli, jak torturować, aby nie narażać życia swoich ofiar.

- Gdybym wiedziała, że tak łatwo ich pokonać, wysłałabym papiery do dziennika znacznie wcześniej.
  - Stracilibyśmy całą zabawę - żartuje Rafael. - Dlaczego powiedziałaś, że rozmawiałaś z kimś w Watykanie?
  - Nie tylko ty masz swoje tajemnice.
- Rafael przygląda się dziewczynie z ciekawością.
- Nie byłam pewna, do jakiego stopnia Watykan jest w to wszystko zamieszany. Czułam też, że nie zechcą mnie traktować serio. Dlatego wymyśliłam sobie taki plan. Zadzwoiłam do Natalie i wysłałam jej szybką pocztą wszystkie papiery z hotelu w Lizbonie, zanim pojechaliliśmy do Mafry.
  - I zaplanowałaś całą tę scenę w katedrze?
  - Nie, tak daleko nie doszłam. Nie wiedziałam, co może nas tam spotkać. Prosiłam tylko Natalie, żeby pomogła nam, jak umie. Ma dosyć rozległe kontakty i wydała mi się najodpowiedniejszą do tego celu osobą. Nie pomyliłam się, udało jej się nawet namierzyć komórkę Barnes'a. Niestety, nawet ona nie wiedziała, co zrobić, żeby w Watykanie ktoś się nami przejął. Dlatego wymyśliła własny plan - śmieje się Sarah, przypominając sobie rozmowę przyjaciółki z Maestre.
  - Natalie ma prawdziwy talent aktorski, no i mieliśmy kupę szczęścia.
  - To było genialne. Muszę poznać tę twoją Natalie.
  - Poznam was ze sobą z przyjemnością, kiedy przyjedziesz do Londynu. Myślisz, że CIA nie będzie działać niezależnie od starego?
  - Nie wiem. Ale nie wydaje mi się, żeby mieli w tym jakiś interes. Skandal goni tam skandal, więc sama rozumiesz. Myślę, że jesteśmy uratowani.



- Naprawdę bardzo się cieszę.
- Rafael podnosi się z kanapy.
- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli teraz ja wezmę prysznic?
- No coś ty? A ja rzucę okiem na te papiery, dobrze?
- Zdobyłaś je, masz prawo.

Na pierwszej kartce Sarah odnajduje niedoszłe nominacje i informacje o wysokich urzędnikach Kurii Rzymskiej. Najciekawsze zaczyna się na szóstej stronie. Jest to wnikliwa analiza kondycji ówczesnego Kościoła. Dziewczyna czyta ją z zainteresowaniem. Mimo że nie rozumie włoskiego zbyt dobrze, niektóre ustępy poruszają ją głęboko.

Chcąc szerzyć naukę Pana Naszego Jezusa Chrystusa, niezbyt roztropnie jest chować się za czarną zasłoną, która skrywa naszą duszę przed innymi. Nieroztropnie jest też głosić własne słowa, jakby pochodziły od Niego. To sprawia, że cała doktryna staje się nieprzejrzysta, a przecież pragnie się, by była ona dostępna dla wszystkich, tak by za pośrednictwem wiary Jezus Chrystus mógł się z nami prawdziwie łączyć w komunii.

Nie mam pojęcia, dlaczego Matka Nasza Kościół Święty sama zarzuciła na siebie tajemną zasłonę, która nie przystaje do pełnych radości nauk Pana. Wiara jest bowiem jednocześnie radością i braterstwem, nie zaś pełną próżności powagą, która maluje się na naszych twarzach. Radością wynikającą z zawierzenia się Jemu i przyjęcia zobowiązania do szerzenia Jego doktryny. W ten sposób spłacamy dług za Jego dla nas cierpienie na krzyżu. Którego seminarzysty nie przygotowujemy do trudu niesienia na swoich barkach ciężaru grzesznej ludzkości? Czyż nie staje się on jeszcze jednym robotnikiem uprawiającym swoje pole z wykrzywionym od bólu obliczem, miast czynić to z radością płynącą wprost z nauki Zbawiciela?

Wybór, czy w łonie Kościoła współczesnego hołdować będziemy starym dogmatom, których nawet nie ośmielam się przypisać Stwórcy, należy do nas. W historii już wielu ludzi zasiadało na Stolicy Piotrowej. Władza i skarby zgromadzone w tym okresie są trudne do oszacowania. Ośmielam się skonstatować, że jesteśmy najbogatszym państwem na świecie. Jak to możliwe, jeśli naszym obowiązkiem jest stać blisko wiernych? Obowiązek pomocy bliźnim zmienił się w proceder o charakterze wybiórczym i taktycznym. Wielka nasza spuścizna funkcjonuje dziś jak ogromne przedsiębiorstwo, a przecież mówimy o dziedzictwie, które zostało nam poruczone przez samego Jezusa Chrystusa i Świętego Piotra rybaka. O dziedzictwie, które przetrwało prawie dwa tysiące lat, bym dzisiaj czuł jego ciężar na swoich ramionach.

Trzeba głęboko przemyśleć wiele podstawowych kwestii, przedtem jednak należy wytyczyć drogę. Jediną drogą jest nasz Pan Jezus Chrystus, nasz Ojciec. Które kwestie uda się wyjaśnić z pomocą Ojca? Wszystkie. Wystarczy słuchać uważnie Jego nauczania i rad, których nam nie szczędzi. On przecież już bardzo dawno odpowiedział na wszystkie pytania i wciąż nie przestaje na nie odpowiadać. Zaryzykuję tezę, że na wszystkie pytania, nawet te nowe, istnieją już odpowiedzi. Nawet w niełatwym wymiarze naszej współczesności jest zawsze jedna pewna droga, wiodąca ku dobru i miłości - to Boża droga. Musimy zadać sobie pytanie, co uczyniłby Jezus? To najprostsze w świecie pytanie jest jednocześnie odpowiedzią na wszystkie nasze pytania. Co uczyniłby Jezus?

Kontrola urodzeń? Życie jest radością i dziecko jest radością, pod warunkiem że jest upragnione. Dlaczego czynić ciężarem to, co jest darem od Boga?

Homoseksualizm? Nie sądźcie, byście nie byli sądzeni.

Celibat kapłański? Gdzie o tym mowa w Ewangelii?

Kapłaństwo kobiet? Wszyscy jesteśmy równi w oczach Pana.

Obowiązkiem Kościoła jest służba wiernym i dzielenie się z nimi słowem Bożym, a także pomoc najbardziej potrzebującym, bez względu na rasę i wiarę. Kościół musi zbliżać się do innych religii, powstrzymując się od oceny ich wartości i przekonań, w braterstwie mądrości i miłości. Czyż nie jest marzeniem niebios, by chrześcijanin mógł modlić się do swego Boga w meczecie, a muzułmanin do swego w kościele? Bez zgorszenia i bez prowokacji. Niebo bowiem może i powinno zaczynać się na ziemi.

„Jaki byłby dziś świat, gdyby ten papież nie umarł?” - zastanawia się Sarah, po części wzruszona, po części rozemocjonowana skończoną właśnie lekturą. Jest więcej niż pewne, że zrewolucjonizowałby Kościół.

Na koniec bierze do ręki tekst napisany w jej własnym języku. Sarah rozpoznaje w tekście trzecią tajemnicę fatimską, przekazaną ludziom przez siostrę Łucję.

Piszę w duchu posłuszeństwa Tobie, mój Boże, który mi to nakazujesz poprzez Jego Eksceleńcję Czcigodnego Biskupa Leirii i Twoją i moją Najświętszą Matkę.

Po dwóch częściach, które już przedstawiłam, zobaczyliśmy po lewej stronie Naszej Pani nieco wyżej anioła trzymającego w lewej ręce ognisty miecz; iskrząc się, wyrzucał języki ognia, które zdawało się, że podpala świat; ale gasły one w zetknięciu z blaskiem, jaki promieniował z prawej ręki Naszej Pani w jego kierunku; Anioł, wskazując prawą ręką ziemię, powiedział mocnym głosem: „Pokuta, pokuta, pokuta!”. I zobaczyliśmy w nieogarnionym świetle, którym jest Bóg, coś podobnego do tego, jak widzi się osoby w zwierciadle, kiedy przechodzą przed nim, biskupa odzianego w biel; mieliśmy przeczucie, że to jest Ojciec Święty. Wielu innych biskupów, kapłanów, zakonników i zakonnice wchodzących na stromą górę, na której szczycie znajdował się wielki krzyż zbity z nieociosanych belek jak gdyby z drzewa korkowego pokrytego korą; Ojciec Święty, zanim tam dotarł, przeszedł przez wielkie miasto w połowie zrujnowane i na poły drżący, chwiejnym krokiem, udręczony bólem i cierpieniem, szedł, modląc się za dusze martwych ludzi, których ciała napotykał na swojej drodze; doszedłszy do szczytu góry, klęcząc u stóp wielkiego krzyża, został zabity przez grupę żołnierzy i niektórych biskupów i kapłanów, którzy kilka razy ugodzili go pociskami z broni palnej i strzałami z łuku; i w ten sam sposób zginęli jeden po drugim inni biskupi, kapłani, zakonnicy i zakonnice oraz wiele osób świeckich, mężczyzn i kobiet różnych klas i pozycji. Pod dwoma

ramionami krzyża były dwa anioły, każdy trzymający w ręce konewkę z kryształu, do których zbierali krew męczenników i nią skrapiali dusze zbliżające się do Boga.

„Zabity przez grupę żołnierzy i niektórych biskupów i kapłanów, którzy kilka razy ugodzili go pociskami z broni palnej i strzałami z łuku...” - mruczy pod nosem Sarah. Ciekawe, jakie jeszcze tajemnice chowa przed nami Kościół, przedstawiając kłamstwa jako prawdy absolutne!

- Dobrze się czujesz?

Pytanie Rafaela przywołuje ją do rzeczywistości. Wyszedł właśnie z łazienki, czysty i przebrany.

- Tak, całkiem nieźle. Idziesz gdzieś?

- Odchodzę. Moja misja skończona.

Słowa Rafaela działają na dziewczynę jak kubek zimnej wody.

- Jak to odchodzisz?

- Bardzo mi przykro, że musiałaś doświadczyć tego wszystkiego. Musisz jednak wiedzieć, że robiłem to wyłącznie dla twojego dobra.

- Ale gdzie... gdzie idziesz? - pyta dziewczyna, nie najlepiej skrywając zaskoczenie i rozczarowanie.
- Ratować inne dusze w potrzebie - odpowiada żartobliwie Rafael.

Sarah wstaje z łóżka i podchodzi do swego towarzysza.

- A my? Co z nami?

- Z nami? - Rafael jest zaskoczony pytaniem. Twarz Sarah zbliża się do jego twarzy. Czuje jej delikatny zapach. - Co będzie z nami?

- Kiedy się znów spotkamy? - nie daje za wygraną dziewczyna, patrząc Rafaelowi głęboko w oczy. - Dlaczego nie zostaniesz jeszcze parę dni?

Mężczyzna wydaje się wyraźnie zdenerwowany. Jakoś nie pasuje to do jego naturalnej pewności siebie.

- Już ci mówiłem, że to, co się zdarzyło, tak naprawdę nie zdarzyło się nigdy. Rozumiesz?

Sarah przysuwa się do Rafaela jeszcze bliżej, bez skrępowania. Jej uroda musi działać na jej korzyść.

- Nie zostaniesz ze mną? - szepcze mu do ucha. - Musisz odpocząć, a ja ci dotrzymam towarzystwa.

Ich usta prawie się dotykają, ale Rafael wycofuje się w ostatniej chwili.

- Nie. Nie mogę. Naprawdę muszę już iść. Mam dokumenty, a należy je dostarczyć bezpiecznie do Watykanu. Tam zdecydują, co chcą z nimi zrobić.

Sarah ma wrażenie, że Rafael pragnie odejść jak najszybciej, jakby uciekał przed demonem, a nie przed nią.

- Jeśli to z powodu mojego ojca...

- Nie. To nie ma nic wspólnego z twoim ojcem.

- Zatem?

Rafael zbiera dokumenty i podchodzi do drzwi.

- Taki mam pomysł na życie.

Otwiera drzwi.

- Poczekaj! - zatrzymuje go Sarah. - Wyjaw mi przynajmniej swoje prawdziwe imię.

Rafael patrzy na dziewczynę ostatni raz.

- Daj spokój, Sarah... Co ci powiedziałem, kiedy się poznaliśmy? Mam na imię Rafael.

Były to ostatnie słowa, jakie ze sobą zamienili.

## ROZDZIAŁ 64

Śmierć kapłana

19 lutego 2006 roku

Czas się wypełniał. Biskup Marcinkus na łożu śmierci, unieruchomiony, zdawał sobie sprawę, że jego problemy zaczną się dopiero teraz, kiedy przyjdzie zdać rachunek z życia przed Bogiem, którego tak się lękał i z którym tyle razy się mijał. „Bankier Boży” wyobrażał sobie, jak staje przed Boskim obliczem, pokazując księgę przychodów i rozchodów, rubryki „winien” i „ma”, i tłumaczy pilnie, dlaczego popełniono kolejne defraudacje, przekonuje o potrzebie dywersyfikacji przychodów i prania pieniędzy pochodzących z przestępczości zorganizowanej. W przedśmiertnym napadzie gorączki Marcinkus utożsamiał Boga z kimś w rodzaju przewodniczącego rady nadzorczej lub niewdzięcznego szefa, który nie pojmuje, że wszystko, co jego wierny sługa uczynił w ciągu osiemdziesięciu czterech lat życia, służyło wyłącznie dobru firmy.

Wielu uważało, że poprzedni biskup Chicago ukrył się przed światem w niewielkiej parafii w Illinois, ale Paul Marcinkus nigdy nie pragnął wyrzec się władzy i choć w gruncie rzeczy usunął się z pierwszego

planu, nadal wiernie służył Kościołowi katolickiemu w diecezji Phoenix w Arizonie.

Jednak z dzielnicy Sun City dość daleko było do centrum świata, jeszcze dalej do Rzymu, a już najdalej do Boga.

Od chwili kiedy rzucili się na niego włoscy sędziowie, oskarżając o malwersacje w Banco Ambrosiano, gorycz zatrzymała jego życie i osłabiała serce. Drżał na samą myśl, że starzy przyjaciele mogą podejrzewać, że sygnął coś policji i prokuraturze - zemsta mogłaby być dotkliwa.

Ze wzrokiem wbitym w biały sufit Marcinkus wyobrażał sobie, że jest jednym z czterech Jeźdźców Apokalipsy. Calvi, Sindona, Gelli i on zostali posłani przez Boga, aby uporządkować świat.

Przypomniał sobie straszliwy los Roberto Calviego. Z trudem udało mu się utrzymać na powierzchni po upadku Banco Ambrosiano Holding i przetrwał tylko dzięki łapówkom i szantażom.

- Jak się nazywała ta kobieta? - zapytał sam siebie na głos Marcinkus.

Nazywała się Graziella Corrocher i to ona zadenuncjowała Calviego. Zaraz potem wyskoczyła z okna jego gabinetu, została po niej mokra plama na chodniku.

Kiedy mediolańscy prokuratorzy wsadzili Calviego do aresztu w Lodi, wyśpiewał więcej, niż było trzeba. „Banco Ambrosiano nie należy do mnie. Ja jestem tylko na usługach innych. Nic więcej nie mogę powiedzieć”. Przyjaciele nie wybaczą niedyskrecji i jeżeli Calviemu udało się odzyskać warunkową wolność, to tylko dlatego że wyspał rodzinę i przyjaciół.

Osaczony i sfrustrowany Calvi uciekł z Włoch i ukrywał się to tu, to tam, aż go znaleźli. Na jego nieszczęście mafia namierzyła go wcześniej niż policja. Najprawdopodobniej byli to ludzie Gellego albo Sindony. 18 czerwca 1982 roku wsadzono mu w kieszenie cegły i piętnaście tysięcy dolarów tytułem wynagrodzenia za wykonane usługi. Przywiązano mu do szyi sznur i zepchnięto z mostu Blackfriars w Londynie.

Policja uznała, że popełnił samobójstwo. „Idioci...! Niczego nie pojęliście! - pomyślał Marcinkus - Biedny Roberto”.

Michele Sindona natomiast dostał to, na co zasłużył. Stary piernik przechwalał się, jaką to ma wspaniałą rękę do interesów, a nie potrafił poradzić sobie ze zwykłym bankiem. Franklin Bank upadł, a następne jego przedsięwzięcie, Banca Privada, przejęła nowojorska mafia rodziny Genovese. Opowiadał, że studiował prawo, ale zaczynał swoją karierę w handlu owocami. Dlatego nazywali go „El Limonero”. Na początku swojej kariery korzystał z pomocy mafii sycylijskiej i dzięki niej prosperował. Zarzekał się, że kontroluje giełdę mediolańską. Błazen! W Stanach skumał się z mafijnymi rodzinami Gambino i Inzerillo, jeszcze bardziej zbrodniczymi niż Genovese. Dzięki nim wszystkim zdołał się wzbogacić i zaczął robić interesy ze Stolicą Apostolską. Tylko idiota mógł pozwolić nazywać siebie Mistrzem Uniwersum. Kiedy w połowie lat siedemdziesiątych jego własne finanse załamały się wraz z watykańskimi, Sindona błagał Calviego o pomoc. Pętla zarzutów zacieśniła krąg wokół Sindony zarówno w Stanach, jak i we Włoszech. Sycylijszy naciskał Calviego, by ten ratował jego imperium funduszami Banco Ambrosiano, ale Calvi miał już na karku prokuraturę. Nikt nie przyznał się do znajomości z Sindona i pozostawiono go własnemu losowi. Sindona zdążył jeszcze w desperackim pragnieniu wyrwania się z więzienia sfinansować morderstwo mediolańskiego sędziego, który prowadził jego sprawę. Ale ta ostatnia nieroztropność wydłużyła tylko listę zarzutów wobec niego. Zatrzymano go w Stanach i rząd włoski uzyskał zgodę na jego ekstradycję. Sindona nie pozostawił po sobie wielu przyjaciół, za to niezliczone długi. Spłacił wszystko 23 marca 1986 roku.

- Może filiżankę kawy z odrobiną cyjanku potasu, Michele? - mruczy do siebie w samotności Marcinkus, zdobywając się na leciutki uśmiech, jeden z ostatnich.

Więzienie nie jest odpowiednim miejscem dla kogoś, kto ma niezapłacone rachunki. Sindona zakończył żywot z gorzkim posmakiem cyjanku w ustach.

Do szefa P2 zaś Marcinkus nie czuł niczego ponad litość. Licio Gelli miał bujną fantazję, ale niewiele szarych komórek. Nad życie kochał intrygi i pieniądze. „Tylko takiemu tępakowi jak on mógł przyjść do głowy poroniony pomysł sporządzenia listy imion i zawodów swoich współwyznawców” - uważał Marcinkus.

W 1981 roku ujawniono listę masonów. Stary arcybiskup Chicago uśmiechnął się złośliwie na myśl o

Silvio Berlusconi, premier Włoch, i Wiktorze Emanuelu di Savoii, następcy włoskiego tronu. Kiedy runął domek z kart, Gelliego wyrzucono z Wielkiego Wschodu Włoch, a włoscy sędziowie oskarżyli go o wykradzenie i ujawnienie tajemnic państwowych, o zniesławienie sądu, spisek i nadużycia finansowe. Ostatnie lata życia spędził, krążąc między sądową ławą a więzienną celą. Stary lis odbywa wyrok w swojej willi w Arezzo, gdzie czeka spokojnie kresu swoich dni... Biedak pochował setki sztabek złota w doniczkach, cóż, kiedy znaleziono wszystkie? Ile mu jeszcze życia zostało?

- Czas jest nieubłagany dla każdego bez wyjątku, Gelli - westchnął Marcinkus.

Tamtej niedzieli, 19 lutego 2006 roku, dzień chylił się już ku wieczorowi. Nie została ani jedna chwila na zwierzenia i usprawiedliwienia.

Jego godzina właśnie wybiła.

## ROZDZIAŁ 65

Tuż po tym, jak szczęśliwie zakończyła się mordercza przygoda, rozpoczęta feralnego dnia, kiedy to Sarah w swoim londyńskim domu otworzyła kopertę od Firenziego, dziewczynie wydawało się, że normalna egzystencja nigdy już nie będzie możliwa. „Życie jednak lubi nas zaskakiwać” - myśli Sarah, stojąc na placu Świętego Piotra i uczestnicząc w niedzielnej mszy świętej celebrowanej przez Benedykta XVI. Obok stoją jej rodzice, Raúl i Elisabeth. Dokładnie trzy miesiące wcześniej udało im się wyrwać z rąk J.C. i jego agentów. Rana kapitana - pamiątka po nowojorskim przesłuchaniu - już całkowicie się zagoiła.

„Jak długa wydaje się z perspektywy czasu droga, która zaprowadziła mnie na dzisiejszą spokojną uroczystość?” - zastanawia się Sarah, oddalając się myślą od pobożnego rytuału rozwijającego się powoli tuż obok niej. Nie potrafi się oprzeć natłokowi wspomnień. Łańcuch przyczyn i skutków ciągle jeszcze rodzi pytania i wątpliwości. Dlaczego Firenzi szukał dokumentów? Od dawna chciał je znaleźć, czy też jego decyzję przyspieszyło wznowienie dochodzenia? Trudno będzie niestety rozwiązać te wątpliwości, ponieważ

jakiś czas temu z mętnych wód Tybru wyłowiono zwłoki Firenziego.

Inne elementy łamigłówek jawią się dziewczynie nieco klarowniej. Tej samej nocy, gdy zamordowano Jana Pawła I, współnicy mordercy schowali dokumenty, które papież trzymał w dłoni w chwili śmierci. Oddali je niewiele później człowiekowi, którego Sarah poznała jako J.C. Mimo że kazano mu zniszczyć te papiery, J.C. tego nie uczynił. W czasie konklawe, które wybrało Jana Pawła II, udało mu się ukryć je w Tajnych Archiwach Watykańskich. Kardynał Firenzi najpierw odnalazł papiery z papieskimi nominacjami i trzecią tajemnicą fatimską. Zdając sobie sprawę z ich ogromnej wartości, powierzył je w sekrecie swemu przyjacielowi, księdzu Mariusowi Ferrisowi, który zobowiązał się ukryć je w bezpiecznym miejscu.

Rozkaz był jasny. Schować i cierpliwie czekać. Ferris odesłał mu klucz od skrytki, w której ukrył papiery zaś Firenzi - czując, że ktoś mu depcze po piętach - żeby utrudnić dostęp do nich, kazał sporządzić dwa wizerunki Benedykta XVI z ukrytym zdjęciem Ferrisa, widocznym w świetle promieni UV. Wysłał je do dwóch zaufanych przyjaciół, Felipe Aragona z Madrytu i Pablo Rincóna z Buenos Aires.

Dla przeciętnego widza obrazki te przedstawiały tylko wizerunek papieża i nieznanego staruszka, ale ci dwaj kapłani znali osobiście księdza Ferrisa. Portretem towarzyszyła notatka wyjaśniająca, jak należy oglądać ukryte zdjęcie - „zanurzając w łagodnym świetle modlitwy”. Dołączono do nich także numer telefonu w Nowym Jorku. Firenzi wiedział, że ta skąpa informacja i telefon do nowojorskiego przyjaciela, którego wcześniej upoważnił do ujawnienia miejsca ukrycia dokumentów, wystarczą. W spisek Firenziego wtajemniczonych było zatem trzech mężczyzn. Nie był to zły plan, zważywszy, że specjalistom z P2 sporo czasu zajęło połączenie wszystkich wątków w logiczną całość.

Firenzi popełnił jednak jeden błąd. Swoją tajemnicę powierzył jeszcze jednemu bliskiemu przyjacielowi, biskupowi Cossedze, nie wiedząc, że był on członkiem zbrodniczej loży. Przeszukując

dalej watykańskie archiwa, Firenzi natknął się na listę, na której figurowało nazwisko jego przyjaciela.

Przeraził go fakt, że Cossega nigdy mu nie wspominał o swojej przynależności do organizacji. W obliczu tego odkrycia, zdając sobie sprawę z wagi, jaką będą miały te papiery w chwili wznowienia dochodzenia, Firenzi włożył klucz i listę do koperty, dołączył do tego prosty, wymyślony naprędce kod i wysłał wszystko Sarah Monteiro, licząc, że ojciec udzieli jej niezbędnych wyjaśnień. Nie mógł jednak w żaden sposób przewidzieć, że dziewczyna jest akurat na wakacjach w Portugalii i że przesyłka będzie musiała czekać na jej powrót do domu. Kiedy Sarah otwarła kopertę, Firenzi już nie żył. Dziewczynę od śmierci w Londynie dzieliło bardzo niewiele.

Sarah nie rozumiała do końca, dlaczego Firenziemu tak bardzo zależało na ukryciu papierów. W gruncie rzeczy o to samo chodziło J.C. Czy to nie wszystko jedno, kto nad nimi czuwa? Jednak kulisy decyzji Firenziego wyjaśnił im Marius Ferris, zaraz po tym jak cudem uniknęli śmierci z rąk J.C. w Nowym Jorku.

- Z początku pani ojciec chrestny chciał tylko schować dobrze dokumenty i nie zamierzał ich wykorzystywać w żaden sposób. Chciał sprawować nad nimi pieczę lub powierzyć komuś zaufanemu.

- Tylko tyle?

- Pierwotnie tak. Niech pani nie zapomina, że Firenzi był księciem Kościoła i jego priorytety były oczywiste. Postawił sobie za cel odkrycie prawdy, owszem, ale równocześnie za wszelką cenę dążył do tego, by chronić dobre imię Watykanu. Ostateczną decyzję miał podjąć Ojciec Święty. Doświadczenie każe przypuszczać,

że nie zachowałby się w tej sprawie inaczej, niż to jest w zwyczaju.

- Czyli jak?

- Po prostu nie zareagowałby w ogóle. Typowa watykańska reakcja to brak reakcji. Milczenie jest najskuteczniejszą polityką. Jednak fakt istnienia dokumentów, świadomość, że ktoś w samym sercu Kościoła zachował się nieuczciwie, były wystarczającym powodem, by skłonić Firenziego do działania. Muszę wam wyznać, że na jego miejscu zachowałbym się podobnie. Zrobiła pani to, co należało, i jestem pani za to głęboko wdzięczny.

Dzisiaj, trzy miesiące po tamtych wydarzeniach, wydaje się, że wszystko dobrze się skończyło. Jedyna rzecz, która niepokoi Sarah, to brak wieści o Rafaelu, Jacku Payne czy jak się tam on naprawdę nazywa. Nie ma zielonego pojęcia, jak się z nim skontaktować, choć wiele razy myślała o nim bardzo ciepło. Zastanawiała się nawet, czy nie poprosić o pomoc ojca, ale ostatecznie nie uczyniła tego.

Niedzielną msza na placu Świętego Piotra skończyła się i rodzina Monteiro w pełnym składzie udała się do Bazyliki Świętego Piotra, podobnie jak wielu innych turystów i wiernych. Później zjedzą coś smacznego w restauracji i powłóczą się spokojnie po Rzymie.

Kiedy matka z córką podziwiają niebotyczną kopułę bazyliki, Raúl odchodzi na chwilę w kierunku znajomego, którego przed momentem wypatrzył w tłumie, i oddaje się krótkiej pogawędce. Panie Monteiro zaś dalej kontemplują architektoniczne detale wnętrza świątyni.

- Dziewczyny, chciałbym wam przedstawić mojego dobre go przyjaciela - mówi Raúl, zbliżając się do nich.

Sarah, zatopiona w lekturze, dopiero po chwili odrywa się od przewodnika.

- Ksiądz Rafael Santini.

Wymówione przez ojca imię elektryzuje Sarah. Oczy, do tej pory pochłaniające z zapalem tekst w przewodniku, patrzą teraz na czarną sutannę nowo przybyłego.

- Miło mi was poznać.

Sarah z trudem opanowuje zdziwienie. Rafael jest księdzem!

- Ksiądz Rafael pracuje w parafii w północnym Rzymie, jeśli się nie mylę - wyjaśnia Raúl.

- Zgadza się. To całkiem niedaleko stąd.

„Próbowałam uwieść księdza”. Sarah nie może odpędzić od siebie tej strasznej myśli. Ale jak to

możliwe, że taki człowiek jak on jest księdzem, osobą konsekrowaną? Teraz już wie, dlaczego zostawił ją prawie bez słowa w hotelu w Nowym Jorku. Ma inny pomysł na życie, jak sam powiedział. Oddał je Bogu, a poza tym zajmuje się ochroną interesów Kościoła. Nic nie jest takie, jakie się wydaje na pierwszy rzut oka.

- Zjesz z nami? - pyta Raúl.

- Bardzo bym chciał, ale nie mogę. Przyszedłem z dziećmi z parafii. Czeka nas zwiedzanie Watykanu. Następnym razem.

- Mam nadzieję - w głosie Raúla słychać nutę rozczarowania.

- Dokumenty są zabezpieczone - mówi Rafael, patrząc na Sarah. - Zamknięte na klucz tam, gdzie niegdyś spoczywały. Za wiedzą i zgodą Jego Świątobliwości.

Jeszcze nikt nigdy nie potwierdził istnienia Świętego Przymierza, organizacji, którą należałoby w rzeczywistości nazwać watykańską tajną służbą wywiadowczą. O tej instytucji krążą niezliczone opowieści, legendy i anegdoty, w których jak zawsze można znaleźć ziarno prawdy. Są tacy, którzy uważają, że Święte Przymierze zrzesza szpiegów kapłańskiego stanu, pozbawionych wszelkich skrupułów męczyzn, gotowych oddać życie za Watykan i za papieża.

Watykański wywiad nie dysponuje oficjalną siedzibą, a jego agenci nie są wpisani na żadną listę i nie można ich zidentyfikować. Mimo to ludzie z CIA, Mossadu, CNI albo MI6 gotowi są przyznać nie tylko to, że istnieją, ale też że dzięki swej niezawodności zajmują poczesne miejsce w hierarchii organizacji szpiegowskich i antyszpiegowskich. Agenci watykańscy wybierani są oczywiście spośród kleryków najlepiej predestynowanych do tej profesji i szkoleni prawdopodobnie poza Watykanem, w profesjonalnych agencjach.

Rafael Santini od młodzińskich lat był szkolony w jednym celu - miał przeniknąć do CIA oraz P2 i ujawnić się dopiero wtedy, kiedy będzie to absolutnie niezbędne. Prawie dwadzieścia lat pozostawał w uśpieniu, szpiegując w organizacjach i instytucjach, które wymagały inwigilacji. Aż do chwili kiedy na wyraźny rozkaz Stolicy Apostolskiej zajął się tym, czym należało się zająć. Na świecie żyją nie setki, lecz tysiące kapłanów, którzy odprawiając msze, ucząc w szkołach, sprawując duchową opiekę nad chorymi, czekają na rozkaz, aby zacząć działać w myśl precyzyjnych dyrektyw płynących wprost ze Stolicy Apostolskiej.

Sarah patrzy za odchodzącym wraz z grupą małych turystów Rafaelem.

- Czasem zastanawiam się, jak wiele stracił świat wraz ze śmiercią papieża - mówi smutno Sarah, kiedy spacerują po mieście.

- Myślisz o Lucianim?

- Tak. Czasem nawet wydaje mi się, że po tym, co się stało, nikt już nie zasługuje na to, by zająć jego miejsce.

Ojciec obejmuje ją z czułością.

- Wiem, co czujesz. Ale musisz zrozumieć, że życie toczy się dalej. Ktoś kiedyś zadośćuczyni Janowi Pawłowi I.

- Oby tak się stało.

- Bądź spokojna - dodaje matka. - Pan nie odpoczywa.

Sarah chciałaby wierzyć, że to prawda. Tajemnica pozostanie tajemnicą, z tym że strzec jej będą dobrzy ludzie w tym samym miejscu, w którym dokonano zbrodni. To taki ironiczny Boski gest. Tam, gdzie panoszyło się zło, zamieszkało dobro.

- Plan Firenziego nie był do końca przemyślany.

- Zrobił, co mógł - argumentuje ojciec. - Gdybyś nie była na wakacjach albo gdyby znalazł lepszy sposób porozumienia się ze mną, wszystko potoczyłoby się znacznie sprawniej.

- Ale nawet wtedy mieliby księdza Ferrisa.

- Fakt, że mieliby Ferrisa, nie oznacza wcale, że wydarliby od niego informację o miejscu, w którym ukrył dokumenty. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

- Myślisz, że pozwoliliby się zabić, nie puściwszy pary z gęby?

- Odpowiem ci pytaniem. Myślisz, że Rafael puściłby parę z gęby?

- Oczywiście, że nie. Co oni mają ze sobą wspólnego?

- Bardzo dużo. Skoro twój ojciec chrzestny wysłał dokumenty Mariusowi Ferrisowi, zrobił to dlatego, że miał stuprocentową pewność co do jego dyskrecji.

Rafael. To imię wciąż wywołuje u niej dreszcz. Zwłaszcza teraz, kiedy wie więcej niż kiedyś. Jej wybawca, człowiek zdolny nawet do tego, co zrobił w Londynie, jest włoskim księdzem. Czyż nie przypomina bardziej diabła niż obrońcę religii?

- Mimo to nie przekonuje mnie - mówi Sarah, wracając do kwestii planu Firenziego i godząc się w duchu na wyrzucenie z serca fascynującego mężczyzny, który ocalił jej życie. - Po co były te podwójne portrety? Nie pojmuję tego.

- No, jak to?! Żeby tych dwóch księży rozpoznało Ferrisa. Wiedzieli, że tylko jemu można zaufać. Niestety ksiądz Pablo nie był dość ostrożny i nie schował zdjęcia w bezpieczne miejsce.

- A jak się zorientowałaś, że to podwójny portret?

Ojciec uśmiecha się tajemniczo.

- Dla kogoś, kto tak jak ja jest w to wszystko wtajemniczony od dawna, list był jasny jak słońce: zanurzyłem zdjęcie w łagodnym świetle.

- Co za przenikliwość! Ale dlaczego J.C. nie zaryzykował? Mógł przecież pójść na całość.

- Ze strachu.

- Ze strachu?

- Oczywiście. Ludzie jego pokroju decydują się na działanie, gdy wiedzą, że wszystkie sznurki są w ich w rękę. Jeśli istnieje choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że mogą przegrać, wolą siedzieć cicho, przyczajeni w cieniu, czekając na lepszy moment.

- Czy masz na myśli to, że jeszcze spróbują odzyskać dokumenty?

- Nie sądzę. J.C. nie będzie żył wiecznie. Taki układ sił odpowiada jego interesom.

- Myślisz, że zechce się jeszcze kiedyś z nami spotkać?

- Nie, myślę, że raczej nie. Na rozgrzebywaniu tej sprawy niczego nie zyska, a dużo może stracić. W tej kwestii chyba możemy być spokojni.

Około szóstej po południu rodzice Sarah decydują się wrócić do hotelu, żeby chwilę odpocząć przed kolacją. Spacer udał się znakomicie. Szkoda tylko, że Sarah nie może przestać myśleć o spotkaniu z Rafaeliem. Okazuje się, że nigdy nie ukrywał przed nią swego prawdziwego imienia. Sarah spaceruje po ulicach i zaułkach Rzymu jeszcze przez jakąś godzinę. Parę minut po siódmej wraca do hotelu, usytuowanego przy Via Cavour, tuż obok Koloseum. Marzy o prysznicu i kolacji. Czuje się trochę zmęczona po długim dniu, który zaczął się bardzo wcześnie, kiedy jeszcze w głowie miała zupełnie innego Rafaela. Teraz pojawił się nowy wizerunek, o którym dawniej nawet jej się nie śniło.

Z głową zaprzątniętą podobnymi rozważaniami Sarah wchodzi do hotelowego holu, nieświadoma obecności odzianej na czarno postaci, podążającej jej śladem od kilku godzin.

- Pani Sarah Monteiro? - chce się upewnić recepcjonista, lecz bezskutecznie, ponieważ Sarah jest całkowicie pochłonięta własnymi myślami.

Recepcjonista zmuszony jest powtórzyć pytanie.

- Tak? - Dziewczyna w końcu reaguje.

- Jest dla pani wiadomość - mówi recepcjonista, podając jej niewielką kopertę.

- Kto to przysłał?

- Niestety nie wiem. Dopiero zacząłem dyżur, a nie ma żadnej wzmianki o nadawcy. Bardzo mi przykro.

- W porządku, nic się nie stało. Dziękuję.

Sarah wchodzi do windy i otwiera niezaklejoną kopertę. W środku jest coś małego, co przypomina czarny guzik. Jadąc na siódme piętro, z zaciekawieniem czyta zapisek dołączony do dziwnego przedmiotu. Kilka sekund później podnosi wzrok znad kartki. Oczy zdradzają zaskoczenie i niepokój.



„Nie, to niemożliwe! Nie zniosę tego jeszcze raz”.

Notatka jest bardzo lakoniczna:

„TO NIE GUZIK, TYLKO SŁUCHAWKA. PROSZĘ WŁOŻYĆ JĄ DO UCHA”.

Sarah waha się przez chwilę, ale wie dobrze, że nie można uniknąć przeznaczenia. Wkłada słuchawkę do ucha i czeka. Cisza. Może to tylko kiepski żart. Nie podejrzewa jednak rodziców o takie dowcipy. To nie w ich stylu.

- Dobry wieczór, panno Sarah - słyszy w prawym uchu.

- Kto mówi? - jej głos, choć mocny, zdradza zaniepokojenie.

- Witam cię, moja droga. Mam nadzieję, że nie zapomniałaś o mnie zbyt łatwo. - W tonie rozmowy pobrzmiwa nuta goryczy. - Wziąłbym to za lekceważenie.

- Czego pan chce? - Z pozoru silniejszym niż zwykle głosem Sarah stara się ukryć strach, który wdziera się w jej serce, kiedy rozpoznaje rozmówcę.

- Chciałbym odzyskać coś, co należy do mnie, a co zostało mi odebrane. - Lodowaty ton nie pozostawia wątpliwości, że to Maestre, poznany przez nią trzy miesiące wcześniej w Nowym Jorku morderca Jana Pawła I.

- Nie mam z tym nic wspólnego - odpiera atak Sarah z równym chłodem. - Proszę się zwrócić do Watykanu.

Gardłowy rechot rani bębenki Sarah, która wysiada z windy i niepewnie kieruje się do swego pokoju, nie wyjmując słuchawki z ucha.

- Tak właśnie chcę uczynić, ale chciałbym, żeby była pani moim pośrednikiem. Ponieważ ostateczne miejsce pobytu dokumenty zawdzięczają pani, wydaje mi się sprawiedliwe, żeby to właśnie pani je dla mnie odzyskała.

Tym razem Sarah wybucha śmiechem, rozbawiona.

- Tak pan myśli?

- Tak właśnie myślę.

Dziewczyna wchodzi do pokoju z przekonaniem, że stary nie mówi szczerze.

- Niech pan wreszcie powie, o co panu chodzi. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

- Widzi pani pakunek na swoim łóżku?

Sarah patrzy na łóżko i dostrzega pakunek, a wtedy strach paraliżuje ją całkowicie. Koszmar sprzed trzech miesięcy znowu się zaczyna.

- Widzę - odpowiada zduszonym głosem.

- Otwórz go, moja panno.

Sarah posłusznie rozpakowuje zawiniątko i wydobywa z niego plik kartek.

- Co to jest?

- Proszę to przeczytać. Porozmawiamy później.

- I to ma przekonać Watykan, żeby oddał panu dokumenty?

- Bez wątpienia. Każdy ma jakiś słaby punkt. Proszę czekać na moje instrukcje.

Głos w małej słuchawce milknie. Sarah wyjmując ją z ucha i rzuca na ziemię. Siada na brzegu łóżka, trzymając w ręce otrzymany przed chwilą plik kartek i bezwiednie czyta stronę tytułową. Drukowanymi literami napisano na niej imię i nazwisko autora: „MEHMET ALI AĞCA”.

Kiedy skontaktowałem się z autorem, żeby omówić kwestię opracowania książki, pierwszy warunek, jaki postawiłem, dotyczył równej proporcji prawdy i fikcji na jej kartach. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: wiem z własnego doświadczenia, że wszystko, co tam opisano, zdarzyło się naprawdę. Równocześnie wiele prawd historycznych, które wydają się nam autentyczne, nie przekraczają granic czystej fikcji. Okoliczności śmierci Jana Pawła I są na to doskonałym dowodem i, wierzę, nie jedynym.

Muszę przyznać, że rezultat mile mnie zaskoczył. Fikcja miesza się w książce z rzeczywistością bardzo

rozsądnie. Skłaniając autora, by zastosował taki zabieg, nie pragnąłem dodawać czytelnikowi pracy przy oddzielaniu na własną rękę rzeczywistości od fikcji. Moją intencją było uświadomienie wszystkim, że nie zawsze jest prawdą to, co się mówi ze szczerym uśmiechem na ustach i głębokim spojrzeniem w oczy.

Autor uhonorował mnie na kartach książki postacią, która tylko pozornie mnie przypomina. Jestem mu wdzięczny za zręczność, z jaką rozwinął akcję w powieści, posługując się moją osobą w celu zadośćuczynienia zarówno mojej sprawie, jak i własnej.

Możecie sobie wyobrazić, jak zbawienny był dla mnie cień, z którego nie wychodziłem przez ostatnie dwadzieścia osiem lat, kiedy wokół nie przestawały mnożyć się najbardziej nieprawdopodobne teorie spiskowe na temat śmierci Jana Pawła I. Jakim wstrętem napawają mnie ich próżni autorzy, mieniący się jedynymi znającymi prawdę!

Jestem jednak głęboko przekonany, że winą za ten stan rzeczy nie należy obciążać instytucji, lecz konkretne osoby.

Byłem członkiem łoży P2 i jako człowiek nie jestem i nie aspiruję do tego, by być nieomylnym i bezgrzesznym.

Mimo to pozbadźcie się złudzeń - tylko Bóg zdoła mnie osądzić.

J.C.

## POSTACIE

CARMINE MINO PECORELLI - urodził się 14 września 1928 roku w Sessano del Molise we włoskiej Isernii. Twórca tygodnika „Osservatorio Politico” i specjalista od skandali politycznych i finansowych. Był postacią bardzo wpływową, nie tylko z powodu doskonałej znajomości kulis włoskiej polityki, ale także dzięki ogromnej przenikliwości. Członek łoży P2 założonej przez Licio Gellego. Po zamordowaniu Aida Moro ujawnił na łamach swojej gazety niepublikowane dokumenty związane z byłym premierem, w tym trzy listy pisane przez niego do rodziny. Artykuły, które zamieszczał w swoim tygodniku, przeszkadzały wielu politykom, członkom rządu, deputowanym, ministrom i samemu Licio Gellemu. Pecorelli sporządził listę członków P2 i przesłał ją do Watykanu, planując również jej publikację. Został zamordowany 20 marca 1979 roku, za zgodą i aprobatą Gellego. Inicjatorem zbrodni był znany włoski polityk.

ALDO MORO - włoski mąż stanu. Urodził się 23 września 1916 roku w Maglie w Apulii. Pięciokrotnie sprawował urząd premiera Włoch. Niekwestionowany lider Chrześcijańskiej Demokracji.

16 marca 1978 roku został porwany przez Czerwone Brygady w samym centrum Rzymu i był przetrzymywany w zamknięciu aż do dnia morderstwa - 9 maja tego samego roku. Rząd włoski przyjął wobec porwawczy postawę nieugiętą i odrzucił jakiegokolwiek formy negocjacji z terrorystami, lekceważąc przy tym treść listów pisanych przez Moro do partii i do rodziny. Moro zwrócił się nawet z prośbą o pomoc do Pawła VI, z którym się przyjaźnił, jednak okazało się to bezskuteczne. Aldo Moro został rozstrzelany przez Czerwone Brygady i porzucony w bagażniku samochodowym. Oficjalnie winą za morderstwo obarcza się nieprzejednaną postawę ówczesnego rządu Giulio Andreottiego. Istnieją także nieoficjalne wersje wydarzeń...

LICIO GELLI - „Wielki Mistrz” łoży masońskiej P2. Urodził się 21 kwietnia 1919 roku w Pistoia w Toskanii. Zamieszany we wszystkie większe skandale, jakie się zdarzyły we Włoszech w ostatnich trzydziestu pięciu latach. Walczył w hiszpańskiej wojnie domowej po stronie nacjonalistów, w oddziale przysłanym Franco przez Mussoliniego. Był także informatorem gestapo w czasie drugiej wojny światowej, utrzymywał wówczas kontakty z samym Göringiem. Tuż po zakończeniu wojny wstąpił do

CIA i wspólnie z NATO uczestniczył aktywnie w operacji „Gladio”, polegającej na utworzeniu sieci tajnych oddziałów szybkiego reagowania, przeznaczonych do zwalczania przejawów ideologii komunistycznej. Odpowiedzialny za wiele aktów terroryzmu, w tym także za zabójstwo Jana Pawła I. Zamieszany między innymi w morderstwo Aida Moro, Carmine Mino Pecorellego, Roberto Calviego, premiera Portugalii Francisca Sa Carneiro... Jego współpraca z biskupem Marcinkusem, Roberto Calvim i Michele Sindoną doprowadziła do nielegalnego wyprowadzenia z kasy Istituto per le Opere di Religione (IOR) 1,4 biliona dolarów. Obecnie przebywa w areszcie domowym we własnej willi w Toskanii.

PAUL MARCINKUS - północnoamerykański arcybiskup. Urodził się 15 stycznia 1922 roku na przedmieściach Chicago. W latach 1971-1990 był szefem Istituto per le Opere di Religione, znanego szerzej jako Bank Watykański. Stał za niezliczonymi skandalami finansowymi, u boku takich postaci, jak Licio Gelli z P2, Roberto Calvi z Banco Ambrosiano czy Michele Sindona - włoski bankier i mafioso, doradca finansowy Pawła VI. Efektem tej współpracy było wieloletnie pranie brudnych pieniędzy przez banki pozostające pod moralnym nadzorem Stolicy Apostolskiej, a także zatajanie rzeczywistych dochodów IOR, przekazywanych na prywatne konta zamiast na dzieła miłosierdzia. Zamieszany również w wiele mniej nagłośnionych wydarzeń, takich jak zaginięcie piętnastoletniej Emanuela Orlandi w 1983 roku. Dziewczynkę porwano, aby wymienić ją za Mehmeta Ali Ağcę. Marcinkus zawsze cieszył się nieograniczonym zaufaniem Pawła VI. Jan Paweł II, nie widząc innego wyjścia, pozostawił Marcinkusa na stanowisku, dopuszczając, by stał się trzecim najbardziej wpływowym urzędnikiem Watykanu. Jego poprzednik Jan Paweł I planował niezwłoczne odsunięcie go od władzy. Marcinkus jest jednym z głównych podejrzanych w sprawie zabójstwa Albino Lucianiego. W 1990 roku wrócił do Chicago, ustępując ze stanowiska prezesa Banku Watykańskiego, by niedługo potem przenieść się do małej parafii w Arizonie. 20 lutego 2006 roku znaleziono go martwego w jego domu.

ROBERTO CALVI - bankier mediolański, urodzony 13 kwietnia 1920 roku. Nazywany w prasie „bankierem Bożym”, z uwagi na jego związki z Watykanem i arcybiskupem Marcinkusem. Prezes Banco Ambrosiano. Manipulowany i zastraszany przez Licio Gellego i Paula Marcinkusa, dopuścił do gigantycznych defraudacji w zarządzanym przez siebie banku. Śmierć Jana Pawła I nie przyniosła mu wymiernych korzyści. Był przeciwny tej zbrodni. Po tym jak prokuratura postawiła mu zarzuty, posłużył się fałszywym paszportem i uciekł do Londynu, gdzie kilka dni później, 17 czerwca 1982 roku, znaleziono go powieszzonego pod mostem Blackfriars. Policja brytyjska uznała to za akt samobójczy, mimo że poszlaki wskazywały na coś zupełnie przeciwnego. W spodniach miał cegły, w kieszeniach zaś 15 tysięcy dolarów. Sprawa wróciła na wokandy we Włoszech i Wielkiej Brytanii całkiem niedawno, lecz jest bardzo prawdopodobne, że nazwisko mordercy nie zostanie ujawnione.

JEAN-MARIE VILLOT - francuski kardynał, urodzony 11 października 1905 roku. Pełnił funkcję watykańskiego sekretarza stanu w czasie pontyfikatu Pawła VI. Pozostał na tym stanowisku aż do jego śmierci, a także w czasie krótkiego pontyfikatu Jana Pawła I. Na dzień 29 września 1978 roku przewidziana była jego dymisja. Śmierć Albino Lucianiego pozwoliła mu utrzymać się na stanowisku jeszcze przez kilka miesięcy następnego pontyfikatu, aż do jego własnej śmierci, która nastąpiła 9 marca 1979 roku. Członek P2 Licio Gellego. Uważany przez niektórych znawców zagadnienia za jednego z głównych podejrzanych w sprawie zabójstwa Jana Pawła I.

LUCIA DE JESUS DOS SANTOS - urodzona 22 marca 1907 roku w Aljustrel w Portugalii. Była jednym z trojga dzieci, które doświadczyły objawień maryjnych w Fatimie. Przekazała tak zwane trzy tajemnice fatimskie, czyli przesłanie, które Najświętsza Maria Panna skierowała do ludzi. Prawdziwa treść tego przesłania jest pilnie strzeżona przez Kościół. Siostra Łucja spotkała się z Albino Lucianim, późniejszym papieżem Janem Pawłem I, 11 lipca 1977 roku w klasztorze karmelitańskim świętej Teresy w Coimbrze. Podczas trwającej dwie godziny rozmowy zakonnica doznała wizji, w której

przepowiedziała Lucianiemu jego przyszłość. Zmarła 13 lutego 2005 roku w Fatimie.

MARIO MORETTI - założyciel Drugich Czerwonych Brygad. Odpowiedzialny za porwanie Aida Moro. Jako jedyny pozostawał w kontakcie z porwanym i to on osobiście wykonał wyrok na znanym polityku. Okoliczności tego porwania nie zostały nigdy ujawnione. Dzisiaj wiadomo jednak, że P2 miała w tej akcji swój poważny udział, podobnie jak druga potężna organizacja z centralą na innym kontynencie. Został skazany na sześciokrotne dożywocie i nieoczekiwanie zwolniony z więzienia w 1994 roku.

J.C. - urodzony w... dnia... Wykonawca i inspirator wielu okrutnych morderstw. Wstąpił do P2 w... Dziś na emeryturze, zdystansował się od polityki i finansów, utrzymując jednak potężne wpływy w świecie międzynarodowej przestępczości zorganizowanej. Mieszka w... W nocy z 28 na 29 września 1978 roku zabił osobiście papieża Jana Pawła I.

\*

Pozostałe postacie z tej książki należą do nieogarnionego świata fikcji.

UWAGA 1: Autor żywi nadzieję, że wszelkie przypuszczenia zostaną zastąpione faktami w jednym z kolejnych wydań książki.

UWAGA 2: P2 wciąż ma się dobrze i jest dziś lepiej zakonspirowana niż kiedykolwiek wcześniej.

#### SŁOWO OD POLSKIEGO WYDAWCY

Wielkie instytucje obrastają wielkimi mitami, a bez mitów trudno wyobrazić sobie literaturę popularną. Tak jest i tym razem. Aura tajemnicy otaczającej Watykan, głośnie od czasu do czasu skandale, niewyjaśnione sprawy inspirują autora do snucia opowieści, w której ujawnianie „tajemnic” Kościoła staje się równie ważne, co sensacyjna akcja i wyrazisty rysunek postaci.

Cóż, autorowi sensacyjnej prozy wolno daleko więcej niż jakiemukolwiek innemu pisarzowi. Ba, często nawet oczekuje się od niego, że wkroczy na obszar w pewnym sensie zakazany.

Niedostępność i tajemniczość instytucji budzi podejrzliwość. Tajemnica domaga się odkrycia, sensacji, skandalu. Czasem najtrudniej uwierzyć w to, że świat rzeczywiście jest taki, jakim go widzimy. To by było zbyt proste...

W tej książce mamy jednak do czynienia z fantazją, więc nikt nie może powiedzieć: „sprawdzam”. Niezwykły jest rozmach, z jakim Luis Miguel Rocha buduje swoją „teorię spisku”. Ale przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie czerpie swojej wiedzy o świecie z kryminałów i powieści sensacyjnych. Co zatem sprawia, że czytając *Ostatniego papieża*, odczuwamy dreszcz, który towarzyszy naruszeniu tabu?

Uwikłania ludzi Kościoła w sprawy tam opisane? Nie - przecież codzienna prasa pisze o wydarzeniach może mniej efektownych, ale prawdziwych i równie szokujących. Wątek Solidarności? Nie - Polacy sami jej legendę już sponiewierali. Złe światło rzucone na następców Jana Pawła I? Dajmy spokój, to przecież konkluzja wynikająca z „teorii spisku”.

Zatem dreszcz powoduje nie to, że sprawy mogłyby wyglądać tak, jak zostały opisane w *Ostatnim papieżu*, ale to, że w gąszczu półprawd, faktów i niedomówień opracowanych zmyśloną fabułą nie mamy sposobu, by temu skutecznie zaprzeczyć...

Najlepiej więc po prostu dobrze się bawić, zanurzając we współczesne lochy Watykanu.